



Catherine Doyle

INFERNO

If you play with fire,
you'll get burnt

CATHERINE DOYLE

INFERNO
Blood for Blood # 2

Tłumaczenie : waydale

Wszystkie tłumaczenia w całości należą do autorów książek jako ich prawa autorskie, tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym służącym do promocji twórczości danego autora. Ponadto wszystkie tłumaczenia nie służą uzyskiwaniu korzyści materialnych, a co za tym idzie każda osoba, wykorzystująca treść tłumaczenia w celu innym niż marketingowym, łamie prawo.

CZEŚĆ I

„Poznam was, tajemnice
poprzez pozostawione odpadki
i wasze zakrwawione odciski.”

Lola Ridge, „Sekrety”



ROZDZIAŁ PIERWSZY

POLICJA

Policjanci stanęli ramię w ramię w nogach mojego łóżka. Przypatrywali się siniakom pod moimi oczami.

- Panno Gracewell, możesz nam powiedzieć jak odniosłaś ostatnie urazy?

Zerknęłam bokiem na matkę, przybierając najbardziej subtelną minę „jasny gwint”. Co miałam powiedzieć? Pokazać w kierunku Falconów i wykrzyknąć: „Mordercy są tam!”?

Położyła delikatnie rękę na moim ramieniu. Gra nazywała się *omertà*, której celem było nie zostanie zabitą za kablowanie. To słowo błysnęło w mojej głowie jak neonowy znak: *omertà, omertà, omertà*. Pakt milczenia, do którego wszyscy byliśmy zobowiązani. *Nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj*.

- Upadłam – skłamałam. – Dość niefortunnie.

- Upadłaś – powtórzył pierwszy policjant, komisarz Comisky. Jego wąsy drgały jak wielka szara gąsienica. Jego partner Medina miał ciemne paciorkowate oczy. Byli pełni nadziei, niemal to czułam – ich potrzebę sprawdzenia się, złapania mafijnego zabójcy... albo dwóch, albo dziesięciu. Poniekąd byli tego bliscy. Pomiedzy nieskończoną flotą mafiosów poruszających się swobodnie szpitalnymi korytarzami, zmarłymi poplecznikami Jacka w magazynie i moim przyjęciem do szpitala u boku rannego po postrzale zastępcy bossa Falcone’a, sytuacja była dosyć podejrzana.

- Jesteś tego pewna? – naciskał Comisky.

Zacisnęłam usta i skinęłam głową, próbując zignorować narastającą panikę. Być może porozmawianie z policją byłoby dobre, ale wiedziałyśmy, iż pilnowanie mnie przez Nico w szpitalu nie wystarczyło, żeby trzymać resztę z daleka, gdybyśmy spróbowały narazić na szwank ich wolność. Jasne, uratowałam Lucę, ale Valentino nie wybaczyłby mi, gdybym złamała świętą zasadę *omertà*.

- Bardzo dobrze, panno Gracewell – rzekł Comisky zdecydowanie bardziej lodowatym głosem. – Czy możesz zamiast tego powiedzieć nam, jak to się stało, że zostałaś przywieziona do szpitala z Gianluca Falconem?

Udałam grymas.

- Naprawdę?

Jego grymas był o wiele bardziej przekonujący.

- Panno Gracewell, czy masz jakiegokolwiek informacje na temat strzelaniny w magazynie w Hegewisch sprzed dwóch nocy?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Panno Gracewell, czy możesz wyjaśnić swoją relację z rodziną Falcone?

- Z kim?

- Panno Gracewell, czy powiesz nam, co wiesz o relacji swojego ojca z rodziną Falcone?

- Słucham? – To utknęło mi w gardle. Zawahałam się i musiałam walczyć o odpowiedni poziom nonszalancji. Obok najeżyła się mama. Po co wyciągali ten temat? Próbowali mnie podburzyć i to działało.

- Panowie, gdybyście mogli nie mieszać do tego ojca Sophie, byłabym wdzięczna – wtrąciła, kupując mi trochę czasu, żebym wzięła się w garść. Przez chwilę wyglądała na całkowicie niewzruszoną. Czasami zapomniałam, że miała już do czynienia z policją. Patrzyła, jak zabierają jej męża.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Żałowałam, że nie ma z nami ojca. Żałowałam, że byliśmy bez niego takie porzucone. Zostawił nas, byśmy mierzyły się ze wszystkim same, a to nas prawie zabiło. Jednak nie zamierzałam pokazywać policjantom jak bardzo mnie to dręczyło. Nie zamierzałam pokazywać im słabości.

Policjanci zerknęli krótko na moją matkę i nie zważając na jej prośbę, parli dalej.

- Panno Gracewell, czy twój ojciec miał z tym coś wspólnego?

- Mój ojciec jest w więzieniu, komisarze. - Tym razem się nie zawahałam.

Protekcjonalny uśmiech uniósł gąsienicowe wąsy na twarzy Comisky'ego.

- Nie o to pytałem.

Niespodziewanie zrobiło mi się bardzo zimno, a mama, która była taka spokojna parę chwil temu, teraz kompletnie milczała. Gdybym przyjrzała jej się wystarczająco długo, zobaczyłabym pobladłą skórę pod niewielkim makijażem. Miała obgryzione paznokcie do skóry. Sekrety. Kłamstwa. Prawie nas zniszczyły. Uniosłam brodę i wbiłam wzrok w policjantów.

- Ale ma pan swoją odpowiedź.

Komisarz Comisky wypiął klatkę piersiową i wypuścił głębokie, zgrzytające westchnienie. Medina ukrył ziewnięcie. On był wyraźnie mądrzejszy z tej dwójki, ponieważ wyglądał jakby chciał wrócić do domu i uciąć sobie drzemkę zamiast dalej niepotrzebnie tracić czas i energię. Ich wizyta była dla mnie męcząca. Rozmawianie jest wystarczająco trudne, kiedy jest się zranionym, ale kłamanie jest nieskończenie

trudniejsze. Może był to skutek zamroczenia morfiną, ale moje myśli błędziły i zaczynałam stwierdzać, że komisarz Comisky był zaskakująco podobny do Maurice'a z *Pięknej i Bestii*.

Wyciągnął z kieszeni koszuli mały czarny notes i otworzył. Wysunął zza ucha ołówkę i zastukał w kartkę papieru.

- Może tym razem spróbujemy być szczerzy, panno Gracewell? – Ponownie na mnie spojrzął. – Może powinienem wyjaśnić, dlaczego twoja współpraca z prawem będzie w twoim najlepszym interesie...

Nie zmieniałam opanowanego wyrazu twarzy. *Nic nie widziałam. Nic nie wiem. Nic nie odkrywaj.* Jak się okazało, nie musiałam się martwić, jak zamierzali mnie przekonać, ponieważ ceremonialnie im przeszkodzono zanim by czegoś spróbowali.

Otwarto drzwi do mojej szpitalnej sali i weszła do środka postać z tak nieuzasadnioną beztrąską, iż miało się prawie wrażenie, że spodziewaliśmy się jego wizyty. Jego strój był tak nienaganny jak zawsze: jasnoszary garnitur lśniący pod świetlówkami i lakierki stukające przy każdym kroku. Zaczesał sobie srebrne włosy za uszy. Prawie dostałam odruchu wymiotnego, kiedy po pokoju rozszedł się zapach miodu, czepiając się mojej skóry, włosów, mózgu.

Nie widziałam go od wydarzeń w magazynie i miałam nadzieję, że już nigdy więcej nie będę musiała go oglądać. Ale niestety dla mnie i mojego pulsu byliśmy wspólnie zamieszani w to śledztwo i jako *consigliere*¹ Falconów Felice nie zamierzał pozwolić, żeby dalej było przez niego nienadzorowane.

- *Buongiorno*, komisarze – przywitał się, omijając ich szerokim łukiem i stanął pośrodku mojego łóżka. Powietrze było przepełnione tym okropnie przesłodzonym aromatem i zastanawiałam się czy kiedykolwiek zdołam jeszcze powąchać miód bez doświadczenia towarzyszącego mu poczucia pewnej śmierci.

Felice położył dłoń na boku łóżka, zaciskając palce na barierce. Zesztywniałam na jego bliskość. Przywołała niemile widziane wspomnienia bycia związaną w jego wielkim, opanowanym przez pszczoły domu tuż przed tym jak jego brat Calvino sprzął mnie na kwaśne jabłko. Odsunęłam się od niego. Po drugiej stronie łóżka matka ścisnęła moje ramię.

- Wszystko dobrze, kochanie – szepnęła, ale nie było w jej głosie żadnego przekonania. Ostatnim razem, kiedy widziała Felicego Falcone celował pistoletem w jej głowę. Jeżeli myślała, że nie czułam drżenia jej ręki to była w błędzie.

- Panie Falcone – wychrypiał komisarz Comisky z zaróżowionymi policzkami. – Będę musiał poprosić pana o wyjście. Prowadzimy prywatne przesłuchanie z panną Gracewell.

¹ *Consigliere* – doradca w strukturze mafijnej.

- Z jakiegoż to powodu, komisarzu Comisky? – Uśmiech Felicego, choć sztuczny, był o wiele bardziej wyćwiczony niż uśmiechy jego przeciwników.

- Cóż, my... - Komisarz Comisky stracił pewność siebie. Zamknął notes i wsadził z powrotem do kieszeni, ale wciąż ścisnął w ręce ołówek. – Nie przypominam sobie, żebym mówił panu jak się nazywam, panie Falcone.

Felice uniósł prawie niewidzialne brwi.

- Ale pan zna *moje* nazwisko, komisarzu. Czy to takie dziwne, że ja znam pańskie?

Komisarz Comisky zbladł. Felice wykorzystał jego zaskoczenie, podchodząc bliżej do niego.

- Walter Comisky – dumął. – Jak sądzę, mieszka pan na Sycamore Drive 342. Piękna dzielnica. Te urocze domy z cegły, no i ten bajeczny park na końcu pańskiej ulicy. Spodziewam się, że córeczki go uwielbiają.

Komisarz Comisky odciągnął ramiona i jeszcze bardziej się wyprostował. Był o pół głowy niższy od Felicego, ale wysunął podbródek do przodu, by wyglądało inaczej.

- To prawda, panie Falcone. Teraz, gdyby mógł pan...

- I pańska żona musi *kochać* ten ogród. Tyle otwartej przestrzeni do sadzenia kwiatków. Te wszystkie śliczne hortensje, a ja zawsze uwielbiałem stokrotki na długich łądych. Na imię jej Alma, prawda? – Błysnął następnym szerokim uśmiechem ukazującym trzydzieści dwa zęby.

- Nie – odparł z wyraźną ulgą komisarz Comisky. Podciągnął pasek u spodni, przywołując mały, niezbyt-wyćwiczony uśmiech, który dygotał pod wąsami. – To nie jej imię.

Stojący za nim komisarz Medina zdawał się zapaść w sobie.

- Nie, nie, nie. – Felice potarł skronie, jakby zdradził go własny umysł. – To nie jest imię twojej żony, Walterze, ale żony komisarza *Mediny*... prawda, Doug? – Wychylił się za Comisky'ego, robiąc widowisko z nagłego zainteresowania komisarzem Medina.

Potrzeba było kilkunastu długich sekund zanim komisarz Medina odpowiedział.

- Nie rozumiem, j-j-jakie to ma znaczenia w p-p-profesjonalnym przesłuchaniu, panie Falcone.

Mama ścisnęła trochę mocniej moje ramię, a pod przykryciem przycisnęłam rękę do nogi, żeby przestała się trząść. Felice był mistrzem zastraszania i trudno było nie odczuwać przerażenia na twarzach policjantów, kiedy zdali sobie sprawę, co się tutaj działo. Oto był przed nami kot ostrzący obie pazury na dwie rozdygotane myszki.

- Ma znaczenie – wyjaśnił Felice, nie odrywając spojrzenia od swojej ofiary – ponieważ może mam dla niej prezent. Właściwie to dla obu waszych żon. Dla Almy i... - Stuknęła teatralnie palcami o brodę, ale nikt w tym pomieszczeniu nie wierzył, że nie znał już imienia żony komisarza Comisky'ego. – Rose! – wykrzyknął ze sztucznym podekscytowaniem w swojej chwili oświecenia. – Jak mogłem zapomnieć? Rose. Równie piękne jak sama róża. Piękne jak jej ogród. Doskonale do siebie pasują.

Komisarz Medina podniósł rękę piersi, pocierając ją powoli, ale bardzo możliwe, że dostawał ataku serca. Wyobraziłam sobie, jak Felice przechodzi nad jego ciałem, uważając, żeby nie zarysować sobie butów. *Ugh.*

Gdy Felice znów się odezwał, miał cichy głos.

- Być może wasze żony zechciałyby dostać po słoiczku mojego domowego miodu? Mógłbym im wysłać, to żaden problem... - Urwał, pozwalając, żeby końcówka zdania zawisała w powietrzu.

Komisarz Comisky złamał ołówek w pięści.

Felice uśmiechnął się drwiąco.

Wtuliłam się głębiej w kołdrę. Pamiętałam słoik miodu, który Felice przesłał Jackowi i dokąd nas to wszystkich zaprowadziło. Patrząc po twarzach policjantów doskonale wiedzieli, co oznaczał ten słoik w czarnej wstążce. W świecie przestępczym był „Żądłem” i jego miód zwiastował śmierć.

- W porządku, panie Falcone – rzekł komisarz Comisky, przesuwając się na bok, żeby nie stać dłużej pomiędzy Felice, a drzwiami. Wskazał na nie. – Niczego od pana nie chcemy. Chcemy kontynuować to prywatne przesłuchanie. Gdyby mógł pan teraz wyjść.

Felice wyrzucił ręce, klaszcząc raz.

- Oczywiście – powiedział z beztroską obojętnością. – I tak muszę być przy moim bratanku. Słyszałem, że te wszystkie wasze poranne pytania go wymęczyły i mam nadzieję, że nie zamierzacie uczynić tego samego tej biednej dziewczynie. Jestem przekonany, że potrzebuje wypoczynku i mam jeszcze większą pewność, że to przesłuchanie jest całkowitym marnotrawstwem waszego cennego czasu, który można by spędzić produktywniej w innym miejscu. – Opuścił pokój, nie oglądając się za siebie.

Mama rozluźniała uścisk na moim ramieniu i wypuściła zduszony oddech. Miałam spoczone dłonie, chociaż Felice nie spojrzał na nas ani razu, kiedy tutaj był.

- W takim razie – powiedział komisarz Comisky – wznówmy rozmowę.

Przesłuchanie zakończyło się kilka minut później. To było w Dzień Drugi. Minęły dwa dni odkąd mój świat przewrócił się do góry nogami i zmieniło się wszystko, co było mi znane. Dręczyło mnie tak wiele rzeczy, pytania wplecione w koszmary. I byli również

ludzie. Ludzie, których już nigdy nie chciałam zobaczyć, ludzie, których nigdy nie chciałam poznać i ludzie, którzy wciąż byli mi winni odpowiedzi. A chociaż wtedy tego nie wiedziałam, to istniał ktoś zupełnie taki jak ja uwięziony po drugiej stronie tego świata i próbujący się z niego wydostać.

ROZDZIAŁ DRUGI

KRÓLOWA MAFII

Początkowo mama nie chciała opuścić mojego boku. Obserwowała mnie przekrwionymi, zmęczonymi oczami, siedząc nieruchomo na krześle i trzymała kurczowo moją dłoń, zapewniając, że będzie lepiej. Drżał jej przy tym głos i zastanawiałam się nad jej niechęcią, żeby mnie zostawić... czy obawiała się zostawić mnie samą, czy bała się samotności?

Kiedy ledwo mogła otworzyć oczy albo mówić bez ziewania zgodziła się pójść przespać do domu. I tak był już prawie koniec. Następnego dnia miałam wyjść. Potem już nigdy więcej nie będę musiała leżeć w szpitalnym łóżku.

Odgłos jej oddalających się kroków został zastąpiony pewniejszymi krokami Nico. Wracał od łóżka swojego brata, przy którym spędzał drugą połowę czasu, a wyrzuty sumienia rozdzierały go na pół.

- Hej – szepnął. Pochylił się nade mną, oceniając subtelnie stłuczenia, jak zawsze. Może nie chciał, żebym czuła się przez nie nieśmiało a może nie chciał mi przypominać skąd się wzięły.

- Cześć. – Leżałam prosto, czując na powiekach ciężar zmęczenia. Wyglądał na tak wyczerpanego, jak się czułam. – Próbuję nie zasnąć.

- Śpij, jeśli tego potrzebujesz, Soph. Będę tutaj. – Nie zauważyłam, żeby się ruszył, ale poczułam miękkiego nacisku jego palców, kiedy odsunął mi z twarzy włosy.

Nie chciałam zasypiać – spanie oznaczało śnienie, a śnienie oznaczało koszmary i nim się zorientuję znowu obudzę się z krzykiem. Potrząsnęłam głową, ale czułam ogarniający mnie sen.

- Powinieneś iść – powiedziałam cicho. – Skończyły się godziny wizyt.

Dostrzegłam wykrzywienie jego ust, kiedy przycisnął je do mojej ręki, uśmiechając się. Nie miał szacunku do godzin wizyt. Między innymi.

- Zaczekam aż zaśniesz.

Pozwoliłam sobie zamknąć oczy, czując wokół siebie kokon bezpieczeństwa.

- Przepraszam – szepnął. – Wybacz mi, Sophie.

Chciałam. Przebaczenie było łatwe w takich momentach, kiedy byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć, zbyt rozproszona, żeby pamiętać. Łatwo było słuchać, jak do mnie szepcze i gładzi palcami. Gdybym zaczęła zbyt mocno myśleć o tych rękach – do

czego były zdolne, co już uczyniły – to nie byłabym w stanie ich trzymać, pozwalać, żeby sunęły delikatnie po siniakach na mojej twarzy.

Gdyby „przepraszam” mogło wszystko naprawić, wyszłabym z tego szpitala i nie obejrzała się za siebie. Ale w głębi duszy wiedziałam, że chłopiec, który czuwał nade mną z cichą uwagą był tym samym chłopcem, który wpakował kulkę w mojego wujka w magazynie. Jednak, kiedy Nico patrzył na mnie tymi upstrzonymi złotem oczami trudno było zlekceważyć motylki w brzuchu, słabość w ramionach, kiedy próbowałam go odepchnąć.

Granica pomiędzy dobrem, a złem była ciemną, rozmazaną przepaścią, a ja wpadłam w sam jej środek.

Gdy przebudziłam się z krzykiem, coś czało się w mroku... dziwny skrzydlaty kształt na ścianie. Próbowałam odegnąć obraz mrugnięciem powiek, ale sylwetka nabrała żywszego i wyższego kształtu. Prawdziwego. Stłumiłam wrzask i usiadłam prosto, przylegając do poduszki.

- Kim jesteś, do diabła?

Albo to była najstraszniejsza pielęgniarka w historii, albo miałam zostać zamordowana. Przynęła się bliżej, dopóki nie weszła w niewielką łunę światła wydobywającą się spod drzwi. Elenę Genovese-Falcone widziałam tylko dwa razy wcześniej – raz na portrecie Valentino i raz w artykule o śmierci Don Angelo Falcone’a, ojca Nico. Była w Europie, kiedy Nico wprowadził się z braćmi do Cedar Hill.

Na żywo miała posągową urodę. Jej sylwetka była niezwykle szczupła – konsekwencja obcisłych, uszytych na miarę ubrań. Czubek nosa wyginał się do góry w mały punkcik, a ciemne włosy związała w kok. Ścisnęła barierki na końcu mojego łóżka. Gdybyśmy byli w filmie o superbohaterze to pewnie by je wyrwała, patrząc po tym jak kurczowo zaciskała pięści.

- A więc – rzekła. – *Ty* jesteś tą dziewczyną Gracewell.

Jej głos był protekcyjny i podszyty słabym włoskim akcentem. To nie było pytanie, bardziej oskarżenie i miałam nagłe wrażenie, że wpadłam w pułapkę. Głupie, biorąc pod uwagę, że takie miałam nazwisko i nie musiała przeskakiwać żadnych płotków, żeby się go domyślić.

- Tak – powiedziałam drżąc i wyciągnęłam rękę do lampki przy łóżku, zapalając ją.
- To ja.

W pokoju nastąpiła jasność i poczułam się odrobinę bardziej pewna siebie. Mogłabym pewnie zrobić unik i stoczyć się z łóżka, gdyby zaszła taka potrzeba, ale z tego, co widziałam nie posiadała żadnej broni. Chyba, że zalicza się do nich protekcyjny uśmiezek. Światło zalało ją surowym blaskiem, rozświetlając umalowaną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i spiczastą brodą. Oczy pod opadającymi powiekami miały znajomy odcień palącego błękitu.

Odsunęłam z twarzy tłuste kosmyki włosów. Niech się dobrze przyjrzy, co zrobiła mi jej rodzina. Niech zobaczy żółknięjące siniaki, napuchnięte policzki. Nie ugnę się – pokażę jej, że się nie boję. Nawet, jeśli byłam totalnie przerażona.

- Mogę zapytać, co pani robi o tej porze w mojej sali, pani Falcone?

Jeżeli zdziwiła ją moja wiedza na temat tego, kim jest, to tego nie pokazała. Zgaduję, że byle jaki półgłówek zwyciężyłby w zabawie „Znajdź Falcone’a”. Trzeba tylko poszukać włosów nadających się do reklamy szamponu albo tych „mógłbym-cię-zabić” oczu.

Zacisnęła wargi w cienką linię.

- Ty i ja mamy problem.

- Jaki byłby to problem?

Wyprostowała się, zakładając ramiona na piersiach. *Cóż*. Wysoka była.

- Zrobiłaś *coś* moim synom.

Jeny. Nie ma to jak wybiórczo wybierać informacje.

- Jeżeli mówi pani o Luce, to tak, zrobiłam *coś*. Uratowałam mu życie.

- *Coś innego* – wyjaśniła z chłodnym oburzeniem. – Nie próbuj się ze mną wymądrzać.

Rozumiem, że uratowanie jej syna nie da mi żadnych dodatkowych punktów.

- Wróciłam do *disastro*. Nicoli jest zaabsorbowany myślami. Rozproszony. Wpełzłaś mu do głowy niczym robal.

Zamrugałam powoli.

- Czy pani... właśnie nazwała mnie *robalem*?

- Tym właśnie jesteś. Amerykańskim robalem.

- Nie jestem robalem. – Nigdy nie sądziłam, że wypowiem taką kombinację słów. Czy to tak obrażali się nawzajem członkowie gangu? Gdybym miała więcej odwagi, nazwałabym ją żukiem gnojarem i pokazała język. – Jestem dziewczyną – dodałam dla wyjaśnienia, czując się trochę jak urażona dwulatka.

- *Głupią* dziewczyną – syknęła. Znajdowała się teraz o wiele za blisko. Widziałam połysk na jej wypełnionym botoksem czole. – Trzeba było nie wtykać nosa w nieswoje sprawy.

- Czy pani nie wie, co się wydarzyło? – zapytałam. – Nie ma żadnego pojęcia?

Patrzyła przeze mnie skonsternowana. Mój głos przybrał na sile i parlałam dalej próbując sprawić, żeby nabrała rozumu.

- Czy myśli pani, że podoba mi się leżenie w tym szpitalnym łóżku? Czy myśli pani, że lubię mieć taką żółtofioletową twarz? Zostałam wciągnięta w pokręcone gry waszej rodziny. Nigdy nie chciałam brać w tym udziału.

- To może trzeba było nie zbliżać się do mojego syna.

Czułam dudniące tętno w czubkach uszu. *Uspokój się, Sophie. Zachowaj spokój.*

- Może on powinien nie zbliżać się do mnie.

- I Gianluca! – Załamała ręce. – *Mio figlio!* Jest teraz taki słaby. *Cos'è successo?* – Skierowała pytanie do sufitu. – Ta dziewczyna... ta dziewczyna... - Potrząsnęła głową, marszcząc brwi i przesunęła szafirowymi oczami po mojej twarzy. – Piękne zero. Złamałaś ich.

Przeszła przez mój próg, żeby mnie obrazić. Musiałam radzić sobie z wystarczającą ilością nieprzyjemności, kiedy spałam; nie pozwolę, żeby ktoś mi ubliżał, jak mogę coś z tym zrobić.

- *Złamałam* ich? – Poczulałam narastający gniew. Pozwoliłam, żeby przejął nade mną kontrolę i mnie wzmocnił. – Uratowałam Luce życie. Każda normalna matka byłaby za to wdzięczna. Podziękowałyby mi, a nie włamywała się do mojej sali w środku nocy w *szpitalu*, w którym wylądowałam przez *waszą rodzinę*. Do diabła, gdzie są pani manieri wobec pacjentki?

- Uważaj – ostrzegła.

- Ciągle *uwazam* – odpowiedziałam. – A przynajmniej było tak do... - urwałam. Jaki jest sens w obwinianiu jej anielskich synów? Jej zaprzeczenie było tak gęste, że ją oślepiało. – Jeżeli nie potrafi pani zrozumieć, że próbowałam jedynie pomóc pani synom, nawet po tych wszystkich okropnościach, które zrobili, to *pani* problem. Teraz proszę wyjść z mojego pokoju zanim zawołam pielęgniarkę!

Elena Genovese-Falcone wypuściła syczący oddech. Nachyliła się nade mną tak samo, jak czasem robił to Nico, ale efekt był zupełnie inny. Przysunęła twarz tak blisko, że widziałam kapilary w jej oczach. Odsunęłam się od niej, przeklinając własne odruchy, że czyniły mnie słabą.

- Wyjdę, kiedy powiem wszystko, co chciałam. Nie zapominaj, *saccente*, że leżysz tutaj bezpieczna tylko dzięki poleceniu mojego syna. *Doskonale* wiem, kim jesteś... kim jest twój ojciec, *czym* jest twój wuj szkodnik i wiem o wszystkim, co są nam winni.

- Nic już nie jesteśmy wam winni.

- Te oczy – powiedziała, odsuwając się ode mnie, kiedy jej głos stał się śmiertelnie cichy. Nad grzbietem jej nosa pojawiły się zbuntowane zmarszczki. – Są bezduszne.

- Proszę zostawić mnie w spokoju.

Przyglądała mi się, jakbym była układanką, którą nagle musiała rozwiązać, jakbym miała zapisane coś w źrenicach. Po ciężkim milczeniu szepnęła do mnie, jakby coś mi powierzała:

- Wiem, że jest w tobie więcej niż każesz mi wierzyć.

- Nie – odparłam rozdrażniona, potrząsając głową w zmęczeniu i zaprzeczeniu. – Dostaje pani to, co widzi. – *W przeciwieństwie do – och, sama nie wiem – każdej cholernej osoby w pani rodzinie.*

Wykrzywiła usta.

- Jakoś w to wątpię.

- Po co pani tu przyszła? – zażądałam. – Żeby mnie obrazić? Żeby dokończyć, co zaczęła pani rodzina?

- Przyszłam powiedzieć, żebyś trzymała się z daleka od moich synów albo następnym razem, kiedy się zobaczymy nie będę taka ostrożna z tym, gdzie kładę ręce.

- Nie skrzywdziłaby mnie pani – zaryzykowałam. Valentino by jej nie pozwolił. – Nie po tym, co zrobiłam w magazynie.

Śmiech urwał się w jej gardle tak szybko, jak rozdzwieczał.

- Dziewczyno, wpakowałabym kulkę w moją siostrę, gdybym kiedykolwiek natknęła się na nią bez obstawy, więc czemu sądzisz, że nie zrobiłabym tego samego osobie, którą spotkałam raz w życiu?

Nagle miałam przed sobą bardzo żywy obraz, jak mnie dusi. Ta myśl sprawiła, że przełknęłam ślinę głośniejsze niż zamierzałam.

- Nie jesteś przeznaczona dla tego świata – dodała, jakby to była najgorsza obelga na świecie.

- Mówi pani, jakby to było coś złego.

- Nie jesteśmy tworzeni, tylko się rodzimy. Dynastia i ambicja uczyniły mnie tym, kim dzisiaj jestem. Przyniosły mi upragnione życie, pozycję, która była mi przeznaczona od dnia narodzin. Kobiety Genovese mają wpojony instynkt przetrwania; mamy w żyłach sycylijską krew, pracują pod nami całe rodziny. Dla ciebie nigdy tak nie będzie. Nigdy nie będziesz niczym więcej jak krótkim odwróceniem uwagi dla mojego syna. – Odwróciła się ode mnie i zatrzymała z ręką na drzwiach. Wtopiła się w ciemność. Wtedy postanowiłam, że poznałam ją w najlepszy sposób – jako niedostrzegalny cień. – Nigdy nie wybrałby cię ponad swoją rodziną.

Ogarnięta mieszanką odwagi i gniewu skierowałam odpowiedź w jej plecy.

- Kto mówi, że ja wybrałabym go ponad swoją?

- Błagam – powiedziała przez ramię. – Nie pozostała ci już żadna rodzina i obie dobrze o tym wiemy.

Przeszyła mnie rozgrzana do białości wściekłość i wyobraziłam sobie, jak wyskakuję z łóżka i wrywam jej kudły.

- Nic pani nie wie o mojej rodzinie ani mojej lojalności – wydusiłam przez zaciśnięte zęby. – Więc proszę się wynosić.

Zostawiła za sobą brzmienie śmiechu i opadłam na poduszkę, dysząc głośno. Byłam zalana adrenaliną; przerażona, rozgniewana, skonsternowana i żałowałam, że nie miałam większej odwagi, żałowałam, że nie potrafiłam stanąć przed Falconami bez poczucia, że zbliża się do mnie nieszczęście. *Niech ich szlag. Niech ją szlag weźmie.* W innym świecie mogłybyśmy się dogadać. Lecz w surowym świetle dnia pomiędzy dwiema rodzinami, które będą nienawidzić się po wsze wieki byłam jedynie kłopotliwą, wścibską *Americano*... a ona była królową mafii z piekła.

ROZDZIAŁ TRZECI

POŻEGNANIE

- Wiesz, jak dziś rano przeszukiwałam twoją szafę z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że cztery pary spodni dresowych to więcej niż wystarczająco dla jednej osoby w całym jej żywocie.

- Cóż – powiedziałam, zabierając Millie spodnie i podpierając o jej ramię, kiedy naciągnęłam wspomniane dresy pod szpitalną koszulę – to są oczywiście słowa kogoś, kto nigdy nie zjadł całej pizzy i nie miał poczucia, że zdradziły go własne dzinsy. Nigdy nie można mieć wystarczająco dresów.

- Dres to zasadniczo pizama.

Pokiwałam jej palcem.

- Społecznie akceptowalna pizama. *Społecznie akceptowalna.*

Zmarszczyła nos w obrzydzeniu i musiałam stłumić nagłą ochotę, żeby ją przytulić. Ostatnio często nachodziło mnie takie uczucie – szalona wdzięczność za najlepszą przyjaciółkę, która wspierała mnie bardziej niż kiedykolwiek od wydarzeń w magazynie. Poza tym byłam w minimalnie dobrym humorze (biorąc wszystko pod uwagę), bo właśnie zostałam wypisana ze szpitala, moja matka czekała na parkingu, Millie pomagała mi się przebrać i nareszcie wracałam do domu. Nawet jeśli moje życie już nigdy nie będzie takie samo, to przynajmniej będę daleko od kroplówek i czających się Falconów. Szczególnie kobiet tej rodziny.

Zdjęłam koszulę szpitalną i założyłam podkoszulek oraz japonki. Miałam przetłuszczone włosy, więc spięłam je w wysokiego kucyka, odsuwając z twarzy zbłąkane kosmyki. Postanowiłam zminimalizować ogólne poczucie posępnosci, nie spoglądając w lustro.

- Proszę. – Millie podała mi tubkę truskawkowej wazeliny. – To może pomóc.

- Dzięki. – To przypominało próbę zatkania rany po pocisku bandażem „Dora poznaje świat”, ale i tak posmarowałam sobie trochę na ustach.

Millie zabrała moją torbę podróżną z szafki przy łóżku i ostatni raz wygładziła kołdrę, żeby mieć pewność, że nic nie zostawiłam.

- Gotowa?

Rozejrzałam się pobieżnie po mojej sali szpitalnej. *Ach, jak dobrze się razem bawiliśmy.*

- Już bardziej być nie mogę.

- Soph? – Moje imię zbiegło się z pukaniem i serce mi przyspieszyło, kiedy Nico wszedł do pokoju.

- Och – powiedział, obrzucając wzrokiem mnie i Millie. Przeczesał sobie włosy, mierząc to, co było już zmierzwione. – Cześć, Millie. Nie wiedziałem, że przyjedziesz tak wcześnie.

- Nico – odparła, uśmiechając się sztucznie w taki sposób, że widziałam cały jej aparat nazębny. – Cóż za nieprzyjemność.

Do tego czasu jakimś cudem udawało mi się trzymać ich na dystans od magazynu. Moje uczucia do Nico mogły być pomieszane, ale nastawienie Millie do niego i reszty jego rodziny było całkiem wyraźne.

- Jasne – powiedział, nie wiedząc już, co ze sobą zrobić. – Dobrze, że tak pomagasz Sophie.

Śmiech Millie był chłodny.

- Dzięki za zachętę, Nico. Aż dziwne, że wiesz w ogóle, jak wygląda pomoc innym.

Nico wsadził rękę do kieszeni i rozluźnił ramiona, wzdychając. Spojrzał na mnie.

- Przyszedłem się tylko pożegnać.

- Czy jest gdzieś tutaj twój głupi, żalosny, arogancki brat? – wtrąciła Millie. Jeżeli jej gniew wobec Nico był burzą, to nastawienie względem Doma huraganem.

- Który? – zapytał Nico.

Millie prychnęła.

- Chyba rzeczywiście *jest* ich trochę. Chodzi mi o Doma, Króla Dupków i Władcy Palantów.

- Och...

- Generała Armii Osłów – przerwała mu Millie.

- On...

- Admirala Zidiociałej Marynarki Wojennej. Kapitana...

- Rozumiem – powiedział Nico z cieniem irytacji.

- Tylko się upewniam – powiedziała Millie. – Wiem, że ty i ja żyjemy na *kompletnie* innych planetach z innymi zasadami dotyczącymi się tego, kto może sobie zabijać i narażać życia ludzi, więc stwierdziłam, że trzeba ci przeliterować.

Nico nie złapał przynęty.

- Dom jest u Luki.

- No to powiedz mu, żeby się do nas nie zbliżał. Nie chciałabym ryzykować utonięciem w jego wiadrze żelu do włosów.

- Okej.

- Powiedz mu również, jaki z niego dupek, że wykorzystał mnie do *szpiegowania rodziny mojej najlepszej przyjaciółki*.

- Przekażę wiadomość.

- Mil – wtrąciłam – mogę zostać na chwilkę z Nico zanim wyjdziemy? – To pewnie będzie nasza ostatnia chwilka.

- Dobra. Ale najpierw... mogę zadać ostatnie pytanie?

Nico rozłożył ręce w geście pojednawczym.

- Strzelaj.

- Gdybym zaproponowała ci batonika czy dałbyś mi w twarz w geście wdzięczności?

- Co?

Millie udała zastanowienie.

- Zastanawiam się tylko, jak zwykle się odwdzięczasz. Wiesz, po tym jak Sophie uratowała życie twojemu bratu, a ty postrzeliłeś jej wujka.

O, co to jest? Przecież to wielki słoń w pokoju.

Nico raz jeszcze na mnie spojrzał. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „*Błagam, skróć moje męki*”.

- Staram się to naprawić – powiedział cicho.

- Czy można cofnąć postrzał? – zapytała Millie. – Nie słyszałam o czymś takim.

- Doooobra – powiedziałam, przeganiając Millie w kierunku drzwi. – Tylko minutkę, Millie. Proszę.

- Wybacz, ale to było przyjemne – westchnęła. – Musiałam.

- Wiem – odparłam. Zniknęła na korytarzu i zamknęłam za nią drzwi.

Sala wydawała się teraz o wiele mniejsza, kiedy byłam w niej tylko z Nico. Musiałam usiąść na łóżku, żeby złapać oddech. Taki jest kłopot ze złamanymi żebrami; nawet stanie robi się po jakimś czasie problematyczne.

- A więc... to było niezręczne – stwierdził, stając przede mną tak blisko, że prawie stykaliśmy się kolanami. Stres tego spotkania ukazywał się we wgłębieniach nad jego brwiami. – Chyba mnie nienawidzi.

- Jest po prostu opiekuńcza – odparłam, nie patrząc mu w oczy, bo inaczej zobaczyłby, co tak naprawdę myślałam: *Oj, stary, nienawidzi cię ogniem tysiąca słońc.*

- Zabawne – powiedział bez uśmiechu. – Ja również.

- Wiem. – Podzieliłam smutek w jego głosie. – Wiem, że jesteś.

Nastąpiła cisza, zatrzymywał nas tam tłący się pomiędzy nami żar, przypominając dwa magnesy bliskie dotknięcia.

- Zatem – odezwał się cicho – powinienem zostawić cię teraz w spokoju.

Czułam mrowienie od jego gorącego spojrzenia. Dziwne, że po tym wszystkim, co się stało potrafił sprawić, że czułam się taka nabuzowana emocjami. Nie byłam pewna czy podobało mi się to, jaka robiłam się przez niego poddenerwowana.

- Tak – powiedziałam, podnosząc się z zadziwiającym trudem. Odsunął się, żeby zrobić mi miejsce i wyciągnął przed siebie ręce, żeby mnie przytrzymać, gdybym tego potrzebowała. – Powinieneś spadać. Chciałabym przeżyć przynajmniej do balu maturalnego.

Nie uśmiechnął się. Ja również nie byłam rozbawiona. Dalej byłam częściowo zgarbiona, nieustający dyskomfort w żebrach utrudniał mi stanie prosto. Moja twarz była serią rozlewających się siniaków – fluorescencyjna żółć przechodziła w wyblakły fiolet, który formował plamy pod moimi oczami i wzdłuż szczęki. Nie potrafiłam wypowiedzieć kilku zdań jednocześnie. W taki właśnie sposób mnie zapamięta.

Staliśmy w połowie drogi pomiędzy drzwiami, a łóżkiem. To był moment, do którego pędziliśmy od dnia, kiedy dowiedziałam się, kim jest – moment, w którym się żegnamy. A kiedy już nadszedł chciałam tylko, żeby było po wszystkim.

- No więc – powiedziałam, odwracając się od niego. – Pójdę już...

- Soph. – Nico pociągnął mnie za ramię, obracając do siebie.

- Nie – powiedziałam, nagle obawiając się naszej bliskości i jak przestrelała moje emocje jak strzała. – Muszę iść.

Musnął palcami mój podbródek.

- Spójrz na mnie.

Popatrzyłam na niego, ignorując ciemne oczy, oliwkową skórę i grzywę włosów. Zmusiłam się, żeby na niego patrzeć, żeby naprawdę go *zobaczyć*. Miał krew na rękach. Mgła się rozchodziła i nie potrafiłam tego zlekceważyć.

W mojej kieszeni zawibrował telefon. Czekwały na mnie Millie z moją mamą. Przyłożyłam ręce do torsu Nico, wyczuwając przyspieszony rytm jego serca, kiedy go odepchnęłam.

- Posłuchaj, Nico, to co zrobiłeś w magazynie...

- Wiem – powiedział, zamykając oczy. – Nigdy mi nie wybaczysz.

- Byłbyś idiotą, gdybyś prosił mnie o przebaczenie ze świadomością, że dalej będziesz go ścigał.

Nie zaprzeczył. Nic nie powiedział. Nie skończył jeszcze z Jackiem i jego uczucia do mnie nie wpłyną na jego decyzję. Nigdy nie wybierze mnie ponad swoją rodziną.

- Zatem żegnaj – powiedziałam.

- Żegnaj, Sophie – szepnął niepewnie. – *Bella mia*.

Wycofał się ode mnie, wysuwając na zewnątrz, a kiedy wyszłam na korytarz wchodził już do pokoju Luki, wracał do swoich braci, do ich świata.

ROZDZIAŁ CZWARTY

RANA

Poza oczywistymi urazami – opuchnięty nos, parę drażliwych żeber i ogólne przenikające poczucie własnej śmiertelności – zatarg Jacka z Falconami podarował mi coś jeszcze, tyle że dowiedziałam się o tym dopiero, kiedy wróciłam do domu.

***Zespół stresu pourazowego:** zespół stresu pourazowego (PTSD) to zaburzenie psychiczne wywołane przez przerażające wydarzenie – osoba sama go doświadcza albo jest go świadkiem. Objawy mogą przejawiać się w retrospekcjach, koszmarach i poważnych lękach, jak również niekontrolowanych myślach o wydarzeniu.*

Świetnie. Wpatrywałam się w moje słabe odbicie w ekranie laptopa, kiedy dotarły do mnie wszystkie słowa. Wyglądałam jak bardzo smutna, bardzo niewyspana panda.

Wszystko się zmieniło i przebywanie we własnym domu oraz sypianie we własnym łóżku uczyniło to tylko bardziej oczywistym. Sophie Gracewell, mistrzyni w tuszowaniu spraw i panująca królowa hipotezy „ignorancja jest rozkoszna” zniknęła. Albo, w tych okolicznościach, została zabita.

Przed Nico, przed wszystkimi złymi rzeczami tak jakby sobie *byłam*, egzystowałam, ale tak naprawdę nie *żyłam*. Każdy wkoło miał swoje życie, hobby, przyjaciół i pasję, a ja miałam robotę bez perspektyw, przyszłość bez perspektyw i przyjaciółkę, która zaszłaby o wiele dalej ode mnie po liceum. Byłam Sophie, ale niczym więcej. Znudzona, bez celu, przeważnie sama. Aż nagle nastąpiła zmiana. Byłam częścią czegoś większego, graczem w świecie, który żył i oddychał pasją oraz niebezpieczeństwem, był zły i przerażający, ale więcej niż tylko ekscytujący, a kiedy już go doświadczyłam trudno było o nim zapomnieć. Trudno było zostawić go za sobą.

Każdy odgłos sprawiał, że podskakiwałam, każdy wrzeszczący koszmar niszczył mi gardło, każdy przyjemny moment został zmiażdżony przez mocniejsze, silniejsze wspomnienia mroczniejszych momentów. Nie mogłam przystanąć i powąchać kwiatka bez myśli: *Hej, ładna róża, ale pamiętasz, jak widziałas, że jeden facet został postrzelony w pierś?* Nawet nie mogłam już oglądać *Aladyna*. *No, ten dzin jest zdecydowanie charyzmatyczny, ale tak z trochę innej beczki, czy myślisz, że krew jest bardziej lepka, kiedy jest ciepła i wciąż znajduje się w ciele, czy kiedy zasycha ci na rękach jakąś godzinę później?*

Gdy stałam w moim pokoju pośród starych płyt DVD, książek, ubrań i wszystkich innych wygod mojego starego życia, czułam się jak ktoś zupełnie inny. Zawładnęło mną coś nowego. Zaczęło się od uszczyplenia, niekomfortowego uklucia w dole brzucha, które zamieniło się w coś mroczniejszego. To nie był ból żeber. To był strach. Bałam się i nie mogłam nad tym zapanować.

Jakie było rozwiązanie?

Jeżeli sądzisz, że cierpisz na zespół stresu pourazowego radzimy zwrócić się o pomoc do wykwalifikowanego lekarza.

Rozwiązaniem było opowiedzenie psychiatrze o nocy, w której moja mama i ja zostałyśmy niemal postrzelone w głowę przez zgraję impulsywnych gangsterów oraz o utrzymującym się irytującym pragnieniu całowania się z chłopakiem, który próbował zabić mojego wujka tuż po tym, jak wsadziłam ręce do jamy klatki piersiowej jego brata, żeby uratować mu życie.

Wolałabym wybrać się na piknik z Hitlerem.

Zamiast tego zastąpiłam swoje hobby oglądania Netfliksa i zająłabym się błyskawicznymi zakupami parą nowych zabaw o nazwie „obserwowanie cieni” i „gapienie się na ulicę”. Nie zdajesz sobie tak naprawdę sprawy, ile cieni znajduje się na świecie, dopóki nie zaczniesz się ich bać. Spędziłam wiele godzin przy oknach, patrząc na przechodzące kształty, obserwując przechodniów, by przekonać się czy oni obserwują mnie. Przyglądałam się każdemu samochodowi na ulicy z maniackim zainteresowaniem. Po jakimś czasie zobaczyłam, że często przejeżdża ten sam – mercedes z czarnymi felgami i przyciemnionymi szybami. Wmówiłam sobie, że ktoś mnie obserwuje. Gdy wyszłam na dwór, żeby sprawdzić, mercedes odjechał i zniknął mi z oczu... ktokolwiek to był, wracał do swojego życia.

Tęskniłam za ojcem bardziej niż sądziłam, że to możliwe; jego nieobecność była jak fizyczny ból w piersi... ten prześladowający smutek, z którego nie potrafiłam się otrząsnąć, ta twarz, która nigdy nie opuszczała mojej głowy. Potrzebowałam go, a jego tutaj nie było. Czasami wypływał gniew i przeklinałam go – jak mógł nas zostawić? Jak mieliśmy stawić temu wszystkiemu czoła bez niego?

Zaczęłam o nim śnić – o tamtej brzemienniej w skutki walentynkowej nocy sprzed półtora roku temu. Z dołu dobiegły mnie krzyki matki i zanim wpadła do mojego pokoju z wieściami o tym, co zrobił usłyszałam ją gdzieś z daleka, kiedy piszczała histerycznie: „Dorwał go! Dorwał go!” Czy umysł płatał mi figle czy może ten świeży horror odślaniał wszystkie inne rzeczy, które wyrzuciłam na samo dno wspomnień? „Zastrzelił go!” A

potem był tylko mój głos wrzeszczący w pustkę niemożliwie wielkiego magazynu, szukałam Jacka w mroku, wiedząc, że jego już nie ma.

W ciągu dnia wydzwaniałam na wszystkie numery, które miałam do mojego wujka. Zostawiałam wiadomości jego starym znajomym. Ale nie było żadnych informacji. Falconowie również zniknęli z powierzchni ziemi. Millie powiedziała, że ich dom jest pusty. Nie było żadnego znaku, że kiedykolwiek pojawili się w Cedar Hill poza wspomnieniami wypalonymi w moim mózgu.

I zostało coś jeszcze.

Pewnego poranka, kiedy obudziłam się przed wschodem słońca i przemierzałam mój pokój, próbując bez przekonania go posprzątać natknęłam się na spodenki, które miałam na sobie tamtej nocy w magazynie. Podniosłam wystrzępione dżinsy i na moje łóżko wypadł scyzoryk Luki.

Och. Podniosłam go i przesunęłam palcem po literach. *Gianluca, 20 marzec.* Był ciężki, szkarłatny sokół wznosił skrzydła na rączce, jakby zamierzał się odkleić i rzucić do lotu. Usiadłam na łóżku i zapatrzyłam się na niego. Miałam jego scyzoryk. Dowód, iż uwolnił mnie wbrew pragnieniom swojej rodziny... że to właśnie on dokonał właściwej rzeczy w tamtym jednym momencie. Miałam w dłoni ostatni kawałek Falconów.

Dobrze się go trzymało, poczułam niespodziewany przyptyw pewności siebie. Ten scyzoryk przypomniiał mi chyba o tym, że on mi zaufał. Poza tym to była broń, a broń oznaczała ochronę. Przejechałam poduszką palca wskazującego po ostrej krawędzi noża, rozkoszując się dotykiem metalu na skórze, bezgłośnie pewnością, którą we mnie budził.

Zaczęłam wszędzie nosić ze sobą scyzoryk, jakby to był jakiś zdeprawowany koc pocieszenia. Jadłam w kuchni z matką z nożem zatkniętym za szorty, napierającym na moje biodro. W nocy trzymałam go pod poduszką, zaciskając na nim palce. Kiedy przychodziła Millie, przesuwałam w kieszeni kciukiem po jego krawędzi. W chwilach beczynności otwierałam go i oceniałam jego ostrość na wierzchu dłoni.

Myślałam, żeby go użyć, zastanawiałam się jakby to było przebić czyjeś ciało. Czasami naprawdę przerażałam samą siebie. Kiedyś fantazjowałam o wyprowadzeniu się z Cedar Hill i rozpoczęciu nowego życia jako obca dziewczyna w wielkim mieście, pracując na planie filmowym, trzymając mikrofon, poprawiając kadr albo pomagając Liamowi Hemsworthowi w przećwiczeniu tekstu, kiedy ten beznadziejnie się we mnie zakocha. Teraz fantazjowałam o odcięciu palca Felicemu Falconowi i roześmianiu mu się w twarz. *Boże.*

Stało się to prawie dziesięć dni po opuszczeniu szpitala. Wyglądałam przez okno... liczyłam czarne samochody, które poruszały się zbyt wolno po mojej ulicy, moje oczy pulsowały od wykończonych koncentracji. Teraz zbliżałam się do skraju nieprzytomności, gdzie wiedziałam, że sen nadejdzie czy tego chcę, czy nie.

Mama stała na progu pokoju, trzymając w dłoniach kubek. Uniosła go zachęcająco.

- Nie, dzięki. – Mój głos brzmiał niewyraźnie.

- To rosół. – Przygryzła uśmiechające się wargi, żeby przestały drżeć. – Cały dzień nic nie jadłaś.

Nie jadłam? A ona jadła?

- Jestem wykończona.

Weszła powoli do pokoju, odstawiając supę na stolik nocny.

- Sophie, proszę. Martwię się o ciebie.

Potrząsnęłam głową, wtulając policzek w poduszkę.

- Nie martw.

To prawie przypominało rytuał: *Nie zjesz troszkę więcej, Sophie? Może spróbujesz tego? Chcesz o tym z kimś porozmawiać? Nie próbujesz, Sophie. Proszę, postaraj się.*

Jej niebieskie oczy były zaczerwienione. Ona także wydawała się zmęczona. Poczulałam na ramieniu jej rękę.

- Wypijesz choć troszkę? Będziesz lepiej spać.

- Ty wypij – powiedziałam, czując jak zapadam się w sobie. – Proszę.

Pogłaskała mnie po włosach.

- Też sobie trochę wezmę – powiedziała cicho.

Nie mogłabym podnieść głowy nawet gdybym chciała. Moje powieki opadły i spadałam, spadałam, spadałam do ciemności, która już na mnie czekała. Otoczyły mnie cienie. Wystrzeliły pistolety.

Obudziłam się nagle. Na zewnątrz było ciemno, ale wciąż miałam rozsunięte zasłony. Księżyc w pełni wisiał wysoko na niebie, gwiazdy rzucały smugi na wnętrze pokoju. Wszędzie panowała cisza. Nie krzyczałam. Nie pociłam się. Nie obudziłam się

przez koszmar i nie było tutaj matki, która jak zwykle zamartwiałaby się przy moim łóżku.

Śpi, zdałam sobie sprawę z tak wielką ulgą, że potrzebowałam jeszcze jednej chwili, by zarejestrować palący ból w ręce. Zapaliłam światło i spojrzałam zatrwożona na krew na pościeli.

Na poduszce leżał otwarty szczyryk, którego ostrze było śliskie od mojej krwi. Nawet rączka była splamiona, ciemniejsze kropelki wlewały się w rowki napisu. Przez wnętrze prawej dłoni przechodziło rozcięcie na jakieś osiem centymetrów. Pocięłam się we śnie!

Rana była na tyle poważna, że zmoczyła mi pościel i mnie obudziła. Była na tyle poważna, że mama wpadłaby w paranoję, gdyby teraz do mnie weszła. To był jedyny niezmacony niczym sen, jaki miała od kilku tygodni i nie zamierzałam tego niszczyć.

Złapałam za koszulkę i owinęłam sobie nią rękę. Zamknęłam szczyryk i wsadziłam do szuflady. Odwróciłam poduszkę na niezakrwawioną stronę i zeszałam po cichu na dół. Każde skrzypnięcie przyprawiało mnie o mały zawał, ale w pokoju mamy panowała cisza. Zdezynfekuję ranę, opatrzę, a jutro wymyślę jakąś wymówkę.

Drzwi kuchni były uchylone i w środku paliło się światło, ale dopiero kiedy doszłam do drzwi usłyszałam płacz. Zerknęłam przez szparę. Mama siedziała przy stole, zahaczając stopami o nogi krzesła. Była ubrana w piżamę, ale oczywiste było, że nie spała. Trzymała głowę w rękach i dyszała ciężko.

Miałam wrażenie, że serce łamie mi się na drobne kawałki.

Przycisnęłam dłoń do drzwi i stanęłam. Byłam cała we krwi. Miałam taką obsesję na punkcie uzbrojenia się (nawet we śnie), iż skończyło się na tym, że sama się dźgnęłam. I teraz moje łóżko było zlane krwią, a moja matka myślała, że widziała już najgorsze. Nie mogła mnie takiej zobaczyć. Sytuacja zrobiłaby się tysiąc razy gorsza.

Wycofałam się.

Wróciłam na górę, gdzie wymyłam rękę w łazienkowej umywalce i zawinęłam w watę. W lustrze patrzył na mnie szarooki ogień. Gdzie zniknął błękit? W tym półmroku nie potrafiłam nie myśleć o słowach Eleny Genovese-Falcone. Chyba rzeczywiście wyglądałam trochę bezdusznie. Również się tak czułam.

Znalazłam zapasowe prześcieradło w szafce z rzeczami do prasowania i rozłożyłam na łóżku, zakrywając plamy krwi na materacu. Wsunęłam się pod koc i leżałam na plecach, wpatrując się w sufit z pulsującą ręką. Gdy nadeszło zmęczenie, wsadziłam koc do buzi i modliłam się, że kiedy obudzę się z krzykiem, moja matka tego nie usłyszy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

FILOZOFIA DELFINA

- Hej, Paranoiczna Patty, mogę wejść?

Otworzyłam drzwi wejściowe i Millie wpadła do środka, kręcąc do mnie głową i podnosząc na czubek głowy o rozmiar za duże okulary przeciwsłoneczne.

- Przypominasz laskę z kiepskiego horroru, kiedy tak wyzieras z za zasłon w salonie. Jest środek południa!

- Tam był samochód... - zaczęłam, ale szybko się poddałam. – Nieważne. Wejdz.

Podreptała za mną do salonu, gdzie oglądałam stare powtórki *America's Next Top Model*. Tyra Banks gromiła właśnie modelkę, że nie okazywała szacunku i nie „zależało jej wystarczająco” na swojej szansie. Była taka wściekła, iż miało się wrażenie, że oczy zaraz wyjdą jej z czaszki, ale modelka wpatrywała się w nią pustym wzrokiem. Mogłam poniekąd się utożsamić z tym uczuciem.

- Boże. – Millie zmarszczyła nos do ekranu i powoli odwróciła się do mnie. – O co tu chodzi?

- Tyra jej *kibicowała* – powiedziałam, pokazując na ekran. – A teraz jest wściekła, bo Tiffany zasadniczo wszystko olała, więc zrobiła się scena.

Millie poruszała palcem wskazującym w wielkim okręgu, pokazując telewizor.

- Soph, miałam na myśli *ge-ne-ral-nie* – wydłużyła słowo, by brzmieć ekstra brytyjsko. – Dobrze o tym wiesz.

- Wiedziałaś, że jest coś takiego jak „oczśmiech”, Mil? To coś jak uśmiechanie... ale robisz to *oczami*.

- Aha... Wiedziałaś, że jest coś takiego jak słońce? To coś jak ogień, tyle że jest wielką kulą na niebie.

- Jest również coś takiego o nazwie „booty tooch”. Pokażę.

Millie zatrzymała mnie, podnosząc ręce i chlastając się włosami w twarz w gwałtownym obrocie głowy.

- Błagam. Wiesz, jak mnie krępuje patrzenie, jak druga osoba robi z siebie durnia. Gdzie twoja mama? Nie musimy odbyć tu żadnej interwencji?

- Siedzi w ogródku... to jej nowe hobby. – *Obsesja* zabrzmiałaby trochę za ostro, choć prawdziwie. Moja matka ciągle sadziła nowe kwiaty. Czasami siedziała w ogrodzie tak długo, że zapomniała zjeść kolację. Zapomniała także pracować – może nie chciała – i teraz nasz ogródek kwitnął dziesięcioma odcieniami dziwnych kwiatów i zarośniętymi krzewami, podczas gdy zleczone jej projekty leżały w niedokończonych stertach w całym domu. Myślę, że tak samo nie cierpiała siedzieć w domu, co ja nagle nie cierpiałam siedzieć na dworze. Myślę, że nienawidziła biernych chwil, kiedy szyła albo szkicowała, a wtedy jej mózg zabierał ją na przejażdżkę do tamtej nocy w magazynie, do odgłosów strzelaniny i zapachu krwi. Ona miała ogródek, ja miałam scyzoryk i nie miałam prawa krytykować jej obsesji.

- Przynajmniej jedna z was dostaje dawkę witaminy D. – Millie rozsunęła zasłony i odskoczyła jak wampir, wzdrygając się na wtargnięcie promieni słońca. – Staniesz się przezroczysta, jeśli zrobisz się jeszcze bledsza.

- Czuję się dobrze. – Zdziwiło mnie, jak szczerze brzmiałam. Nie przypominałam sobie, kiedy ostatni raz dobrze się wyspałam. Rana po ostrzu Luki wciąż była świeża i pulsowała i co kilka godzin moje serce dziwnie się kurczyło, a wtedy mój oddech przyspieszał i miałam wrażenie, że zaraz umrę.

- Bardzo wiarygodne – rzekła Millie. – *Nie* czujesz się dobrze. Jesteś w głębokim zaprzeczeniu. I udawanie, że ten strach nie istnieje nie sprawi, że go pokonasz, tylko do niego przywykniesz. A to musi się skończyć, okej? – Podpierała ręce na biodrach. Zdecydowanie nie uśmiechała się oczami. – Złe rzeczy się zdarzają, a potem przechodzisz nad nimi do porządku dziennego. Tak to leci. Wiem, że cała ta sytuacja była... nieszczęśliwa.

Postanowiłam nie wyklądać więcej kłamstw. Moja przyjaciółka potrafiła mnie przejrzeć... choć nie słyszała tego w moim głosie, to widziała na twarzy. Opadłam na kanapę.

- Wiesz, ostatnio sobie tak myślałam. – Właściwie *tylko* to robiłam. – Cała moja rodzina ma pecha. Skąd mam wiedzieć, że mi się poszczęści? Wiedziałaś, że mój tata stracił swoich rodziców w wypadku samochodowym, kiedy miał szesnaście lat? Byli niepracującymi alkoholikami i pewnego dnia wjechali po pijaku w barierkę na autostradzie międzystanowej. Jack i tata zamieszkali ze swoją babcią, a *ona* umarła na raka, zasadniczo zostawiając ich na ulicy. Ojciec mojej mamy zmarł w jej urodziny, a jej mama kilka lat później umarła przez złamane serce. Tak dosłownie powiedzieli mojej mamie. Jej serce... po prostu się poddało. Mój jedyny wujek jest *cholernym dilerem*, który – z tego co wiem – może być teraz martwy, mój tata siedzi w więzieniu za *zastrzelenie* kogoś... Czasami mam wrażenie, że otacza mnie coś czekającego tylko, aż wystawię stopę za linię. Jakby to było nieuniknione.

Millie oderwała ręce od bioder i usiadła obok mnie.

- Co jest nieuniknione?

Wzruszyłam ramionami.

- Moja destrukcja?

- Twoja *destrukcja*? – Jej brwi sięgały niemal linii włosów. – *Poważnie?*

- Dobra, może to było dramatyczne. Ale wiesz, o co chodzi.

- To niedorzeczne. Serio. Twój tata miał gównianych rodziców. Zdarza się. Jego babcia zmarła na raka? Moja również. To także cholernie smutna rzeczywistość. On i Jack byli zdani na siebie od bardzo wczesnych lat i pewnie dlatego Jack zaczął dilować. Wiemy, dlaczego twój tata postrzelił Angelo Falcone'a. To był wypadek. A gdyby go nie postrzelił, kto wie? Angelo prawdopodobnie zamordowałby Jacka. Przykro mi, że nie masz wielkiej rodziny i że wydarzyły się te wszystkie okropności, ale wszechświat nie jest nastawiony przeciwko tobie. Nie jesteś z góry skazana czy coś tam. To nie jest odcinek *Gry o tron*. Będzie dobrze, okej? Wyszłaś z tego silniejsza.

- Chciałabym to poczuć.

- Poczujesz. Ostatecznie. Po prostu musisz się *wysilić*.

- Wiem – poddałam się. Oczywiście miała rację. Po prostu nie myślałam logicznie, więc trudno było to dostrzec.

- A więc – powiedziała, odchylając się na oparcie z triumfalnym uśmiechem, kiedy poczuła, że przemówiła mi do rozsądku. Przeniosłam wzrok za okno, jak bezpośredni promień słońca przestał już krzywdzić moje siatkówki. – Myśląc o tym wszystkim, miałam...

- Mil – pisnęłam, podrywając się z kanapy i przykleiłam się do szyby. Na zewnątrz przed moim domem znowu pojawił się czarny mercedes. *Nikt* nie jeździ tak wolno. Nawet w strefie zabudowanej. – Podnieś tyłek i powiedz mi, że ten samochód nie jest najbardziej podejrzaną...

- Cholera, Gracewell. – Złapała za tył mojej bluzki i odciągnęła mnie od okna. – Posłuchaj uważnie, co zamierzam powiedzieć.

- Możesz chociaż spojrzeć...

- Persefono Elizabeth Gracewell, *śłuchaj* mnie.

- W porządku – rzekłam, koncentrując się. – Słucham.

Wzięła wielki wdech i mrugnęła powoli.

- Okej. Poznałaś kiedyś przyjaciółkę mojej mamy, Emily?

- Milionerkę z Londynu?

- *Poślubiła* milionera – poprawiła mnie Millie. – Pochodzi z tej samej dzielnicy, co moja mama.

Próbowałam pokazać, że to odróżnienie miało dla mnie znaczenie.

- Dobra, co ona ma wspólnego z całą sytuacją?

- Zaufaj mi. – Millie przysunęła się tak blisko, że mogłam naliczyć jej piegi. – Emily ma z nią wiele wspólnego.

- Słucham.

- Pierwsze, co musisz wiedzieć to, że Emily jest totalną suką. I obecnie posiada więcej kasy niż rozumu.

- Lepiej nie porównuj mnie do Emily – wtrąciłam.

- Nie, nie chcę tylko, żeby zrobiło ci się jej żal.

- Sytuacja już wydaje się trochę jednostronna.

- Niektórzy ludzie są po prostu dupkami, okej? – powiedziała Millie. – Za jednym razem Emily próbowała dobrać się do mojego taty na imprezie *tuż przed* moją mamą, która niby jest jej *przyjaciółką*. Ostatnim razem, kiedy nas odwiedziła podrywała Alexa. Duże nie. Widzisz, co mam na myśli?

- Um, tak sądzę – powiedziałam rozsądnie. – Ale w szerszym kontekście? Nie. Wcale.

- Emily wybrała się w rejs wycieczkowy parę lat temu – kontynuowała. – Lubi się obnosić, jaka jest teraz mega bogata... gdyby istniał statek wycieczkowy zrobiony ze złota, to ona na pewno by na nim była. W każdym bądź razie w pewnym momencie, choć wyobrażam sobie, że cały rejs był nudny, mogła wydostać się ze statku i zobaczyć delfiny z bliska. Zebrali się w grupkę na takiej małej motorówce, płynęli sobie i delfiny tak bardzo się podekscytowały, że zaczęły gonić za łódką. Po jakimś czasie zrównały się z nią i zaczęły wyskakiwać z wody w tej samej prędkości. Emily była zachwycona, cykała zdjęcia i zapełniała swojego Instagrama, stojąc tak blisko krawędzi jak tylko mogła. Wszystkie jej podpisy były w stylu: „MÓJ BOŻE najlepszy dzień na świecie”, „Ach, ten zdecydowanie się do mnie uśmiecha. Chyba mu się spodobałam!” i „Uwolnić Willy’ego LOL”, co jest irytujące, bo Willy był pieprzoną orką i wiesz, że nie lubię, jak starzy ludzie nadużywają skrótów tekstowych.

Millie zamilkła, żeby ocenić moją reakcję.

- Jasne – powiedziałam. – Więc... to wszystko dalej jest bardzo wymijające...

- Nie uwierzysz, co stało się potem – potrząsnęła głową. – Jeden delfin źle wymierzył. Wskoczył z wody i dał jej z główki w twarz. Znokautował ją na miejscu.

- Co?

Millie otworzyła szeroko oczy.

- No.

- Wow – powiedziałam. – Naprawdę nie przewidziałam takiego końca.

- Więc co myślisz? – zapytała, odsuwając się ode mnie i zaplotła przed sobą palce.

- Czy delfinowi nic się nie stało?

- Nie, wrócił od razu do wody. – Uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Ale ona musiała sobie zrobić drugą operację nosa.

- Okej. – Nadal próbowałam rozgryźć sens tej historii. Nigdy nie byłam dobra w metaforach na lekcjach angielskiego, ale ta wydawała się szczególnie niejasna. – A opowiedziałas mi tę historię, ponieważ...

- Ponieważ, Soph, życie jest nieprzewidywalne. W jednej chwili sączysz szampana na pokładzie statku i śmiejesz się z tego, jaka jesteś bogata, a w następnej zostajesz uderzona w twarz przez delfina. Przypadki chodzą po ludziach, kumasz? Nieważne gdzie jesteś ani co robisz, nadal jesteś podatna na niepewność życia. Nie można owinąć się folią bąbelkową i zamknąć na resztę świata. Chodzi mi o to, żebyś podniosła cztery litery i wyszła na dwór zanim ucieknie nam koniec tego lata i zostaniemy wessane w nicość, którą jest ostatni rok liceum.

- No cóż – powiedziałam, czując, że właśnie podano mi na tacy mój tyłek. – Z tym nie można się kłócić.

- Nie można. Filozofia Delfina zawsze wygrywa. – Uniosła rękę. – A teraz doprowadźmy cię do normalności, okej? Piąteczka.

Przybiłam jej piątkę i złapała mnie za nadgarstek.

- Hej, skąd ten bandaż? Pocięłaś się?

A, właśnie. To.

- Przypadkiem... - wykręciłam się. – Tak jakby zasnęłam, trzymając w ręce scyzoryk Luki.

- Jak to ty – odparła z kamienną miną, przenosząc podejrzliwy wzrok z mojej ręki na twarz. – Naprawdę musisz się go pozbyć.

- Pozbędę – skłamałam. Myśl, że miałabym się go zrzec wywołała niekomfortowe ukłucie w moim krzyżu. Nawet wtedy znajdował się w mojej kieszeni, opierając się ciężko i pewnie o moje udo. Podobał mi się. Potrzebowałam go.

- Im szybciej wyciągniemy cię z tego domu tym lepiej. Jutro wieczorem, okej? Co powiesz na kręgle?

- Prawdziwe piekło. – Zabrałam rękę i naciągnęłam na nią rękaw. – Wolałabym dostać od delfina w twarz.

- Może ci się poszczęści – odparowała. – No to kino?

- Tylko, jeśli obejrzymy ten film z robotem, który zakochuje się w człowieku, który go stworzył.

- Sophie – jęknęła. – Wiesz, że nie potrafię wczuć się w nieludzkie historie miłosne. Dlatego bajka *Księżniczka i żaba* była dla mnie taka problematyczna. Spędzają o wiele za dużo czasu jako żaby.

- Mil, jeżeli mam wrócić do społeczeństwa niech mnie diabli, jeśli nie do filmu o futurystycznym romansie, który wykracza poza inżynierię i biologię by pokonać niemożliwe trudności dla prawdziwej miłości.

- Niech ci będzie – poddała się, przewracając oczami. – Przecierpię go dla ciebie.

- Oj, rozchmurz się. Będzie fajnie. – Poklepałam ją po ramieniu, próbując wysilić się na entuzjazm. – Oczścisz się.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DZIEWCZYNA Z FIOLETOWYMI WŁOSAMI

Millie zawiozła nas do kina swoim nowym samochodem, używaną toyotą matrix, na którą oszczędzała przez całe wakacje. Pomimo faktu, że prawie się rozbiłyśmy na kilku skrzyżowaniach i nie miała żadnego szacunku dla ograniczenia prędkości dotarłyśmy w jednym kawałku. Wsiadłam, czując się odrobinę wzmocniona faktem, że los musiał wrócić na moją stronę.

Piątkowy wieczór nie był zbyt dobrą porą na wybranie się na film. Kino pękało w szwach i ilekroć ktoś się o mnie ocierał, leciutko podskakiwałam. Starłam się jak mogłam, żeby się rozluźnić, ale ciężko było nie rozglądać się po bokach, co kilka sekund.

Millie i ja skierowałyśmy się do kolejki z przekąskami.

- Bierzesz popcorn? – zapytała.

Oglądałam się przez ramię. Miałam dreszcze, czułam, że coś jest nie w porządku. Próbowałam się wyluzować. Byłam nazbyt świadoma własnego rytmu serca i ręce miałam śliskie od potu. *Skup się. Uspokój.*

Millie szturchnęła mnie.

- Halo...

- Co? – Pogładziłam scyzoryk w kieszeni. Nie chciałam zabierać go ze sobą, ale myśl wybrania się do kina wydawała się wtedy wielka. Potrzebowałam go, żeby zapanować nad lękiem.

- Popcorn – powiedziała Millie, pstrykając palcami przed moją twarzą. – Dla jasności: na moim popcornie będzie rzeka masła. Właściwie to jezioro. Biorę sobie popcorn z masłem, okej? Czy to chciałaś usłyszeć? Utonę w kadzi mojego maślanego wstydu. I nie waż się patrzeć na mnie tym krytycznym wzrokiem, Sophie Gracewell, nie waż się mnie osądzać.

- *Moi?* – zaprotestowałam, zaciskając i rozluźniając pięść wokół scyzoryka i posłałam jej radosny uśmiech. – *W życiu.* Uważam, że ta decyzja jest bardzo inspirująca. Może nawet pójdę w twoje ślady.

Millie zakręciła dłońmi.

- I dlatego właśnie jestem pionierem.

Najeżyłam się, kiedy kobieta za mną otarła się o moje plecy. Wyprostowałam się i zerknęłam przez ramię. Brak zagrożenia.

- A ja kim jestem? – zapytałam Millie, podtrzymując rozmowę, kiedy moje myśli wirowały.

- Ty jesteś tą sarkastyczna.

- A więc ty jesteś „pionierem”, a ja „sarkastyczna”?

- No dobra. Jesteś tą z małymi wklęsnięciami na twarzy.

- Wolę określenie „dołeczki”. I to nadal marne.

- W porządku. – Obserwowała mnie w cichym zamyśleniu. – Jesteś...

- Kretynką, która naraża się na niebezpieczeństwo?

- Jesteś kretynką, która *umyka* przed niebezpieczeństwem! – Klasnęła w dłonie. – To dobre. Jesteś oślizgła.

Spojrzałam ponad jej ramieniem. Po drugiej stronie holu stała kobieta z włosami koloru śliwki. Były krótko ścięte na boba z najcięższą grzywką jaką kiedykolwiek widziałam. Mój niedawny romans z *America's Next Top Model* obeznał mnie z fryzurami i jeśli chodzi o dramatyczne ścięcia, tego trudno było nie zauważyć. Włosy zasłaniały jej brwi i nachodziły na teatralny makijaż oczu.

Millie zauważyła, że nie uważam.

- Ładny chłopak? – Podążyła za moim wzrokiem. – Jesteś żałośnie oczywista.

- Widzisz dziewczynę z fioletowymi włosami?

Millie odwróciła całe ciało.

- Kogo? Tamtą Lego-głowę?

Uszczypnęłam ją.

- Przestań być taka oczywista. Przysięgam, że nas obserwuje.

- Pewnie nawet nas nie widzi przez tę grzywkę.

- Mówię serio. Ona coś kombinuje.

Millie wywróciła oczami.

- Soph, *daj spokój*. Przerabialiśmy to już setki razy. Nikt nie chce cię dopaść. Jesteś bezpieczna.

Podeszłyśmy bliżej kasy.

- Wysłuchaj mnie – powiedziałam, nie odrywając oczu od fioletowo-włosej dziewczyny. Teraz robiła pętlę wokół kina. Jeżeli próbowała nie rzucać się w oczy, to jej

nie wychodziło; przejrzałam ją. – Przyjechała na parking w tym samym czasie, co my. Wpatrywała się w nas tak twardo, że myślałam, że będzie do ciebie zarywać. Potem stała za nami przez cały czas, jak kupowałyśmy bilety, a teraz stoi sobie tu, ale nic nie kupiła.

Millie gapiała się na mnie otępiale.

- Soph, czy to naprawdę zrobiło się takie...

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć. Powiesz, że to kino, że jest tu mnóstwo ludzi i zachowuję się jak paranoik...

Przytaknęła razem ze mną.

- Ale Mil, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że wjechała na parking czarnym mercedesem. To takie samo auto, które przejeżdżało obok mojego domu!

Millie otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła i przełknęła ślinę. Westchnęła.

- No dobra, ale co chcesz z tym zrobić? Chcesz, żebym tam podeszła i pogadała z nią? Czy wtedy poczułabyś się lepiej?

Przesunęłam kciukiem po zamkniętym scyzoryku w kieszeni.

- Po prostu ją obserwuj. Przekonajmy się, co robi.

- Okej – poddała się i rozejrzała. – Nie wiem, gdzie poszła.

- Stoi tam przy oknach. Nie patrz. Robi coś w telefonie.

- Jasne, na razie o tym zapomnij. Mogę się założyć, że czeka na swoją randkę albo kompetentnego fryzjera.

Odeszła para stojąca przed nami w kolejce. Zajęłyśmy miejsce przy ladzie. Millie zamówiła nam jedzenie i skierowałyśmy się do sali kinowej, niosąc okropnie wielkie pudełka popcornu.

Czekałam, aż Fioletowa wejdzie za nami, ale tego nie zrobiła. Trzymałam drugą rękę w kieszeni, zaciskając na scyzoryku. Ogarnął mnie spokój. W głębi duszy wiedziałam, że miałam paranoję, ale takie wyjścia z czasem mi pomogą. Musiałam się tylko postarać. Po jakimś czasie moje tętno się wyrównało. Wrzuciłam do ust garstkę popcornu i rozkoszowałam się smakiem masła. Światła przygasły i ekran przebudził się do życia.

Po wszystkim skorzystałyśmy z łazienki, ponieważ (pomimo wszystkich przeciwności losu) film zdołał zniszczyć emocjonalnie Millie.

- Nie musisz wyglądać na taką zadowoloną – oznajmiła mojemu odbiciu, zmywając z twarzy ślady tuszu do rzęs.

- Poryczałaś się – powiedziałam, uśmiechając się triumfalnie. – Poryczałaś się jak dziecko.

- Och, przepraszam, że poruszyła mnie historia miłosna. Nie mówiłaś, że będzie musiała go na końcu zamordować. – Pociągnęła nosem. – To znaczy *zdemontować*.

- No cóż, czasem roboty się psują. Poza tym podobno mówiłaś, że nie potrafisz wczuć się w nieludzkie historie miłosne, więc czemu tak płaczesz?

- Nie powiedziałaś, że to będzie *seksowny* robot! Wyobrażałam sobie złotego gościa z *Gwiezdnych wojen*.

Zaśmiałam się i poczułam łaskotanie w piersi... dawno tego nie czułam. Nie myślałam o scyzoryku, magazynie ani paranoi. Myślałam o mojej najlepszej przyjaciółce i jaka była nieumyślnie zabawna, i może śmiałabym się dalej, gdybyśmy nie wpadły na fioletowo-włosą dziewczynę, kiedy tylko wyszłyśmy z łazienki.

Krążyła po holu, jakby w ogóle stąd nie wychodziła. Zakotłowało się we mnie podejrzenie – niewygodne i duszące. Ścisnęło mnie w gardle. Stała przy oknach, opierając się beztrzesko o ścianę i trzymała w rękach komórkę, ale rozglądała się.

- Widzę ją – mruknęła pod nosem Millie. – Więc zanim zaczniesz panikować, nie rób tego. Najwyraźniej właśnie skończył się jej film, a my i tak idziemy do samochodu, więc zignoruj ją.

Boże, czy ja byłam taka oczywista?

Zerknęłam na nią kątem oka, kiedy przechodziłyśmy obok. Z bliska zauważyłam, że nie była szczególnie straszna. Była młoda i niska – gdzieś koło mojego wzrostu – i przygryzała wargę z nieśmiałością, która mnie nie przerażała. Rozmawiała przez telefon i wyglądało na to, że się kłóciła. Może została wystawiona. Może przez cały ten czas czekała na randkę albo znajomą. Boże, była *taka młoda*. Nagle czułam ogromny wstyd za swoją nerwowość. Zacerwieniłam się. Co było ze mną nie tak, do diabła? To gorsze od bania się własnego cienia. W tej chwili to pewnie *ona* bała się bardziej *mnie*. Gapiłam się na nią przez większość wieczoru. I to ja miałam nóż w kieszeni.

- Wydaje mi się, że to *ja* ją przerażam – szepnęłam do Millie.

- Och, zdecydowanie.

Gdy wyszłyśmy na parking, Millie grzebała w torebce, szukając kluczyków.

- Dlaczego tak łatwo gubią się w torebce? – fuknęła. – Przysięgam, że jeśli to nie jest najbardziej irytujące w prowadzeniu to nie wiem co!

- Wsadzaj kluczyk do osobnej kieszeni czy coś.

- Świetny pomysł. Gdybyś tylko wysłała mi to mailem dwie godziny temu, byłoby cudownie. – Położyła torbę na ziemi i uklękła obok.

Parking był już prawie pusty. Nasz film był ostatni w repertuarze i pozostałe samochody zaczynały odjeżdżać, zostawiając puste miejsca rozświetlone latarniami ulicznymi.

Fioletowa biegła w kierunku swojego samochodu. Kiedy się zatrzymała, obróciła się w moją stronę. Patrzyłyśmy na siebie chwilę, po czym odwróciła wzrok. Oparła się o swój samochód, tak jak ja i zaczęła przyglądać swoim paznokciom. Obserwowałam ją w nadąsanym milczeniu. Jej mercedes miał czarne felgi. Po paru sekundach znów podniosła wzrok i zaczęła do nas iść. Spięłam się. Albo nawrzeszczy na mnie, że się na nią gapię albo przyzna się do prześladowania.

Millie podskoczyła do góry z kluczykiem w ręce.

- Wal się, wszechświecie!

Fioletowa, która znajdowała się teraz niecałe sześć metrów dalej, zamarła w połowie kroku i obróciła się gwałtownie, maszerując z powrotem do auta. Otworzyła drzwi i wskoczyła do środka.

Co, u diabła? Czy ja wariowałam? Czy powinnam ją znać?

Czy ona była Falcone?

Otrząsnęłam się ze złudzeń zanim przejęłyby nade mną kontrolę. Większość działa się tylko w mojej głowie. *Skup się. Oddychaj.* Wsiadłyśmy do samochodu i Millie zwiększyła obroty silnika, nucąc do siebie i ustawiła klimatyzację. Czarny mercedes jechał za nami, kiedy wyjeżdżałyśmy z parkingu, ale tym razem postanowiłam nic nie mówić. Jechałyśmy z włączonym radiem i prawie przegryzłam sobie palce.

- Dziwne – orzekła w końcu Millie, jak piętnaście minut później wjeżdżałyśmy do Cedar Hill. – Mogłabym przysiąc, że ten mercedes cały czas za nami jedzie.

- A nie mówiłam! – Zalał mnie triumf. – Ona nas śledzi!

- Co? – zapytała, patrząc spod przymrużonych powiek w tylne lusterko. – To jest Lego-głowa?

- Jedzie za nami od początku.

- Huh. – Millie włączyła kierunkowskaz w ostatniej chwili i skręciła w boczną uliczkę. Mercedes zrobił to samo. – Wiesz co? Myślę, że masz rację. Coś jest nie tak z tą laską. Zobaczmy, czy zdołamy ją zgubić.

- Mil, nie rób ni...

Millie wcisnęła hamulec i wjechała w kolejną boczną uliczkę z ogłuszającym piskiem opon. Zostałam odrzucona z wrzaskiem na drzwi samochodu. Wdepnęła pedał gazu i pędziłyśmy ulicą, skręcając w ostatnim momencie w następne osiedle i jechałyśmy zygzakiem pomiędzy domami.

Po dwudziestu minutach czegoś, co Millie nazwała „podstępny jeżdżeniem” po Cedar Hill zawróciłyśmy i podjechałyśmy pod mój dom. Wysiadłam, czując przemijające pragnienie, by ucałować chodnik.

- Mówiłam, że zgubimy Lego-głowę! – Rechotała do siebie. Wcale nie czuła się zagrożona. Może podejrzliwa, ale średnio i domyślałam się, że ta ucieczka była dla mnie. Uśmiechnęła się do mnie aparatem, odjeżdżając. – Do zobaczenia jutro na fazie drugiej naszego planu uzdrowienia!

W drzwiach powitała mnie matka.

- Jak było? – Głos miała niespokojny, ale siliła się o entuzjastyczną minę. – Fajnie? Dobrze się bawiłyście?

Miałam nagłą ochotę ją przytulić, ale stłumiłam ją. Nie chciałam jej przestraszyć.

- Dobrze – powiedziałam. – Zabawiłam się. – Upewniłam się, że wspomnienie czarnego mercedesa nie zakrada się na moją twarz.

Uśmiechnęła się.

- Tak się cieszę, kochanie – powiedziała z cieniem ulgi.

Zastanawiałam się jak długo obserwowała podjazd, czekając na mój powrót.

- Co porabiałaś? – zapytałam. – Spotkałaś się z koleżankami?

Machnęła ręką, kiedy zamknęłam za nami drzwi.

- Jakoś nie mogłam się zebrać – rzuciła beztrósco. – Ale porobiłam trochę w ogródku. Obejrzałam telewizję. Jadłaś coś?

- Popcorn. Całą górę popcornu.

Zaśmiała się, targając mi włosy.

- Zdecydowanie wróciłaś do starej siebie!

Stłumiłam w gardle panikę.

- No, czuję się o wiele lepiej.

Położyła rękę na moim ramieniu i przytknęłam głowę do jej głowy. Pachniała lawendą i miętą. Weszliśmy do kuchni, obie stąpałyśmy ostrożnie na paluszkach.

Tej nocy leżałam w łóżku, wyobrażając sobie, że co godzinę, jak w zegarku, obok mojego domu przejeżdżał samochód.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CIEŃ W OGRODZIE

Byłam pogrążona w gęstej mgle snu, kiedy do mojej świadomości wtargnął głos Nico.

- Sophie?

Ten dźwięk roztrzaskał wizję, wypełniając nieskończenie wielką przestrzeń wokół mnie.

- Jesteś tu?

W moim koszmarze Nico się do mnie nie odzywał. Stał, tak jak zawsze, nad umierającym ciałem mojego wujka, kiedy pod nimi zbierała się krew. Po drugiej stronie ciemności nachylałam się nad Lułą przyciskając mocno ręce do jego torsu. Wyglądał tak samo, jak zawsze, tak jak zapamiętałam go nawet w ciągu dnia – kredowobiały i całkowicie nieruchomy. Znałam każdy cień na jego twarzy, zakrzywienie ust, długość rzes. Patrzyłam na niego każdej nocy w tym śnie, kiedy jego krew wyciekała spod moich rąk. Gdy próbowałam wydusić krzyk, ten dźwięk zawsze zanikał w nicości. A Nico? Nico nigdy się do mnie nie odzywał. Teraz też nic nie mówił. Nawet na mnie nie patrzył.

- Sophie? Przepraszam, wiem, że jest późno.

Jednak ten głos, tak uparty, tak znajomy... skąd on dochodził?

- Sophie?

Usiadłam na łóżku, spodziewając się trochę, że Nico wyskoczy z mojej szafy. Podniosłam komórkę i rozsunęłam zasłony, zaglądając do ogrodu. Pode mną stał Nico oświetlony czujnikiem ruchu nad kuchennym oknem. Czekał na mnie z niewinnością osoby, która nie wiedziała lepiej. Ale znałam Nico lepiej i fakt, iż był w moim ogrodzie o 1:12 nad ranem oznaczał, że przekroczył wszelkie granice.

Miałam otwarte okno.

- Nico?

Wciąż byłam półprzytomna, rozdarta pomiędzy niedowierzaniem a rzeczywistością i moje serce oraz głowa wykonywały tysiąc salt na minutę.

- Wiem – powiedział, podnosząc bezradnie ręce. – Łamię wszystkie zasady.

- Jedyłą zasadę – syknęłam, uważając, żeby nie odezwać się za głośno i nie obudzić mamy. Skoro jeszcze nie przegoniła go z ogrodu, to nie było jej na dole.

- Zejdiesz? – zapytał, unosząc brwi.

- Co się stało? – odparłam pytaniem, czując jak opuszczają mnie resztki snu. – Czy komuś stała się krzywda? – Napłynęła do mnie fala możliwości.

- Nie – powiedział, zniżając głos do szeptu. – Nic takiego. Nikt nie jest ranny.

Niemal usłyszałam „jeszcze” w ciszy, która nastąpiła.

- Och. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno biło mi serce, dopóki znów nie spowolniło. – Więc co jest? O co chodzi?

Uśmiechnął się sztucznie.

- Możesz po prostu zejść, proszę? Zaczynam czuć się niezręcznie.

Wiedziałam, że nie powinnam. Nie było nad czym się zastanawiać. Ale ciężko czegoś uniknąć, kiedy stoi tuż przed tobą...

- Przestań to rozważać, Sophie. Zejdź, muszę z tobą pogadać.

Jego twarz oświetlona blaskiem księżyca okazywała poziom niepokoju, którego nie utożsamiałam z Nico. Był roztrzęsiony. Coś musiało się stać.

- Dobra – poddałam się, ciekawość i coś innego – coś zbuntowanego – odepchnęło mnie od okna. – Ale chcę się tylko upewnić, że wszystko gra.

Chwyciłam szczyryk i wsadziłam do tylnej kieszeni dresów. Uspokoił mnie, a kiedy zeszałam lekkim krokiem po schodach rozluźniłam się, czując jak obija się o moją nogę.

Wieczór był zaskakująco chłodny. Gdy zbliżyłam się do Nico ujrzałam, jaki naprawdę był nerwowy. Pod oczami miał ciemne wory i przestępował niepewnie z nogi na nogę, jak staliśmy naprzeciw siebie.

- Co się dzieje? – zapytałam.

- Brakuje mi ciebie. – Westchnął długo i ciężko. – Nie podoba mi się niewiedza, co robisz czy wszystko u ciebie dobrze... po tym wszystkim. Źle się z tym czuję.

Im lepiej mu się przyglądałam, tym bardziej wyglądał niechlujnie. Włosy miał bardziej nieuczesane niż potargane, kręcone pasemka opadały mu na czoło i zachodziły na oczy. Na jego szczęce widniał kilkudniowy zarost.

- Na to się zgodziliśmy – powiedziałam łagodnie. – To jest właściwa decyzja.

Jedyna decyzja.

- Nie podoba mi się, Sophie – powtórzył. – Powinno być jakieś inne wyjście.

Jak łatwo przychodziło mu oddzielanie wszystkiego – oddzielanie dziewczyny, której pragnął od rodziny, z której pochodziła. Dla mnie wszystko to było jedną wielką mieszanką.

- Nie ma innego wyjścia – rzekłam. – A gdyby było to pewnie nie byłoby właściwe. Nie możesz sobie ot tak tutaj przychodzić, Nico. Sytuacja staje się przez to jeszcze trudniejsza dla nas obojga.

Przyglądał mi się. Ostatecznie opuścił ramiona i rozluźnił pięści po bokach.

- Więc naprawdę tego chcesz?

Wiedziałam, że powinnam powiedzieć „tak”, ale jakoś nie potrafiłam.

- Nie wiem – odparłam szczerze. – Wiem tylko, że nie chcę już się bać. Nie chcę również, żeby bała się moja mama...

Skinął głową, ściągając usta.

- Ale nie boisz się mnie.

- Może nie ciebie – powiedziałam, ostrożnie dobierając słowa. – Ale boję się tego, co zrobiłeś. Tego skąd pochodzisz. Dobrze o tym wiesz.

Przezeszał sobie włosy. Wydawał się taki zmęczony.

- Nigdy nie widziałam cię w takim stanie – powiedziałam, odsuwając się.

- To stres – odparł, wycieńczenie złagodziło jego głos. – Jestem zestresowany.

- Stres? – powtórzyłam, obserwując go.

Wzniósł twarz w kierunku nieba i rozciągającym się na nim gwiazd.

- Ta – odparł. – Rodzinne sprawy.

- I nigdy nie myślisz, żeby zostawić to za sobą? Dla studiów? Dla normalności? – *Dla dobra?*

Potrząsnął głową. Przypomniałam sobie słowa jego matki: „*Nigdy nie wybrałby cię ponad swoją rodziną*”. To była prawda, wiedziałam. Nico nigdy nie opuści swojej rodziny, nie dla mnie, nie dla siebie, nie dla niczego. Jedyne wyjście z tego życia to odejście w trumnie.

Gdy znów się odezwał, nie wpatrywał się już w gwiazdy i mówił miękkim szeptem.

- Pamiętasz ostatni raz, kiedy byliśmy tu razem?

- Wtedy wszystko było inne.

- Pozwoliłaś, żebym cię pocałował – odparł z niewzruszonym wzrokiem.

- Chociaż nie powinienes.

Poczułam ciepło jego oddechu.

- Kiedy chodzi o ciebie, Sophie, nie potrafię trzymać się zasad.

- Trzeba było się ich trzymać, Nico.

Zacisnął powieki, nabierając głośno tchu.

- Nie mów tak. Proszę.

- To prawda.

Zamilkł i czułam przymus, żeby wypełnić ciszę.

- Przeprowadziliście się – powiedziałam, zmieniając temat. Próbowałam zignorować intymność, która dalej między nami wisiała, próbowałam przypomnieć sobie, dlaczego powinnam być na górze w łóżku bez niego.

- Zdziwiona?

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu dziwnie jest myśleć, że rezydencja Priestlich znowu jest pusta po tym jak była... taka pełna życia.

- Ta – przytaknął, odchrząkując. Schował ręce do kieszeni i na chwilę znów stał się chłopcem, który uśmiechał się szeroko. – Tęsknisz za mną, Sophie?

Odwróciłam od niego wzrok, patrząc na nowe grządki kwitnące w ciemnościach – to była kotwica mojej matki trzymająca ją przy zdrowiu psychicznym. Kotwica, której potrzebowała przez tego chłopaka i jego rodzinę.

- Nie chcę o tym mówić – powiedziałam cicho. – Proszę, Nico.

Wzdrygnął się.

- Dobrze – odparł cichym głosem – ledwie słyszalnym, jak szeleszczące wokół liście. – Słuchaj, wiem, że nie powinienem był dzisiaj tu przychodzić, ale martwiłem się. Chciałem się z tobą zobaczyć i czasem, kiedy coś sobie ubzduram muszę to zrobić. To nie znaczy, że nie jestem świadom wszystkiego, co się wydarzyło, tego co wycierpiałś przeze mnie. Przez moją słabość.

Mogłam niemal sprecyzować tę chwilę – chwilę, w której czułam, że znowu padam mu w ramiona. Już przysunęłam się bliżej. Wyczuwałam ciepło bijące z jego skóry, mogłam się skupić tylko na jego oczach. To było niebezpieczne. Przeciwnieństwo tego, co powinnam robić.

- Jeżeli możemy być razem tylko nocą, chowając się i szepcząc, żeby nikt nas nie usłyszał to nie powinniśmy być w ogóle razem.

- Jednak zawsze jest przyszłość. – Rozchylił usta, wciągając głośno oddech, kiedy coś mu przyszło do głowy.

Przycisnęłam kciuka do wnętrza dłoni i poczułam tępe ukłucie rany po scyzoryku, chciałam oczyścić sobie umysł.

- Nigdy nie będzie przyszłości, w której mój ojciec nie zabił twojego ojca. W której nie próbowałaś zabić mojego wujka. – Mój głos stwardniał. – Po tym jak krzyczałam do ciebie, żebyś tego nie robił.

Potrząsnął gniewnie głową.

- *Nastanie* przyszłość, kiedy to wszystko będzie za nami.

- Może za *tobą* – powiedziałam i odsunęłam się, przesuając wzrokiem po pojedynczych gałązkach krzaka. – Ale nie za mną.

Podszedł do mnie, znów oblewając mnie swym cielesnym żarem.

- A więc chcesz o tym pogadać? Bo będę mówił, dopóki nie stracę głosu. Chcesz, żebym przeprosił cię tysiąc razy? *Przepraszam*, że to cię zabolalo i zmieniło sposób, w jaki na mnie patrzysz. Nienawidzę, jak odwracasz wzrok, gdy próbuję zwrócić twoją uwagę. Nienawidzę, jak się ode mnie odsuwasz, kiedy chcę się do ciebie zbliżyć. Nienawidzę, że widzę moment, w którym przypominasz sobie o wujku i twój głos robi się zimny. Nienawidzę, że poróżniło nas to, za czym opowiada się moja rodzina. Nienawidzę faktu, że musieliśmy się poznać w takich okolicznościach. Nienawidzę faktu, że zawsze będę się zastanawiał czy to by się udało, gdybyśmy pochodzili z tego samego świata. Nienawidzę, że cię zraniłem, ale musiałem to zrobić. Nie mogę za to przeprosić. Jack zabiłby Lucę. Zabiłby mnie. Chodziło o moją rodzinę. Chodziło o ochronę. Nie różni się to niczym od tego, co zrobił twój tata.

- Co to ma znaczyć, do diabła? – Wstrząsnęły mną jego ostatnie słowa. – Nie możesz tak tego porównywać, jakby to cię miało zwolnić z winy. Wiesz, że to co zrobił mój tata było wypadkiem. To było co innego.

- Czyżby?

Czy wiatr przestał wiać? Nagle wróciłam do domu Felicego, wpatrywałam się w zimne błękitne oczy Valentino i słuchałam jak kwestionuje wszystko, co wiedziałam o moim ojcu, o jego zamiarach, o jego *duszy*.

- Co to ma niby znaczyć? – zapytałam zjadliwie.

Przez twarz Nico przeszedł cień, podkreślając cienie pod oczami. Zaciśnął szczękę i przełknął słowa formujące się w gardle.

- Masz coś do powiedzenia? – Mój głos stał się śmiertelnie cichy.

- Zapomnij. – Pokręcił głową. – Jestem zmęczony. Nie chciałem wyzywać się na tobie.

- Nie ty jeden jesteś zmęczony, Nico.

- Wiem – powiedział, zmieniając się z powrotem w Nico, do którego przywykłam. Spokojny, cichy, skupiony. Podniósł ramię, jakby zamierzał po mnie sięgnąć, ale zatrzymał w połowie drogi i znowu zacisnął dłoń w pięść. – Trudno jest się z tobą widzieć ze świadomością, że nic z tego nie będzie. Ja po prostu... musiałem.

- Ta.

- Chyba nie możemy udawać, że magazyn nie miał miejsca.

Wzruszyłam ramionami.

- Przeżył. Wszyscy przeżyliście. Przynajmniej za to jestem wdzięczna.

Nico przestał zaciskać zęby.

- Wiesz gdzie on jest?

- Co?

- Czy wiesz, kto ukrywa Jacka? – powtórzył delikatniejszym i słodszy głosem. Jakby łagodność mogła zamaskować jego prawdziwe zamiary.

Zbladłam.

- Nico, nie omawiałabym z tobą czegoś takiego.

Coś się stało – tak szybko, że prawie to przegapiłam – ale uniósł gwałtownie brodę i w jego oczach coś błysnęło.

- Daj mi cokolwiek, Soph, żebyśmy mogli się przygotować. Proszę.

- Nie – odparłam ostrożnie. – Nie stawiaj mnie w takiej pozycji.

- Chowa się u Marino? Tak sądzi Valentino. Ale powiedziałem, że nie mogliby go przyjąć. Jest z Erikiem Cainem, prawda? On ma powiązania z irlandzką mafią w Bostonie. Czy może jest ich więcej? Czy Złoty Trójkąt znów się połączył?

- Po to tutaj przyszedłeś? – zapytałam. – Żeby namówić mnie do ujawnienia kryjówki mojego wujka?

- Nie – odparł szybko. – Oczywiście, że nie.

- Więc po co pytasz, skoro wiesz, jaka zrobi się gorzka sytuacja?

- Ponieważ jeśli nie wiemy, kto go ukrywa, to nie wiemy, kto może nas zaatakować.

- Czy twoja rodzina mnie śledzi? – zapytałam, przypominając sobie fioletowo-włosą dziewczynę. – Myślicie, że was do niego doprowadzę czy coś?

- O czym mówisz? – odparł, marszcząc czoło z konsternacją. – Jasne, że nie. Obiecałem, że już nigdy więcej nie będziemy cię śledzić.

- A jednak stoisz tutaj i dalej próbujesz wyciągnąć ze mnie informacje!

Nico mruknął włoskie przekleństwo.

- No weź, Sophie. Tylko zapytałem.

- Idę już. – Odwróciłam się od niego.

- Czekaj. – Ominął mnie szybko i jego sylwetka wydawała się nagle niesamowicie wysoka i szeroka w drzwiach. – Trochę się to skomplikowało.

- Myślisz? – zapytałam, splatając ramiona. – A może tym razem zapomniałeś być mniej oczywistym?

Zrobił krok do przodu i nim się zorientowałam, położył ręce na moich ramionach. Zgarbił się pokonany.

- Jestem idiotą. Największym idiotą na świecie. Chciałem cię tylko zobaczyć.

Wiedziałam, że jeśli będę stać tak blisko niego przez kolejną minutę, że jeśli bardziej opuszczę mury obronne to *ja* będę największą idiotką na świecie.

- Dobranoc – pożegnałam się, wysuwając spod jego rąk.

Gdy zatrzęsnęłam i zamknęłam na klucz drzwi kuchenne, jego już nie było i zgasł czujnik ruchu. Przycisnęłam czoło do okna i zastanawiałam się, jak bardzo chciał się dzisiaj zobaczyć ze mną, a jak bardzo potrzebował informacji o Jacku. Czy doprowadziła go do mnie desperacja, czy tęsknota?

ROZDZIAŁ ÓSMY

POSIADŁOŚĆ

Następnym etapem mojej średnio udanej resocjalizacji było spotkanie się z Millie w knajpie po zakończeniu jej porannej zmiany. Napisałam jej o nocnej wizycie Nico tuż po tym, jak się skończyła. Cały incydent był (w wyważonej reakcji mojej przyjaciółki) ogromnym „NIE”, błędem, który wymagał „dalszego i natychmiastowego działania”. Nie byłam pewna, jak pozbędę się z głowy Falconów, ale cieszyłam się, że zamierzała mi pomóc.

Zaskakująco trudno było nawigować znajomymi ulicami Cedar Hill, odliczając wszystkie wydechy i zmuszając się do patrzenia przed siebie, a nie w chodnik.

Ścisnęłam w dłoni scyzoryk, starając się nie myśleć o mamie, która nadal przesiadywała w domu. Starłam się nie odtwarzać w pamięci smutnych uśmiechów, rozbieganego wzroku, sposobu w jaki rozglądała się za mną w poszukiwaniu możliwego zagrożenia.

Zatrzymałam się na końcu Lockwood Avenue i spojrzałam w górę na wieżyczki starej posiadłości Priestlich. Podjazd był pusty, a brama skuta łańcuchem. Rozchyliłam ją tak bardzo, jak się tylko dało i wsunęłam do środka. Nadal miałam mnóstwo czasu i nawet po tym wszystkim ten budynek wciąż mnie przyciągał. Nadeszła pora, żeby pożegnać się z nim na zawsze.

Ganek był zasłany liśćmi. Musiałam się powstrzymać przed usunięciem ich, bo i tak spadną ponownie. Ogród wyglądał tak samo, jak podczas mojej ostatniej wizyty. Trawa sięgała mi prawie do kolan i walały się po niej odłamki starej fontanny oraz drewniane stoły. Przycisnęłam nos do drzwi patio, obejmując wzrokiem kuchnię. Ostatnim razem, jak tu byłam Valentino szkicował przy stole, Felice rozprawiał o włoskim mordercy, a ja kręciłam się pośrodku śmiertelnej rodzinnej rywalizacji, nie mając o tym bladego pojęcia. Herb rodzinny wisiał teraz gdzie indziej.

Odsunęłam się chwiejnie. Ścisnęło mnie w gardle i odruchowo złapałam się za żebra. Nie wiedziałam czy ta wizyta mi pomogła, czy nie, ale niespodziewane uczucie zamknięcia sprawy było obezwładniające.

Jeszcze raz obeszłam budynek. Stałam na podjeździe i wbiłam wzrok w wieżyczki, czując w kościach zaczątek smutku. Dziwnie było stać samej w miejscu, które wniosło do mojego życia tyle namiętności i poważnego niebezpieczeństwa. Sprawy Jacka z Falconami rozpoczęły się dawno temu w zgniliznach Chicago, ale mój czas z Falconami miał korzenie tutaj, na podjeździe tej opuszczonej starej posiadłości.

Wyciągnęłam z kieszeni scyzoryk Luki i obróciłam w dłoń. Pod nim zalśniła czerwienią poszarpana rana pośrodku. Ten nóż był ich ostatnim kawałkiem. Mogłam zostawić go tutaj razem z resztą wspomnień, ale to jakoś nie wydawało się słuszne. Pozostawienie go w miejscu, którego już nigdy nie odwiedzą było jak oszukiwanie. Oddam go Luce, a przynajmniej zostawię gdzieś, gdzie go znajdzie.

Wsadziłam go do tylnej kieszeni szortów i obróciłam się w stronę knajpy, przesuając palcami po pniach drzew, schodząc w dół podjazdu.

Wtedy go zobaczyłam. Za bramą w połowie drugiej strony ulicy stał czarny mercedes. Wyciągnęłam szyję i stanęłam na palcach. Czarne felgi! Nie można było temu zaprzeczyć; to auto wróciło i robiło się coraz śmielsze, jeżdżąc za mną w biały dzień.

Pomaszerowałam na koniec podjazdu. Otworzyły się drzwi mercedesa i wysiadła z niego dziewczyna z fioletowymi włosami. Była żyłasta, ale mała, ubrana w niskie dżinsy i czarny podkoszulek. *Falcone*, pomyślałam. Zdecydowanie widziałam w niej rysy Eleny Genovese-Falcone. Musiała być jedną z nich, prawdopodobnie szpiegiem, co tylko dodawało kolejne kłamstwo do wielkiej sterty Nico.

Trwało to wystarczająco długo.

Przebiłam się przez szparę w bramie. Tym razem było mi trudniej, ponieważ miałam widownię i wstydziłam się trochę wciągania policzków, jak ocierałam się nimi o metal. Nieszczerólnie wyjdzie mi próba zastraszenia jej po tym pokazie zbitych policzków wiewiórki. Czekąca, opierając się o swoje auto, kiedy do niej śpieszyłam. Może nie miałam żadnego oficjalnego treningu karate, ale byłam cholernie waleczna... gdybym musiała to pewnie zdołałabym choć raz kopnąć ją w twarz, jeśliby mnie zaatakowała.

- Persefono! – Rozległ się za mną okrzyk. Prawie stanęłam, ale w porę rozpoznałam ten głos. Pani Bailey, przewodząca plotkara Cedar Hill, nie zniweczy mojej ostatecznej rozgrywki z tą wścibską laską z mercedesa.

Fioletowa wyglądała na naprawdę zaskoczoną, kiedy kroczyłam ku niej, ale nadal nie ruszała się z miejsca. Czekąca tylko, a ten okaz arogancji jeszcze bardziej mnie wkurzył. *Wynoś się z mojego życia*, chciałam wrzasnąć. Łatwiej byłoby powiedzieć to jej niż Nico, ponieważ nie potrafiłam patrzeć na niego bez rozpamiętywania intensywności jego pocałunków ani tego jak na mnie patrzył. Ale ta dziewczyna była wrzodem na moim tyłku i nie będę miała oporów, żeby powiedzieć jej gdzie może się zabierać.

Słyszałam, jak pani Bailey uwija się w górę ulicy za mną.

- Persefono Gracewell! – Wrzask był teraz przenikliwszy – przypominając w połowie alarm, w połowie zdychającego kota – i jakoś, *jakoś*, zdołał mnie zatrzymać.

Stanęłam gwałtownie.

Fioletowa spojrzała za mnie na zamieszanie. Z punktu, w którym stała nie widziała pani Bailey, a pani Bailey nie widziała jej, a ja tkwiłam pomiędzy nimi zastanawiając się, która powodowała większą irytację w moim życiu.

- Pani Bailey – powiedziałam ciężko, odwracając się. – Jestem poniekąd zajęta.

Pani Bailey wspinała się w górę tak szybko, jak mogła. Lśniła potem. Krótkie włosy wpadały jej do oczu i sukienka marszczyła się wokół jej kostek, grożąc przewróceniem jej.

Chwyciła mnie za ramię, łapiąc łapczywie powietrze, jakby się topiła.

- Tutaj. Jesteś.

Na wszelki wypadek powtórzyłam sobie w duchu pierwszą pomoc. Nieszczerze lubiłam panią Bailey, ale nie zamierzałam dać jej umrzeć, gdyby padła u moich stóp.

- Czy wszystko w porządku?

Puściła mnie i złapała się za serce.

- Szukałam. Cię. Od. Tygodni!

Nadal byłam w pełni świadoma znajdującej się za mną dziewczyny. Liczył się czas. Zamierzałam zaprezentować mocno potrzebną lekcję Niestosownego Wścibstwa. Wszak byłam w tym ekspertką.

- Poczekaj pani chwilkę, pani Bailey?

- Dlaczego? Gdzie idziesz?

Kiedy się odwróciłam, Fioletowa była z powrotem w swoim samochodzie. Pani Bailey spojrzała przez moje ramię na pozorną pustkę.

Cholera. Ruszyłam w stronę mercedesa.

- Hej! – zawołałam. – Zaczekaj!

Zwiększyła obroty silnika i odjechała. Próbowałam za nią pobiec, ale szybko zaczęłam się potykać i dyszeć.

- Czeka! Chcę z tobą pogadać!

Samochód popędził w dół ulicy, skręcając z piskiem opon za dalekim rogiem i musiałam przełknąć wiązkę przekleństw gromadzącą mi się w gardle.

Zawróciłam w kierunku pani Bailey, już mając dosyć jej towarzystwa. Miała *najgorsze* wyczucie czasu.

- Kto był w tamtym samochodzie? – zapytała.

Policz do pięciu. Uspokój się. Nie bij jej.

- Nie wiem.

Jej twarz uległa zmianie i przypomniała sobie, dlaczego mnie zatrzymała.

- Nie pracowałaś od tygodni, Persefono. Prawie nie widuję twojej matki. Wzięłam cię za widmo, kiedy teraz cię zobaczyłam.

- Cóż, miałam wypadek – powiedziałam. – Na pewno pani słyszała?

Przechyliła głowę, obejmując wzrokiem moją zeszywniałą sylwetkę. Przyjrzała się słabej opuchliznie wokół moich oczu oraz niknącym siniakom na szczęce.

- Wyglądasz strasznie – oświadczyła.

- Brakowało mi tego.

- Wyglądasz jakbyś miała żółtaczkę.

- Wie pani jak to jest... - urwałam, pokazując na siebie i szukając potrzebnych słów. – W jednej chwili stoi pani na szczycie schodów, grając na telefonie, a w drugiej stacza się po nich... i generalnie... obija twarz o stopnie... parokrotnie... dopóki bardzo... nie zsinieje... - Uśmiechnęłam się wstydliwie. *To powinno zadziałać.*

Pani Bailey zlekceważyła kruchość mojego kłamstwa pozwalając żeby odpłynęło z wiatrem.

- Paskudna sytuacja, Persefono.

Wzruszyłam nieszczęśliwie ramionami.

- Jestem podatna na siniaki jak brzoskwinia.

- W rzeczy samej – mruknęła.

- Chciała pani coś jeszcze? – zapytałam.

Gapiała się na mnie... na stare siniaki na szczęce. Próbowałam zakryć je makijażem, ale najwyraźniej mi się nie udało. Moja skóra wciąż była podobna do Simpsonów. Wyglądziłam włosy i wysunęłam zza uszu, żeby otaczały mi twarz – jak modne yeti.

- Uważałaś na siebie, Persefono?

- Muszę iść – powiedziałam. – Mam spotkać się z Millie. – Ominęłam ją bokiem, ale złapała mnie za ramię, zatrzymując.

- Chciałam ci coś powiedzieć. – Zaczęła tarosić materiał swojej sukienki. – Chciałam powiedzieć, że jeśli czujesz się przygnębiona... cóż, czymkolwiek to może zdołałabym pomóc. Jutro rano idę do kościoła. Tam można odnaleźć pocieszenie.

Poczułam przyływ zdziwienia.

- Dzięki – odparłam, celując w uprzejmość. – Zastanowię się.

Byłam już prawie w restauracji, kiedy zadzwoniła do mnie Millie.

- Hej, tak sobie pomyślałam, że może spotkamy się w twoim domu. Nie musisz przychodzić do knajpy.

- Jestem już prawie na miejscu – powiedziałam. Przeszłam przez ulicę, zostawiając za sobą bibliotekę i obrzucając wzrokiem parking restauracji. Stała na zewnątrz z torebką na ramieniu i przyciskała komórkę do ucha. – Widzę cię!

- Oj. – Zrzedła jej mina. – No dobrze... posłuchaj, zanim wpadniesz w panikę...

- Mil – przerwałam jej. – Czy to jest to, co myślę?

Przechodziłam przez ulicę i patrzyła na mnie, a ja wpatrywałam się w róg parkingu, gdzie stał czarny SUV.

- Echhh. – Podążyła za moim spojrzeniem, nie żeby musiała, skoro najwyraźniej była już świadoma jego obecności. – Nie?

- To jakieś jaja.

- Zignoruj ich, Soph. Serio. Cel to zerwanie kontaktów, pamiętasz?

- Stoją przed moją restauracją!

Millie zaczęła otwierać swój samochód i pokazała mi, żebym do niej dołączyła. Ale maszerowałam zdeterminowana do SUVa. Okno osunęło się w dół zanim miałam szansę walnąć w nie pięścią. Dom wystawił głowę. W przeciwieństwie do Nico on był okazem zdrowia. Lśniące włosy były gęste i zaczesane do tyłu, skóra gładka i oliwkowa jakby dopiero co wrócił z dwutygodniowego urlopu na Karaibach.

- Gracewell. Ładny dzień, nieprawdaż?

- Co ty tutaj robisz, do diabła?

Moją uwagę odwróciła zamazana plama za głową Doma. Gino wychylił się zza brata i machał do mnie wariacko.

- Cześć, Sophie. Jak tam żebra?

Szybko zapanowałam nad opadającą szczęką. Ciężko było się domyślić czy to pytanie miało być niegrzeczne, czy wścibskie, ale i tak nie byłam pod wrażeniem.

- Dobrze, Gino. A teraz odpowiedzcie na pytanie.

- Nic z tego – odparł Dom. – Ale nie martw się, to nie dotyczy twojej osoby.

- Ta restauracja należy do mojej rodziny.

- Okej – powiedział Dom, przekrzywiając głowę. – W takim wypadku przypuszczam, że troszeczkę dotyczy ciebie. Ale nie bezpośrednio.

Cóż. To dodawało całkiem nową warstwę do czasu i dziwności wizyty Nico. Coraz trudniej było mi uwierzyć, że przyszedł się tylko ze mną zobaczyć.

Gino wystukiwał palcami rytm na desce rozdzielczej, ale nie słyszałam żadnej muzyki dobiegającej z samochodu.

- Nie przejmuj się – poradził Dom. Przestał zwracać na mnie uwagę i wyciągnął komórkę, żeby sobie pograć. Pojęłam aluzję. Próbowałam zajrzeć za nimi do tyłu, żeby sprawdzić czy mieli jakąś broń, a może szukałam wskazówki, po jaką cholere tutaj stali. Z pewnością nie tylko z powodu Jacka. Przecież nie wejdzie sobie do „U Gracewellów” w środku dnia. Mój wujek był głupi, ale nikt nie był *taki* głupi. – Dopóki nie trzymasz w kieszeni Jacka Gracewella – wycedził Dom, nie podnosząc wzroku – możesz odejść.

- Nie powinieneś być gdzieś indziej, Dom, na przykład usypiać i porywać inną dziewczynę? Wiem jak to lubisz. – Wyobraziłam sobie, że go duszę i ta myśl sprawiła mi przyjemność.

Obnażył przede mną zęby.

- Uważaj, Gracewell.

Moje policzki zaczęły piec. Poczułam na ramieniu rękę i odwróciłam się, by zobaczyć koło siebie Millie.

- Siedzą tutaj od tygodnia – powiedziała. – Czekałam na właściwą porę, żeby ci powiedzieć.

To przykuło uwagę Doma. Podniósł wzrok.

- Millie – przywitał się, kiwając sztywno głową. Gino nadal stukał w deskę, poruszając głową do rytmu.

- Dom – wysyczała. – Wyglądasz jak zwykle tłusto.

- Jak widzę, wciąż zachowujesz się jak szczeniak – odparował. Raz jeszcze zerknął na telefon, przesuwał palcem po ekranie i pstryknął coś w grze.

- Zamknij się, Dom. – Stałam w obronie Millie.

- Strasznie jest teraz uszczypliwa, jak wie, że nie możemy jej dotknąć – mruknął do Gino.

- Chodźmy. Niech mają swoje sekreciki. – Millie odciągnęła mnie i poszłam bez oporu. Woda kolońska Doma była przytłaczająca i jego nastawienie sprawiało, że chciałam go uderzyć. – Och, chłopcy? – zawołała Millie przez ramię. Okno wznosiło się już w górę, ale zdecydowanie ją usłyszeli, kiedy krzyknęła: - *Vaffanculo!*

- Podszlifowałaś włoski, Mil?

- Ściągnęłam sobie aplikację – powiedziała, otwierając drzwi swojego samochodu i wsiadła z uśmiechem. – Wiedziałam, że się przyda.

Wyjechałyśmy z parkingu i patrzyłam na nieruchomego SUVa naprzeciwko knajpy, który jakby na coś czekał. A więc jedno auto sterczało pod restauracją, a drugie śledziło mnie. I jeden chłopak pokazywał się w moim ogrodzie. *Co oni kombinują, do diabła? Jakie według nich mam sekrety?*

- Jesteś gotowa na kolejny etap? – zapytała Millie. – Masz ze sobą ten scyzoryk?

- Tak... - Wyciągnęłam go niepewnie z kieszeni.

- Trochę poczytałam i musimy się go pozbyć, ale w taki symboliczny sposób. Scyzoryk to ostatnia posiadana przez ciebie rzecz, która łączy cię z Falconami, racja? Więc jak się go pozbędziesz, zaczniesz dystansować się emocjonalnie od cierpienia, które ci wyrządzili. Nadążasz?

- Aha...

- Więc tradycyjnie rzecz biorąc powinno się palić takie rzeczy w, no wiesz, rytuałach, ale wygooglowałam to i nie da się spalić noża.

- Czy naprawdę musiałaś to wygooglować?

- Ale *da się* – ciągnęła, ignorując mnie – wrzucić go do jeziora, gdzie nikt go już nie znajdzie. A wtedy zniknie i miejmy nadzieję, że razem z nim niektóre wspomnienia i inne takie. Wiem, że to strzał w ciemno, ale na niektórych ludzi działa, a ponieważ nie możesz ryzykować pójściem na terapię, to myślę, że warto spróbować.

Wpatrywałam się w scyzoryk, w rowki i zdobienia, które stały się dla mnie takie znajome. W imię, które czytałam co najmniej dziesięć razy dziennie.

- Nie chcę wrzucać go do jeziora, Mil.

Millie wcisnęła hamulec i samochód gwałtownie stanął.

- Mówisz poważnie? No weź, Soph. Wiesz, że musisz się go pozbyć. Pocięłaś się nim. Za bardzo na nim polegasz.

- Nie chodzi o to – powiedziałam. – Po prostu myślę, że powinnam mu go zwrócić. Scyzoryk ma wartość. Sentymentalną.

- Pfff, i uważasz, że Luca Falcone jest sentymentalny?

Podniosłam go do światła słonecznego i patrzyłam, jak odbija promienie w różnych kierunkach.

- Właściwie to tak.

- Dobra – powiedziała, zawracając w najbardziej nielegalny sposób na świecie. – Zatem oddajmy go jego skretyniałym braciom.

- Nie! Oszalałaś? Wtedy dowiedzą się, że mnie uwolnił!

- Och, racja. – Zaczęła wykonywać kolejny manewr zawracania, wykorzystując opustoszałą ulicę, żeby zrobić drugi tragiczny obrót. – A więc?

- Mauzoleum – powiedziałam. – Pani Bailey wspomniała wcześniej o kościele i przypomniałam sobie Falconów i ich wierzenia. Ich ojciec jest pochowany na cmentarzu Graceland. Jeżeli tam go zostawię, to któryś z nich w końcu go znajdzie.

- Ach. – Millie uśmiechnęła się szeroko. – Zostawić scyzoryk w grobie. Podoba mi się.

- Naprawdę? – Zalała mnie ulga. Czasami sama nie wiedziałam czy moje myśli były racjonalne, czy kompletnie zwariowane.

- I – dodała – jak będziemy włączyć się po cmentarzu, rzucimy sobie okiem na miejsce, w którym wylądujesz, jeśli nie *wytniesz ze swojego życia* Nico i jego rodziny!

- Mil, mogę cię o coś spytać?

- Jasne. – Skręciła w wyjazd z Cedar Hill na główną drogę.

- I proszę o szczerłość.

- Jestem filarem integralności.

- Czy ty czytasz teraz książkę doktora Phila?

- To święty człowiek, Sophie Gracewell. Cholerny święty.

Parsknęłam śmiechem.

- Co ty dla mnie robisz...

- Nie musisz nic mówić – westchnęła. Przyspieszyła samochód i ustanowiłyśmy kurs na cmentarz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CMENTARZ

Cmentarz Graceland był ogromny; niecałe sto dwadzieścia akrów rozrastającego się krajobrazu od 1860 roku. Teraz było to miejsce spoczynku najważniejszych członków społeczności Chicago. Uzyskałyśmy lokalizację mauzoleum Falconów z głównego biura i wybrałyśmy bezpośrednią drogę do jeziora na północnym końcu cmentarza. Jezioro było otoczone krzewami i płaczącymi wierzbami. Wzdłuż brzegu mieściły się wyszukane kamienne krypty z wkutymi płytami z brązu. Niektóre nazwiska były mi znane; stąd wiedziałam, że jesteśmy coraz bliżej. Zatrzymałyśmy się w kryminalnym terytorium – pomiędzy Marino i Genovesami – i znów wyciągnęłam mapę.

- Przestępstwo naprawdę popłaca – stwierdziła Millie, gwizdząc cicho. – Najważniejsze pytanie, to w którą mafijną rodzinę muszę się wżenić, żeby dostać sarkofag?

Stanęłyśmy na kółku w mapie i Millie pokazała na coś pomiędzy drzewami.

- Idę o zakład, że jest na jeziorze. Najlepsza nieruchomość na cmentarzu. Klasyczni Falconowie, co?

Skierowałyśmy się ukrytą ścieżką. Gdy gałęzie przerośniętych drzew zaczęły się przередzać i droga się poszerzyła, stanęłyśmy na brzegu jeziora. Tam, odseparowane przez drzewa, umiejscowione wzdłuż nabrzeża, było mauzoleum Falconów.

- Jasny gwint – mruknęła Millie. – Ilu tam siedzi gangsterów?

Mauzoleum było gigantycznym budynkiem wzniesionym z białego kamienia. Po obu stronach głównej sali ozdobne romańskie kolumny oznaczały mały kwadratowy dziedziniec pełen setek róż.

Wejścia do mauzoleum pilnowały dwa łkające anioły a ponad podwójnym drzwiami z brązu widniał herb Falconów. W kamieniu wyryto grubymi czarnymi literami:

CASA DI FALCONE

LA FAMIGLIA PRIMA DI TUTTO

Stałyśmy przed nim jak dwa krasnoludki.

Wyciągnęłam scyzoryk z kieszeni.

- Zostawić go na schodach?
- Chyba. – Millie zmarszczyła brwi. – Ale ktoś mógłby go ukraść.
- Nie możemy się włamać – powiedziałam. – Spójrz na te drzwi.

Weszła po stopniach i zaczęła potrząsać klamkami w kształcie podków. Drzwi ustąpiły z ogłuszającym hukiem i popchnęła je do przodu, odwracając się do mnie z ustami wygiętymi w doskonałe O.

Wbiegłam po schodach.

- O mój Boże!
- Włamujemy się!
- Będziemy mieć kłopoty!

- Okej, chwila. – Millie wzięła się w garść. – Może powinnaś wejść pierwsza ze syczorykiem i gdzieś go położyć. Będę stać na czatach, a kiedy wyjdiesz zamienimy się miejscami, żebyśmy zobaczyła jak jest w środku.

Już wsuwałam się do środka. Moje tętno szalało i nie mogłam czekać dłużej. Przyciągała mnie panująca tam ciemność.

Millie zamknęła za mną drzwi. Walnęły o kamień, zamykając mnie przed światem zewnętrznym. Nagle uciekło całe ciepło i poczułam zatechłość w powietrzu. Miałam dziwne uczucie, jakbym nie tylko wchodziła do grobowca, ale również do przeszłości.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MAUZOLEUM

Zaczekałam aż moje oczy przyzwyczają się do ciemności. Na końcu korytarza witraż w kształcie półksiężyca rzucał promienie wzdłuż ziemi. U moich stóp widniały migoczące odcienie błękitu, zieleni i czerwieni. Po moich bokach znajdowały się pochowane w kamieniu grobowce przypominające szuflady z dostojnymi czarnymi klamkami po obu stronach. Wszystkie były oznaczone prostymi tablicami wygrawerowanymi złotymi literami. Każdemu imieniu towarzyszyła analogiczna cyfra rzymska.

Przesuwałam palcami wzdłuż napisów idąc przed siebie i słuchając własnych kroków na kamiennej posadzce.

Na końcu korytarza stały otworem ciężkie drzwi z brązu. Znajdujące się za nimi pomieszczenie wyglądało mrocznie, podświetlone zaledwie garstką zabłąkanych promieni z okna za mną.

Zamarłam w progu.

Ktoś siedział na marmurowej ławie pośrodku sali. Był zwrócony do mnie plecami – obrócony twarzą w kierunku następnej ściany grobów, na której imię Angelo Falcone'a zdawało się lśnić jaśniej od reszty.

Luca obrócił się do mnie niczym ożywiony posąg.

- Och. – Tylko tyle potrafiłam wydukać. Zobaczenie go znowu żywego i z tak bliskiej odległości, patrzenie na jego błękitne oczy płonące w półmroku... całkowicie wytrąciło mnie z równowagi. Coś zaczęło się więc w moim brzuchu, zaciskając i rozluźniając na moich wnętrznościach, kiedy wróciło do mnie wspomnienie naszej ostatniej wspólnej chwili.

- Sophie – odezwał się z nieoczekiwaną beztroską. – Co cię sprowadza do mojego rodzinnego grobowca?

Nie podnosił się z miejsca, trzymał dłonie na czarnych džinsach. Twarz dalej miał bledszą niż być powinna, ale siedział z wyprostowanymi ramionami, przez co wydawał się wysoki i silny, tak jak był wcześniej. *Zanim dociskałam ręce do rany w jego boku.*

Odchrząknęłam.

- Um, cześć.

Obserwował mnie bez odpowiedzi. Przeniosłam wzrok na jego buty – na czarnej skórze lśniły srebrne klamry. Buty żołnierza.

- Ja tylko... - Co ja tylko? – Pomyślałam, że przyjdę i...

Podniosłam głowę, szukając odpowiedzi w jego twarzy. Uniósł brwi, które zniknęły pod kosmykami czarnych włosów.

- Ty tylko...? – podsunął.

Oderwałam się od wspomnień i przeszłości. Czy nie o to chodziło w mojej wizycie tutaj? Żeby zapomnieć. *Szczoryk*. Wyciągnęłam go z kieszeni i wyciągnęłam przed siebie.

- Przyszłam, żeby ci to dać.

Przesunął po nim powolnym, oceniającym wzrokiem. Ściągnął brwi.

- Skąd wiedziałaś, że tu będę?

- Nie wiedziałam – odpowiedziałam. – Zamierzałam zostawić go na zewnątrz w miejscu, gdzie byś go znalazł. Ale drzwi były otwarte i pomyślałam...

- Pomyślałaś, że wtargniesz do świątyni mojej rodziny.

Miałam gorące policzki. Zarzuciłam na nie włosy, żeby ukryć rumieniec.

- Coś w tym stylu...

Podniósł się i podszedł do mnie. Dobrze nosił się ze swoją raną, ale zmieniła sposób jego chodu pochylając go lekko w jedną stronę. Czułam jego wodę kolońską i widziałam niewielkie linie pod oczami. Czy wiedział, jak dobrze znałam już jego twarz? Została wypalona w moim umyśle po tamtej nocy. Znałam długość i gęstość tych rzęs. Wiedziałam, że te w kąciku oczu były blade, a reszta kruczoczarna. Znałam kształt jego kości policzkowych i jak zakrzywiały się nad szczęką. Wiedziałam za dużo.

Luca podniósł palce do ust, skupiając moją uwagę na małej bliźnie nad nimi.

- Chcesz mi powiedzieć, że przebyłaś taką drogę na cmentarz Graceland, żeby oddać mi mój szczoryk? – Próbował odnaleźć kłamstwo w moich słowach.

- To ważny szczoryk.

- Tak.

- I nie powinnam go mieć.

Wyciągnął nóż z mojej ręki i obrócił nim. Podniósł wzrok, marszcząc brwi.

- Jest na nim krew.

- Serio? – Nachyliłam się bliżej, aż prawie dotknęłam nosem jego torsu. Nie widziałam żadnej krwi.

- Tutaj. – Przytknął paznokciec do podstawy i po chwili dostrzegłam maleńką brązową kropkę. Znajdowała się w środku litery *L* w napisie.

Odsunęłam się z grymasem.

- Myślałam, że zmyłam wszystko.

Gdy znów na niego spojrzałam, jego twarz była zamglona. Cofnęłam się o krok, zdając sobie nagle sprawę, jak blisko siebie staliśmy.

- Co z nim zrobiłaś, Sophie? Zrobiłaś komuś krzywdę?

- Nie sądzisz, że to trochę hipokryzja, biorąc pod uwagę, że jesteś zabójcą?

- To co innego. Jestem przeszkolony. Ty jesteś... sobą.

Zmiażdżyłam go wzrokiem.

- Wiem, że uważasz to za obelgę, ale ja zamierzam wziąć to za komplement.

- Bierz jak chcesz. – Zniżył głos. – Kogo dźgnęłaś?

- *Dobra* – ustąpiłam niechętnie. – Jeżeli już *musisz* wiedzieć mogłam przypadkiem dźgnąć samą siebie we śnie.

- Ach – powiedział, jakby odkryto przed nim rozwiązanie jakiejś wielkiej zagadki. Jego twarz się rozluźniła i znów zaczął mrugać. – *To ma sens.* – Zamknął ostrze i wsunął do kieszeni. – Koniec ze szczyrykami dla ciebie.

- I tak go nie chciałam – odparłam poirytowanym tonem. – Oczyszczam moje życie ze wszystkiego, co było dla mnie szkodliwe.

- A więc *dlatego* przyszedł – powiedział, obchodząc mnie i odwrócił się, żeby znów spojrzeć na ściany. – Żeby oczyścić się raz na zawsze z zabójców. *Symbolicznie.*

- Tak – rzekłam do jego potylicy. – Wiedz, że to forma terapii. – Urosły mu włosy odkąd widziałam go po raz ostatni. Wciąż były potargane, ale teraz niektóre kosmyki ocierały mu się o kark. Miał na sobie szarą bluzkę i z tyłu widziałam, jak pod kołnierzykiem znika srebrny łańcuch. Zastanawiałam się, czym on był. Zastanawiałam się, czemu mnie to obchodziło.

Spojrzał na mnie przez ramię.

- A ja myślałem, że chciałaś się znowu ze mną zobaczyć.

W moim ciele wybuchło gwałtowne niedowierzenie.

- *Co? Dlaczego* miałabym chcieć znowu się z tobą zobaczyć? Nawet się nie przyjaźnimy. Szczerze, Luca, jesteś strasznie zadufany w sobie.

Obrócił się na pięcie i w jego słowa wplotło się rozbawienie.

- Żartuję, Sophie. Nie zejdź na zawał.

- Masz okropne poczucie humoru.

- Może jest dla ciebie zbyt skomplikowane.

- Nie każ mi żałować, że uratowałam ci życie – dokuczyłam, ścierając mu z twarzy uśmiezek i oświetlając Wielką Rzecz, której tak umiejętnie unikaliśmy.

- O, racja – powiedział, udając, że nagle miał przebłysk wspomnienia. – To. – Splótł razem palce. – Chyba ci nie podziękowałam.

Uniosłam brwi w wyczekiwaniu.

- Dziękuję – rzekł, wywierając wrażenie szokująco szczerego, po czym dodał w melodyjnym włoskim akcencie: - *Grazie, sinceramente.*

- Nie ma sprawy. – Machnęłam ręką. – Dostałam twoje kwiaty.

Luca ściągnął rysy twarzy.

- Co? Nie wysyłałam ci kwiatów.

- Rzeczywiście – odparłam ze śmiertelną powagą. – *Nic* mi nie wysłałeś.

- Ach. Widzę, co zrobiłaś. Może się nad tym zastanowię.

- Wyobrażam sobie, że prędzej piekło zamarznie nim Luca Falcone podaruje komuś bukiet kwiatów.

Zadrgał mu kącik ust.

- Nie jest to w stylu Falconów.

- Chyba nie ma nic słodszy od miodu – powiedziałam z resztką wesołości w głosie.

To go zamknęło na dobre. Odwrócił się i wbił wzrok w ścianę. Nie pokazał mi, żebym wyszła, a chociaż powinnam to tego nie zrobiłam. Zostałam, nie wiedząc dlaczego w ogóle chciałam spędzać czas w zatęchłym grobowcu ze zgrają martwych morderców i osobą, która kiedyś sprawiała, że cała płonęłam z nienawiści. Z osobą, której się kiedyś bałam. Sądzę, że nie czułam już żadnej z tych emocji. Gdy w tamtym magazynie przyciskałam ręce do jego ciała i poczułam na palcach jego ciepłą i lepłą krew, stał się dla mnie kimś innym... kimś ludzkim, kruchym.

- No więc... ładne macie tutaj miejsce... - Stałam obok niego. Byliśmy zwrócenii twarzą do jednej ze ścian i przeczytałam tabliczkę znajdującą się bezpośrednio przed nami.

GIANLUCA FALCONE

7 GRUDZIEŃ 1923 – 20 MARZEC 1995

CXIII

- Twój imiennik – powiedziała.

- Mój dziadek.

- Zmarł w dniu twoich narodzin?

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Prześladujesz mnie?

- Masz zapisaną datę na scyzoryku!

- Okej, stalkerko. Odpręż się.

- Jesteś niewiarygodnie irytujący.

Wzruszył ramionami.

- Tak mi mówią.

- Powinieneś co jakiś czas schodzić z tego piedestału.

Skrzywił się.

- Ale lubię mój piedestał. Stamtąd wszystko widać.

- Mogę się założyć, że masz jeszcze lepszy widok z tej twojej wieży z kości słoniowej.

- To prawda – odparł poważnie. – Zaprosiłbym cię kiedyś, ale to miejsce przeznaczone tylko dla naprawdę inteligentnych ludzi z wielkim poczuciem humoru.

- A więc jesteś tam dzikim lokatorem. – Zwróciłam się z powrotem do tabliczki z odnowioną ciekawością. – Czy twój dziadek zdążył cię zobaczyć? – zapytałam. – Zanim umarł?

- Tak. Valentino i ja urodziliśmy się wcześniej rano. – Głos Luki zmienił się, tracąc cień arogancji, który czynił go wyniosłym. Jego rodzina nie była tematem do śmiechu. – Dziadek trzymał mnie na rękach przez godzinę. Nie był zbyt zainteresowany Valentino. Nie wiem czy to przez jego uraz, czy wrzeszczałem mniej od niego, ale dziadek przekonał moich rodziców, że on i ja jesteśmy bratnimi duszami. Powiedział, że to *wyczuł*. Nie jestem taki tego pewien. Jak można czuć pokrewieństwo ze

zmarszczonym noworodkiem, który ledwo widzi na oczy? Tak czy inaczej, po tym jak oddał mnie matce wyszedł ze szpitala i padł martwy na ulicy.

- Och – sapnęłam, marszcząc brwi. *To przybrało zły obrót.* – Zawał?

Uśmiech Luki był pełen goryczy.

- Sophie Gracewell. Jak zawsze naiwna. Dostał dwa pociski; jeden w głowę, drugi w serce. Podwójne kule za Valentino i mnie.

Złapałam się za brzuch. Pomimo najlepszych starań, by zachować spokój zaczynało mnie mdlić. Skoncentrowałam się na literach przed sobą, śledząc ich zakrzywienia.

- Kto go postrzelił?

Czułam, że Luca mnie obserwuje.

- Marino. – W jego ustach nazwisko *Marino* brzmiało jak przekleństwo. Nico mówił o nich tym samym tonem, kiedy zapytał mnie wtedy w ogrodzie o Jacka. – Nazywamy ich Czarną Ręką. Można powiedzieć, że mamy z nimi... barwną historię. – Zamilkł, pochylając głowę, jakby patrzył na coś na ziemi i dodał cicho, bez emocji: - Zanosilo się na to od dłuższego czasu.

- Co dokładnie znaczy „barwną”?

Luca wzruszył ramionami, nadal patrząc w to samo miejsce.

- Zawsze zabijamy się nawzajem.

- Ach – powiedziałam, czując przerażenie i starając się je ukryć. – Jasne...

- Mieliśmy wtedy rozejm... a przynajmniej powinniśmy mieć, ale oni nadal żywili urazę do czegoś, co wydarzyło się kilka lat wcześniej. A po tym bliźniactwie przypuszczam, że symbolizm był zbyt wielki, żeby przepuścić okazję.

- Bliźniactwie?

- Tak. – Luca podniósł wzrok, ale nie na mnie. Przesuwał oczami wkoło, muskając grobowce swoich przodków. – W latach osiemdziesiątych, w czasie drugiej wojny krwi pomiędzy naszymi rodzinami, mój dziadek polecił zamordowanie Don Vincenza Marino i jego rodziny. Drastyczny krok, ale sądził, że sparaliżuje dynastię Marino i raz na zawsze zakończy rozlew krwi. Falconowie dopadli Vincenza i jego żonę, ale nie było tam ich synów. Byli bliźniakami. Nikt nie wie, dokąd poszli – wydaje się, że po prostu zniknęli z powierzchni ziemi. Po tym młodszy brat Vincenza, Cesare, przejął władzę, ale był niekompetentnym bossem. Rodzina nie szanowała go tak, jak Vincenza. Tak jak zaplanował mój dziadek, Marino byli osłabieni bez silnego przywódcy i Cesare zgodził się na rozejm. – Westchnął ciężko i z żalem, jak gdyby sam był tego świadkiem.

- Ale rozlew krwi wcale się nie skończył, prawda? – zapytałam cicho.

- Na początku Marino podtrzymywali warunki rozejmu, ale najwyraźniej ich nie łyknęli... być może przeżycie bliźniaków dało im odwagę a może to siostra mojej matki, Donata, wszystko pozmieniała. Poślubiła Cesare'a Marino, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. Był prawie dwa razy starszy od niej, ale miała to gdzieś. Donata była żądna pieniędzy oraz władzy, której nie zdołała znaleźć we własnej rodzinie. – Jego twarz ścierpła, kiedy zaczął myśleć o ciotce. – Genovese byli w odwrocie i można powiedzieć, że Marino mieli wolne miejsce.

- I ona je zajęła – dodałam. Pomyślałam o poślubieniu jakiegoś przypadkowego czterdziestoletniego gangstera dla kasy i władzy, i przeszły mnie dreszcze. Jaki pokręcony rodzaj ambicji mógł przekonać kogoś do takiego czynu? Przypomniałam sobie słowa matki Luki, które wypowiedziała do mnie w szpitalu: *„Kobiety Genovese mają wpojony instynkt przetrwania; mamy w żyłach sycylijską krew, pracują pod nami całe rodziny.”*

Luca przytaknął.

- Donata zachowywała się bardziej jak boss niż jej mąż. Po paru latach prowadziła całą dynastię. W dniu narodzin moich i Valentino Donata posłała swoich *soldati* na moich rodziców w akcie chorego, opóźnionego odwetu. – Na mój wyraz konsternacji, wytłumaczył: - Żołnierzy.

- Żołnierzy? – Powtórzyłam o wiele wyższym tonem. W głowie wyobraziłam sobie armię mafiosów szturmujących na szpital i niosących ze sobą śmierć. Przełknęłam z trudem ślinę. – Ale czemu?

- Donata chciała osierocić Valentino i mnie, tak samo jak Falconowie osierocili bliźniaków Marino. Chciała zabić własną siostrę.

- To bezlitosne – powiedziałam. – Przecież to jej *siostra*.

Przez twarz Luki przeszło coś nieczytelnego.

- Są siostrami Genovese – oświadczył, jakby to miało wszystko wytłumaczyć. Nie wytłumaczyło, ale zachowałam milczenie i po chwili podjął rozmowę na nowo. – Mój dziadek dostał poufną informację, że Marino zamierzają nas zaatakować, więc tamtego dnia spotkał się z nimi przed szpitalem i wzięli sobie jego.

- Boże – powiedziałam.

- Ta – odparł Luca. – Na końcu zapłacił ostateczną cenę.

- Za zabicie bossa Marino i jego żony? – Pomyślałam o tej żonie. Czy była kimś takim jak ja, kimś wprowadzonym do rodziny przez własne uczucia i naiwność, czy może została wychowana w taki sposób, jak matka Nico i jej siostra? Czy wyszła za Vincenzo Marino z własnej woli, wiedząc, co może im się zdarzyć pewnego dnia?

- Za wydanie polecenia – poprawił Luca. – Zabójstwo Vincenza Marino i jego żony należało do Felicego. Jego pierwsze zabójstwo. Cóż, pierwsze i drugie. – Wykrzywił usta w zgorzkniałym uśmiechu. – Jeżeli kiedykolwiek zechcesz wkurzyć Felicego wspomnij o zaginionych bliźniakach Marino i poczerwienieje tak bardzo, że go nie rozpoznasz. Ci, którzy się wymknęli – powiedział z udawanym smutkiem. – Tylko Felice mógłby lamentować nad niepowodzeniem w zabiciu dwójki dzieci.

- Zrujnował im życie – powiedziałam i obezwładniła mnie gorycz na myśl o durnej twarzy Felicego. O jego chytrym uśmieszku. Morderczych oczach. – Czy to nie wystarczyło?

Luca potrząsnął głową.

- Nasze rodziny mają długą historię, Sophie. Nie sprowadza się do paru morderstw, czy to ich bossa, czy mojego dziadka. Prowadzimy z nimi wojnę od Sycylii. Zaczęło się od ziemi, a ziemia stała się zyskiem, narkotykami, bronią, terytorium i zemstą. Obie strony poniosły straty.

- Nie wiem jak to ma cokolwiek usprawiedliwić.

- Nic takiego nie powiedziałem. – Głos Luki stwardniał.

- Nico powiedział mi kiedyś, że nie ścigacie członków mafii, nieważne, co zrobili.

Śmiech Luki był pozbawiony wesołości.

- Nicoli mówi wiele rzeczy, które nie zawsze są prawdą.

- A więc skłamał. – Staralam się ukryć zdziwienie. Wiedziałam, że Nico był doskonale zdolny do kłamstwa, ale kiedy siedział koło mnie w swoim salonie, wylewając sekrety swego rodowodu wydawał się bardzo szczery.

Luca zmarszczył czoło.

- Myślę, że bardziej okłamuje samego siebie. Marino zawsze różnili się od innych rodzin. Nigdy się nie szanowaliśmy.

- Czy nadal prowadzicie wojnę... „wojnę krwi”? – poprawiłam się, zastanawiając się nad nieprzyjemnym ścisaniem w brzuchu, zastanawiając się nad przebłyskiem paniki na tą myśl. Jak silni byli teraz Marino? Jak blisko byli Falconów? Jak bardzo krwawa była „wojna krwi”?

- Nie. Od dłuższego czasu nie. – Twarz Luki była poblądła i ściągnięta; wyglądał na zmęczonego stanem, zmęczonego mówieniem. Usiadł, chowając buty pod ławą i pochylił się do przodu. Zetknął ze sobą palce przed ustami, zatapiając się w myślach. Uderzyło mnie wspomnienie Valentino... jak podobni byli w tej chwili, jeden chłopak ze wspomnienia, jeden znajdujący się obok mnie. Pozostałam w miejscu zaciekawiona, jak

już byłam przesiąknięta ich historią. Przeszłam się po sali, sunąc wzrokiem po imionach, których nie potrafiłam wymówić i cyfrach rzymskich, które nie miały żadnego sensu.

- To chyba dobrze, że panuje pokój – stwierdziłam.

Nie widziałam twarzy Luki, ale tył jego głowy zadrżał i parsknął śmiechem.

- Rozejm jest tak dobry, jak jego szczerość. Gdy siostra mojej matki odbuduje swoje bogactwo i członkostwo w Marino, wypłynie na powierzchnię.

- Może nie. Może ona także pragnie pokoju. Tego pragnie większość ludzi. – Cóż, większość rozsądnych ludzi.

- Z pokojem czy bez, jest taka stara dewiza Falconów: „Nigdy nie odwracaj się plecami do Marino”.

- Ach, rodzinna dewiza – powiedziałam. – Coś w stylu „Lannister zawsze płaci swoje długi”.

Odwrócił się, stawiając stopy na ziemi blisko mnie. Przechylił głowę.

- Co takiego?

Podniosłam rękę. – Nie udawaj, że nigdy nie widziałeś *Gry o tron*, Luca. Nikt nie lubi kłamców.

Wywrócił oczami.

- Zawsze można na tobie polegać w zaniżeniu powagi rozmowy.

- Tak tylko powiedziałam – odparowałam. – *Ja* nie mam żadnego rodzinnego motto.

- Jaka szkoda – odparł oschle.

- Gdybym miała, to brzmiałoby pewnie tak: „Gdy wszystko inne zawodzi, udawaj martwą”.

- Idiotyzm.

- Powiedz to oposom. Znają się na rzeczy.

- Miło wiedzieć, że nie muszę się o ciebie martwić, kiedy jesteś zdana tylko na siebie.
– Niemal wyczuwałam w powietrzu sarkazm.

Zaskoczył mnie mój śmiech. Odbił się echem w kamiennej sali, sprawiając, że wydawała się większa i chłodniejsza.

Luca otworzył szeroko oczy w zdziwieniu, dwa szafiry migoczące w półmroku.

- Co cię rozśmieszyło?

- Myśl o tym, że się o mnie martwisz. Albo, cóż... o cokolwiek.

Zmrużył oczy.

- Ale masz o mnie marne zdanie.

Obeszłam ławę, wbijając wzrok w inskrypcję jego dziadka. Czułam, że odwraca się razem ze mną, śledząc moje ruchy. Ile czasu już tutaj spędziliśmy? I dlaczego byłam taka chętna badać ściany historii w jego towarzystwie?

- Mieli nadzieję, że będę taki jak on – wyrzucił w ciszę. Zacisnęłam usta zaskoczona jego chęcią dzielenia się ze mną informacjami, chęcią rozmowy ze mną o czymś prawdziwym, czymś ważnym. – Gianluca Falcone był *capo di tutti i capi*, bossem wszystkich bossów. Dziadek wyznaczył mnie tamtego dnia w szpitalu przed swoją śmiercią.

- Czy *chcesz* być taki jak on? – zapytałam, odwracając się, żeby mu się przyjrzeć.

Subtelne pochylenie brody, a potem powiedział cicho:

- Czy to nie oczywiste?

- Poświęcił się, żebyś miał rodziców.

- Jeden dobry uczynek nie naprawia tysiąca złych.

- Powinieneś napisać książkę z cytatami.

Nie uśmiechał się. Chyba wtedy to stało się oczywiste. Piorunująco oczywiste, jeśli wiedziało się gdzie spojrzeć... Luca wycofał się z roli wyznaczonej mu przez ojca, z roli którą wszyscy chcieli, żeby przejął. Oddał ją, ale nie całkiem. Wciąż był zastępcą bossa. Rozdarty, pełen marzeń, ale zdecydowanie uwięziony. Z czego tu się cieszyć?

- Co znaczą wszystkie te cyfry? – Odczytałam na głos rzymską cyfrę jego dziadka. – Sto trzynaście? To jakiś system rankingowy?

Luca podniósł się, wcześniejsze zmęczenie zniknęło z jego twarzy.

- Potrafisz czytać rzymskie cyfry?

- Wiedz, że jestem dość mądra – powiedziałam. – Nie jestem takim kujonem jak ty, ale mądra w sprawach, które się liczą.

Przesunął palcem wskazującym po liczbie.

- To liczba ofiar mojego dziadka.

Nagle sala wydawała się pociemnieć. Odsunęłam się do tyłu i potknęłam o ławę. *Stu trzynastu ludzi. Sto trzynaście pogrzebów. Sto trzynaście rodzin pogrążonych w żałobie.* Więć to oznaczało bycie bossem wszystkich bossów. Niespodziewanie słowa Luki

przybrały całkiem nowy ciężar. Był Gianluca II, cudownym wnukiem swego dziadka; dziedzicem mordercy.

- I twoja rodzina *pragnie*, żebyś był taki jak on?

- Tak. – Bezbarwna odpowiedź.

- *A jak* bardzo jesteś już do niego podobny?

Luca zerknął na mnie z ukosa, wykrzywiając usta.

- Naprawdę myślisz, że ci odpowiem?

Odsunęłam się od niego do następnej, skąpszej ściany, na której znajdowały się tylko dwie tabliczki i nie musiałam myśleć o rzymskiej cyfrze Luki. Albo Nico. Znak po prawej należał do Felicego, na której brakowało oczywiście daty śmierci. Znak po lewej głosił tylko:

EVELINA FALCONE

- Kto to? – zapytałam.

Luca przystanął obok mnie. Otarł się o mnie ramieniem. Czułam, jak włoski stają mi dęba.

- To ściana Felicego.

Pomiędzy tabliczkami został wstawiony rubin w srebrze. Na srebrze kursywą widniały litery F po jednej stronie i E po drugiej. Pod rubinem był napis *Sempre*.

- *Zawsze* – przetłumaczył Luca, przesuwając palcami po słowie, po czym dodał cicho:
- Felice chciał być pochowany obok swojej żony. – Przejechał palcem po rubinie, delikatnie, z czcią. – Wygrawerował jej grób w tym samym dniu, co jej pierścionek. Wszystkie zarobione przez niego pieniądze poszły na te dwa rubiny, a potem jeden z nich odszedł razem z nią, a to złamało mu serce.

- Dokąd poszła? – zapytałam, szukając jakichś dat, ale żadnej nie znalazłam. Nie umarła. Jeszcze.

- Zniknęła. Była w ósmym miesiącu ciąży z ich córką, pewnego dnia wyszła i więcej nie wróciła.

- Dlaczego? – zapytałam, choć prawdę mówiąc nie trudno było sobie wyobrazić. Przecież Felice był paskudnym człowiekiem.

- Nigdy nie powiedział. – Luca wzruszył ramionami. – Nadal wierzy, że pewnego dnia do niego wróci.

- A ty?

Zacisnął usta w cienką linię. Ten gest zaostrzył mu kości policzkowe i zarys szczęki.

- Jest głupcem.

- Może romantykiem – odrzekłam powściągliwie, ciekawiąc się, jaka okropna musiała być sytuacja, że kobieta w zaawansowanej ciąży opuściła swojego męża. Jednak bycie żoną socjopaty to nie łatwe życie.

- Nie – powiedział Luca. – Głupcem.

Poczułam, że temat został zamknięty. Pozwoliłam na to, myśląc o Felice z odrobinę większym zrozumieniem niż wcześniej. Z naciskiem na „odrobinę”. Chyba nikogo nie można malować jednym pędzlem. Wszyscy mamy w sobie światło i cień, ból i niedostatek, i niektórzy potrafią się z tego podnieść, a inni wpadają w jeszcze czarniejszą dziurę. *Evelino*, pomyślałam, *gdziekolwiek jesteś, prawdopodobnie będzie ci tam najlepiej*.

Luca znowu zajął miejsce na ławie, wyciągając przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Patrzył na mnie.

- Jesteś blada.

- Zawsze jestem blada.

- Jesteś przejrzysta.

- To przez oświetlenie.

- Możesz już iść – zaoferował w, jak sądziłam, próbie uprzejmości. Musiał nad nią popracować. – Millie pewnie eksploduje, jeśli zostawisz ją tam na dłużej.

- Skąd wiesz, że jest tam Millie?

Zaśmiał się cicho i ochryple.

- Żartujesz, prawda? Słyszałem was z odległości kilometra. Dodajecie całkiem nowy wymiar wyrazowi „niesubtelność”.

Dlaczego tak zwlekałam? Wycofałam się do drzwi, obserwując go tak jak on mnie... bezwstydnie. Ale czego on dokładnie szukał? Patrzyłam na jego zgarbione ramiona, łokcie oparte na kolanach, na ciemne brwi oceniające jasne oczy. W tej chwili wyglądał właśnie tak, jak ja się czułam. Zmęczony, pokonany. Samotny. Zmartwiony.

- Czy ty... spędzasz tutaj dużo czasu?

Przechylił głowę.

- Czemu? Martwisz się o mnie?
- Nie! – Praktycznie wrzasnęłam.
- Dobrze. Nie chciałbym myśleć, że robisz się miękka.

- Nigdy. – *Oto, co masz z przejmowania się.* Zbierając w sobie całą wyniosłość, na jaką było mnie stać przemaszerowałam przez próg, ale coś mnie zatrzymało. Nie mogłam się powstrzymać; musiałam wiedzieć. Wyjrzałam zza futryny z narastającym zaniepokojeniem.

Nadal patrzył w moim kierunku.

- Dlaczego nie zapytałeś o mojego wujka?
- Co?
- Nie zapytałeś czy wiem, gdzie jest Jack. Ale musisz się zastanawiać. Szczególnie, no wiesz, po tym, co się wydarzyło.
- Wiem już gdzie on jest – odparł, nie mrugnawszy okiem.

Opadła mi szczęka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Dlaczego nie zapytałaś?

Wróciłam do sali, znów pełna energii.

- Gdzie jest?
- Cóż, jeszcze nie wiemy gdzie *dokładnie* się znajduje. Ale domyślamy się, z kim może być.
- Z kim?
- Lepiej go nie szukaj.
- Oczywiście, że nie – skłamałam.
- Kłamiesz. Masz kłamstwo wypisane na twarzy.
- Nie kłamię, jestem tylko zestresowana!

Luca myślał nad tym chwilę.

- Czy to nie oczywiste? – zapytał, jego głos przypominał pół westchnienie, pół frustrację. – Gdzie znajduje się jedyne miejsce, do którego mógł się wybrać Jack, jedyne miejsce, w którym szukałby przed nami ucieczki?

Och. *Och*. No to tłumaczyło wcześniejszą lekcję historii.

Luca patrzył, jak wszystko do mnie dociera. Podwinął wargi, odsłaniając dzikie koniuszki kłów.

- A jeżeli tam jest – kontynuował – jeżeli oni naprawdę udzielają pomocy znanemu wrogowi Falconów, to, raz jeszcze, rozejm jest złamany.

- Cholera.

- Pytanie jest takie – powiedział Luca, podpierając się na dłoniach i garbiąc ramiona – jeśli mamy rację, co do kryjówki Jacka, to co zyska na tym układzie Donata Marino?

- A więc naprawdę mnie nie śledziliście – mruknęłam. Nie wspomniałam o Fioletowej. Jeśli była jego wrogiem to te wieści tylko by go zdenerwowały. Już miałam wystarczająco zmartwień bez potwierdzenia, że Marino zatańczyli sobie na rozejmie z Falconami.

Luca wytrzeszczał oczy.

- Co? – Wstał. – Dlaczego tak mówisz?

Odsunęłam się troszkę. Teraz nie była odpowiednia pora na dolewanie oliwy do ognia... rozrywanie starej rany zanim wiedziałam, co dokładnie to znaczyło. Poza tym mogłam się mylić... *mogłam*. Fioletowa mogła być kimkolwiek.

- Po prostu... po tym jak Nico pokazał się w moim ogrodzie którejś nocy zastanawiałam się czy jest jakiś plan, czy coś... - urwałam.

Ta. To na pewno wszystko załagodzi.

Na twarzy Luki rozjaśniała furia, kiedy zrobił krok w moją stronę.

- Nico co zrobił?

Albo i nie.

- Um, nieważne – powiedziałam, odwracając się do głównego korytarza. – Muszę znaleźć Millie.

Luca przeciął mi drogę.

- Musisz mi o tym powiedzieć.

- Czemu?

Zamrugnął parę razy.

- Co to znaczy „czemu”?

- Czemu to cię obchodzi?

- Obchodzą mnie czyny mojego brata, kiedy sprzeciwiają się wyraźnym rodzinnym poleceniom *oraz* narażają na niebezpieczeństwo kogoś innego. Nie bądź z tego taka zadowolona, Sophie. To poważna sprawa.

- Och, jestem *zadowolona*, ponieważ nie chcę ci opowiadać o moich osobistych sprawach? No przepraszam bardzo.

- Sophie, to nie jest zabawa – ostrzegł Luca. Wiedziałam, że starał się o opanowany głos. – Nie bądź taka głupia.

Głupia. Głupia. *Głupia*. Dlaczego, do diabła, nazywał mnie głupią?

- O, to nie jest zabawa? – powtórzyłam, widząc czerwień. – Myślisz, że o tym nie wiem? Zapomniałeś, kto jeszcze był tam z tobą w magazynie? Bo ja pamiętam każdą przeklętą sekundę z tamtej nocy!

- To traktuj to na poważnie!

- Nie mogłabym traktować tego poważniej nawet gdybym spróbowała – syknęłam, unosząc rękę, żeby zobaczyć poszarpaną ranę. – Nie spałam od tygodni. Moja matka to *zombie*. Nie waż się wygłaszać mi kazań na temat powagi całej tej sytuacji. Nie masz pojęcia, co zrobiła mi twoja rodzina. I mam gdzieś kim jesteś, nie masz prawa żądać wiedzy na temat moich spraw!

Podszedł bliżej, z jego ciała biło napięcie.

- Mam prawo, kiedy tyczą się mojej rodziny.

Musiałam odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Nie jesteś *moim* zastępcą bossa, Luca. Nie jestem ci nic winna.

Obeszłam go, spodziewając się oporu, ale puścił mnie z wyrazem, którego nie potrafiłam odczytać.

- Jasne, więc wrzeszczysz na *mnie* o wszystko, co się wydarzyło! – krzyknął za mną. – Ale z nim to spotykasz się w ogrodzie, jakbyście odgrywali żalosne przedstawienie *Romea i Julii*!

Machnęłam ręką nad głową, oddalając się od niego.

- Na wypadek, gdyby to do ciebie nie dotarło, Sophie, ta sztuka była *satyrą*! Nie powinnaś do niej dążyć!

- Przez to jak teraz gadasz sam dążysz do spotkania się z moją pięścią! – krzyknęłam przez ramię. Dotarłam do drzwi, ale pojawił się tam w okamgnieniu, wsuwając przede mnie. Był taki wysoki. Taki szeroki. Taki nieruchomy. – Odsuń się – syknęłam. – Albo przysięgam na wszystkich bogów i układ planetarny, że uderzę cię w tą arogancką gębę.

- Sophie – powiedział. Głos miał pozornie opanowany, ale płonące oczy mówiły całkiem co innego. – Uratowałaś mi życie. Nakryłaś swoim ciałem moje, żeby powstrzymać Jacka przed zabiciem mnie. Więc nie myśl, że nie jestem wdzięczny za to co zrobiłaś, kiedy mówię ci, że zachowujesz się jak kompletna *kretynka*.

Złapał mój nadgarstek zanim moja dłoń spotkałaby się z jego policzkiem.

- Przestań – warknął.

- Puść mnie – fuknęłam.

Uwolnił mnie i moja ręka uderzyła o mój bok z głuchym odgłosem. Wzięłam ciężki wdech.

Wzrok Luki był nieugięty i lśniący. Miałam wrażenie, że mnie miażdżył. Cokolwiek zamierzał powiedzieć cholernie pewne było, że nie chciałam tego słuchać. Przepchnęłam się obok niego i pchnęłam drzwi, zeskakując szybko po schodach.

Millie leżała na trawie przy jeziorze, robiąc sobie selfie.

- No *nareszcie* – wyjęczała, podnosząc się z ziemi. – Cholera, co ci zajęło... Jasny gwint, Sophie. Uważaj! Luca Falcone jest za tobą!

- Wiem.

- Och. – Zaczęła nas okręzać. – Chwileczkę... Co się tutaj dzieje? Co wyście tam robili tak długo?

Prowadziłam drogę pomiędzy drzewami, Millie sunęła za mną.

Luca poszedł za nami.

- Nie wiem ile razy muszę ci to powtarzać, żeby do ciebie dotarło! – naciskał. – On nie jest dla ciebie odpowiedni, Sophie!

- Hola, hola, hola! – Millie wyskoczyła przede mną. Zatrzymałam się, a maszerujący za mną Luca stanął w miejscu. – Czy tutaj dzieje się... jakiś rodzaj *zazdrości*?

Luca wyrócił oczami.

- *Per l'amor di Dio*. Nie bądź śmieszna.

Wznowiłam marsz.

- Może nie ma nic złego w troszczeniu się o kogoś i wzajemnie – powiedziałam gniewnie. – Może świat się nie skończy. Nie, żebyś oczywiście o tym wiedział, ponieważ nie potrzebujesz nikogo, kiedy masz cennego, aroganckiego siebie!

- Tak, to musi być to. Jestem zgorzkniały, samotny i nie wiem, co to miłość. A ty żyjesz w swoim małym świecie zaprzeczenia i wylądujesz przez to w grobie, ponieważ

gwarantuję ci, że nieważne ile spędzisz z nim czasu, kiedy przyjdzie, co do czego on wybierze swoją rodzinę.

- Święty Julku. – Millie prychała ciężko obok mnie. – Co się pomiędzy wami wydarzyło, do diabła?

Sznurek włoskich przekleństw Luki zamienił się w pośpieszny angielski.

- Po raz kolejny głupota mojego brata odbiła się na twojej przyjaciółce. – Nawet nie dyszał w przeciwieństwie do Millie i mnie, a szłyśmy tak szybko, iż walczyłam z ochotą złapania się za żebra i zgięcia w pół. – A może na odwrót.

- Dobra, dosyć tego! – Zatrzymałam się nagle i skróciłam dzielącą nas przestrzeń. Szturchnęłam go w klatkę piersiową. – Luco Falcone, jeśli powiesz o mnie jeszcze jedno słowo...

- No co? – Odepchnął mój palec. – Co mi zrobisz?

Bulgoczący we mnie gniew w końcu osiągnął swój limit. Zdusiłam go, przemawiając wolno i wyrachowanie, wpatrując się w odłamki turkusowego w jego oczach. Zatem byłam głupia, naiwna, skretyniała – powiedział mi to już tysiąc razy – ale przynajmniej miałam czyste sumienie i nie miał prawa mnie osądzać, kiedy *jego* takie nie było.

- Nie jestem idiotką, Luca – powiedziałam, podwijając wargę. – Nie traktuj mnie tak. Gdybyś dał mi dokończyć zamiast wybuchnąć gniewem wiedziałbyś, że odesłałam twojego brata, kiedy przyszedł się ze mną zobaczyć. Nieważne, co do niego czuję albo *czułam*, on spogląda na świat i widzi śmierć, i rozlew krwi, a ja zasługuję na życie pełne miłości i spokoju. Przeszłam przez *wystarczająco*. Widziałam *wystarczająco*. – Słyszałam, jak łamie mi się głos, więc parłam mocniej do przodu, żeby tego nie usłyszał. – Prawda jest taka, że on jest zepsuty – powiedziałam. – Wszyscy jesteście zepsuci.

Luca cofnął się chwiejnie. Przez jedną przerażającą chwilę przypomniałam sobie, jak został postrzelony w magazynie. Opuścił ramiona i po prostu na mnie patrzył. Starłam mu z twarzy ten drwiący uśmiešek, ale nadal czułam kulę w gardle. W kącikach oczu zbierały mi się łzy.

Millie weszła na paluszkach w przestrzeń między nami.

- Oookej – powiedziała. – Z nieznanym mi powodów zrobiło się troszkę gorąco. Spuśćmy z tonu i obgadajmy to jak dorośli.

Nie zauważyłam, jak ciężko dyszałam dopóki nie próbowałam złapać tchu.

- Nieważne – powiedział Luca, odwracając się od nas. – Skończyłem. Jesteś zdana na siebie, Gracewell.

- Super. Świetnie.

Zniknął za drzewami.

- Sophie. – Millie ściszyła głos. – Myślę, że masz problem.

Przełknęłam następny drżący oddech i skleciłam kilka słów.

- Wiem. Jestem dość pewna, że śledzi mnie rodzina Marino.

- Mówię o innym problemie.

Po moim policzku spłynęła szybko jedna łza i ją otarłam.

- Nie ma scyzoryka – powiedziałam. – Więc zadanie wykonane.

Wciąż wpatrywała się pomiędzy drzewa.

- Nie o to mi chodziło, kiedy mówiłam o zamknięciu etapu.

CZEŚĆ II

„Wróg jest u bram;
musimy się borykać z własnym luksusem,
własną głupotą,
własną przestępczością.”

Marek Tulliusz Cynceron



ROZDZIAŁ JEDENASTY

CZARNA RĘKA

Spędziłam resztę popołudnia u Millie, celowo nie mówiąc o tym, co zaszło na cmentarzu. Nie miałam już szczyryka i próbowałam zignorować pustkę, którą po nim odczuwałam. Upiekłyśmy ciasteczka i zrobiłyśmy sobie maraton filmów Harry'ego Pottera, dopóki nie zaczęły mnie zjadać wyrzuty sumienia, że zostawiłam mamę w naszym ponurym domu. Tam czekało prawdziwe życie – cienie na ścianie, krzyki w nocy, ziejąca dziura w miejscu, gdzie powinien być mój ojciec. Wyszłam o zmroku, wyrrywając się odwracającej uwagę bańki Millie. Dostałam nagłej ochoty rozprostowania nóg i spalenia przynajmniej niewielkiej ilości cukru, którą wpakowałam do ciała, żeby przynajmniej spróbować szybko zasnąć.

Słońce zaczynało zachodzić, zabarwiając niebo smugami różu i pomarańczy. Dopiero, kiedy minęłam restaurację zorientowałam się, że wlecze się za mną czarny mercedes. Ruch na głównej ulicy już dawno się zmniejszył i przejeżdżały tędy tylko nieliczne samochody.

Odwróciłam się w stronę parkingu i zatrzymałam. Mercedes zaparkował kilka metrów dalej. Zgasł silnik i wysiadła fioletowo-włosa dziewczyna. Odrzuciła włosy z twarzy, ale grzywka pozostała na miejscu, przesłaniając jej oczy. W jej postawie widać było wymuszoną nonszalancję – trzymała ręce luźno po bokach, ale zaciskała je w pięści.

Okrążyła samochód, krocząc w moim kierunku. Wyprostowałam się, żeby wyglądać na większą. Byłyśmy prawie tego samego wzrostu i również była drobna. Stanęła zbyt blisko mnie i cofnęłam się o krok, uciekając od jej cytrusowych perfum. Trochę mi zajęło odnalezienie jej oczu pod grzywką i zobaczyłam, że były podkreślone czarną kredką.

- Sophie Gracewell – odezwała się, mierząc mnie bezwstydnie bezpośrednim wzrokiem. Miała o wiele łagodniejszy głos niżbym się spodziewała. Znowu uderzył mnie jej młody wiek... nie mogła być wiele starsza ode mnie. Zakręciła przede mną dłońmi, jakby przedstawiała mnie niewidocznej widowni. – Boże, mam wrażenie, że próbowałam dorwać cię samą przez, tak jakby, całe życie. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając tak wielkie dołeczki, iż nagle niemożliwe było, że mogłaby mnie onieśmielać. Co było irytująco mylące.

- Zabawne – odparłam, nie śmiejąc się. – Ja mam wrażenie, że unikałam cię tyle samo czasu.

Kiwnęła głową ze słabnym uśmiechem i westchnęła.

- Wystraszyłam cię, wiem. Przepraszam.

Rozbroiła mnie jej skrucha i powiedziałam delikatniej niż zamierzałam:

- Istnieje dobry i zły sposób zbliżenia się do kogoś, wiesz.

Zaczęła przygryzać kącik ust, rozsmarowując na zębach szminkę koloru fuksji. Wykręcała sobie ręce i zorientowałam się, że była tak samo podenerwowana, jak ja.

- Rozumiem, że jesteś Marino – stwierdziłam.

Otworzyła szeroko oczy.

- A więc słyszałaś o nas?

- Trochę.

- Jestem pewna, że same dobre rzeczy. – Posłała mi wstydlivy uśmiech, patrząc sarnim wzrokiem i znów patrzyłam na te dołeczki. Pomiędzy dwoma przednimi zębami miała małą szparę.

- Mój wujek cię przysłał?

Zwinęłam dłonie w pięści, czując pot na koniuszkach palców.

Potrząsnęła głową.

- Nie sądziliśmy, że to rozgryziesz.

Puf! No i po rozejmie.

Dzięki Bogu, że nie wspomniałam nic z tego Luce.

Uśmiech dziewczyny zdradzał poczucie lekkości ukryte pod dramatycznym makijażem i surową fryzurą.

- Jak się dowiedziałaś?

- Zgadłam – skłamałam.

Zaśmiała się z głębi piersi.

- Mówił, że jesteś bystra, ale myślę, że rozgryzłaś mnie już w kinie. Przepraszam, jeśli cię przeraziłam. Chciałam znaleźć chwilę, żeby porozmawiać z tobą na osobności. Nikt inny nie może o tym wiedzieć.

Trudno było jej nie polubić – jeśli chodzi o mafijnych typów ona była zaskakująco normalna. Może obniżyłabym gardę, gdybym nie znała jej nazwiska.

- Jak się nazywasz? – zapytałam. – Czy mogę się dowiedzieć przynajmniej tego? – Żeby tylko coś odwróciło moją uwagę od pulsującego *Marino* w mojej głowie.

- Sara. – Udała, że się kłoni i parsknęłam śmiechem. Boże, była też dziwna. Do diabła, czemu załatwiała sprawy dla mojego wujka? Powinna robić to, co zwykle nastolatki.

- Wybacz – powiedziała, widząc zdumioną ciekawość na mojej twarzy. – Jestem tak jakby nowa w byciu posłańcem. – Zrobiła zażenowaną minę. – Miałam ci tylko coś dać – ciągnęła. – Nie powinnam w ogóle z tobą gadać.

- Dlaczego? – Moje serce przyspieszyło.

- Oj, nie wiem. – Uśmiechnęła się. – Na wypadek, gdybym wypaplała wszystkie rodzinne sekrety.

- Jasne – powiedziałam, rozumiejąc doskonale.

- Tak czy siak, twój wujek chce się z tobą spotkać.

- Nie chcę być wredna – rzekłam – ale mógł do mnie zadzwonić i zaoszczędzić ci tego gania... - *I cholernie dziwnego śledzenia.*

Sara wywróciła oczami tak mocno, że praktycznie zniknęły jej tęczołki.

- Powiedziałam tak *samo*. Ostatnie czego chciałam, to cię przerazić, ale twój wujek chciał zachować ekstra ostrożność, skoro poluje na niego z tysiąc zabójców. Twardo upierał się przy tym, żeby upewnić się, iż nie zadajesz się z... - zawahała się i na jej twarzy błysnęło coś ponurego - ...z nieodpowiednimi osobami – dokończyła. – Ważne, żeby informacja dotarła do ciebie i tylko ciebie. Nie może wyciec. Przynajmniej na razie. Chyba to był jedyny sposób, żeby tego dopilnować.

- Rozumiem. – Wszystko to zdawało się bardzo poważne, bardzo tajne... i bardzo niebezpieczne. Nie chcieli jeszcze zrywać rozejmu. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że już wisiał na włosku. Przełknęłam ciężko ślinę. Miałam wrażenie, że trzymałam palec w tamie, podtrzymując coraz to bardziej wzbierający się sekret. – Gdzie on jest?

- Muszę już iść. – Sara wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i wyciągnęła do mnie. – Weź – powiedziała. – Zanim mnie zwolnią! – Zmarszczyła sztucznie czoło; ten wyraz rozciągnął skórę jej policzków, ukazując ostre kości policzkowe. Oczy stykały się niemal z brwiami i poraził mnie jej znajomy wygląd. Ten wyraz twarzy... już go wcześniej widziałam.

Gapiałam się na nią, zapominając o wiszącej między nami wizytówce.

- Co jest? – Uśmiechnęła się, odsłaniając naostrzone kły, które rozchodziły się w pokaźne białe zęby.

- Wyglądasz... - Pokręciłam głową. – Po prostu mi kogoś przypomniałaś.

W tym momencie opuściła ją cała wesołość. Jej twarz ścięła i odsunęła się ode mnie, wciąż trzymając wizytówkę.

- Obrażasz mnie – powiedziała, opuszczając rękę.

- Nic nie powiedziałam.

- Porównanie zostało zasugerowane – powiedziała. – Doskonale wiem o kim myślisz.

Uniosłam ręce w geście niewinności.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

Znow podniosła wizytówkę i tym razem ją zabrałam.

- Posłuchaj – powiedziała. – Nie powinnaś mówić o Marino i Falconach w tym samym zdaniu. Jeśli nie nauczysz się niczego innego, to naucz tego zanim wejdiesz do klubu Donaty. I choćby nie wiem co *nie* wspominaj o jej siostrze.

- Klub? – Pogłodziłam błyszczącą kartę, biorąc pod uwagę absurdalność sytuacji, kiedy miałabym paradować w jakimś mafijnym klubie pośród całkiem *innej* gangsterskiej rodziny. Jak gdyby jedna nie wystarczyła. – Skąd pewność, że w ogóle pójde? – Potrząsnęłam głową. – Nie wiem czy chcę znowu zobaczyć mojego wujka. Zdradził moją mamę i mnie. Nie zasługuje na to – powiedziałam, zaskoczona moją chęcią zwierzenia się komuś, kto do tej pory bezwstydnie mnie śledził.

Sara podniosła rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale zatrzymała ją w połowie drogi, zmieniając zdanie.

- Rozumiem, naprawdę. Ciężko być ciągniętą w kierunku, w którym nie chcesz iść. A jeszcze ciężiej, kiedy to twoja rodzina ciągnie za sznurki. Ale wszystko się przed tobą wyklaruje, jeśli tylko na to pozwolisz.

Um, że co? Byłam częściowo zaciekawiona. Nic nie mogłam na to poradzić. To uczucie przypominało zaogniający się, skręcający węzeł w żołądku.

- Nie powinnam iść – powiedziałam. – To nie mój świat.

Zniżyła głos, chociaż nie mógł jej usłyszeć nikt oprócz mnie.

- Będziesz musiała się z nim spotkać, Sophie. Lepiej, żebyś zrobiła to na własnych warunkach.

Ostrzeżenie... cień czegoś innego.

- Co to ma znaczyć?

Westchnęła ze znużeniem.

- Znaczy, że dzieją się ważne rzeczy i on będzie musiał się z tobą zobaczyć w ten czy inny sposób, i to wkrótce. Powinnaś do niego pójść, bo on przyjdzie po ciebie, a to miejsce nie jest teraz bezpieczne dla żadnego z nas. Nawet dla mnie.

- Mówisz tak, jakbym nie miała wyboru – powiedziałam, czując chłód w jej słowach, kiedy do mnie dotarły.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

- Przynajmniej masz złudzenie wyboru. To więcej niż miałam ja. – Następny słaby uśmiech, a potem: - Proszę, nie każ mi robić czegoś, czego nie chcę robić...

Zanim zdążyłabym odpowiedzieć zaczęła wracać do swojego samochodu. Stałam oniemiała, kiedy wyjechała z parkingu, pozostawiając mnie zastanawiającą się nad nią groźbą w jej ostatnich słowach.

Przyjrzałam się wizytówce... była szkarłatna. Pośrodku było nadrukowane czarnym tuszem drzewo z wykręconymi gałęziami. Pod spodem widniało kaligrafią słowo EDEN. Obróciłam kartę. Tam był adres razem z napisem „Zatrać się”. A na górze pismem mojego wujka: „Sophie. Wtorek o 23”.

Nie powinnam iść. Jack wpakował mnie już w dosyć kłopotów. Ale jeśli ja do niego nie pójde, on przyjdzie do mnie. Przyjdzie *po* mnie, cokolwiek to znaczyło. A im dalej będę go trzymać poza Cedar Hill i z dala od mojej matki, tym lepiej.

Coś było na rzeczy i jeśli musiałam się z nim zobaczyć, to spróbuję się dowiedzieć co takiego. Miałam dosyć bycia trzymaną w niepewności... bycia tak blisko obracających się wokół mnie spraw, a zarazem dalej poza ich zasięgiem. Dosyć tego. Dla dobra mojego i mojego ojca musiałam dostać odpowiedzi na pytania i musiałam wiedzieć, co mój wujek zamierzał teraz zrobić – Nicowi, Luce, im wszystkim, skoro był teraz chroniony przez Marino, skoro ich rozejm się rozpadał. Zaakceptuję moje złudzenie wolnej woli i przynajmniej spróbuję ją wykorzystać na swoją korzyść. Jack pojawił się raz, żeby mnie ochronić, może wysłucha mnie co do rozejmu. Gdyby odszedł teraz, jeszcze przed rozlewem krwi – gdyby opuścił miasto – zapobiegłby wojnie. A na pewno nikt, nawet mój zwariowany, moralnie rozstrojony wujek, nie chciał wojny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

PRZEJĘCIE

Otrząsnęłam się z myśli, słysząc grzmot stóp o chodnik. Uniosłam głowę w porę, by zobaczyć pędzącego do mnie Nico. Wsadziłam wizytówkę do tylnej kieszeni dzinsów.

Zatrzymał się nagle tuż przede mną. Jego oczy miały dziki, rozgorączkowany wyraz.

- Co to było?

Zdziwienie jego widokiem zostało szybko zastąpione gorzkimi wspomnieniami mojej kłótni z Lucą i wszystkim, co zostało powiedziane. Nico nie powinien tutaj być. A jednak był i tym razem zdecydowanie nie przyszedł z mojego powodu.

Założyłam rękę i spojrzałam za niego.

- Hmm? Co *co* było?

Nico ściągnął brwi w bardzo oczywisty sposób „wiem, że kłamiesz”.

- Przed chwilą widziałem, jak rozmawiałaś z Sarą Marino...

- Masz na myśli swoją kuzynkę? – Mieli identyczną strukturę kości; ona miała kości policzkowe Nico i usta Luki.

Nico spojrzał na mnie ponurym wzrokiem, który był zabawnie podobny do tego, który Sara zaoferowała mi w podobnym przypadku.

- Nie nazywaj jej tak. Jest szumowiną, tak jak reszta tej rodziny.

Polityka rodzinna naprawdę potrafi sprawić, iż masz wrażenie, że ktoś wysysa ci szpik kostny. Szczególnie, kiedy *jakimś cudem* dajesz się złapać w sam środek. Byłam jak złota rybka próbująca przepłynąć pomiędzy dwoma przeciwnymi ławicami rekinów.

- Skąd się tu wzięłaś? – zapytałam, zmieniając taktykę.

Pokazał za siebie na boczną uliczkę przy bibliotece znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy. Ten punkt obserwacyjny był o wiele subtelniejszy od Doma i Gino. Ale z drugiej strony oni byli idiotami.

- Calvino i ja obserwowaliśmy knajpę.

- Po co?

Nico zmrużył oczy.

- Uważamy, że coś tam jest – powiedział wymijająco. – Coś, czego potrzebuje twój wujek.

- Co takiego?

Nico zacisnął usta i zmarszczył brwi.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytałam.

- Od jak dawna wiesz, że ukrywa się u Marino?

- Nie mieszam się w to – powiedziałam ostro. – Nic o nikim nie wiem.

- Wiesz, co to znaczy? – zapytał, ale odniosłam wrażenie, że bardziej pytał siebie. Konsekwencje były wielkie, to było wypisane na jego twarzy.

- Nic – odparłam. – Niczego nie wiesz na pewno. Ta dziewczyna nie mówiła nic o Jacku. – Bezwstydne kłamstwo, ale lepsze to od spotęgowania gniewu, lepsze od dolewania oliwy do ognia.

Przejechał dłonią po włosach i złapał się za kark.

- Musisz tak utrudniać? – mruknął.

- Czy ty kiedykolwiek robisz sobie wolne? – odparowałam. – Czy któreś z was budzi się i myśli „Może dzisiaj zrobimy sobie dzień piżamy”? Czy może zawsze „Dziś jest dobry dzień na mordowanie i śledzenie”? Serio, Nico. *Serio*.

Podszedł bliżej i poczułam żar bijący z jego ciała.

- Serio – powtórzył spiętym głosem.

Wbiłam wzrok w jego tors. Nie chciałam patrzeć mu w oczy.

- Jesteś taki... frustrujący.

Nico westchnął ciężko i wyłapałam przebłysk uśmiechu, kiedy przypadkiem zerknęłam na jego twarz. *Nie patrz na niego*.

- Znam to uczucie – powiedział i jego pomruk rozgrzało mi ucho. Chciałam wrzasnąć, zapłakać, popchnąć go, a potem może pocałować. *Niech to szlag*. Miałam wrażenie, że płonie mi ciało. Uświadomiłam sobie, że mogłam być bliska załamania psychicznego pośrodku parkingu „U Gracewellów”. Niespodziewanie stawka była zbyt wysoka.

Co on tutaj robił? W co, u licha, pogrywał sobie Jack? Co było w restauracji?

I gdzie? Znałam każdy zakamarek tego miejsca.

- Sophie, *ti prego*. – Słowa Nico były cichym szturchnięciem. Objął mnie ramieniem przyciągając do siebie. Położyłam palce na jego klatce piersiowej, czując szybkie bicie

jego serca. Był ludzki, zawodny. *Przerażony*, zdałam sobie sprawę. Przerażony tym, co miało nadejść. Przytknął delikatnie czoło do mojego. – Wszystko będzie dobrze – szepnął, jego serce galopowało pod moją ręką. – Powiedz tylko, czego chciała.

Popęłniałam błąd, podnosząc na niego wzrok. Wyczuwałam słaby alpejski zapach, niemal poczułam rozkosz z ostatniego razu, kiedy się całowaliśmy. Przełknęłam ślinę.

- Nic nie chciała.

Wciągnął ostro wdech.

- Dobra, więc porozmawiajmy o czymś innym.

- Na przykład?

Przeniósł oczy na moje usta. Położył dłoń na moim krzyżu, drugą złapał mnie za kark i przysunął bliżej do siebie.

- O tym – powiedział szorstko.

Przycisnął usta do moich, poruszając nimi twardo i badawczo. Zadrżałam, jak jego pocałunek stał się silniejszy i bardziej ponaglący. *Nie*. Zmusiłam się do myślenia. Zmusiłam się do przypomnienia. Przesunął ręką wzdłuż moich pleców, muskając palcami pasek dżinsów. *Nie*. Oderwałam się od niego w tym samym czasie, co wsunął rękę do mojej tylnej kieszeni. Odepchnęłam go, ale za późno; wyciągnął już wizytówkę.

Odkoczył ode mnie, kiedy zamachnęłam się na niego. Odwrócił głowę i trafiłam palcami w jego brodę. Był szybki, ale nie wystarczająco. Podniósł rękę do szczęki.

- Sophie. - Otworzył szeroko oczy.

- Jak mogłeś? – sapnęłam.

- Chronię cię. – Otrząsnął się z szoku i obrócił wizytówkę, zwężając ciemne oczy na widok wiadomości Jacka do mnie. – Musiałem to zrobić.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Nie zamierzałaś mi jej dać – powiedział.

- Jest moja! Nie musiałam!

- Nie wiesz, z czym się tutaj mierzysz, Sophie.

Musiałam zacisnąć mocno pięści, żeby powstrzymać się przed kolejną próbą spoliczkowania go.

- Tym jednym pocałunkiem zbrukałeś wszystko, co mieliśmy.

Przez jego twarz przemknął niepokój. Raz jeszcze wstąpił do naszej bańki, wyciągając do mnie ręce.

- Wcale nie. Zrobiłem to z troski o ciebie.

Odsunęłam się od niego.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Nie możesz pójść zobaczyć się z wujkiem, Sophie. Nie obchodzi mnie czy jesteś na mnie wściekła, ale nie możesz pójść do tego klubu. To terytorium Czarnej Ręki. Nie jest tam dla ciebie bezpiecznie.

Machnęłam wokół siebie ręką, odchodząc.

- Nigdzie nie jest dla mnie bezpiecznie!

- Posłuchaj mnie. - Z łatwością mnie dogonił. – Donacie Marino nie zależy na Jacku. Marino nigdy nie współpracują z nikim poza rodziny. Wykorzystują go, a jeśli dasz się wciągnąć w ich świat ciebie również wykorzystają. Proszę cię – *blagam* – nie idź do tamtego klubu.

Nie obejrzałam się na niego.

- Nie twoja sprawa, co postanowię.

- Pójdę tam za tobą.

Odwrociłam się.

- Nie zrobiłbyś tego!

Zacisnął szczękę. – Sprawdź mnie.

- Nie możesz mną tak manipulować – syknęłam. Ale mógł i to robił. Nie chciałam, żeby poszedł za mną do tego klubu, stając twarzą w twarz z moim wujkiem i jego nowymi sojusznikami. Poleje się krew, która będzie na moim sumieniu.

Znowu ruszyłam przed siebie.

- Miałeś trzymać się ode mnie z daleka.

- Tak było przedtem. – Poszedł za mną.

- Przed czym?

- Zanim dowiedziałem się o udziale Czarnej Ręki.

W mojej głowie roilo się od możliwości. Jak miałam się pozbyć Nico z tego scenariusza? Jak miałam go przekonać, żeby nie szedł do tego klubu? Nie zamierzał się poddać.

- A więc zawrzyjmy układ – powiedziałam, okręcając się na pięcie. Przybrałam neutralny wyraz twarzy i spoglądałam mu w oczy. Otworzyłam moje najszerzej jak mogłam i przygryzłam dolną wargę.

Przyglądał mi się nieruchomo.

Wciągnęłam oddech i złożyłam propozycję z całą szczerością, na jaką było mnie stać.

- Nie pójdę do Edenu, jeśli ty obiecasz to samo.

Spojrzał gdzieś za mnie, zastanawiając się. Zastukał palcami o szczękę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję – skłamałam.

- Dobrze – poddał się. – Ja też.

Gdy weszłam do domu, usłyszałam szuranie krzesła w kuchni i mama wyszła szybko do przedpokoju. Miała mocno spiętą twarz.

Ścisnęło mnie w gardle.

- Mamo? Co jest?

Na powitanie uniosła do góry moją poduszkę zwróconą do mnie zakrwawioną stroną.

Cholera.

- Sophie? – Podeszła do mnie. – Co się stało?

Rozcięcie w mojej dłoni zapiekło od wspomnienia. W moim mózgu wypalił się obrazek mojej płaczącej matki tamtej nocy w kuchni... ta wizja była bardzo podobna do wersji mamy, która teraz stała przede mną, szukając wskazówek na mojej twarzy. Poczułam narastające wyrzuty sumienia. Zamrugałam powoli, porzucając wspomnienia.

- Ach, właśnie. – Wzięłam od niej poduszkę, łapiąc za róg i obróciłam ją, wymuszając nonszalancję. – Kilka nocy temu miałam krwotok z nosa. – Przesunęłam wzrokiem po jej twarzy, modląc się, żeby uwierzyła. – Lekarz powiedział, że może się tak zdarzyć raz lub dwa, skoro mój nos nadal dochodzi do siebie. Nic wielkiego.

Ściągnęła brwi, wywołując zmarszczki na czole.

- Dlaczego mnie nie obudziłaś?

Nie spałaś. Wzruszyłam ramionami.

- Było późno, nie widziałam sensu.

- Sensu? – Matka potrząsnęła głową. – Trzeba było do mnie przyjść, Sophie. Wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść.

- To był tylko krwotok z nosa. Już prawie ustał, kiedy się obudziłam.

- Mimo wszystko – odparła. – Jestem twoją matką. Od tego tutaj jestem.

Uśmiechnęłam się do niej półgębkiem w półmroku.

- Nie przejmuj się tym, proszę.

- Kochanie – odwzajemniła mój uśmiech, przechylając leciutko głowę na bok – zadaniem matki jest przejmowanie się.

Musiałam stłumić nagłą potrzebę przytulenia jej. W powietrzu wisało coś dziwnego i powodowało, iż miałam wrażenie, że w każdej chwili wybuchnę płaczem. Ona była taka drobna i zmęczona, a jednak nawet teraz miała w sobie siłę. Siłę dla mnie. Siłę, którą chciałam, by zatrzymała dla siebie.

Weź się w garść, Soph.

- Nic mi nie jest, mamo. – Nastąpiła krótka cisza. Poduszka zwisała bezwładnie u mojego boku. Zastanowiłam się nad wykonaniem piruetu, ale zdecydowałam, że to mogłaby być przesada. Zamiast tego rozweseliłam swój głos. – Wszystko jest w porządku... oczywiście oprócz mojej poduszki, która niestety jest w opłakanym stanie. Chyba nadeszła pora, żeby wysłać ją na zieloną trawkę.

Spojrzała na poduszkę, udając nachmurzoną minę.

- Biedactwo.

- Będzie mi jej brakować. – Przyjrzałam jej się z bliska.

- Kupimy ci lepszą – szepnęła teatralnie, udając, że zasłania usta ręką. – Większą i miększą.

Wytrzeszczałam oczy.

- *Matko* – zganiłam ją. – Miej trochę *szacunku*. Ona cię *słyszy*.

Zaśmiałyśmy się i przez chwilę to wydawało się prawdziwe. Poszła za mną do kuchni, gdzie wyrzuciłam poduszkę do śmietnika.

- Sayonara – pożegnałam się, wpychając ją do kosza. Odwróciłam się do mamy. – W przyпіływie szczerości czuję, że muszę ci powiedzieć, że za jakieś trzy minuty ukradnę ci z pokoju poduszkę.

Tym razem uśmiechnęła się jeszcze radośniej.

- Co moje to twoje.

- W takim razie być może zarekwiruję również ten naszyjnik ze szmaragdem.

- Oprócz mojej biżuterii, ubrań, kosmetyków i wszystkiego innego, co uważam za wartościowe – dodała, puszczając mi oko. – Jednakże możesz się poczęstować małą garścią mojego potpourri.

- Wow. – Odetchnęłam głośno. – Ty hojna kobieto.

Podniosła ze stolika swój kubek. Ten moment był tak cudownie normalny. Chciałabym móc się nim otulić i wyrzucić z głowy wszystko inne, ale jak wszystko, co dobre szybko się skończyło. Odwróciłam się, żeby wyjść i złapała mnie za ramię, ściskając je tuż nad łokciem. Przyjrzała mi się ponad brzegiem kubka, owiewając mnie miętowym oddechem, kiedy rzekła:

- Wiesz, że nie musisz udawać, kochanie. Nie przy mnie.

Patrzyłyśmy na siebie w ciszy, zakrwawiona poduszka była tylko parę metrów dalej, nieobecność mojego ojca wypełniała przestrzeń między nami.

- Ty też nie – powiedziałam cicho.

W jej oczach błysnęło zdziwienie, ale nadal trzymała wysoko kubek.

- Nie udaję.

- Dobrze – ustąpiłam. – Skoro tak twierdzisz.

Zostawiłam ją, jak popijała herbatę i wpatrywała się w coś za kuchennym oknem. Może wpatrywała innego życia. Tego przed moim ojcem, przede mną, kiedy była obiecującą projektantką w dalekim mieście z wielkimi nadziejami i marzeniami. Nie w tym małym miasteczku, w tym duszącym życiu, w którym uciskały nas krwawe wspomnienia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

EDEN

Jak powiedziałam matce, że zostaję na noc u Millie niemal zemdląca z ulgi. Każdy wykonywany przeze mnie krok poza domem był dla niej małym zwycięstwem i cała noc spędzona z najlepszą przyjaciółką była muzyką dla jej uszu. W jej rozumowaniu wracałam do normalności i nieważne, że zostawiałam ją w tyle. Wcisnęła mi do ręki dwudziestodolarówkę „na pizzę, lody, cokolwiek będziecie potrzebowały. Ja stawiam”. Próbowałam ją oddać, ale zaplotła ręce za plecami i potrząsnęła głową.

- Zaslugujesz, żeby sobie dogodzić!

Och, gdyby tylko wiedziała. Przełknęłam wyrzuty sumienia... ostatnio coraz łatwiej było mi je znieść. Pocieszyłam się świadomością, że spotkanie z Jackiem zapobiegnie jego niezapowiedzianej wizycie w moim domu w przyszłości, co byłoby dla nas o wiele gorsze.

- Na pewno poradzisz sobie sama? – zapytałam zamiast tego.

Jej śmiech przypominał krótki dzwonek.

- Oczywiście, kochanie. Mam wiele do roboty. Stawiam nowy treliaż na tyłach ogrodu. Posadzę laki pospolite!

Pomyślałam o jej niedokończonych projektach krawieckich, które już dawno miały swój termin.

- Treliaż, co? Fajnie...

Pacnęła mnie po ramieniu.

- Wiesz, nie siedzę beczynn timer, wpatrując się w przestrzeń, kiedy ciebie nie ma.

- Co? Więc nie spędzasz całego wolnego czasu myśląc o tym, jak bardzo za mną tęsknisz?

- Zastępuję moje uczucie do ciebie moimi nowymi pięknymi roślinkami – powiedziała żartobliwym tonem. – Są o wiele mniej sarkastyczne.

- Poczekaj tylko, aż wejdą w nastoletni wiek.

- Baw się dobrze – powiedziała, przytulając mnie. – Rozmawiaj o chłopcach. Zaplanuj jakąś przygodę!

Gdy się odsunęła, uśmiechała się tak szeroko, że drżały jej usta. Wzięłam torebkę i próbowałam udawać, że naprawdę wybieram się na niewinne nocowanie w domu najlepszej przyjaciółki, a nie do mafijnej nory pośrodku miasta.

Miałam wątpliwości, co do Edenu – wielkie – ale Millie udało się mnie przekonać.

- Cokolwiek wyrabia twój wujek, Soph, mogłabyś zdusić to w zarodku nim będzie za późno.

- Coś mi mówi, że już jest za późno.

- Tak czy inaczej będziesz musiała stawić mu czoła. Czy nie tak powiedziała Legogłowa?

- Nazywa się Sara.

- Dobra, dobra. – Millie machnęła lekceważąco ręką. – Nie musisz zachowywać się, jakbyś była z nią spokrewniona. Śledziła cię, nie zapominaj.

Wygoogłowała ten klub nocny. Znalazłyśmy wiele stron o skandalach związanych z miejscowymi celebrytami i domniemanymi przestępcami. W prawie każdym artykule wspomniano o Donacie, czasami dodając jej nazwisko panieńskie Genovese, a czasami Marino. Była ulubienicą brukowców, każda wzmianka miała w sobie podłoże strachu. Nikt nie śmiał mówić źle o „Królowej Genovese”, jak nazwała ją jedna gazeta. Była wspaniałą i przerażającą femme fatale Chicago.

Jej dobrobyt prześwitywał z drogich szalów i projektanckich sukienek. Jej ciemne włosy były grzywą najświetniejszych na świecie przedłużeń i doskonale do niej pasował dramatyczny makijaż. Ale pod całą tą pompą i blaskiem miała sylwetkę szkieletu z wychudłą szyją i surowymi rysami twarzy. Miała w sobie charakterystyczny lód Genovese – ten sam chłód, który przyniosła do mojej sali szpitalnej Elena Genovese-Falcone. Siostry były swoimi odbiciami; otoczone rywalizującymi mafijnymi rodzinami, czekając by się powybijają nawzajem. I Donata posiadała własny błyszczący nocny pałac, w którym mogła knuć.

Millie przycisnęła opuszkę palca wskazującego do ekranu, na którym widniało ujęcie wnętrza Edenu, gdzie wszystko było białe pod sufitem żyrandoli.

- Musimy iść – zdecydowała. – Po prostu *musimy*.

- A co jeśli nie spodoba mi się, co on ma do powiedzenia? – sprzeciwiłam się. Nie miałam wątpliwości, że mi się nie spodoba.

- To wyjdziemy. I to będzie koniec, Sophie. Wysłuchasz go.

Wygryzałam sobie wzór na dolnej wardze wpatrując się w ekran i odgrywając w myślach wszystkie możliwe sposoby, jak to może się rozegrać. Jak wielki gniew poczuję na jego widok? Jak bardzo wściekły będzie on? I Donata. Jaką miała w tym wszystkim rolę? Jeżeli miałabym osądzać po Elenie, to kobiety Genovese wystarczyły mi na całe życie.

- Sophie, *spójrz*. – Millie stuknęła paznokciem w następne zdjęcie, które tym razem pokazywało inne piętro gdzie wszystko składało się z bambusa i parkiet taneczny oświetlały ze wszystkich stron pochodnie. – To najbardziej ekskluzywny klub w całym mieście. *Musimy iść*.

Logistyka faktycznego dostania się do środka wciąż była mglista. Millie miała dość dobry, fałszywy dowód osobisty. Ja nie miałam. Jeżeli ta szkarłatna wizytówka była moją wejściówką do Edenu, miałam problem, ponieważ znajdowała się w kieszeni Nico.

Głupi Nico.

Zabarykadowałyśmy się w sypialni Millie i przejrzałyśmy wszystkie ciuchy w jej garderobie.

- Jeśli chcemy przejść przez bramkarzy musimy wyglądać seksownie, ale nie zdzirowato. To bardzo cienka granica – orzekła Millie, podnosząc i odrzucając kwiecistą sukienkę baskinkę. Przyjrzałam się kremowej bluzce z szyfonu. Millie wyrwała mi ją i rzuciła na ziemię. – Powiedziałam seksownie, nie jak polityk!

Po niecałej godzinie niezdecydowania Millie wybrała niebieską sukienkę bez ramiączek, gruby srebrny naszyjnik i kolczyki kółka. Ja zdecydowałam się na czarną obcisłą sukienkę na cienkich ramiączkach z koronkowym obszyciem. Pożyczyłam prosty złoty łańcuszek i kolczyki ze sztyftem, dopasowując do ubioru lakierowane czarne botki Millie. Ta uparła się, żeby ułożyć mi włosy i zrobić makijaż.

- Voila! – krzyknęła triumfalnie, odwracając mnie do lustra.

Spojrzałam oniemiała na moje odbicie. Zostałam zrobiona na Barbie. Sukienka była malutka i taka obcisła, że przylegała do każdego centymetra mojego ciała. Moje włosy nadały nowego znaczenia słowu „objętość” i lakier zamienił je w skrzący się blond kamień. Oczy miałam podkreślone tak grubą warstwą czarnej kredki, że trudno było znaleźć w nich błękit, a usta zostały tak bardzo nabłyszczone, że były dwa razy większe na tle mojej zbrązowiałej i rumieniącej się twarzy.

- No? – Millie poruszyła wymownie pomalowanymi brwiami.

- Wyglądam jak dziwka.

Stała obok mnie.

- Ty też wyglądasz jak dziwka – oznajmiłam.

- Dwudziestojednoletnia dziwka? – Spojrzała na mnie wielkimi, pełnymi nadziei oczami.

Eden był eleganckim dwupiętrowym budynkiem na rogu West Grand Avenue. Wznosił się do nieba w postaci czarnego monochromatyzmu i przyciemnianych okien. Na jego rogu dwóch bramkarzy i kobieta o srogiej twarzy z podkładką pilnowali wejścia zagrodzonego aksamitnym sznurem. Nad nimi widniał podświetlony czerwony napis „EDEN”, który rozjaśniał całą ulicę. Na całym piętrze rozciągało się skręcone drzewo ze szkarłatnej wizytówki.

Pomyślałam krótko o Luce i jego pogardliwym zdaniu o mojej inteligencji. Och, gdyby teraz mnie zobaczył.

- Nigdy nie brałam się za idiotkę aż do tej chwili – powiedziałam, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w Eden, kiedy powoli się do niego zbliżaliśmy.

- Naprawdę? – odparła Millie, mrugając ciężko. – Ale zrobiłaś już *tylko* idiotycznych rzeczy.

Skrzywiłam się.

- Jakby co, to jest najmniej idiotyczne, ponieważ wchodzimy do miejsca publicznego i, co ważniejsze, ja tu jestem! – Poruszyła przed sobą dłońmi. – To fajne, wiesz. Niektórzy ludzie czekają, aż odnajdzie ich niebezpieczeństwo, ale nie ty, ty je ścigasz. Mówisz: „Hej, Niebezpieczeństwo, idę o zakład, że się mnie nie spodziewałeś. Chrzań się”. Nie czekasz na delfina.

- Huh?

- *Delfina* – powiedziała wymownie. – Nie czekasz, aż delfin uderzy cię w twarz.

- Och. – Przytknęłam do niej głowę, jak dotarliśmy do klubu, uśmiechając się mimo wszystko, ponieważ znalazłam sobie równie dziwną przyjaciółkę, co ja. Uśmiechałam się, ponieważ starałam się nie wpaść w panikę.

Przed wejściem tłoczyły się dwie kolejki; pierwsza była krótka i szybko się przesuwała. Druga ciągnęła się wzdłuż całego budynku i ulicy, i poruszała się tempem ślimaka.

Millie przerzuciła włosy przez ramię i podeszła wolnym krokiem do mniejszej kolejki elity. Poszłam za nią, układając usta tak, by wyglądać na ważną i kapryśną.

Kobieta z podkładką zmierzyła wzrokiem nasz ubiór. Rozciągnęła wąskie czerwone usta w zadowolonym uśmiešku.

- Nazwiska?

Millie wyciągnęła już z torebki swój dowód osobisty.

Kobieta nie spojrzała ani na jej dowód ani na swoją podkładkę.

- Przykro mi, dziewczyny. Nie ma was na liście. Będziecie musiały pójść na koniec kolejki.

Millie najeżyła się.

- Nawet pani nie sprawdziła.

Wrócił jej uśmiezek. – Skarbie, nie muszę sprawdzać.

Millie zaśmiała się ostro.

- Wypraszam sobie. Być może potrzebuje pani przypomnienia, kim jesteśmy?

Na twarzy kobiety pojawiło się zawahanie. Przeniosła wzrok na mnie.

- Nazwisko? – zapytała mnie.

- Sophie Gracewell – powiedziałam. – Mam... spotkanie z wujkiem.

Spotkanie?

Doskonała odpowiedź.

Znów przejrzała listę.

- Sophie – mruknęła, podnosząc kartkę do góry, by spojrzeć na drugą.

Millie wysunęła głowę do przodu, tak że prawie znajdowała się nad podkładką.

- Jej wujek przyjaźni się z Donatą Marino.

Natychmiast spuściła z tonu.

- Panno Gracewell – powiedziała, odpinając sznur i odsunęła się, żeby mnie przepuścić. – Najmocniej przepraszam. Oczekujemy cię. – Przyjrzała się Millie z kiepsko ukrytą pogardą.

- Chyba miała pani na myśli „was” – powiedziała Millie. Jej uśmiech był rozkosznie fałszywy. – Nie chcielibyśmy drugiej wpadki, prawda?

Podkładkowa Suka westchnęła i wycofała się, by zrobić miejsce także dla Millie.

- Drogie panie – oznajmiła – witam w Edenie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ZASADZKA

Przeczesałyśmy parter i piętro, rozglądając się po parkiecie i wsuwając pomiędzy łoże, a zasłony. Staraliśmy się nie przewrócić kieliszków drogiego szampana, gdy wciskałyśmy się pomiędzy stoliki pełne modelek i mężczyzn w lśniących garniturach. Wychyliłyśmy parę szklanek wódki z sokiem dla odwagi, po czym wspięłyśmy się po ostatniej kondygnacji schodów.

Drugie piętro było mniejsze. Zostało umeblowane ciemnym drewnem i grubymi bambusami, a złote płomienie rzucały smugi na ściany. Szereg drzewek w donicach wsadzonych w podłogę wspinał się ku sufitowi, ich patykowate gałęzie rozciągały się u góry w baldachimie woskowych liści. Miało się wrażenie, że wchodzimy do wspaniałego safari, tyle że my byłyśmy zwierzętami.

Na dalekim końcu pomieszczenia znajdowała się mała scena, na której nuciła do mikrofonu dziewczyna z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i krzywdzącymi oczy spodenkami wyszywanymi cekinami. Trudno było się nie gapić. Przypominała katastrofę kolejową, płynąc po scenie i ściskając kurczowo mikrofon, jakby był jej kołem ratunkowym. Drugie piętro było o wiele cichsze niż pozostałe, zapewne za jej sprawą.

Tuż za stukniętą piosenkarką znajdowała się ustronna część wypoczynkowa. Oddzielała ją od nas kurtyna i przed wejściem stał krzepki bramkarz wpatrujący się badawczo w mały tłum. W całym klubie to pewnie było najbardziej niedostępne miejsce i stąd wiedziałam, że znajdę tam Jacka.

Przekroczyłyśmy pusty parkiet taneczny i zatrzymał nas bramkarz.

- Teren prywatny, panienki.

Zerknęłam za niego. Tam, otoczony grupką pijących i gawędzących z ożywieniem osób, siedział wujek Jack. Natychmiast mój wzrok przykuł siedzący obok Eric Cain, którego łatwo dało się dostrzec przez płomienne włosy. To on postrzelił Lucę. Na stoliku rozsypano kreski białego proszku i pochylał się do przodu ze zrulowanym banknotem w ręce, wciągając go zachłannie i szkarłatne włosy przesłoniły mu oczy. Podniósł głowę i poruszył nosem jak królik.

Jack odrzucił głowę do tyłu, oczy łzawiły mu rozbawieniem. Ostatnim razem, jak wiedziałam mojego wujka wykrwawiał się na brudnej ziemi, a teraz siedział sobie tutaj z cygarem w jednej ręce i drinkiem w drugiej, zaśmiewając się jakby nie miał żadnych zmartwień.

Pokazałam go bramkarzowi. – To mój wujek. Przyszłam się z nim zobaczyć.

Jakby przypominając sobie jakąś instrukcję, odsunął się na bok i wpuścił nas. Pierwsza zauważyła mnie Sara. Stała z dala od większości grupy, a przez jej umalowaną twarz przenikał niepokój. Wyglądała dokładnie tak, jak się czułam. Górował nad nią wysoki, tyczkowaty mężczyzna. Był o wiele starszy ze szpakowatymi włosami skręcającymi się przy czaszce. Miał kocie oczy przechylające się do góry w kącikach i błyszczały bursztynem w półmroku. Ostry jak brzytwa uśmiech był zbyt wykrzywiony i całkowicie pozbawiony wesołości. Obserwował mnie. Odwróciłam wzrok. *Skup się.* Sara podeszła do mojego wujka i położyła delikatnie rękę na jego ramieniu. Oderwał wzrok od swojej zgrai i zobaczył, jak wwiercam w niego oczy.

Jack poderwał się na nogi i nim zdążyłabym go powstrzymać, przygniatał mnie do swej piersi. Jego drink zachlupotał obok mojego barku, a cygaro iskrzyło się niebezpiecznie blisko moich włosów.

- Tak bardzo się cieszę, że przyszłaś, Sophie. Bardzo się o ciebie martwiłem. – Odepchnęłam go. Jack pokazał na pobliską kanapę i znów zajął miejsce. Wygasił cygaro, poklepując zachęcająco miejsce obok siebie. – Usiądź, proszę. Mamy wiele do obgadania.

Niedopowiedzenie.

Wyglądał lepiej niż się spodziewałam, biorąc pod uwagę fakt, że kiedy widziałam go po raz ostatni to zasadniczo umierał. Był szczupły i dobrze ubrany w ciemnoszary garnitur. Siwiejące brązowe włosy zostało przycięte i ogolił się, przez co jego twarz wyglądała młodziej. Był bledszy niż zwykle, na policzkach brakowało rumieńca, ale oczy jaśniały.

Niedaleko Jacka siedziała na brzegu wyprostowana kobieta, splatając na kolanach kościste palce. Przypominała ptaka z wielkimi czarnymi oczami podkreślonymi fioletowym cieniem do powiek. Donata Marino. Patrzyła na mnie Donata Marino.

Przysunęłam się, żeby usiąść. Millie została przy wejściu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. *Niedługo cię znajdę,* powiedziałam bezgłośnie. Wiedziałam, że chciałyby zostać w goście solidarności, ale musiałam porozmawiać z Jackiem bez niej. Nie będzie chciał wyznać swoich planów w jej obecności, a zamierzałam dostać tyle odpowiedzi ile się dało.

Millie wysunęła się z za bramkarza i wróciła do rajskiego otoczenia za nami, kiedy ja usadowiłam się na kanapie, trzymając się bliżej Jacka niż Donaty, która siedziała po mojej lewej, silniejsza z dwojga złego. Czułam na policzku chłód jej spojrzenia.

Jack otoczył mnie ramieniem, narzucając mi zapach alkoholu i potu.

- Dziękuję, że przyszłaś. – Był taki szczery, taki poważny... taki podobny do siebie, do wujka, którego pamiętałam z dzieciństwa. A jednak, kiedy rozejrzałam się po jego otoczeniu wszystko znowu się rozmazało. Te jego dwie strony nie zgadzały się ze sobą i

wersja, która weszła do tamtego magazynu była tą, z którą przyszedłam się skonfrontować.

- Prawie nie przyszedłam – powiedziałam, wysuwając się spod jego ramienia. – I to nie ma być szczęśliwe spotkanie.

Jack miał czelność się zaśmiać.

- Nie cieszysz się chociaż, że przeżyłem?

- Nigdy nie chciałam twojej śmierci. Nie myślę w taki sposób.

- Wiem – powiedział. – Inaczej zdemaskowałabyś mnie tam w magazynie. Ale odwiódłś ode mnie tego dupka Falcone'a i jestem ci za to winny życie. Jesteś lojalna, Sophie i przepraszam, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Gdybym wiedział, co się stanie wysłałbym cię w jakieś bezpieczne miejsce. Zaufaj mi, już więcej nie popełnię tego samego błędu.

Zacisnęłam usta, czekając.

- Mamy wiele do obgadania – powiedział znowu. – Mam nadzieję, że kiedy zrozumiesz już moją pozycję przestaniesz mnie nienawidzić.

Mówił, jakby to było takie proste, jakby życia dziesiątek ludzi nie wisały na włosku. Jakby nie był chroniony przez jedną z najbardziej bezwzględnych rodzin w Chicago. Nie wiedziałam nawet, o co najpierw zapytać. Tyle było do powiedzenia, a jednak, kiedy już tu byłam, siedziałam obok niego, patrzyłam na niego... odebrało mi mowę.

- Jack. – Westchnęłam ciężko. – Jak do tego doszło?

Patrzyłam na niego błagalnie, jak dziecko pytające czy Święty Mikołaj jest prawdziwy, ale niechcące usłyszeć prawdy.

- Pragnęłam lepszego życia. – Jego odpowiedź była pozornie prosta i nie tym, czego się spodziewałam. – Pragnęłam wznieść się ponad moją pozycję.

- *To*, Jack – powiedziałam, starając się o większą dokładność, skoro jego odpowiedź była tak boleśnie wymijająca. To nie powinno być takie proste... rzeczy, które robił, handel narkotykami, zabijanie. – Jak doszło do tego, że jesteś *tutaj*?

- Tutaj jestem bezpieczny, Sophie...

- Wiesz, że to pewnie rozpocznie wojnę? Czy tego właśnie chcesz?

Jack zawahał się i po raz pierwszy wyglądał na niepewnego. Ale miałam wrażenie, że to nie przez moje pytanie, ale moją wiedzę o rozejmie, którą właśnie zdradziłam. Nie myślałam, żeby cokolwiek przed nim ukrywać; byłam zbyt zdeterminowana zmuszeniem go, żeby przestał mieć sekrety przede mną.

Spojrzał z ukosa na Donatę. Coś pomiędzy nimi przeszło, przebłysk rozbawienia, nieme zrozumienie. Miała pajęczy uśmiech.

- Twoja bratanica wie więcej niż oczekiwałam.

Wykręciłam ręce na kolanach, rumieniąc się.

- Czy nie każdy o tym wie?

Donata dalej patrzyła na Jacka. Skinęła raz głową i zwęziła oczy, mówiąc:

- *Fidelitate Coniuncti.*

- Jeszcze nie – odparł, rozglądając się teraz wkoło.

Zdecydowanie coś pomiędzy nimi było i dotarło do mnie z bezgłośnie odrazą, co takiego. Podniosłam się, czując się nagle rozgrzana i lepka.

Jack poderwał się do góry.

- Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację, Soph.

Odwróciłam się do niego, próbując zlekceważyć lodowatą falę uwagi Donaty.

- *Jak mógłbyś to wyjaśnić?* – Niespodziewana przenikliwość mego głosu wyrwała niektórych od rozmów. – Zabawiasz się z narkotykami i mafią, i przymilasz się do niej, żeby uratować własny tyłek, chociaż *wiesz, jakie* to niebezpieczne, ilu ludzi mogłoby zginąć, jeśli rozejm zostanie złamany. *Co mógłbyś* takiego powiedzieć, żeby to wszystko brzmiało dobrze?

Westchnienie Jacka sprawiło, że wydawał się mniejszy.

- Wszystko sprowadza się do pieniędzy, Sophie. Gdy byłem młody musiałem zadać sobie pytanie: jak mogę wykorzystać swoje talenty, żeby nie wylądować na najniższym szczeblu społeczeństwa, próbując wydostać się przez całe życie z ubóstwa? Twój ojciec i ja nigdy nie dostaliśmy szansy, żeby dobrze przeżyć nasze życie. Mieliśmy tylko swój spryt i ambicję do...

Najeżyłam się.

- Nie mieszaj do tego mojego ojca. On nie ma nic wspólnego z twoim zdeprawowanym dilerowaniem!

Jack zacisnął mocno rękę na moim ramieniu.

- Uspokój się. Urządzasz scenę.

- To wszystko jest już sceną! – syknęłam, pokazując otwarcie na kokainę znajdującą się dwa kroki dalej, na głośno przeżuwaną szczękę i rechoczący śmiech Erika Caina, na

piszczące dziewczyny w kącie polewające się szampanem. – Nie powinieneś tu być! Powinieneś być daleko stąd.

Jack zacisnął zęby.

- Nie zostawię cię.

- Nalegam, żebyś mnie zostawił. – Przysunęłam się bliżej, wycinając Donatę z tej rozmowy i ściszyłam głos. – I powinieneś również zostawić tych ludzi nim będzie za późno.

Jack pokręcił głową, jego twarz została nagle pozbawiona jowialności.

- Sophie, tkwimy w tym razem.

- Moja rodzina nie tkwi w tym z tobą, Jack – wydusiłam przez zaciśnięte zęby. – Kiedy to w końcu do ciebie dotrze?

- Twój ojciec zbudował całe swoje życie i rodzinę na pieniądzach, które *ja* mu dałem na restaurację. „U Gracewellów” może być zwieńczeniem dorobku Mickey’ego, ale ma fundamenty na moim handlu...

- Nie – wyplułam. – Przestań! – Miałam dosyć bycia manipulowaną przez ludzi ze skorumpowanymi morałami i ładnymi słowami. Miałam dosyć wysłuchiwania ludzi, dawania im kredytu zaufania po to tylko, by został mi odrzucony w twarz. Nie po to tutaj przyszedłam, żeby być obserwowaną przez Donatę i jej kumpli, żeby być okłamywaną przez wujka, żeby być przerażona myślą, iż byłam z nim związana, że ktoś taki jak on był moją kotwicą.

Odwróciłam się od niego, mierząc wzrokiem wyjście. Sara patrzyła na mnie. Mężczyzna z ostrym uśmiechem wciąż stał w pobliżu, teraz przyglądał się jej. Po moim kręgosłupie przeszedł dreszcz niepokoju. Pochyliła głowę i uśmiechnęła się współczująco. Czy ona również miała nadopiekuńczego wujka? Czy była zmuszona do tego życia w ten sam sposób, co Falconowie byli wychowywani na jedną jedyną rzecz? Czy wstydziła się swojej rodziny tak samo jak ja? Byłyśmy mniej więcej w tym samym wieku. Ale ona utknęła tutaj, a ja nie zamierzałam.

Jack stanął pomiędzy nami i przysunął twarz blisko mojej. Nasze oczy – te same oczy – wwierały się w siebie.

- Sophie, ty i ja jesteśmy rodziną, i pragnę cię przy swoim boku, gdzie będziesz bezpieczna. Tutaj jest twoje miejsce.

Zbladłam.

- Mam matkę – warknęłam. – Matkę, która prawie przez ciebie zginęła i uwierz, że nie zamierzam o tym zapomnieć. – Zaskwierczał we mnie narastający gniew. – Przyszedłam tu, żeby cię wysłuchać, ale to był błąd. Cieszę się, że jesteś bezpieczny. Cieszę

się, że mój ojciec nie musi opłakiwać młodszego brata w więzieniu, ale nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Ani teraz, ani nigdy. Żegnam się. *Na dobre.*

Zrobiłam krok do tyłu, ale poszedł za mną. Na jego policzkach wykwitły różowe plamy.

- Sophie – powiedział zaskakująco łagodnie, jednak przerażająco. Stał na jakiejś krawędzi, rzucając oczami na boki, to na Donatę, to na swoich kumpli. – Teraz nie ma już wyjścia.

Uniosłam podbródek, stał wpatrywała się w stal.

- Dla mnie jest, Jack. Ty może wykułeś swoją lojalność – pokazałam na Donatę, po czym machnęłam ręką wokół, obejmując klub, jego hedonizm i całą resztę złych rzeczy – ale jestem wierna mojej matce i *tylko jej.*

Welon złości naprostował rysy twarzy Jacka.

- *Tylko jej?* – zapytał, zwężając oczy. – A co z Falconami? – Wypluł nazwisko.

Gdzieś zza niego dobiegło mnie włoskie przekleństwo. Donata.

- Nie mam nic wspólnego z Falconami – upierałam się.

Jack wygiął brew.

- Byłem w tamtym magazynie, Sophie. Jesteś kluczem do ich zguby; odpowiedzią na moją wolność. Uda nam się to z pomocą Marino. – Jego głos wzrósł o oktawę i oczy przybrały maniackalny wyraz. – Nareszcie uwolnimy Chicago od tej gnijącej rany w postaci prawych głupców. Zadamy im tyle ciosów, ile oni zadali tobie. Powiesimy Valentino w jego wózku. Utopimy Felicego w jego własnym miodzie. Odrąbiemy głowę Luki Falcone'a od jego ciała.

Ścisnęło mnie w żołądku i przycisnęłam rękę do ust. A więc *chciał* wojny. Sam ją organizował.

Obróciłam się, badając liczbę – liczbę otaczających nas członków rodziny Marino. Być może nie byli przygotowani, kiedy zgodzili się na rozejm, ale teraz byli bardzo gotowi. Czy byli tutaj również zaginieni bliźniacy Marino? Pragnący zemsty, wszyscy zjednoczeni nienawiścią?

Donata śmiała się... to był piskliwy odgłos zadowolenia. Nienawidziłam jej. Nienawidziłam. Nienawidziłam. I było mi niedobrze, tak niedobrze, że nie zdołałabym znieść kolejnej sekundy ich towarzystwa.

- Wychodzę. – Odwróciłam się. – To był błąd.

Przepchnęłam się obok bramkarza i wyszłam na główną salę. Ale znów zostałam zatrzymana, tym razem przez Sarę. Prawie na nią wpadłam. Uniosła ręce.

- Poczekaj – powiedziała. – Proszę.

- Myślałam, że mu na mnie zależy, ale nie. Jestem tylko pionkiem. – Stłumiłam płacz, przetykając ciężko ślinę przez rosnącą gulę w gardle. – Chcę wracać do domu, Saro.

- Wiem – powiedziała, odciągając mnie na bok, żeby nie usłyszeli nas kręcący się za nami ludzie. Nawet Ostry Uśmiech był poza zasięgiem słuchu i nie był z tego powodu zadowolony. – Ale nie możesz tak wyjść. Ona ci na to nie pozwoli, jeśli będzie myśleć, że nie weźmiesz nawet pod uwagę, żeby jej pomóc.

Spojrzałam przez ramię. Donata stała na krawędzi parkietu tanecznego, obserwując nas.

- Więc co mam zrobić?

Westchnienie Sary zawisło w powietrzu.

- Zgódź się na wszystko, czego zechce.

- Zwariowałaś?

Przysunęła się tak blisko, że nawet jej usta koloru fuksji nie mogły zostać odczytane.

- Nie każę ci mówić prawdy, powiedz tylko, że się zastanowisz. Moja matka nie lubi odmowy. Nie wyjdiesz stąd z uśmiechem, jeżeli nie będziesz przynajmniej udawać, że ją szanujesz.

- Dlaczego mi pomagasz?

Opuściła wzrok i kiedy znów przemówiła była jedynie małą dziewczynką w hałaśliwym, efekciarskim klubie, do którego nie pasowała. W tej chwili uderzyło mnie to tak wyraźnie, iż miałam natarczywą i dziwną ochotę ją przytulić.

- Ponieważ byłam tobą, Sophie – powiedziała, oglądając się przez ramię. – Chciałam uczyć się muzyki, pozwiedzać świat, spędzać czas z przyjaciółmi, robić *dobre* rzeczy i być dobrą osobą. Nadal *jestem* tobą na wiele sposobów, więc rozumiem. Mamy w sobie taką krew... ludzi, którzy myślą, że mogą wypowiadać się za nas. – Zaczęła drapać się po ramionach, jakby mogła wydrapać z siebie to wszystko, gdyby wystarczająco się postarała. Złapałam ją za ręce i odsunęłam od ramion, żeby przestała. Opadły bezwładnie po jej bokach. – Masz szczęście. Jest dla ciebie jeszcze inne życie. Musisz być tylko wystarczająco mądra, żeby się go trzymać, wrócić do niego. A to znaczy, że być może będziesz musiała odegrać rolę...

Zostałam oderwana brutalnie od dziewczyny z dobrym sercem i wielkimi marzeniami. Pięć patykowatych palców zacisnęło się na moim nadgarstku, długie czerwone paznokcie wbiły w skórę jak szpony. Obrócono mnie do twarzy Donaty i Sara zniknęła w tłumie za mną. Usta Donaty zadrżały w próbie czegoś, co chyba uważała za uśmiech.

- Nie skończyłyśmy jeszcze.

Patrzyła na mnie spod ciężkich powiek i czułam się przytłoczona tym spojrzeniem. Pomimo łagodnej obecności Sary, jej przyjaznych słów i skromnej natury *to* była prawdziwa rodzina Marino i nie potrafiłam udawać, że ich lubię.

Jack kręcił się za Donatą. Miał grymas na twarzy i po raz pierwszy wyglądał na skrępowanego. Jednak pozwolił, żeby tak mnie trzymała, wbijając paznokcie tak mocno w skórę, że poleciała krew.

Donata odrzuciła głowę do tyłu.

- Anthony – zawołała ptasim głosem. – Anthony, już czas! – Przyglądałam się ludziom za nią, którzy wbijali spojrzenia w tył jej głowy, ale kimkolwiek był Anthony – jej synem? Potencjalnym katem à la Calvino Falcone? – albo za bardzo bał się odpowiedzieć na jej wołanie, albo wcale go tu nie było. – Marco! Libero! – wołała, ale dalej nikt nie przychodził. Muzyka grała zbyt głośno.

- Nie mogę nic dla was teraz zrobić – powiedziałam opanowanym głosem. – Mam migrenę i muszę wracać do domu. Wrócę innego dnia – dodałam, słuchając rady Sary.

Za nami piosenkarka wykrzykiwała słowa piosenki pop z lat

dziewięćdziesiątych. Donata Marino natarła na mnie.

- Pójdiesz, kiedy zgodzisz się nam pomóc – rzuciła gniewnie.

Jack podszedł bliżej do mnie, okrążając ją jakby była napromieniowana.

- Donato – ostrzegł. – Przerażasz ją.

Wywróciła oczami, ale udało mu się ją uciszyć. Złagodził głos, faszerując go delikatną siłą, jakby rekompensował agresję Donaty.

- W restauracji znajduje się coś mojego, Soph, ale Falconowie obserwują ją dniami i nocami. To zbyt niebezpieczne, żebyśmy tam weszli. Ale ty możesz. Możesz pomóc to zabezpieczyć. Wkradniesz się tam nietknięta i przyniesiesz nam to.

- Sam sobie weź. – Słowa wyleciały z moich ust zanim znaczenie tego, co powiedział osiadło nisko w moim żołądku.

- Jest tam sejf – ciągnął Jack. – I my...

- Nie – wysyczałam. – Nie ma mowy.

Naprawdę mogłabym się wtedy roześmiać. Za jaką oni mnie brali wariatkę? Patrzyli na mnie, czekając aż zmienię zdanie. Miałam strasznie ciężką głowę. Nagle miałam wrażenie, że cały klub zrobił się trzy razy większy. Parkiet taneczny zaczął się wypełniać. Gdzieś za mną zaczęli przepychać się ludzie. Piosenkarka wciąż wrzeszczała.

Dostrzegłam w tłumie Millie, która próbowała do mnie dotrzeć.

- Musimy iść! – zawołała, przepychając się do przodu. – Coś się dzieje.

Jack pojawił się przede mną w okamgnieniu, blokując mi wyjście.

- Sophie, wiem, że to nie jest idealna sytuacja, ale stawką są wielkie pieniądze. Gdybyśmy tylko mogli usiąść i to przedyskutować... Twój tata chciałby, żebym ci pomógł. Chciałby, żebym zapewnił ci bezpieczeństwo.

- To ty narażasz mnie na niebezpieczeństwo. – Wycofałam się chwiejnie w tłum. Ludzie wokół otaczali mnie, dusili.

Coś uderzyło mnie w plecy i uderzyłam nosem w klatkę piersiową wujka. Po jego bokach byli Ostry Uśmiech i Eric Cain, krzyczeli i odciągali go ode mnie, ale Jack się opierał. On także krzyczał, jego twarz była szkarłatna od świeżej furii.

- Jak mogłaś mnie zdradzić? Jak mogłaś nam to zrobić? – Potrzebowałam dodatkowej chwili, żeby zorientować się, że krzyczał na mnie. Ale nic nie zrobiłam. Odsunęłam się od jego grupki, wpadając w przepychające się ciała.

Słyszałam wrzaski Millie, ale krzyczeli również inni... męskie głosy. Głosy, które rozpoznawałam. Zostałam szarpnięta do tyłu. Napierały na mnie ciała. Upadłam na kogoś, uderzając się w tył głowy. Ktoś podciął mi kostkę i straciłam równowagę, ugięły się pode mną nogi.

Wszystko wydarzyło się w ciągu kilku sekund. Wylądowałam z hukiem, który pozbawił mnie tchu, a wtem pojawił się krążący nade mną Nico. Rzucił się na Erika Caina, który był błyskiem powiewających rudych włosów i bladej skóry. Nico złapał go za gardło i pociągnął w dół, wbijając mu kolano w twarz. Niemal usłyszałam roztrzaskujący się nos Erika, kiedy padł na ziemię. Nico kopnął go w plecy, a siła tego ciosu wygięła jego ciało w literę S. Jeszcze raz go kopnął i szczupła sylwetka Erika wykręciła się i zwinęła poza zasięgiem wzroku. Nico wyciągnął nóż. Niejako ogłuszona i zdyszana pomyślałam: *Zaraz będę świadkiem, jak Nico kogoś morduje.*

Nagle pojawił się Jack i uwaga Nico została odwrócona. Rzucił się w lewo i zniknął w morzu bezimiennych ludzi, goniąc za moim wujkiem. W uszach zadzwonił mi głos Felicego Falcone'a. Był gdzieś w pobliżu, wykrzykiwał rozkazy spokojnym głosem w chaosie. Szarpałam się na posadzce, próbując się podnieść na ślizgających szpilkach. Ktoś wymachiwał nade mną bronią i rzuciłam się do tyłu, kuląc na ziemi.

Tłum powiększył się tak bardzo, że miałam nad sobą sam mrok. Nie widziałam już Millie, nie mogłam znaleźć Nico ani Jacka. Krzyczałam, ale nikt mnie nie słyszał; nikt nie słuchał. Przesunęłam się do tyłu, ponownie próbując się podnieść, ale ktoś powalił mnie na ziemię. Rozległ się ochryply głos. Calvino Falcone ze swoją lśniąca łąsą głową odbijającą światło. Przeszedł nade mną, kopiąc mnie butem w kostkę. Przeczółgałam się

w jego kierunku, usiłując wyrwać z morza kończyn, które nie dawały mi wstać, ale zatrzymał się nagle i cofnął chwiejnie.

Odrzuciłam ciało w prawą stronę i padłam na kolana obok mnie. Wyciągnęłam rękę, żeby wykorzystać jego ramię jako podporę, ale był zbyt szybki. Zerwał się niezdarnie i rzucił na coś. Znowu zostałam popchnięta do tyłu. Okryła mnie ciemność. Obok przebiegł Gino, celując pistoletem w niewidzianą przede mną osobę. Potem pojawił się kształt – szeroki, wysoki i przechylający się do tyłu. Calvino przewrócił się na mnie i zostałam przygnieciona do podłogi. Leżałam bez tchu pod jego sylwetką.

Ktoś wykrzykiwał moje imię. Nic nie widziałam. Wszędzie była czerwień. Zalewała podłogę. Miałam w niej całe ręce. Zalewała mi uszy. Weszła mi pomiędzy palce i sklejała włosy. Moje buty ślizgały się na tej gęstej, ciepłej cieczy, miałam zamazany wzrok od jej objętości. Łapałam z trudem powietrze, ale wszystko dziwnie pachniało, jak rdza i sól, a w ustach miałam posmak metalu. Krztusiłam się, próbując uwolnić od wielkiego ciała Calvino. Dlaczego jeszcze nie wstał?

Wtedy mnie oświeciło. Był martwy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

UCIECZKA

Napierałam na bezwładne ciało Calvino, próbując przesunąć okazałą górę mięśni. Stoczył się ze mnie, lądując z hukiem twarzą do ziemi. Upadł na rękę i jego nogi wykrzywiały się pod dziwnym kątem. Wokół nas zbierała się krew. Miałam ją na rękach i nogach, on był w niej cały. Miał w plecach mnóstwo ran kłutych.

Mój żołądek się zbuntował i zwymiotowałam wódką na posadzkę. Wymieszała się z krwią, błyszcząc w świetle. Rzuciłam się do przodu i wstałam z ziemi wciąż zlaną paniką.

Każdy uciekał. Mignęły obok mnie smugi twarzy, wszystkie powykręcane w przerażeniu. Millie zniknęła... wszyscy zniknęli, Falconowie, Marino, Jack i zostałam sama zmoczona krwią Calvino. Zeszłam chwiejnie po schodach, próbując uciec od krzyków dźwięczących mi w uszach. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że to ja krzyczałam.

Zbiegłam na dół, potykając się na szpilkach. Gdy dotarłam na parter, wpadłam w dziki tłum domagający się wyjścia. Wołałam Millie, ale utknęłam w roju i nigdzie jej nie było. Wcisnęłam się pomiędzy ciała, przepychając na przód. Jeśli coś jej się stało, to nigdy sobie nie wybaczę. Nie powinnam była jej tutaj przyprowadzać... sama nie powinnam była przychodzić. Byłam złą przyjaciółką, *najgorszą* i im większy czułam napór ludzi, tym wyżej sięgała moja panika.

Na zewnątrz wszystko było zamglone. Powietrze było zbyt gęste i wilgotne. Gdzieś w oddali wyły syreny. Przeszłam chwiejnie przez ulicę. Powrócił ból żeber i całe moje ciało wpadło w drgawki. Chwyciłam się za boki i parłam do przodu, chcąc jak najszybciej oddalić się od klubu.

Po drugiej stronie ulicy spróbowałam skierować się do miejsca, gdzie wcześniej zaparkowała Millie, ale byłam zdezorientowana; nic nie pamiętałam. Ile minęło czasu? Godzina? Dwie? Krew we włosach zaczęła spływać mi na twarz i wlewać do oczu, mieszając się ze łzami. Wyciągnęłam komórkę, zginając się w pół, kiedy przeszło mnie stare cierpienie. Ekran był ciemny – albo się roztrzaskał, albo rozładował. Potrząsnęłam telefonem i spróbowałam znowu, ale nie rozświetlał się. *Cholera*.

- Millie! – zawołałam, mrugając przez czerwień, wrzeszcząc do nieba. – Millie!

Nagle, płacząca i krzycząca, zostałam wciągnięta do alejki i pchnięta na ścianę.

Oczy Luki przeszły ciemność, kiedy przysunął twarz blisko mojej.

Potem zaczął mnie dotykać, przesuwał palcami wzdłuż pleców, jak stałam przed nim cała drżąca. Po chwili dotarło do mnie, że krzyczał.

- Gdzie dostałaś? Gdzie jesteś zraniona?

Zęby szczękały mi tak mocno, że ledwo mogłam coś powiedzieć. Spojrzałam na jego ręce, które przyciskały się do mojego ciała. Byłam pokryta krwią. Miałam przemoczoną całą sukienkę. Puścił mnie i ugięły się pode mną nogi. Opadłam jak lalka, zgięłam się w pół, dysząc.

Wziął moją twarz w ręce, rozsmarowując kciukami krew i łzy na moich policzkach, jak uniósł moją głowę.

- Sophie, musisz się skupić. Muszę znaleźć ranę.

Zamrugłam i na policzki wylały się świeże łzy.

- Nic mi nie jest – powiedziałam, trzęsąc się. – Nic mi nie jest.

- No dalej – nalegał. Przywarł do mnie ciałem, podtrzymując mnie w wyprostowanej pozycji i przesunął palcami po mojej szyi, wsunął we włosy, szukając gorączkowo. – No dalej – szepnął. – Pomóż mi. Musisz mi pomóc.

- To nie moja krew – wyszlochałam, złapałam jego ręce i ścisnęłam mocno. – To nie moja krew!

Luca zastygł, kiedy uderzyły go moje słowa. W końcu zrozumiał i powoli jego twarz zaczynała tracić wyraz paniki. Opuścił ręce i odsunął się.

- Myślałem...

Nico wpadł do wąskiej alejki, ciągnąc za sobą Millie. Zderzył się z Luca, wytrącając go z równowagi.

- Mam ją – mówił. – Znalazłeś... - Umilkł na mój widok. Otworzył szeroko oczy i przeklął tak głośno, że Millie krzyknęła.

Luca chwycił Nico za kołnierz i odciągnął w głąb alejki.

- *Calmati! Calmati!*

Nico dalej wrzeszczał.

Luca przyparł go do ściany.

- To nie jej krew! Nie jej krew!

Millie rzuciła się na mnie, obejmując za szyję.

- Soph. Tak. Bardzo. Się. Martwiłam. Nigdzie. Cię. Nie. Widziałam... - urwała, wybuchając płaczem, kiedy odciskałam na jej ciele krew Calvino.

Syreny były coraz bliżej i Nico zaczął mnie ciągnąć. Zabrałam ze sobą Millie.

- Musimy stąd uciekać. Już!

- Mój samochód jest tam! – Pokazała w stronę klubu, syren, chaosu. Mina jej zrzedła, kiedy dotarła do niej niemożliwość tego wszystkiego. – *Szlag*.

- Chodźcie – powiedział Nico, szarpiąc nas za sobą.

Poszłyśmy za braćmi Falcone alejką, kuśtykając w butach na obcasach. Syreny rozdierały noc, coraz bardziej się zbliżając. Na końcu uliczki wypadliśmy na parking.

Luca wskoczył do swojej terenówki i odpalił silnik. Nim zorientowałam się, co robię, wsiadałam już na tylne siedzenie, sadowiąc się obok Millie i rozcierając krew na ich skórzanych siedzeniach. Musieliśmy być wszędzie indziej tylko nie tu. Nico wsiadł na miejsce pasażera i Luca ruszył.

- Jedź bocznymi drogami – polecił Nico Luce.

- Wiem – burknął. – Dorwałeś go?

- Był zbyt szybki.

Luca przeklął.

- Mówiłem Valentino, że to zły pomysł.

- Lepszy niż żeby przyszli do nas pierwsi.

- To było niewłaściwe terytorium.

Od ich rozmowy wyrwał mnie krzyk z zewnątrz. Przywarłam do okna, patrząc na parking, z którego wyjeżdżaliśmy. Felice i Dom zaciągali kogoś w stronę swojego SUVa. Rozpoznałam plamę fioletowych włosów. Felice wepchnął ją na tylne siedzenie, a Dom wsiadł za nią, przyciskając rękę do jej ust.

Wyjechaliśmy na boczną drogę i straciłam ich z oczu.

- Co oni robią? – zapytałam, przyciskając się do okna i pozostawiając krwawe ślady na szybie.

Nikt mi nie odpowiedział. Millie dalej płakała. Nico i Luca sprzeczekali się po włosku. Jack był nie wiadomo gdzie. Pędziliśmy w noc, oddalając się od kierunku Cedar Hill i syren przy klubie. I w niespodziewanym spokoju panującym w aucie eksplodowała mi w głowie jedna bardzo kluczowa informacja.

- Calvino nie żyje! – Wspomnienie zstąpiło na mnie niczym czarna chmura. – Upadł na mnie. To jego krew!

Zaczęło mnie palić w gardle. Millie zgięła się w pół i zwymiotowała.

Luca i Nico zamilkli na przodzie. Wymienili się niespokojnymi spojrzeniami, a potem Nico odwrócił się, pochylając nad podłokietnikiem.

- Wasz wujek nie żyje – powiedziałam, słysząc horror we własnym głosie. – Zginął. Jest martwy.

Nico był tak bardzo spokojny, że wytrącił mnie z równowagi.

- Słyszeliście? – naciskałam. – Rozumiecie, co mówię?

- Wiemy – powiedział Nico. Prosto, beznamiętnie. Ale jego twarz była zbyt spokojna. Ledwo mrugał i zauważyłam poruszający się mięsień w jego szczęce. Luca zaciskał ręce tak mocno na kierownicy, że zbiełały mu knykcie. Millie dalej rzygała.

Dlaczego musieli przychodzić? Wszystko zniszczyli. Teraz ktoś był martwy, a będzie tylko gorzej. Wszystko było brutalnym, parującym bałaganem. Ta głupia szkarłatna wizytówka. Ten głupi chłopak.

Nico przyglądał mi się.

- Złamałeś obietnicę – powiedziałam.

- A ty swoją.

W jego słowach nie było oskarżenia, ale i tak zabolaty. Każda sekunda zdawała się coraz bardziej go oddalać od chłopca, za którego go miałam i zaczynałam się zastanawiać czy oszukiwałam samą siebie – czy potrzeba drugiej osoby, *pragnienie*, żeby druga osoba mnie chciała w świecie, gdzie wszyscy odwrócili się do mnie plecami zamaskowała całą prawdę.

- A czy zamierzałeś w ogóle dotrzymać tej obietnicy? – zapytałam pozornie spokojnym tonem, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie szalejące we mnie uczucia. *Pokaż mi, kim jesteś.*

Teraz ciężko było doszukać się ciepła w jego ciemnych oczach. Były twarde, brakowało im złotych refleksów.

- Nie – odparł. – Nie zamierzałem.

Nareszcie szczerść. Choć bolała. Cóż, przynajmniej tyle mogliśmy sobie dać.

- Ja też nie zamierzałam – powiedziałam. Nie chciałam, żeby sądził, że miał nade mną przewagę, nawet w trakcie tego całego rozlewu krwi i masakry. Duma była dla mnie ważna, a jego zdrada była irytująca.

- Myślałem na odwrót – przyznał, marszcząc brwi. – Ale kiedy powiedziałem Luce, był pewien, że skłamałaś.

Przeszyłam wzrokiem tył głowy Luki. Taki nieufny. Taki poprawny. Po mojej twarzy płynęły łzy. Miałam czerwone plamki przed oczami. W głowie rozgrywał się w kółko obraz przechylającego do tyłu Calvino. Próbowałam się go pozbyć, ale wślizgiwał się ilekroć traciłam koncentrację. Oto nowy koszmar, który zastąpi ten z magazynu. Wspaniale. Przynajmniej tym razem nie będzie musiała cierpieć również moja mama. Świat jest pełen małych cudów... postanowiłam, że za ten będę wdzięczna.

- Tak czy siak byście przyszli – powiedziałam do Nico. To było stwierdzenie, nie pytanie. Wiedziałam, że zrobi wszystko, by dorwać Jacka. Nie można było przepuścić okazji wykonania pierwszego ruchu przeciwko Marino. Moje czyny były przy tym drugorzędne.

- Tak – odparł. – Przyszlibyśmy.

Odwróciłam od niego wzrok, wyglądając przez okno, ale każda cząsteczka mojego ciała wciąż skupiała się na braciach, zastanawiając się, co nas teraz czeka. Ale nie chciałam dłużej mówić o zdradzie Nico. Oboje byliśmy tylko parą kłamców z krwią na rękach i planami ważniejszymi niż ufanie sobie nawzajem.

Jest jak jest.

Opuszczaliśmy miasto, kierując się na zachód i patrzyłam jak znikają za nami latarnie. Millie kuliła się przy mnie na tylnym siedzeniu.

- Soph, bardzo się boję. Naprawdę nie chcę dzisiaj umierać.

- Nie umrzesz, Millie – odezwał się rzeczowo Luca. Jego panika w alejce była oddalona o milion kilometrów od obecnego ostrożnie opanowanego zachowania. – Myślę, że wszyscy powinniśmy się uspokoić.

- Jestem spokojny – stwierdził Nico. Przerazające, jacy potrafili być obojętni, jacy wydawali się pragmatyczni w chwili, kiedy cały świat obracał się do góry nogami. Z tego, co wiedziałam mogli zamordować kogoś w Edenie, ale nie miałam odwagi, żeby zapytać.

- Nie mówię o tobie – odparł Luca. – Nie możemy odesłać ich tak do Cedar Hill. Są w szoku. *Qualcuno chiamerà la polizia.*

Spojrzałam na siebie, następnie na Millie. Nasze sukienki były zniszczone i byłyśmy zakrwawione.

- Wyglądamy okropnie. Nasi rodzice zwariują.

Luca skinął głową. Spokojny. Skoncentrowany.

- Musimy was doprowadzić do porządku.

Nico odwrócił się do brata.

- Będzie potrzeba wiele. *Guardali*.

Luca zacisnął ręce na kierownicy, a jego białe knykcie były poznaczone smugami czerwieni. Nie odrywał wzroku od drogi.

- Nie mogę – powiedział cicho. – Niedobrze mi się robi.

- Nie sądziłem, że przyjdzie – odparł Nico.

Przeszli na włoski, kiedy sprzeczka nabrała tempa.

- Teraz i tak już za późno – powiedział Nico, przerzucając się z powrotem na angielski, albo był zbyt zmęczony, albo zbyt rozkojarzony, żeby pozostać wściekłym. – Musimy zająć się dowodem. Sophie jest nim pokryta. – Rzucił mi coś na wzór przeproszającego spojrzenia, ale to tylko sprawiło, że jeszcze bardziej zaniepokoiłam się „dowodem” i czy *ja* stanowiłam jego część.

Millie ścisnęła moje ręce tak mocno, że moje palce robiły się fioletowe. Nie chciałam jej puszczać. Żałowałam, że policzyłam te rany kłute. Zostały wryte po wewnętrznej stronie moich powiek: te rosnące plamy krwi.

Zadzwoił telefon Nico. Odwrócił się i jego głos się zmienił, ściszył i przyspieszył, kiedy wypowiadał się długimi włoskimi zdaniami. Rozłączył się i westchnął ciężko. Do tej pory nie widziałam w nim żadnej emocji bliższej rozpacz niż ta.

- Valentino? – Luca zapytał Nico.

- Tak.

- Powiedziałaś mu?

Nico przytaknął.

- Boss jest wściekły.

- *Ci sarà del sangue* - rzekł Luca, potrząsając głową. Cokolwiek to znaczyło nie brzmiało dobrze.

Millie uszczypnęła mnie.

- Co się dzieje?

Nico znów się obrócił.

- Valentino wie, że tu jesteście.

- Czy wścieka się tym, co się wydarzyło? – zapytałam.

Nico odwrócił ode mnie wzrok, patrząc przez okno na mijane przez nas drzewa.

- Tak – odparł cicho. – Jest wściekły.

Miałam wrażenie, że to było olbrzymie niedopowiedzenie.

- Dokąd jedziemy? – zapytała drżąco Millie.

Nico opadł na siedzenie z niespodziewanym, brutalnym wyczerpaniem.

- Jedziemy do *Eveliny*.

Millie zwróciła się do mnie, patrząc szeroko otwartymi, pełnymi łez oczami.

- Co to *Evelina*?

Tak się nazywała zbiegła żona Felicego. A jeśli *Evelina* była również miejscem, to oznaczało jego dom. Pomyślałam, żeby upiększyć odpowiedź, ale nie było sensu. Siedziałyśmy w kałuży krwi Calvino Falcone'a i jechałyśmy w ciemność z dwoma zabójcami do miejsca, w którym Falconowie przetrzymywali mnie wbrew mojej woli i torturowali.

Gdy wypowiedziałam słowa były one, o dziwo, bezbarwne, jakby mój próg przerażenia został wyłamany i pozostała we mnie tylko beztroska obojętność. Przestałam się trząść. Byłam odrętwiała.

- Jedziemy do domu Felicego.

Millie wbiła paznokcie w moje dłonie.

- Nie, proszę. Każ im zawrócić. Chcę wrócić do domu.

Była tylko jedna bardziej przerażająca myśl od powrotu do domu Felicego, a to była myśl o reakcji mojej matki na mój widok. Przekręciłaby się. Na pewno już nigdy więcej by nie zasnęła, a nie mogłam już dłużej patrzeć jak marnieje z lęku. A poza tym, przecież nie pozwolą, żeby dwie dziewczyny zmoczone dowodem Marino/Falconów wróciły zdane na siebie do Cedar Hill, więc po co udawać, że mamy jakiś wybór?

- Wszystko będzie dobrze – skłamałam, poklepując Millie po ramieniu.

- Cholera – powiedziała. – Idziemy do piekła.

W tamtej chwili, kiedy jej blada twarz była ściągnięta strachem i splatałyśmy drżące dłonie pokryte nie naszą krwią, naprawdę czułam, że idziemy do piekła.

CZEŚĆ III

„Takie jest prawo:
krew rozlana na ziemię
domaga się więcej.”
Ajschylos, „Ofiarnice”



ROZDZIAŁ SZESNASTY

EVELINA

Widziałam dom Felicego tylko raz... w noc, kiedy zostałam porwana przez Falconów. Powrót tutaj to jak bycie pogrążoną w koszmarze. Posiadłość umiejscowiona na krańcu krętego podjazdu rozjarzonego żelaznymi lampami była architektonicznym osiągnięciem. Nieskazitelny kamień tworzył dwa piętra, wystając nad frontowym trawnikiem w kolistym tarasie podpartym romańskimi kolumnami. Dach był kopulisty. Przed wejściem stały cztery czarne terenówki. Jego cenne pszczołki były gdzieś na tyłach, ciche i ukryte w ciemności. Cieszyłam się przynajmniej z tego.

Miałam podejrzanе uczucie, że być może zginiemy, ale nie wspominałam o nim Millie. Trzymałyśmy się za ręce, przekraczając podjazd. Pod naszymi szpilkami chrząszczał żwir. Pamiętałam ten chrząst. Już go wcześniej słyszałam, kiedy opuszczałam to miejsce, ale to zdawało się być wieki temu i siniaki dopiero zaczynały blaknąć.

Słabe pieczenie oczu uświadomiło mnie, że płakałam. Nie zdawałam sobie sprawy. Te łzy przypominały krople deszczu zrodzone z czegoś poza moim ciałem i daleko poza moją świadomością.

Kryształowy żyrandol rozjaśniał foyer, a w posadzce powitał nas herb Falconów... szkarłatny sokół gotów do odlotu. Próbowałam na niego nie patrzeć. Przywodził zbyt wiele nieprzyjemnych uczuć, których już byłam pełna. Przed nami rozchodziły się schody, wijąc się na piętro.

Panująca tu cisza była mroczna. Czy wiedzieli o Calvino? Czy Luca albo Nico będą musieli im powiedzieć? Byłam świadoma każdej kropli jego krwi na mojej skórze. Weszliśmy po schodach przy akompaniamencie stukotu naszych obcasów o marmur, idąc za chłopcami w górę. Na pierwszym piętrze Luca i Nico zaprowadzili nas do pomieszczenia na samym końcu słabo oświetlonego korytarza, w którym były już uchylone drzwi. Po obu stronach wielkiego kominka stały skórzane kanapy. Na wielkim wyciszonym telewizorze leciały wiadomości. U dołu widniał napis:

JEDNA OFIARA MAFIJNEJ BÓJKI W EDENIE.

NA MIEJSCU JEST POLICJA.

Valentino siedział w swoim wózku przy kominku. Wbijał wzrok w telewizor, więc widziałam tylko bok jego głowy... króciutko przycięte czarne włosy i ostry profil. Obok niego siedzieli ściśnięci na kanapie trzej chłopcy; w pierwszym rozpoznałam CJ'a, dwunastoletniego syna Calvino. To on nagrał moje tortury, pragnąc aprobaty ojca. Wpatrywał się w podłogę. Pozostali chłopcy byli młodsi od niego – nie mieli więcej niż dziewięć, dziesięć lat – i mieli bardziej zaokrąglone twarze oraz jasne włosy. Jednak posiadali takie same oczy i taki sam kształt ust. Chociaż mieli po bokach jakiś metr przestrzeni na kanapie, to przylegali ciasno do siebie. Płakali. Zastanawiałam się gdzie jest ich matka. Zastanawiałam się czy w ogóle mieli matkę... czy może ona, tak jak Evelina, uciekła kiedy jeszcze mogła?

- Zaczekajcie tutaj – powiedział Nico. – Zaraz wrócimy.

Wyprzedził Lucę i wszedł do pokoju. Luca został w tyle, przyglądając się chwilę dłużej mnie i Millie. Uniósł brwi i uświadomiłam sobie, że szczękam zębami. Rozluźniałam szczękę, żeby przestać.

- Uspokójcie się. – Jeszcze jeden moment pod tym lazurkowym spojrzeniem. – Wszystko będzie dobrze.

Najdziwniejsze, że mu uwierzyłam. Był szczery, przynajmniej w tej chwili, i przypominałam sobie ostatnie słowa, które mu powiedziałam. *Jest zepsuty. Wszyscy jesteście zepsuci.* Kiedy dygotałam w cudzej krwi dotarło do mnie, że naraziłam się na niebezpieczeństwo dla maleńkiej nadziei, iż zdołam zmienić mojego wujka, ale tak nigdy się nie stanie i zdałam sobie sprawę, że oboje byliśmy zepsuci, ja i on. Byliśmy parą pękniętych lin, równolegli sobie, utknęliśmy w rodzinach, które nigdy nie dadzą nam odejść. I żałowałam, że go zraniłam.

- Okej – powiedziałam cicho. Millie nic nie powiedziała, ale czułam, że trzęsie się obok i obejmuje się ramionami. – Zostaniemy tu.

Luca wszedł do pokoju, kiedy Millie i ja zostałyśmy przed drzwiami, chwiejąc się na krawędzi czegoś, w co zostałyśmy wplątane, ale czego nie byłyśmy częścią.

Bracia przeszli przez pokój i okrążyli kanapę. Valentino nie odrywał wzroku od ekranu. Zmienił się napis:

ARESZTOWANO DONATĘ MARINO.

WIĘCEJ INFORMACJI WKRÓTCE.

Luca położył ręce na ramionach młodszych chłopców.

- *Questo è un giorno triste* – powiedział łagodnie. Jego twarz się zamglila i po raz pierwszy zobaczyłam wyzierającą na wierzch rozpacz. Chłopcy spojrzeli na niego lśnącymi oczami. Przeminięła pomiędzy nimi chwila i miałam obezwładniające wrażenie, że Luca był kimś ważnym dla tych dzieciaków. I to nie tylko w sensie mafijnym.

Nico pochylił się obok CJ'a. Jego głos był twardy.

- Zemścimy się.

CJ przytaknął, nie odrywając oczu od podłogi.

Luca wyprostował swojego brata, szarpiąc go za kark.

- Czy nie możemy mieć choć jednej chwili pokoju, Nicoli?

- To nie czas na pokój. On nie jest najlepszy.

- A co jest najlepsze dla Sala i Aldo? – zapytał Luca. – *Sono bambini*.

Najmłodszy chłopiec zamrugnął wielkimi oczami.

- Ja i Sal nie jesteśmy dziećmi – powiedział urażony. – *Chcemy pomówić o zemście*.

Zerknęłam bokiem na Millie, obie miałyśmy tak samo wstrząśnięte miny. Nigdy nie słyszałyśmy, żeby dziecko odzywało się w taki sposób. Nawet w filmach. To było szokujące, jednak w tym pokoju wydawało się takie... nonszalanckie.

Sal nie wyglądał na tak przekonanego, jak Aldo. Jego twarz była mokra od łez i drżała mu broda.

- Widzisz? – powiedział Nico do Luki. – To jest najlepsze.

Luca potrząsnął głową.

Valentino oderwał uwagę od wiadomości. Pokazywali teraz nagranie sprzed klubu. Przed wejściem stały wozy strażackie i karetki. Zebrali się wokół nich gapie, a drzwi zostały odcięte taśmą policyjną.

Odwrócił się do swoich braci.

- Przestaniecie się kłócić? Próbuję się dowiedzieć, co się stało.

- Wiemy, co się stało – odparł Nico. – Byliśmy tam.

Valentino podjechał do braci. Oderwał ręce od kół wózka i wyłamał sobie knykcie.

- Och, naprawdę? – zapytał kwaśno. – To może powiesz mi, jakim cudem schrzaniście wszystko tak widowiskowo i udało wam się doprowadzić do tego, że jeden z naszych najlepszych członków został zabity w akcji? Może powiesz mi o tym, jak

weszliście do tego klubu, mając wewnątrz wtykę, mieliście po swojej stronie element zaskoczenia i pięciu uzbrojonych zabójców, i dalej *jakimś sposobem* nie zdołaliście zabić łatwego celu?

- Byli uzbrojeni! – zawołał Nico. – Zbyt wielu ludzi stało na przeszkodzie i Calvino wrócił się po Jacka, kiedy się wycofaliśmy. Co niby miałem zrobić?

- Trzeba było ścigać Donatę! – warknął Valentino. – Mieliście ich jak na dłoni i oboje uciekli!

Gniew Nico dorównał jego brata.

- Nie wiesz jak było, Valentino. Nie było cię tam.

- Nie mam za zadanie tam być! To *twoje* zadanie! – Valentino zacisnął ręce na podłokietnikach wózka i dźwignął się do góry, balansując na zdrowej nodze, by być bliżej Nico. Zdziwiło mnie, jaki był wysoki. Dźgnął palcem klatkę piersiową brata. – *Ty* powiedziałaś, że to się uda. *Ty* obserwowałaś ten klub. Zaufaliśmy *twoim* informacjom i nas zawiodły. Przez ciebie wyszedłem na słabeusza, Nico. *Un pazzo incompetente!*

- Nie jesteś głupcem, Valentino.

- Powiedz to Marino! – syknął.

Nico uniósł brodę i powiedział uparcie:

- Dalej jesteśmy silniejsi od nich.

- Czyżby? – Głos Valentino zrobił się śmiertelnie cichy. Odstłonił zęby, ostre kły wbiły się w brutalny, niewesoły uśmiech. – Czemu jesteś tego taki pewien, bracie? Nie wiemy, co wymienił Jack Gracewell za ich ochronę. Nie wiemy, jaką broń posiada Donata Marino.

Osunął się do tyłu, lądując ciężko na wózku. Wstrząsające było widzieć go tak wytrąconego z równowagi. Dzisiejszy wieczór zerwał jego maskę ostrożnej obojętności i to poruszyło każdego. Szloch Aldo zamienił się w czkawkę. On i Sal kulili się tak mocno, że zapadali się w kanapę.

Valentino zgarbił ramiona i odwrócił wzrok od Nico, marszcząc brwi.

- Calvino zmarł, a Jack Gracewell nadal chodzi wolno. *È una disgrazia.*

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – powiedział Nico.

Valentino warknął na brata, jego twarz przybrała taki sam dziki wyraz, który widziałam wiele razy u Luki.

- To nie wystarczyło, rozumiesz? Twoje wszystko nie wystarczyło.

- Przestań na mnie krzyżeć! – odpowiedział Nico. Odwrócił się do Luki z błagającą miną. – Każ mu przestać!

- Valentino – rzekł spokojnie Luca. Złapał ramię bliźniaka i Valentino usiadł trochę prościej wzmocniony tym gestem. – To nie pomaga. Co było, to było. Musimy trzymać się razem, a nie rozszarpać się wzajemnie.

Dotarło do mnie, że nigdy wcześniej nie widziałam bliźniaków Falcone obok siebie. Wyglądem byli bardzo podobni – te same jasne oczy i surowe miny – lecz kiedy przemawiali, rozłamywali się. Tym razem to Luca był opanowany i praktyczny, kiedy Valentino drżał z furii, robiąc się niebezpieczny na groźbę tego, co ich czyhało. Między nimi był cały inny świat, ale wiedziałam, czym byli: dwiema połówkami całości. Boss i zastępca zjednoczeni w tej chwili, w ich stracie.

Po ciężkiej ciszy Valentino machnął ramieniem, niejako się poddając.

- Jest jak jest – ustąpił. – Musimy patrzeć w przyszłość.

Millie i ja przywykłyśmy już do bycia niewidzialnymi. Nieumyślnie przysunęłyśmy się bliżej, słuchając zachłannie ich sprzeczki.

To Aldo nas dostrzegł. Ocierając nos zużytą chusteczką, pokazał palcem na drzwi.

- Kim one są? – zapytał, szarpiąc brata za rękaw.

Sal przechylił głowę.

- Nie wiem.

Aldo otworzył szeroko oczy.

- Czy to... czy to... krew?

Spojrzałam na siebie. *Oho*.

Valentino powiódł wzrokiem za ręką Aldo i nasze oczy się spotkały. Schował twarz w rękach, osłaniając reakcję palcami. Spodziewałam się średniego wybuchu, ale jego odpowiedź była zmęczona.

- Luca, *dlaczego* przyprowadziłeś ją tutaj w takim stanie?

CJ podniósł głowę. Rzucił się do przodu, pochylając nad kolanami. Myślałam, że zwymiotuje, ale objął się ramionami, zaciskając palce na bokach i dalej wpatrywał się w podłogę. Był pewnie na tyle mądry, by wiedzieć, że to nie była moja krew.

Luca spojrzał na mnie ostro i nagle miałam przebłysk, jak mnie dusi.

- Przepraszam – powiedziałam bezgłośnie, podnosząc błagalnie ręce. Wycofałyśmy się z Millie do półmroku. Czekaliśmy, przyciskając plecy do ściany i ściskając się mocno za ręce, kiedy rozmowa przeszła do wściekłych włoskich pomruków.

Nagle na marmurowych schodach usłyszałyśmy stanowczy stukot obcasów. Z końca korytarza zmierzała ku nam, niczym ptak drapieżny, szczupła postać Eleny Genovese-Falcone. Jej twarz była w cieniu, ale szła zdecydowanym krokiem i zbierała się wokół niej czarna suknia. Była bardzo podobna do Donaty, a jednak myśl o tym, że kiedyś mogły się ze sobą bawić, jako dzieci wydawała się niemożliwa. Była w każdym calu królową Falcone przemierzającą swój mroczny pałac. Trudno zdecydować, kto był gorszy, ona czy Donata, ale na pewno obie miały zarezerwowane miejsce w piekielnych głębiach.

Pociągnęłam Millie pod okno na końcu korytarza. Część mnie chciała je otworzyć i wyskoczyć do ogrodu. Wolałabym atak tysiąca pszczoł od Lucyfera.

Elena zatrzymała się nagle przed pokojem. Obróciła się na pięcie i przyszpiliła nas wzrokiem. Podwinęła wargę i zapytała tym pretensjonalnym głosem:

- Dziewczyno, czy nie kazałam ci trzymać się z daleka od moich synów?

Millie przełknęła ślinę. Ja także.

Wycelowwała żyłastym palcem w Millie, mierząc jej sylwetkę.

- I wygląda na to, że się pomnożyłaś.

Poczułam niespodziewany przyływ oburzenia.

- *Trzymałam się od nich z daleka* – zaprotestowałam. – Może trzeba było im powiedzieć, żeby to oni nie zbliżali się do mnie.

Millie uszczypnęła mnie. *Zamknij się.*

Elena pokazała zęby.

- Myślisz, że tego nie zrobiłam?

- M-my n-nie chcemy tu być – wydukała Millie. – To nie była nasza decyzja. Byłyśmy w Edenie, kiedy wszystko się zaczęło i zostałyśmy wplątane w... chaos. My tylko chcemy wrócić do domu, pani Falcone.

Elena rzuciła się do przodu i spojrzała mi prosto w oczy.

- Zadajesz się z moją siostrą, małą Gracewell?

Potrząsnęłam głową. – Jasne, że nie...

- Śmiałyście z tego, jak twój ojciec zamordował mojego męża?

- Co? Nie, poszłam zobaczyć się z moim wujkiem...

- I na co dokładnie umówił się twój wujek z moją siostrą, żeby dostać jej ochronę?

- Ja... ja nie wiem – wyjąkałam.

- Naprawdę nie wiemy – dodała Millie.

- Narkotyki? Kasa? – ciągnęła, przyglądając się nam uważnie i szukając jakichkolwiek oznak zdrady. – Co ten człowiek trzyma w swojej restauracji, co otworzyłoby bramy dynastii mojej siostry?

Moja irytacja osiągnęła szczyt i byłam zbyt zmęczona, żeby nad nią zapanować, więc powiedziałam prawie krzykiem:

- Nie wiem! Nic nie wiem!

Zamrugałam i jej twarz znalazła się parę centymetrów przed moją.

- Myślę, że kłamiesz. – Jeszcze bliżej, aż nie widziałam już Millie. – Myślę, że w tych oczach kryją się kłamstwa.

Zamrugałam twardo... by ukryć kłamstwa? Pewnie tak sądziła, ale prawda była taka, że doznawałam przytłaczającej wściekłości i byłam *taka* bliska walnięcia jej w twarz, żeby się ode mnie odsunęła.

- Tajemnice – syknęła, nareszcie się wycofując. – Wszyscy je mamy. Dziewczyno, odkryj twoje, a kiedy to zrobię moi synowie zobaczą cię w następnym życiu. Dowiem się, jeśli jesteś szpiegiem.

- Nie jest – wtrąciła Millie. Elena mrugnęła parę razy, przypominając sobie, że jesteśmy dwie.

Z Millie zaczęły wylewać się słowa.

- Żadna z nas nie jest szpiegiem. Prawdę mówiąc nie jesteśmy dobre w subtelności, więc gdybyśmy szpiegowały, już by pani o tym wiedziała. Chcemy tylko wrócić do domu, obejrzeć filmy i wrócić za parę tygodni do szkoły. Proszę nas nie zabijać ani nie kazać nikomu innemu nas zabijać albo nas skrzywdzić. Nie obchodzi nas pani siostra, nawet z nią nie rozmawiałam w klubie, który ma naprawdę zawyżone ceny i jest troszkę przerażający, a chociaż widziałam ją tylko w tłumie sprawiała wrażenie wymizerowanej i zdecydowanie nie tak olśniewającej jak pani, ale z drugiej strony jestem pewna, że jest od pani starsza jakieś dwadzieścia lat i pani przejęła cały dobry wygląd w tej rodzinie.

Elena otworzyła usta, żeby jej przerwać, ale Millie parła dalej niczego nieświadoma, uciszając cokolwiek chciała powiedzieć.

- Sophie też tak naprawdę z nią nie gadała, bo widzi pani, ona poszła zobaczyć się z Jackiem, ponieważ dał jej wizytówkę, ale pewnie pani to wie, bo ukradł ją pani syn, ale w

porządku, bo przecież szukał Jacka, więc miał takie prawo, ale Sophie pojawiła się tam tylko dlatego, bo myślała, że jej wujek przeprosi i spróbuje wszystko naprawić, ale wyraźnie tego nie zrobił, tylko wszystko pogorszył, co znaczy, że jest totalnie zły i teraz to wiemy, i już nigdy więcej mu nie zaufamy, przyrzekam pani Genovese, em, Falcone, Wasza Eminencjo, proszę pani. Przepraszamy. Nie jesteśmy szpiegami.

W następującej ciszy słychać było tylko dyszenie Millie. Elena rozciągnęła usta w uśmiechu jokera, widoczne były tylko jej zęby i wydała coś na wzór prychnięcia rozbawienia.

Podniosła palec i wycelowała w czoło Millie, a kiedy myślałam już, że zamierza wydziobać jej oko, powiedziała:

- Ciebie lubię o wiele bardziej od niej. Tobie wierzę.

Patrzyłam w niemym szoku, jak Elena zniknęła w salonie, a za nią powiewała suknia.

- Jasny gwint – wydyszała Millie. – Jasny gwint, jest straszna.

- Ta – powiedziałam i niedowierzenie zmieszało się z gwałtowną wdzięcznością do mojej przyjaciółki. – A ty zdołałaś ją rozbroić.

W środku Falconowie wypowiedali się coraz to głośniej.

Elena: Wrócił Felice.

Nico: Mogę to zrobić.

Luca: Nie.

Valentino: Tu nie chodzi o zrobienie słusznej rzeczy, tylko inteligentnej.

Elena: Złamali rozejm.

Valentino: To moja decyzja.

Luca: Nie pogarszaj sytuacji, Valentino.

Valentino: Musimy pokazać solidarność.

Rozmowa zniżyła się do włoskich pomruków.

Po jakimś czasie z pokoju wyszła Elena, a za nią CJ. Opierała ramię na jego barkach, przyciągając do siebie i odeszła korytarzem. Potem wyszli Luca i Nico z pobladłymi twarzami. Coś było zdecydowanie nie tak. Jeszcze bardziej niż przedtem.

Luca szedł przed nami.

- Chodźcie za mną. Tutaj możecie się umyć.

Zaprowadził nas do łazienki w tym samym korytarzu. Miała gigantyczną marmurową wannę ze złotymi kranami. Praca zabójcy naprawdę musiała popłacać. Nico zniknął w innym pomieszczeniu.

- Gdzie poszła twoja matka z CJ'em? – zapytałam Lucę.

Otworzył szafkę i wyciągnął dwa ręczniki na blat przy umywalce.

- Umyjcie się szybko, przebierzcie i zabierzemy was do domu. Im szybciej tym lepiej.

- Dlaczego? – zapytała Millie, wyczuwając moją podejrzliwość. – Co się dzieje?

Wrócił Nico ze stertą ubrań. Upuścił je u naszych stóp.

- Należą do naszych kuzynek. Niektóre powinny pasować.

Wymienili się spojrzeniami, zamykając za sobą drzwi. Millie i ja przycisnęłyśmy do nich uszy, ale nic nie słyszałyśmy. Drewno było zbyt grube.

- O co chodzi? – zapytała. – Mamy kłopoty?

Przyległam mocniej do drzwi, aż zabolowało mnie ucho.

- Nie wiem.

- Zadzwonimy na policję? – Wyciągnęła telefon.

- I co powiemy? – Spojrzałam na moje zakrwawione ciało. – Byłabym w to uwikłana, Mil. Obie byśmy były. Moja mama by tego nie przeżyła, to by ją zniszczyło. Ledwo wyszłyśmy cało z magazynu.

- Ale byłybyśmy bezpieczne – powiedziała cicho. – Prawda?

- Masz na myśli, gdybyśmy sprowadziły patrol radiowozów do siedziby Falconów...? – urwałam.

- Racja – mruknęła potwierdzająco. – Jestem ciekawa jak długo by to potrwało.

Wzięłyśmy szybkie prysznic, najpierw Millie, potem ja. Osuszyłyśmy włosy ręcznikami i ubrałyśmy się. Wcisnęłam się w parę ciemnych dżinsów i o rozmiar za małą bluzkę. Tenisówki również były za małe, ale wpychałam w nie stopy, dopóki nie otarłam sobie palców.

Otworzyłyśmy drzwi i wyszłyśmy do odległego odgłosu wrzasków.

Luca siedział na ziemi, przyciskając kolana do piersi. Poderwał się do góry.

- Gotowe? – Szorstki ton, spięte ramiona.

- Co się dzieje, do diabła?

- Nie przejmuj się. – Wsunął się za nas i poprowadził na dół, przyciskając ponaglająco dłoń do moich pleców, kiedy schodziliśmy po marmurowych stopniach. Nico stał przy otwartych drzwiach, co chwilę zerkając na drugi koniec foyer. Luca zaprowadził nas w kierunku wejścia i czającej się za nim ciemności. Byłyśmy zapędzane jak bydło.

W powietrzu rozległ się kolejny krzyk. Tutaj rozbrzmiał głośniejszy... dochodził gdzieś z tyłu domu. To musiała być Sara, ale to wydawało się tak miażdżące znajome, jakbym słuchała odległego wspomnienia samej siebie, kiedy wrzeszczałam tak jak ona, błagając o życie.

Sara powiedziała prawdę w Edenie. *Była* mną i to nie w dobry sposób.

Przyskoczyłam do Falconów.

- Oto, czym się zajmujecie? Przywozicie tutaj bezbronne dziewczyny i torturujecie je?

Zaczęłam się cofać w stronę wrzasków, ale Nico przyciągnął mnie do swojego boku.

- Sophie, nie – powiedział ponaglająco cichym tonem. – Zabieramy was do domu.

Millie pociągnęła mnie za ramię.

- Możemy już wracać, Sophie? – Znowu płakała, pod oczami rozmazywały się resztki tuszu. Boże, była załamana i to była moja wina. Przez dłuższy czas nie będzie potrafiła zasnąć. Ale jak mogła tak łatwo odejść? Jak mogła przetrwać poczucie winy za zostawienie kogoś w taki sposób? Nie wiedziała, co się tam działo. Nie wiedziała, co szykują dla Sary. Ale ja tak. Sara na to nie zasługiwała. Ona była *dobra*.

- Nie możemy jej tak zostawić! – Znowu szczękałam zębami. Kiedy zrobiło się tak zimno? Chłodziły mnie mokre włosy.

Luca miał kamienną twarz, ale zaciskał mocno szczękę. Nico był spokojny, stojąc stanowczo obok mnie przygotowany do wyjścia, gotów odwieźć potencjalnych kapusiów daleko od mającego obecnie miejsce przestępstwa.

Rozbrzmiał kolejny rozdzierający wrzask.

Strząsnęłam rękę Nico i przepchnęłam się obok Luki. Próbował zagrozić mi drogę, ale odepchnęłam go. Potknął się zaskoczony i zaczęłam biec sprintem w stronę zamieszania bez sformułowania żadnego planu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ZEMSTA

Pognałam na tyły. To było jak złowieszcze poszukiwanie skarbów: idź za zropaczonymi zawodzeniami. Ale Nico i Luca byli szybsi ode mnie i nie znałam rozkładu rezydencji. Luca złapał mnie w połowie kuchni. Okrążył mnie, blokując mi przejście.

Za nim kuchnia ciągnęła się pod łukiem, rozszerzając w szklaną oranżerię wychodzącą na ogrodowe patio. Tam widać było ule Felicego. Widziałam ruch – ludzi – i kiedy rozbrzmiał następny wrzask był nieznośnie blisko.

- Odsuń się – rozkazałam.

Luca zaczął odpychać mnie do tyłu.

- To nie twoje zmartwienie, Sophie.

Sara znów krzyknęła.

Zazgrzytałam zębami.

- Powiedziałam *odsuń się*.

- Co właściwie zamierzasz zrobić? – zapytał Luca, grając na zwłokę i przesunął się nieznacznie w bok, żeby zablokować mi widok. – Wiesz, że nie możesz się wtrącać do spraw rodzinnych.

- Zadzwoń na policję, Luca. Nie myśl sobie, że tego nie zrobię.

Skrzywił się.

- Wiesz, do czego by to doprowadziło.

Wiedziałam. Wylądowałabym w piachu.

- Jak mogłeś pozwolić, żeby znowu do tego doszło?

Nico zrobił krok w moją stronę, odgradzając ode mnie Lucę. Najwyraźniej zamierzał usiłować przemówić mi do rozsądku. Złagodził głos, siląc się o intymny szept, chwilę na osobności.

- Sophie, obie musicie wrócić do bezpiecznego miejsca i zapomnieć o tym wszystkim. Teraz wiem, że nie powinniśmy was tutaj przywozić, ale jest za późno, by to zmienić.

Oczy miał ciemne jak roztopiona czekolada. Lekko rozchylone usta dmuchały ciepłem w przestrzeń między nami. Nico zabrał mi wizytówkę z Edenu, zachowując się właśnie w ten sposób. Mogłam zagrać w jego grę.

Wbiłam spojrzenie w swoje stopy, przygryzając wargę w sztucznej refleksji.

- Sama nie wiem... - mruknięłam.

Opuścił ramiona i rozluźnił się. Obeszłam go pędem, rzucając się do podwójnych drzwi. Wpadłam do oranżerii. Na zewnątrz czujnik ruchu oblewał ogród surowym białym światłem. Byłam na tyle blisko, żeby dostrzec fioletowe włosy Sary Marino, kiedy wydusiła z siebie kolejny wrzask.

W ciągu paru sekund wszystko złożyło się w całość. Zebrała się tutaj cała flota Falconów. Rozpoznałam Doma, Gino i Elenę, ale byli też inni – kobiety z długimi ciemnymi włosami, eleganccy mężczyźni w garniturach, nastolatki, a nawet staruszek zgarbiony nad laską.

Valentino siedział pośrodku, wpatrując się z ukosa w rozgrywającą się przed nim scenę i splatając przed sobą palce. Sara klęczała na trawie i miała związane ręce za plecami. Jej głowa kołysała się do przodu, z ust leciał strumyk krwi.

CJ stał po jednej jej stronie; Felice po drugiej. Byli jak przyzwoitki jednak w ich zachowaniu nie było nic opiekuńczego. Felice trzymał broń w ręce i wymachiwał nią nad jej głową. Gestykulował do swej urzeczonej publiczności, układając usta w karykaturalnym uśmiechu. To był jego teatr, a ona była jego przedstawieniem.

Podbiegłam do szklanych drzwi i zacisnęłam palce na klamce. Nacisnęłam ją i drzwi otworzyły się z cichym świstem. Luca otoczył jednym ramieniem moją talię i drugą rękę przycisnął do moich ust, przyciskając mnie do siebie. Zastygliśmy w tej pozycji, połowicznie wysunięci z posiadłości Falconów.

Podsunał usta do mojego ucha.

- Ani słowa.

Jego oddech wywołał dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa.

Felice był w trakcie mowy.

- Za Calvino, naszego upadłego brata i za wszystko, co reprezentował... sprawiedliwość, honor, moralność... zemścimy się. Wyrzadzimy Donacie Marino taką samą krzywdę, jaką ona wyrzodziła nam. – Opuścił kolbę pistoletu i dzielił nią Sarę po twarzy. Ten cios powalił ją na bok i została w tej pozycji, jęcząc w trawę.

Dłoń Luki stłumiła moją reakcję. Próbował odciągnąć mnie do tyłu, ale rzucałam się przy nim.

- Daj mi się tym zająć – ponaglał. – Tylko pogorszysz sytuację.

Felice podał pistolet CJ'owi, ale kiedy przemówił to do grupy obserwujących go Falconów.

- Mój chłopcze, nadeszła pora, żebyś pomścił swego ojca. Musisz teraz wystąpić i stać się mężczyzną, na którego cię wychowywał. – Uniósł wargi i jego zęby zalśniły niczym kły w świetle księżyca. – I jaki jest lepszy na to sposób od tego? Ostatecznie to *l'uccisione è personale*.

Dom zaczął klaskać. Gdzieś w tłumie usłyszałam aprobujący krzyk dziewczyny. Reszta stała w milczeniu, czekając na ruch Calvino Juniora.

Byłam odnoszona z tej sceny. Próbowałam pochwycić wzrok Millie. Mogła zadziałać; mogła zrobić cokolwiek. Lecz stała nieruchomo jak posąg i wpatrywała się wytrzeszczonymi oczami w rozgrywającą się scenę w ogrodzie. Jej skóra nabrała zielonkawej barwy i wyglądała na bliską przekręcenia się.

No dalej, Mil. Ocknij się.

CJ trzymał niemrawo pistolet. Rozejrzał się, jakby szukał czegoś pośród rodziny. Nikt nie wyszedł naprzód. Nikt nie kazał mu wracać na górę i rozpaczać z młodszymi braćmi. Stali tam w wyczekiwaniu. To był jego sprawdzian i musiał go zdać.

Sara krzyczała w ziemię, wbijając palce w trawę. Była zbyt osłabiona, żeby wstać, zbyt przerażona, żeby odwrócić się do Falconów.

Wciąż szamotałam się z Lucą. Próbowałam ugryźć go w rękę, ale nie potrafiłam dobrze się ustawić. Polizanie jej na nic się nie zda. Nie byliśmy w gimnazjum.

- No już! – zawołał Felice, chwytając ramiona CJ'a. Przytknął podeszwę buta do boku Sary i pchnął. Obróciła się na bok. – Byłem tylko kilka lat starszy od ciebie, kiedy zabiłem pierwszą osobę – powiedział do CJ'a, ale wystarczająco głośno, żeby wszyscy go usłyszeli, żeby wszyscy rozkoszowali się jego chwałą. – *Dwie osoby* – poprawił się. – Zmiotłem bossa Marino i jego żonę dwiema kulkami. I oto jesteśmy w następnym pokoleniu, rozejm raz jeszcze został złamany i kolejny Marino kuli nam się u stóp. Możesz powtórzyć mój czyn i okaleczyć tę podstępna rodzinę, wyjąć klejnot bossa z jej arsenału. – Podniósł wzrok na tłum, uśmiechając się leniwie. – Bardzo poetyczne, nieprawdaż?

CJ, który wpatrywał się w Felicego wielkimi, nieruchomymi oczami opuścił gwałtownie głowę. Zdawało się, że coś się w nim przełączyło. Uklęknął i nachylił się nad dziewczyną. Wykrzywił okrutnie usta i zobaczyłam w nim cienie Felicego – przebłysk człowieka, którym zostanie, jeśli zrobi dzisiaj, czego od niego oczekiwano. CJ uniósł wysoko pistolet, jakby zamierzał strzelić do nieba. I właśnie, jak Luce udało się mnie obrócić zobaczyłam jak mocno opuścił pistolet. Nastąpił trzask i tym razem krzyk Sary przypominał surowy, zwierzęcy ryk.

- *Bel lavoro!* – krzyknął ktoś.

- Za Calvino!

- *Tale padre tale figlio!*

- Dopiero zaczynamy – rozbrzmiał wyraźny głos Felicego.

Po ręce Luki spływały moje łzy. Wynosił mnie właśnie z oranżerii. Z ogrodu dochodziło coraz więcej okrzyków. Zabiją ją w tym ich amfiteatrze.

Musiałam coś zrobić.

Zmusiłam się do bezwładności. Moje nogi zaszurały o podłogę i przechyliłam się przez ramię Luki niczym szmaciana lalka. Pochyliliśmy się do ziemi.

- Sophie? – Próbował mnie podnieść.

Nie ruszyłam się. Muskałam palcami podłogę i wykrzywiałam nienaturalnie nogi. W tej chwili Luca popełnił dwa zasadnicze błędy. Uwierzył mi i posadził mnie na krześle.

Zerwałam się gwałtownie, przebiegłam przez oranżerię i wrzasnęłam ile sił miałam w płucach.

Obrócili się do mnie wszyscy w ogrodzie. Wybuchła kakofonia pomruków. Sara leżała na ziemi, przyciskając policzek do trawy, a jej twarz była tak strasznie opuchnięta, że ledwo widziałam jej oczy. CJ znowu stał prosto, trzymając pistolet po boku. Patrzył na mnie wściekle.

Felice ruszył w moim kierunku. Valentino odwrócił się na wózk. Wwiercał we mnie lodowate oczy. Jakąkolwiek czułam przed chwilą śmiałość nie został po niej ani jeden ślad. Zacisnęłam pięści, żeby Falconowie nie zobaczyli ich drżenia.

Luca stanął przede mną i podniósł ręce do Valentino.

- Wybacz, bracie – rzekł. – Zabieram je do domu. Zabłądziła.

Luca ponownie próbował mnie odciągnąć, ale nie ruszyłam się z miejsca. Doszłam tak daleko i dalej nie byłam martwa. Zepchnęłam go z drogi, byśmy mogli stanąć obok siebie w wejściu. Pokazałam na Sarę.

- Przyszłam tu po nią. Wrócimy razem do domu.

Sara uniosła ciężko głowę i zobaczyłam, jak rozszerza oczy nad opuchniętymi policzkami. Nie odezwała się – nie mogła – ale odczytałam z jej oczu desperację, wyczuwałam ją w strachu, który przechodził między nami.

Pomóż mi.

Pomogę.

Felice przerwał oszołomioną ciszę. Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, co przypominało odgłos duszenia. Widowskowo otarł łzy spod oczu; nawet w tym jego wariackim rozbawieniu wyczuwałam żal, jak gdyby ścisnął mnie za gardło.

- Ta dziewczyna ma życzenie śmierci, Valentino. Wydaje się ciągle emanować tym nieugiętym pragnieniem, żeby zostać zabita.

- Może trzeba więc spełnić jej życzenie – powiedziała Elena. – Skoro cały czas wchodzi nam w paradę.

Czułam za sobą najeżającego się Nico. Obszedł nas i podszedł do swojej matki, która splatała ramiona na piersiach.

- Idziemy stąd – powiedział. – Nie wygaduj takich głupot. Ona nie będzie dla nas problemem.

Zamknęła oczy.

- Och, Nicoli – westchnęła. - *Sei un pazzo in amore.*

Felice cmoknął z niezadowoleniem.

- Drogi Nicoli, sądziłem, że radzisz sobie lepiej ze swoimi romansikami. Jesteś o wiele bardziej... skuteczny, kiedy nie ma jej w pobliżu. Spójrz na siebie, stoisz na skraju czegoś, czym powinienes *kierować*. Twój kuzyn cię potrzebuje. Pokaż mu jak użyć pistoletu. Pokaż mu swoje cudowne sztuczki.

- *Basta!* – Valentino uniósł dłoń. – Nikt z nas nie powinien sobie żartować z tej sytuacji, Felice. Ostrzegam cię, *po raz kolejny*, byś pamiętał o swoim miejscu w tej rodzinie.

Atmosfera szybko kwaśniała, ostre krawędzie rozpacz Falconów rozcinały powietrze na drobne kawałeczki.

- Masz na myśli moje miejsce w tym *żłobku*, który prowadzisz? To jest, *po raz kolejny*, kolejna dziecinna sprawa, która została źle załatwiona. Jesteście jak młode wulkany... ciągle wybuchacie tymi niedorzecznymi uczuciami! Kiedy ostatni raz jakiś *Americano* mógł sobie swobodnie biegać po tym domu? *Giammai!*

- A jakie to jest zmartwienie dla *ciebie?* – Głos Valentino zrobił się zabójczo cichy.

Felice okazał zdumienie.

- Martwię się sprawami, które podważają status tej rodziny, bratanku.

Usłyszałam zbiorowe wdechy.

Valentino obnażył zęby. Przez chwilę wydawało się, że wyskoczy z wózka i poderżnie gardło Felicemu.

Z szeregu wystąpił mężczyzna z gęstymi kruczoczarnymi włosami. Był wysoki i umięśniony, ale poruszał się z dziwną płynnością podobną do tancerza. Był idealną mieszanką Angelo i Felicego – szczupły i zwinny z ciepłymi ciemnymi oczami.

- Felice, pamiętaj, do kogo się odzywasz. Powinieneś zmienić swój ton.

- I słowa – dodał Dom.

Felice zwrócił się jadowicie do wysokiego mężczyzny.

- Nie potrzebuję twoich ostrzeżeń, Paulie. Pamiętam. To *dziecko* naszego brata.

- Jest twoim bossem – odezwał się Luca, zapominając o mnie i wychodząc do ogrodu, by dołączyć do reszty. Zatrzymał się przy Valentino. Wymowny pokaz solidarności: boss i jego zastępca zjednoczeni przeciwko *consigliere*. *Rysy*, uświadomiłam sobie, *są wszędzie*. Nic dziwnego, że żona Felicego dała nogę. – Dobrze byłoby, gdybyś pamiętał porządek Falconów, Felice.

Uśmiech Felicego był wymuszony.

- Jak mógłbym zapomnieć? Decyzję Angelo na...

- Dosyć – uciął mu Valentino. – Urządziłeś dziś wystarczające przedstawienie.

- Obrażasz mnie – odparł niebezpiecznie cicho Felice. – Straciłem dziś brata. Pomszczenie jego śmierci nie powinno być brane za przedstawienie.

Ton Valentino był uszczypliwy.

- Porozmawiamy później na osobności, kiedy nie będziesz miał publiki.

Pośród oczekujących Falconów przeszła fala niepokoju. Nagle zrobiło się zimno i zamiast kierować nieufne oczy na mnie, to spoglądali po sobie.

Sara Marino i CJ zostali zapomniani. Gdy nie był już pod ostrzałem uwagi, CJ nie wyglądał na zainteresowanego pistoletem ani dziewczyną. Wyglądał, jakby wolał być wszędzie indziej.

- Dość tego – powiedziała Elena, stając przy Luce i Valentino. Byli ulepione z jej gliny – te same jasne niebieskie oczy i wysokie kości policzkowe – nie było w nich złotego ciepła, które Nico odziedziczył po ojcu. – Rozwiążcie ten nonsens, mamy dzisiaj zemstę do wykonania.

W ogrodzie zabrzmiały pomruki zgody.

- Nie może pani zabić dziecka swojej siostry.

Przez krótką chwilę myślałam, że to moje słowa; że wyskoczyły z moich ust, kiedy tylko sformułował je mój mózg. Być może wmówiłabym to sobie, gdyby nie słaby brytyjski akcent. Millie stanęła przy mnie i splotła ze mną palce. Czułam jej drżącą rękę.

- Pozwólcie, żeby poszła z nami.

Elena straciła opanowanie.

- Wystarczy, synu! *Musisz* coś z nimi zrobić. Zdecydowanie coś z tą *Gracewell*. Cóż za...

To Paulie jej przerwał.

- Eleno, wiesz, że ta dziewczyna uratowała życie twojemu synowi. Nie rozlewajmy dzisiaj więcej krwi niż to konieczne. To nie było w stylu Angelo.

Proszę bardzo. Moja karta przetargowa.

- Jesteś mi winny życie, Valentino – zawołałam, zduszając w sobie panikę. Wskazałam na Sarę. – Jej życie za życie Luki w magazynie. Wypuść ją.

Valentino uniósł brwi, wykrzywiając usta w zdziwieniu.

- To nie działa w ten sposób.

- Robi się z tego jakiś cyrk! – Felice zabrał pistolet CJ'owi i wrócił na trawnik, podrygując w miejscu. – Daj chłopcu zastrzelić dziewczynę Marino i skończmy z tym.

- Nie! – krzyknęłyśmy z Millie, która trzymała w ręce telefon. Oczywiście wszyscy to zauważyli. Nawet gdyby dopadli do niej zanim powiedziałyby coś operatorowi, to wystarczyło samo połączenie z 112. Jej plan był o wiele odważniejszy od mojego, ale nie byłam pewna czy mądrzejszy.

Paulie ruszył w naszym kierunku i wycofałyśmy się do budynku.

- Millie, nie rób tego. - Nico podszedł bliżej.

Podniosła komórkę do ucha.

- Zrobię, jeśli jej nie puścicie.

- Wiesz, że tego pożałujesz. – Jego słowa były podparte straszną prawdą. Gdyby złamała *omertę* straciłaby własne życie albo kogoś jej bliskiego.

Nico stanął w progu z Pauliem przy boku, kiedy reszta patrzyła na nas przez szyby. To była OPERACJA: ROZBROIĆ DZIEWCZYNY.

- Dziewczyna nie umrze – powiedział Paulie.

- Kłamstwo.

Uniósł ręce w geście pokory.

- Valentino przesyła wiadomość Marino. Nie zabije Sary. Wiecie, że są kuzynami. Felice po prostu daje się ponieść emocjom... jest w żałobie. Dał wam przesadzone wrażenie tego, co się tutaj dzieje.

- Wiem, że chce, żeby CJ ją zabił – powiedziałam. – Wiem, że złamano rozejm. Ale wiem również, że zabicie Sary Marino tylko wszystko pogorszy. Jest niewinna i wie o tym każdy w tym ogrodzie.

Nie usłyszałam ani jednego protestu, ale Falconowie patrzyli po sobie kłopotliwie, wierząc się w miejscach.

Paulie miał spokojny wyraz twarzy.

- Oboje dobrze wiemy, że to nie od Felicego zależy los Sary. Valentino ocenia swoje decyzje. Felice wyolbrzymia.

- Czy wyolbrzymił również jej rany?

- Są powierzchowne. – W zachowaniu Pauliego było również coś kojącego. W tym jak przemawiał. Zorientowałam się, że pragnę mu uwierzyć. – Nie stanie jej się żadna krzywda.

- Już została skrzywdzona – zaprotestowała Millie. Wciąż ścisnęła telefon, a wszyscy Falconowie wpatrywali się w niego, jakby był bombą.

Wyjrzałam na ogród. Na twarzy Valentino zagościł wyraz ostrożnej obojętności.

- Daję wam moje słowo – rzekł. – Jeżeli teraz wyjedziecie i obiecujecie nie powiadomić władz uwolnimy Sarę. Życie za życie.

- Skąd mamy mieć pewność? – zapytała Millie.

- Będziecie musiały mi zaufać.

- Nie mamy, na czym oprzeć tego zaufania.

Wygiął twardo ściśnięte usta w wymuszony uśmiech.

- Millie, prowadzimy tę rozmowę przed zgrają zabójców, którzy w mgnieniu oka zakończyliby twoje życie, gdybym im tak rozkazał. Nie byłoby żadnych świadków i nigdy nie odnaleziono by twojego ciała. – Pstryknął palcami. – Na tym oprzyj swoje zaufanie.

- A więc wyślij ją z nami do domu – powiedziała Millie.

- Nie możemy. Musi zostać odeskortowana przez wysłannika Falconów do ludzi Donaty. Naważemy surowe negocjacje.

- Negocjacje w rodzaju magazynu? – zapytałam.

Valentino ścisnął grzbiet nosa.

- Nie, nie w rodzaju magazynu. W rodzaju sycylijskim.

Po części wiedziałam, jak będą wyglądać te negocjacje. Mieli kogoś, kogo chcieli Marino, a Marino mieli kogoś, kogo chcieli Falcone. Jacka. Ale nie mogłam myśleć teraz o wujku – znał ryzyko, sam się tak urządził. Moją najpilniejszą troską była Sara, musiałam się upewnić, że będzie bezpieczna, że dostanie szansę na wymarzone życie, że odnajdzie wolność, której mi zazdrościła.

Zerknęłyśmy na siebie z Millie. Skąd miałyśmy mieć pewność, jeżeli nie mogli pozwolić, żeby poszła z nami? Jakie to miało w ogóle znaczenie? Nie byłyśmy w pozycji do negocjacji. Miałyśmy komórkę na resztkach baterii, nikłą sympatię Nico i mijającą wdzięczność Luki za uratowaniu mu życia. Reszta mogłaby nas zabić gdyby tak zapragnęła. Już przeciągałyśmy swoje szczęście.

- Nie mieszajcie się do tego, dziewczęta – powiedział Paulie. Miał największe oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. – To nie wasza bitwa. To nie jest wasz świat.

Luca wyszedł na trawnik. Podniósł Sarę, wsuwając ręce pod jej łokcie. Stała chwiejnie o własnych siłach. Odsunął jej z twarzy przyklepnięte włosy i zaczął do niej mówić. Płakała. Przycisnął ją do swojego boku i odprowadził na bok.

Odwróciłam się do Nico.

- Czy oni mówią prawdę, Nico? Wypuszczą ją?

Skrócił dzielącą nas przestrzeń i wziął mnie za rękę – przed swoją całą rodziną i paskudną matką – ściskając ją. Byłam tak oszołomiona, że mu pozwoliłam.

- Tak – powiedział. – Valentino puści ją wolno.

Wtedy widziałam tylko jego – złote refleksy w oczach, ostrożną pewność w zakrzywieniu ust, całe emanujące ciepło.

- Pozwól, żebym was stąd zabrał – mówił. – Pozwól, żebym odwiózł was do domu.

Millie opuściła komórkę. Zwisła u jej boku, odłożyła broń. Wzruszyła ramionami, nawet ten mały ruch okazywał zmęczenie.

- Chyba im wierzę, Soph. Wierzę Nicowi.

Na zewnątrz Luca zaczął odwiązywać ręce Sary. Luca się nią zaopiekuje. Luca ją uwolni, tak jak uwolnił mnie, kiedy zostałam porwana.

- Tak – odrzekłam. – Ja też.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

CIAŁO

Z JEZIORA MICHIGAN WYCIĄGNIĘTO CIAŁO NASTOLETNIJ MARINO

CIAŁO ODNALEZIONE W JEZIORZE MICHIGAN zidentyfikowano, jako Sarę Marino, dziewiętnastoletnią córkę rzekomego bossa mafii i regularnej bywalczynie brukowców Donaty Marino (niegdyś należała do już nieistniejącej rodziny kryminalnej Genovese).

Władze dotarły na scenę zbrodni wczorajszego ranka po zawiadomieniu od miejscowego rybaka, który natknął się na brzegu jeziora na ciało tuż po ósmej rano.

Biuro koronera w hrabstwie Cook donosi, że przyczyna zgonu jeszcze jest nieznana. Przypuszcza się, że to nie był wypadek.

Rzecznik rodziny potwierdził śmierć wczoraj wieczorem słowami: „Jesteśmy głęboko zasmuceni stratą naszej ukochanej Sary. Była osobą pomysłową i pełną współczucia, miała przed sobą świetlaną przyszłość. Nie poprzestaniemy na ustalaniu wydarzeń poprzedzających jej śmierć”.

Oświadczenie złożono niecały tydzień po niesławnej burdzie w klubie nocnym Eden, w której stracił życie członek rywalizującej sycylijskiej mafii Calvino Falcone. Donata Marino, właścicielka klubu, została aresztowana, ale potem wypuszczono ją bez zarzutów. Nie udało się dotrzeć do nagrania tamtego zdarzenia z kamery przemysłowej z powodu niedziałającego systemu w klubie. Policja apeluje, żeby zgłaszali się świadkowie.

Żadna z rodzin nie wydała oświadczenia. FBI twierdzi, że dzisiejsze zamordowanie skazanego mordercy Rico Falcone'a w Więzieniu Stateville jest prawdopodobną oznaką odwetu Marino, co wzbudza dalsze podejrzenia, że w przestępczym podziemiu zanosi się na wojnę.

Kryminalna rodzina Marino, potocznie nazywana gangiem Czarnej Ręki, jest jedną z pięciu największych mafii w Chicago. Wrogość pomiędzy Falconami i Marino wyszła na światło dzienne podczas serii przestępstw w 1987, która została zaznaczona morderstwem Don Vincenza Marino, bossa rodziny Marino oraz jego żony Lindy Harris w ich rodzinnym domu. Ich synowie Vince Junior i Antony zniknęli zaraz po ataku. Na przestrzeni całego zatargu straciło życia wielu Falconów i Marino, gdy tymczasem dokonano tylko trzech aresztowań. Wojna krwi rozbudziła się kilka lat później po morderstwie Don Gianluki Falcone'a z rąk Marino przed szpitalem Northwestern Memorial. Choć ostatnimi czasy panował pokój pomiędzy przewodzącymi przestępczymi rodzinami Chicago, wydarzenia tego tygodnia wskazują na odrodzenie się ich agresywnej rywalizacji.

Sara Marino była najmłodszą z pięciorga dzieci. Jej bracia to Marco, Libero i Franco Marino, który obecnie odbywa karę dożywotniego więzienia za morderstwo. Jej siostra, Zola Marino, niedawno wyszła na wolność po odbyciu sześcioletniego wyroku za nieumyślne spowodowanie śmierci. Sara była aktywna w klubie Eden i ostatnio odłożyła semestr kursu muzyki na uniwersytecie Chicago. Nigdy nie była karana.

Nie ogłoszono szczegółów związanych z pogrzebem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

FURIA

Kłamliwe dranie.

Odłożyłam gazetę na stół. Za mną krzątała się mama. Na patelni skwierczał tłuszcz i kuchnia pachniała bekonem. Przeprosiłam i wbiegłam na górę, przeskakując po dwa schodki naraz. Zamknęłam się w łazience i zwymiotowałam.

Wyszczotkowałam zęby i poprawiłam kucyka, mrugając do mojego bladego odbicia.

Dlaczego mu uwierzyłaś?

Idiotka.

Wewnątrz sypialni wsadziłam do buzi brzeg poduszki i wrzeszczałam, wrzeszczałam, wrzeszczałam.

Podli, bezlitośni zabójcy.

Mogłabym skrócić kark Nicowi. Jak mógł skłamać w tak nonszalancki sposób? Był trucizną; on i cała jego rodzina. Nikt nie uniknie ich oszalałego poszukiwania odwetu.

Wróciłam do kuchni. Mama smażyła jajka z bekonem. Nuciała do siebie, jej głos potykał się o nieznaną mi melodię.

Usiadłam na dygoczących nogach, następstwo wymiotowania wciąż kłuło mnie w policzki. Wyobraziłam sobie czystą białą kartkę.

Na dalekim rogu stołu walczyły o przestrzeń do połowy zszyte tkaniny. Spod tej góry wystawała rozerwana koperta.

Mama postawiła talerze na stole i usiadła obok mnie.

Przysunęłam sobie list, przyglądając mu się.

- Spóźniamy się ze spłatą hipoteki.

Wyciągnęła mi list z ręki i wsadziła z powrotem do koperty.

- Pracuję nad tym.

- Nie mamy już pieniędzy? – zapytałam, nie odrywając wzroku od jej profilu, kiedy chrupała plasterek bekonu. – Czy restauracja podupada?

- To zwykłe nieporozumienie – powiedziała powoli i rozmyślnie. – Jedz śniadanie. Nie przejmuj się tymi nudnymi, dorosłymi sprawami.

Nudnymi, dorosłymi sprawami. Gazeta leżała tam gdzie ją odłożyłam, ale ten nagłówek wciąż migotał w mojej głowie. Odmrużałam te słowa, po raz kolejny wyciągając pustą kartkę. Zmusiłam się do jedzenia jajecznicy.

- Powinnam wrócić do pracy – powiedziałam.

Mama podała mi solniczkę. Znów pomalowała sobie paznokcie. Koral: letnio i pogodnie. Zapomniała o małym palcu.

- Nie wygłupiaj się. Powinnaś siedzieć na słońcu, bawić się. – Jej twarz rozluźniła się w łagodnym uśmiechu. Kurze łapki w kącikach oczu wydały się pogłębić.

- Powinnam pomóc z kasą – zaprotestowałam. – Nie mam nic przeciwko...

- Nie musisz brać na barki ciężaru całego świata. Wszystko mam pod kontrolą.

„Czyżby?” chciałam zapytać, ale tego nie zrobiłam. Szalało we mnie zbyt dużo strachu i gniewu. Trudno było tłumić wszystko w sobie.

Zastukała w mój talerz.

- Śniadanie ci wystygnie.

Przeżuwałam plasterek bekonu, próbując zignorować niespokojne kotłowanie w żołądku, myśli napierające na granice mojego mózgu. Przełknęłam nagłówek i obraz martwego ciała Sary Marino wyciągniętego z jeziora, i powiedziałam mamie, jakie pyszne zrobiła śniadanie.

Porozmawialiśmy o ogrodzie i nowym drewnianym treliażu, który wzniosła pod tylną ścianą. Porozmawialiśmy, że niedługo wracam do szkoły. Nie poruszyliśmy więcej tematu hipoteki ani wszystkich niedokończonych projektów. Nie mówiliśmy o Jacku ani moim ojcu. Ostatnio miałam wrażenie, że nasze rozmowy były bardziej określone tym, czego unikałyśmy. Taki jest problem z traumą – nosisz ją jak pelerynę, ale przyznawanie się do niej tylko wszystko pogarsza.

Zjadłam tyle ile zdołałam, czując jedynie popiół w ustach. Kawa była za gorzka; sok zbyt czerwony. Mama dziobała w jedzeniu, wpatrując się w jajecznicę, a ja wymyłam talerz i wyszłam.

Na dworze było pochmurnie, ale wilgoć była nie do zniesienia. Dusila mnie nawet w domu. Podkreśliła mi końcówki włosów i przywarły mi do szyi. Było mi ciepło w bluzce; zbyt bardzo przylegała mi do ramion.

Popołudniu wpadła Millie.

- Soph! – Jej twarz się załamała i rzuciła się na mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i wpadłam tyłem do przedpokoju. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobili, nie mogę uwierzyć, że się na to zdecydowali.

- Wiem. – Rzecz w tym, że ja mogłam w to uwierzyć.

Wyglądała na kompletnie przygnębioną. *Ja* jej to zrobiłam. Zabrałam ją ze sobą do tego mrocznego, bezlitosnego świata. Teraz byłyśmy jak zombie i próbowałyśmy wydostać się na powierzchnię. Ale ciężko zapomnieć o raz widzianych rzeczach, ciężko nie myśleć o ludziach, których próbuje się zostawić za sobą, kiedy już się ich poznało. Jeżeli zaczęła się wojna krwi ze zgonami po obu stronach, to kto wie, co będzie dalej? Ciężko to zignorować nawet, jeśli to kłamcy. Nawet, jeśli to zabójcy.

Zaprowadziłam Millie do salonu i opadłyśmy na kanapę. Podniosła nogi i wsunęła pod siebie stopy.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. Trzeba było zrobić więcej.

- Nie powinnam była uwierzyć Nico. Już mnie zdradził tym, że przyjechał do Edenu.

- To nie twoja wina – zaprzeczyła cicho. – Ja też mu uwierzyłam.

- Nie powinnam była mu pozwolić, żeby zabrał mi tę wizytówkę. – I taka była paskudna rzeczywistość – nie przyszliby, gdybym nie popełniła błędu tamtego wieczora na parkingu.

- Nico ci ją zabrał.

- A ja mu pozwoliłam. – Pomyślałam o naszym pocałunku, tej mrocznej namiętności, tego ckiego poczucia głupoty. – Byłam idiotką. Mam wrażenie, że całe życie czekałam, aż coś mi się przydarzy, aż coś wstrząśnie mną tak bardzo, że odżyję. Nie mogłam się doczekać, żeby w kimś się zakochać, żeby być *kochaną*. Ale nie tego się spodziewałam. Nie tego chciałam. Wszystko jest pochranione.

Millie milczała przez chwilę, myśląc nad tym, co odrzec. Pochyliła się i założyła dłonie.

- Rzadko kto zostaje ze swoją pierwszą miłością. To taki głupi bajkowy mit, którym karmią cię filmy Disney'a. Czy wiedziałaś, że Królewna Śnieżka ma czternaście lat? Gdybym wzięła ślub z chłopakiem, który podobał mi się w wieku czternastu lat, utknęłabym z Tomem Petersonem i jego głupią przytakującą głową. Każdy ma prawo popełniać błędy.

- Związałam się z *zabójcą*. I chyba nie zorientowałam się, jaki jest pokręcony dopóki nie złożył mi tej obietnicy, a potem i tak zabił Sarę. Była jego kuzynką, Mil. Nie potrafię tego pojąć. Jak mogłam być taka ślepa?

Millie wzruszyła ramionami, wlepiając oczy w miejsce w podłodze.

- Ja poszłam na randkę z Domem. Przede mną też były te znaki ostrzegawcze. Ale nie żałuję, Soph. To mi dało nauczki.

Uniosłam brwi.

- Jaką nauczkę?

- Jestem boleśnie płytka – westchnęła ciężko.

Jej szczerość wywołała we mnie uśmiech, iskierkę rozbawienia w otaczającej nas ciemności.

- Chciałabym móc ci tym dokuczyć, garnku.

- Wybacz, kotle² - powiedziała, uśmiechając się leciutko, jak ja.

Rzuciłam się na oparcie kanapy i podniosłam wzrok na sufit, wypowiadając na głos realizację, która rozwijała się powoli w moim żołądku.

- Tak naprawdę wcale nie znałam Nico – powiedziałam cicho. – Gdybym go rozumiała to nigdy nie opuściłabym tego domu bez Sary. Idealizowałam go – przyznałam, bolesna prawda niemal wydusiła ze mnie następne słowa. – A to jązabiło.

Millie pociągnęła mnie za ramię, żebyśmy na nią spojrzęły.

- *Oni* ją zabili. Gdybyśmy spróbowały zrobić więcej, możliwe, że odnaleziono by trzy ciała w tym jeziorze, i taka jest twarda prawda, Soph.

- Może.

- I jest coś jeszcze. – Głos Millie zrobił się niski i ponury.

Poczułam, jak blednie mi twarz i wróciły do mnie pełną siłą wcześniejsze ukłucia mdłości.

- Co?

- Jak byłam wcześniej w pracy znalazłam sejf. Po tym, co opowiadał Jack w Edenie wiedziałam, że coś musi w tym być. Więc zaczęłam go szukać.

- Zawsze mieliśmy sejf.

Millie potrząsnęła głową.

- Nie taki. Inny. *Większy*. Znajduje się w tych ogromnych szafkach nad kuchenką w kuchni – wiesz, w tych, co są bardzo wysoko?

Przytaknęłam. Nigdy z nich nie korzystałyśmy... zbyt trudno było do nich sięgnąć.

- Nie zauważyłabym tego sejfu, ale jest ukryty za panelem w szafce. Ścierał się w rogach, więc go odsunęłam. Ten sejf jest ogromny, Soph, i *stary*. No i bardzo wymyślny, więc wiadomo, że pełno tam czegoś, czego być tam nie powinno. Przypuszczam, że

² W sensie „Przyganiał kocioł garnkowi”

potrzeba do niego wielkiego wymyślnego klucza, sądząc po zamku. Nie mamy takiego w knajpie.

- Pewnie nosi go ze sobą. – Nagle poczułam lekkość w głowie, ale nie byłam zbyt zaskoczona. Jack sam powiedział, że istnieje sejf... tylko mała, naiwna część mnie sądziła, że chodziło mu o ten, którego używaliśmy. *Oczywiście* był jeszcze jeden – ukryty i pełen rzeczy, o których wiedział tylko on. – Dlatego Falconowie obserwują restaurację.

Millie skinęła głową.

- Założę się, że czegokolwiek potrzebuje Jack to wciąż tam jest. Dlatego chciał, żebyś mu pomogła. O to targował się z Donatą.

- Nie mam klucza... ani ochoty mu pomóc – dodałam. – On jest jak trucizna.

- Kontaktował się z tobą? – Millie przyglądała mi się teraz z ostrożnym zainteresowaniem. Była trochę bledsza niż zwykle. Miała tłuste włosy. Millie nigdy nie miała przetłuszczonych włosów.

- Nie.

- Myślisz, że to zrobi?

Obie znałyśmy na to odpowiedź. Pomyślałam o tej szkarłatnej wizytówce, o tym, co wykrzykiwał mi w Edenie. Wiedział, że to ja wydałam ich pozycję, ale skąd mógłby wiedzieć, że to był zwykły wypadek?

- Ta – odparłam, wzdychając. – Jeszcze wróci.

Millie otworzyła szeroko przestraszone oczy.

- Co zamierzasz?

- Pytanie, co *on* zamierza.

Przypomniałam sobie szpony Donaty Marino na moim ramieniu, to jak wbijała we mnie palce, jakby nie chciała mnie nigdy wypuścić. Jak wściekłość Jacka za moją zdradę przeszła wtedy cały tłum. Przypomniałam sobie Sarę Marino wtulającą twarz w trawnik Felicego, który błyszczał jej krwią. Dobierały się do mnie obrazy jej nasiąkniętych wodą zwłok, domagając się uwagi. Wiedziałam już, jak postąpię, kiedy wróci Jack.

Zaprzeczenie zaprzeczenie zaprzeczenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZMOWA

W tle rozgrywał się maraton „Z kamerą u Kardashianów”, kiedy wszystkie ujrzone przez nas rzeczy w przeszłym tygodniu wydusiły z nas wszelkie rozmowy. To nie był jeszcze koniec, ale nie byłyśmy w stanie nic przewidzieć. Mogłyśmy tylko trzymać się na dystans i wierzyć wbrew nadziei, że kiedy nadejdzie burza to ominie nas szerokim łukiem.

Zadzwonił telefon stacjonarny i w przedpokoju rozbrzmiały kroki mamy. Wyteżyłam słuch, myśląc o tym, że ostatnio rzadko kiedy ktoś do nas dzwonił. Nowy klient? Miałam taką nadzieję. Matka ściszyła głos, więc ściszyłam telewizor. Millie przeglądała bezmyślnie Instagram na swojej komórce, oglądając zdjęcia czyjegoś jedzenia.

- ...zostawiłeś wszystko mnie, to niesprawiedliwe.

Dobra, więc to zdecydowanie nie był klient. Nigdy nie była dla nich nieuprzejma. Właściwie to moja nieustannie życzliwa matka była nieuprzejma tylko dla jednej osoby.

Wyciszyłam telewizor.

- ...nie możesz traktować tego, jakby to nie było nic wielkiego!

Jej wysoki ton głosu wytrącił Millie z przeglądania komórki. Podniosła gwałtownie głowę i przycisnęłam palce do ust.

- Znowu muszę to posprzątać i jak mam niby to zrobić? Nie ma pieniędzy.

- Kto to? – zapytała bezgłośnie Millie.

Wzruszyłam ramionami, nie odrywając palców od ust.

Mama znów ściszyła głos i słowa, które do mnie docierały były tym razem rozłączone, wyciągnięte ze zdań, więc nie rozumiałam ich znaczenia.

- ...od tamtej nocy... normalny... prawda... obiecał, kiedy myślałam... już nie. – Wstałam z miejsca i podeszłam do drzwi, uchylając je lekko. Nadal musiałam wyteżać słuch, ale teraz słowa się łączyły i wstrzymałam oddech, żeby wszystkie usłyszeć.

- ...to niesprawiedliwe dla żadnej z nas. Muszę.

Wyjrzałam zza drzwi. Mama stała w przedpokoju. Opierała się o drzwi łazienki, trzymając jedną rękę we włosach, a drugą ścisnęła mocno telefon.

- Dobra! – syknęła. – Ale uważam, że to nie w porządku! – Opuściła głowę i podniosła rękę do oczu, pocierając je. – Wyślę ją – powiedziała. – Ale nie myśl sobie, że to koniec tej rozmowy.

Jak już się rozłączyła stałam w przedpokoju, wywiercając dziury w jej czaszce. Odwróciła się i na mój widok okazała porażkę, nie zdziwienie.

- Sophie. – Opuściła ręce po bokach. – Och, Sophie, jestem wykończona.

Zrobiłam ostrożny krok w jej stronę.

- Czy to był Jack?

Zamrugła tępo.

- Twój ojciec. Chce, żebyś jutro się z nim zobaczyła.

W mojej głowie zabulgotało zaskoczenie.

- Dlaczego?

- Bo wie, co się stało z Falconami – odpowiedziała beznamiętnie, zmarszczyła czoło i wyznała: - Powiedziałam mu.

- Czemu? – Do mojego głosu przesiąknęła trwoga. Jak mogła to zrobić wiedząc, że on nie może nic zrobić, by to zmienić? Po co niepotrzebnie go martwić, kiedy sama była taka zmartwiona? A potem uszczypnęłam się, kiedy ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie radziła sobie, dlatego. I kiedyś on był jej oporą. Może nadal nią był, chociaż pozostała pomiędzy nimi niechęć. Może nadal potrzebowała go tak bardzo, jak ja potrzebowałam jej.

Odgarnęła włosy z twarzy. Opuściła gardę i była zbyt zmęczona, żeby wznieść ją z powrotem.

- Bo chciałam, żeby zobaczył.

- Co zobaczył?

Przeniosła wzrok na okno w przedpokoju, przez które przesączało się słońce.

- Że nic nie jest w porządku – odpowiedziała prosto. – Że nie jest tak od dłuższego czasu.

- Nie – powiedziałam, czując dziwną ulgę na ujawnienie prawdy, której tak ostrożnie unikałyśmy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego pragnęłam. – Nie, nic nie jest w porządku.

Ale zastanawiałam się, dlaczego chciał spotkać się ze mną, a nie z nią? Przyjrzałam się zgarbionej sylwetce matki i zobaczyłam to, co on pewnie usłyszał w jej głosie – słabość. *To ja, pomyślałam. To ja muszę to naprawić.*

Jakby został w niej pstryknięty włącznik, mama uniosła gwałtownie głowę i jej wzrok stał się twardy i lśniący.

- Wiesz, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, bardzo kocham twojego ojca – oświadczyła poprzez ciężkie westchnienie. – Kocham życie, które nam zbudował. Kocham córkę, którą mi podarował. Kocham naszą rodzinę.

- To dobrze... - powiedziała niezręcznie. Od bardzo dawna nie mówiła o nim tak otwarcie ani czule. Słowa były ciepłe, ale było coś pod nimi... przytyk, smutek.

- Tęsknię za nim, Sophie – przyznała. – Codziennie za nim tęsknię.

Poczułam ukłucie łez, jej nagła szczerość była wstrząsająca.

- Ja też, mamó. Też za nim tęsknię. – *Tęsknię za nami. Tęsknię za naszą rodziną.*

- Ale czasami... - Pokręciła powoli głową, wbijając wzrok w podłogę między nami, wpatrując się w inny czas i miejsce, coś, do czego nie miałam wstępu. – Czasami mam wrażenie, że wybuchnę.

Odwróciła się ode mnie nagle i przeszła przez kuchnię do ogrodu, gdzie zniknęła wśród swych kwiatów.

Patrzyłam za nią. Zaczęłam rozumieć to uczucie o wiele za dobrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

WIĘZIENIE

W autobusie jadącym do Więzienia Stateville panowała duchota, siedzenia były wilgotne od wieloletniego zapachu ludzkiego. Zwinęłam się przy oknie na tyłach i przeglądałam listę odtwarzania na moim iPodzie. Słuchałam Joshuy Radina i patrzyłam, jak Chicago się oddala.

Dojechałam wczesnym popołudniem. Włosy mi przyklepały w miejscu, gdzie opierałam się o okno i drzemałam. Spięłam je w kucyka. Lepiły mi się ciuchy. Wciąż było okropnie duszno. Niebo było zachmurzone, naciskał na mnie gruby koc oślepiającej bieli. Powietrze było naelektryzowane i podkręcały mi się końcówki włosów.

Nadchodziła burza.

Pokój wizyt Stateville śmierdzał środkiem dezynfekującym. Pod ścianami stało trzech strażników patrzących ze szklistą obojętnością. Próbowалам nie patrzeć im w oczy, bo bałam się, że mnie przejrzą i dowiedzą się wszystkiego, co wiedziałam.

Ojciec podszedł się ze mną przywitać. Był nieznacznie przygarbiony, jak gdyby trzymanie głowy prosto wymagało od niego zbyt dużo energii. Nadal był żyłasty i wychudzony z założonymi za uszy siwiejącymi włosami, które opadały mu również na wielkie szare oczy. Kiedyś były bardziej błękitne, koloru oceanu.

Podniósł głowę i rozciągnął usta w uśmiechu. Potrafił na krótką chwilę przemienić się w ojca, którego znałam poza tymi murami.

- Sophie, jak dobrze cię widzieć.

Nie wolno mi było go przytulić, więc nie wiedziałam, co zrobić z rękoma. Zdecydowałam się na niezgrabne pomachanie/salut.

Usiedliśmy. Przyglądałam się jego twarzy, szyi, dłoniom – każdej części ciała, która była mi widoczna – szukając ran. On przyglądał mi się tak samo uważnie. Trochę mnie to zbiło z tropu. Nie miałam już siniaków na twarzy i zeszła opuchlizna nosa. Byłam bledsza niż normalnie, ale poza tym nie byłam już poznakowana ranami. Jednak on już o nich wiedział, więc to miało sens, iż próbował je odszukać.

Przez oparcie mojego plastikowego krzesła przechodziło pęknięcie. Czułam je na plecach i wierciłam się, próbując znaleźć wygodną pozycję. Nie było sensu. Złożyłam ręce na kolanach, szukając właściwych słów. Od czego powinnam zacząć? Ile powinnam powiedzieć?

Zakłopotanie na jego twarzy odzwierciedlało moje i prawie się uśmiechnęłam na to, jacy byliśmy podobni. Pochylił głowę i posłał mi *spojrzenie*. Nasze otoczenie zniknęło, byliśmy tylko we dwoje we własnej małej bańce. Zrzucił fasadę i jego twarz się rozpadła.

- Wiem, co się stało, Soph – wyrzucił z siebie. – Twoja mama mi powiedziała.

- No cóż – powiedziałam, splatając przed sobą palce. – Jack jest dupkiem.

Na jego twarzy był wypisany żal, naciągając mu rysy, aż wyglądał na wymęczonego i starego.

- Tak strasznie mi przykro. Tylko tyle mogę powiedzieć. Przykro mi, że to wszystko ci się przytrafiło. Przykro mi, że twoje życie było zagrożone i nie mogłem ci pomóc. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Coś osadziło się głęboko we mnie, płonąć i miałam nagłe pragnienie złapać się za brzuch, wyrwać to uczucie.

- Nie musisz przeproszać – powiedziałam brzmiąc na bardziej rozgniewaną niż zamierałam. Ale *byłam* na niego wściekła o to, co się stało, o pozostawiony przez niego bałagan. – To nie miało nic wspólnego z tobą.

Schował twarz w rękach.

- Przeszłaś zbyt dużo. A mnie tam nie było. Nigdy mnie nie ma.

Spojrzałam na czubek jego głowy, gdzie spod siwo-brązowych włosów zaczynały wyrastać białe.

- Tato, wszystko ze mną dobrze. – *Nie dzięki tobie*. Jednak tego nie powiedziałam, nie mogłam być okrutna.

Podniósł głowę.

- Nie jest z tobą dobrze, tak jak nie jest z twoją matką. Jest przerażona i nie mam jej tego za złe. Próbuję jej doradzić, ale nie chce mnie słuchać. Gniewa się na mnie, Soph. I ma do tego wszelkie prawo, ale nie radzi sobie i martwię się o nią.

- A więc jest nas dwójka.

Zadałam konieczne pytanie, które błyskało mi przed oczami.

- Słyszałeś od bohatera dnia?

- Jeszcze nie. – Ojciec odetchnął przez nos. Gdy znów się odezwał, jego głos drżał od gniewu. – To wszystko, co zrobił, w jakiej sytuacji postawił ciebie i twoją matkę... Podczas mojej nieobecności miał się wami opiekować, a nie ryzykować wasze życia.

- Wiedziałaś? – Wbijalam paznokcie w dłonie, tworząc kształty półksiężyców. – Czy wiedziałaś, co on robił przez ten cały czas?

- Nie. – Wyrzucił odpowiedź zanim jeszcze skończyłam pytanie. – Oczywiście, że nie wiedziałem.

- Czy mama powiedziała ci o wszystkim?

- Tyle ile mogła – odparł. – Ale nie chcę o tym mówić, chcę pomówić o moich dziewczynkach.

- Cóż, a ja chcę pomówić o narkotykach, gangu Złotego Trójkąta i o wszystkim innym, co wpakowało nas w kłopoty. Chcę pomówić o wszystkim, co przegapiłeś. – A więc o tym powiedziałam. Opowiedziałam ojcu wszystko, co się wydarzyło przed strzelaniną w magazynie – opowiedziałam o podejrzanym zachowaniu Jacka, o narkotykach i gangu, do którego należał, o tym jak wprowadził moją matkę do magazynu, jak stanął nade mną i usiłował zabić zastępcę bossa Falconów, mówiłam aż prawie straciłam głos. Mówiłam, dopóki nie byłam pewna, że zmieniałam wizerunek Jacka w umyśle ojca, dopóki nie byłam pewna, że dojrzał twardą, zimną prawdę o swym młodszym bracie.

W końcu zamilkłam, odetchnęłam długo i głęboko, i poczułam jak schodzi ze mnie mały ciężar.

Ojciec, który przysłuchiwał się wszystkiemu uważnie i przyglądał mi się twardo, wyprostował się w krześle.

- Soph, przyrzekam, że zapłaci za to, iż naraził was na niebezpieczeństwo – powiedział. – Jestem nim okropnie rozczarowany – jego wyborami, obraną przez niego ścieżką. Powinienem być odciąć się od niego już dawno temu. – W porównaniu do wszystkich słów, którymi go przed chwilą zarzuciłam jego odpowiedź wydawała się pusta, ale widziałam jak zmienia mu się twarz, jak przestawia sobie wszystko w głowie. Był całkowicie wypompowany. Potarł sobie czoło. – Ale nie mogę do niego dotrzeć. Nie wiem gdzie jest ani co wyprawia.

To była ta chwila. Poruszyłam się niezdecydowanie. Powiedzieć czy nie powiedzieć. Namieszać czy nie namieszać. Ale potrzebowałam wskazówek. Potrzebowałam planu na powrót Jacka... potrzebowałam interwencji ojca, żebym ja nie musiała interweniować. Zatem postanowiłam dać mu szansę, żeby ochronił nas tak jak mówił.

- Wiem gdzie on jest – powiedziałam bez mrugnięcia okiem. Oparłam się w krześle, odruchowo odsuwając się od niego na wypadek, gdyby jego reakcja była zbyt wielka. – Jack ukrywa się u rodziny Marino.

- Nie – powiedział szybko. – Nie ma mowy. – Cóż, miałam odpowiedź na pytanie czy słyszał wcześniej o Marino. – Jack nie byłby taki głupi. Nie mógłby otwarcie zadawać się z Marino.

- Ale to robi – upierałam się.

Ojciec potrząsnął głową.

Parłam dalej, chcąc zepchnąć Jacka z piedestału, na którym trzymał go ojciec.

- Nie wiem, co oferuje Donacie Marino, ale przysięgam ci, że z nimi jest. Nawet tego nie ukrywa.

- Boże – odetchnął ojciec. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Przesunął dłoń po siwiejących włosach. – Po tym wszystkim robi coś tak niebezpiecznego. Co on sobie wyobraża?

Miałam wrażenie, że nie mówi już do mnie, ale skoro miałam odpowiedź to stwierdziłam, że ją podsunę.

- Robi to dla ochrony – rzekłam. – Tyle jest oczywiste. Falconowie pragną śmierci Jacka, więc ukrywa się z jedyną rodziną, która z radością się z nimi zmierzy.

Tata zatrzepotał powiekami. Wyglądał na bardziej chorego niż rozgniewanego. Przysunęłam dłoń tak blisko niego jak mogłam bez dotykania go. Przełam mu swoją siłę.

- Czy Falconowie... czy wiedzą, gdzie przebywa Jack? – zapytał.

- Tak. – Miałam przebłysk scen z Edenu. – Wiedzą od tygodnia. Miał miejsce... taki pojedynek... Pokazywali w telewizji – mówiłam, decydując, że popełniłabym najgłupszy błąd na świecie, gdybym wyznała tacie, że tam byłam. Spanikowałby jeszcze bardziej niż teraz. – Ale wiem, że był tam Jack... widziała go moja znajoma.

Ta informacja nim wstrząsnęła i wytrzeszczała oczy.

- Brał udział w strzelaninie w Edenie?

- Słyszałeś o tym?

Jego spanikowane oczy latały tam i z powrotem, kiedy przetrwał wiadomość, iż jego jedyna rodzina w całym tym wielkim świecie, pomijając mnie i matkę, brała udział w niebezpiecznej wojnie krwi. Jack umizgiwał się z przemocą i morderstwem, a mój ojciec nie mógł do niego dotrzeć – nie mógł być tym samym opiekuńczym starszym bratem, co kiedyś. Jack był zdany tylko na siebie.

- Pewnie, że słyszałem, Soph. Falconowie zamordowali *nastoletnią* córkę Donaty Marino. – Ojciec wskazał za siebie w ogólnym kierunku więzienia. – Franco Marino odbywa tu swój wyrok. Krzyczał wniebogłosy. Wczoraj rano zamordowano Falcone’a w jego celi, ale nikt nic nie mówi. – Ojciec wziął się w garść, zaciskając mocno wargi. – Posłuchaj mnie, Sophie. Musicie razem z matką natychmiast opuścić Cedar Hill. – Rzucił

się do przodu, uderzając dłońmi o stół. – Zostawcie dom, zostawcie restaurację i uciekajcie najdalej, jak możecie.

- Co? – syknęłam. – Ale to twoje miejsce. To *nasze* miejsce. Nie mogę ot tak wyjechać.

Złapał mnie za rękę i ścisnął.

- Soph, w tej chwili potrzebuję, żebyś je opuściła. I musisz to zrobić dziś wieczorem.

Strażnik zawołał, żebyśmy się rozdzielili. Zabrałam rękę.

- Gdy wrócisz do domu spakuj swoje torby, spakuj torbę mamie, wsiądźcie do samochodu i wyjedźcie.

Mogłabym zmiążyć ten stolik. Oto był przede mną ojciec, którego potrzebowałam, mężczyzna, który pragnął zapewnić nam bezpieczeństwo i utkwiał za kratami, rzucając we mnie poleceniami. Byłam sfrustrowana i przerażona. I czułam się kompletnie samotna. Miałam wrażenie, że zaczynam kręcić się w miejscu, że moja głowa odrywa się od szyi. Właśnie poprosił mnie o niemożliwe. Nie mieliśmy pieniędzy ani celu. Na całym tym świecie mieliśmy tylko nasz dom i restaurację. Nic więcej.

- Mama nie wyjedzie. Dopiero, co odzyskuje swoje życie.

- Wcale nie. – Zrobił ponurą minę. – Nie śpi, źle się odżywia. Jej rozmowy są chaotyczne. Ciągłe wspomina przeszłość. Boi się wyjść z domu. Ona się nie trzyma, Soph.

Każde jego słowo było jak zimny sopel w moje serce. Jeżeli potrafił stwierdzić, jaka była wstrząśnięta nawet jej nie widząc, to może była w jeszcze gorszym stanie niż sądziłam.

- Nie posłucha mnie – powtórzyłam.

- Jesteś *jedyną* osobą, której posłucha. To dla ciebie wstaje co dzień rano.

- Tato – powiedziałam, trochę go uciszając. Patrzyłam na tętniące żyły na jego skroniach. – Panikujesz. Musisz się uspokoić.

- Nie rozumiesz – odparł, zaciskając i rozluźniając pięści. – Nie rozumiesz, jak potężne są te rodziny, jak blisko jesteś wszystkim, w co wplątał się Jack.

- Rozumiem – zaperzyłam się, mój głos zrobił się równie twardy, co jego. – Uwierz, że pojmuję.

- To wyjedź – nalegał. – Zanim będzie za późno.

- A co z tobą? – zapytałam, wiedząc, że nie był wcale bezpieczny w więzieniu. Jeśli chcieli to mogli dobrać się do siebie nawet wewnątrz. Świadczył o tym martwy Falcone. A jeśli Jack popełnił błąd, to kogo lepiej za to ukarać niż jego jedynego brata?

- Nie wychyłam się, Soph. – Pochylił przy tym głowę.

- Pięć minut! – krzyknął strażnik.

Niech to szlag. Nigdy nie starczyło czasu.

- Obiecuj mi, Soph. – Złapał mnie za rękę.

Zostaliśmy okrzyczani za kontakt i odsunęłam się, zwijając ręce w pięści.

- Ja... - urwałam. Myślałam o Millie, o restauracji, o moim pokoju, o ogrodzie, który właśnie zaczynał przypominać ogród, o mojej szkole, o moim ojcu uwięzionym pomiędzy tymi niebezpiecznymi murami... - Postaram się.

- Nie *postarasz* – warknął, teraz wszystkie emocje odzwierciedlały się w jego nastroju. – Zrobisz to dla mnie, Soph. Ten bałagan dopiero co się zaczął. Jeśli zostaniesz w Cedar Hill, zostaniesz w niego wciągnięta. Musisz się przyczać do czasu, aż wszyscy się wypalą od atakowania się nawzajem. Dopóki boss nie zostanie zdetronizowany, dopóki nie zawieszą broni. Dopóki nie zabiorą się w cholere z twojego miasta.

Miał rację. Właśnie po taką poradę tutaj przyszłam – takiej rady potrzebowałam. Pozwoliłam sobie na złudzenie ucieczki, ale nie podjęłam żadnych kroków; po prostu zamknęłam oczy. Prawda była taka, że utknęłam pomiędzy dwiema stronami mafijnej wojny, wplątałam się w ich morderstwa, plany, gniew i moje serce ścisnęło się ze strachu wobec obu stron. Coś nadchodziło. Czułam to, jakby ziemia drżała mi pod stopami i prędzej czy później wyjdzie na powierzchnię.

- Dobrze.

Strażnik ogłosił koniec wizyt. Wszędzie wokół zaczęły szurać odsuwane krzesła. Wstaliśmy.

- Nie wiem, kiedy znowu cię zobaczę, tato. – Poczułam nagle obezwładniające poczucie rozpacz na myśl, że byłam tak daleko od niego. Mój oddech zaczął przyspieszać i poczułam bardzo nieprzyjemne kłucie w oczach.

Przyciągnął mnie do uścisku.

- Kocham cię, Soph.

- Ja ciebie też. – Oderwali go ode mnie i wepchnęli do szeregu. Cofnęłam się chwiejnie. Nie zdałam sobie spraw z łez, dopóki nie zaczęły mi spływać po szyi. Miałam lepkie ręce i wydawało się, iż nie mam wystarczająco miejsca w płucach, by nabrać powietrza.

Wylądowałam przed więzieniem nie pamiętając jak się tam dostałam. Okryła mnie wilgoć, wpełzając mi do włosów i pod ubrania. Nogi miałam jak z ołowiu, kiedy szłam przed siebie.

Usiadłam na ławce i czekałam na autobus. Powietrze było ciężkie i nie tylko przez obietnicę deszczu. Jack i Donata byli w drodze, a to znaczyło, że musiałam robić to samo. Nie mogłam siedzieć jak kaczka na strzelnicy.

Byłam tak pochłonięta falą lęku i strachu, próbując obmyśleć właściwy ruch i najlepszy sposób, by powiedzieć o wszystkim Millie – próbując obmyśleć, skąd weźmiemy kasę – czy w ogóle *zdołamy* to zrobić... że nie skupiałam uwagi, kiedy ławka zaskrzypiała i ktoś usiadł przy mnie. Podparł się z tyłu ramieniem i przekrzywił leniwie ciało w moim kierunku, aż zobaczyłam kątem oka przebłysk czarnych włosów oraz oliwkowej skóry i uderzył mnie znajomy zapach jego wody kolońskiej.

- Sophie Gracewell, nie sądziłem, że cię tu spotkam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ISKIERKA

- No więc – powiedział Luca. – Myślisz, że kiedykolwiek wpadniemy na siebie w kinie albo centrum handlowym, czy może dla nas to zawsze będą cmentarze i więzienia? Czy taki będzie nas zwyczaj?

Gdzie był ten przeklęty autobus?

Przeszyła mnie złość, ale gdybym otworzyła usta, by powiedzieć to, co naprawdę chciałam to bym eksplodowała, a w tym momencie chciałam tylko wrócić do domu do mojej matki i obmyślić jakiś plan działania. Założyłam ręce, jakby to miało zatrzymać we mnie wszystkie emocje.

- *Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, Luca.*

Czułam na twarzy zimne ukłucie jego spojrzenia. Kątem oka patrzyłam na jego dłonie, które szarpały za nitkę w ciemnych dżinsach, poruszając się nerwowo na kolanach.

- Nie zabiłem jej, Sophie.

Odwróciłam się, zarzucając za sobą kucykiem, który prawie pacnął go po twarzy.

- Równie dobrze mogłeś zabić.

- Nie. – Jego głos stał się twardy i wyobraziłam sobie, jak marszczy sfrustrowany brwi. – Nie możesz malować mnie jako potwora bez winy. Nie przyklejaj mi etykiety, na którą nie zasłużyłem. Mam już dość zasłużonych.

Nie odpowiedziałam. Po kilku sekundach wstał, obszedł ławkę i uklęknął po mojej drugiej stronie, bym patrzyła prosto na niego. Złapał deski obok mojego uda. Ilekroć próbowałam spojrzeć gdzie indziej, on przesuwał głowę i łapał moje oczy.

- Spójrz na mnie. Posłuchaj.

- Nie rozkazuj mi – rzuciłam gniewnie. – Ile razy mam ci powtarzać: nie odpowiadam przed tobą!

- Nie obchodzi mnie przed kim odpowiadasz. Musisz tylko wiedzieć jedno. – Przeczesał włosy. – Próbowałem uwolnić Sarę. Valentino chciał zrobić z niej kartę przetargową, nie przypadkową ofiarę. Wciąż była nastolatką.

- Była niewinna – powiedziałam, słysząc cichutkie drżenie w swoim głosie.

- Tak – odparł. – *Una innocente*. Nie miała umrzeć. Okej? Przysięgam. – Jego głos zmienił się w warknięcie. – *Przysięgam*.

Przełknęłam ciężko ślinę. W obietnicy Luki brzmiało coś szczerego – prawdziwość, której zwykle brakowało obietnicom Nico – ale jak miałam mu uwierzyć? Sara była martwa, a Luca to zabójca – przekonywujący i niebezpieczny. Był różą z cierniami, tak jak jego brat. Już raz się na to nabrałam.

- Czy sama wskoczyła do tego jeziora, Luca?

Opadł na pięty i przez jego rysy przemknął cień.

- CJ po prostu pękł. To była opóźniona rozpacz czy coś takiego. Felice go podjudzał, a potem wycelował w nią pistoletem, zginęła i nie mogłem jej pomóc, a teraz mam na rękach jej krew i wiem o tym. *Wiem*, jaka była Sara... niepodobna do naszej reszty. Uwierz, nienawidzę się za odegranie roli w jej śmierci, że nie byłem w stanie powstrzymać dwunastolatka z bronią, dwunastolatka, który nawet nie powinien *posiadać* broni, tak samo jak nie mogłem powstrzymać moich braci, kiedy mieli po dwanaście lat, więc jeśli chcesz możesz ułożyć swój gniew oraz nienawiść na moim stosie... ale nawet przez chwilę nie myśl, że to wszystko nie zjada mnie od środka.

Podniósł się i wrócił na miejsce, ale tym razem nie patrzył na mnie, siadając na ławce. Opuścił brodę i wbił wzrok w ręce, i ujrzałam w nim chłopca z tamtego portretu Valentino. Człowieka, którym był naprawdę... kogoś w niezgodzie ze swoim życiem i uwięzionym przez rodzinę o wiele większą niż jego marzenia i pragnienia. Otaczał go żal i jedyne, co można było zrobić to zabijać dalej, żeby było kwita. Ale problem tkwił w tym, że nigdy nie będzie kwita.

Ustałam, nie chcąc wbijać jeszcze głębiej tego noża, wiedząc już, że sam go sobie wbijał.

- Nie jesteś potworem.

Zauważyłam, jak wykrzywia usta i zagryza mocno zęby na dolnej wardze, jakby chciał przelać krew.

- Co ty wiesz? – zapytał cicho.

- Wiem, że jesteś łaskawy – odparłam, czując dziwną ochotę, by go pocieszyć, załagodzić rany emocjonalne, które sam sobie wymierzał.

- Tylko w porównaniu z innymi.

- Nie – powiedziałam, czując o wiele większą pewność siebie, kiedy wiedziałam, że mówiłam prawdę. – Jesteś podobny do niej. – Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Sarą, jej płonące oczy, kiedy mówiła o innym życiu, o innej egzystencji, której nigdy nie

zazna. On też musiał to w niej zobaczyć. Dlatego tamtej nocy ją podniósł, dlatego chciał ją uwolnić. – Masz takie samo serce.

Podniósł gwałtownie głowę i jego oczy były tak bardzo niebieskie, że niemal zapomniałam, co myślałam.

- Czy próbujesz pogorszyć sytuację, Sophie?

Uśmiechnęłam się do niego zażenowana.

- Właściwie to polepszyć.

- Nie idzie ci zbyt dobrze.

Wzruszyłam ramionami.

- To niezupełnie moja mocna strona. Ale jestem dobra w zmienianiu tematu. A właśnie, co ty tutaj robisz, do diabła?

- Wczoraj zamordowano tu brata mojego dziadka. – Wskazał za siebie. – Robota papierkowa. Wypadło na mnie.

- Słyszałam o tym. – Próbowałam rozgryźć poziom jego żalu, ale wyglądał na spokojnego i rzeczowego. – Współczuję.

Odchylił głowę, wlepiając oczy w niebo.

- Na pewno zgadniesz, co ci odpowiem.

- „Jest jak jest” – powiedziałam, powstrzymując się od przewrócenia oczami. – To sterta pierdoł.

- Jesteś bardzo elokwentna – mruknął.

- Miałeś rację, co do wojny – powiedziałam, chcąc by na mnie spojrział i pojął prawdziwą powagę jego prawdopodobnej nieuchronnej śmierci.

- Donata z dnia na dzień staje się coraz silniejsza – westchnął. – Krążą plotki, że pojawili się zaginieni bliźniacy Marino. Zbierają siły.

- Co? – Poczułam jak krew odchodzi mi z twarzy.

- Morale Marino jest wysokie – Luca umilkł, przygryzając wargę, po czym dodał ponuro – a to nigdy nic dobrego.

- Gdzie oni są? – zapytałam, myśląc o zakresie zemsty, który bez wątpienia tkwił im w głowach. Felice pewnie trząsał się w swoich skórzanych butach.

Luca odchylił głowę jeszcze bardziej i odetchnął, czemu towarzyszył cichy jęk frustracji.

- Gdybym to wiedział, to nie wylegiwałbym się teraz na tej ławce, Sophie.

- Martwisz się? – zapytałam, myśląc o Donacie i jej posiłkach, o wszystkich sposobach, na które mogła skrzywdzić Falconów. – Tą... wojną krwi?

- Tak. – Skupił się na mnie. – Ale nie martwię się o moją rodzinę, Sophie.

- O mnie? – zaryzykowałam.

- Nie wiem, co robiłaś w Edenie ani czego chciał od ciebie twój wujek. Spodziewam się, że i tak mi nie powiesz, ale tak długo jak Donata ma do ciebie dostęp, tak długo jak będzie czuła, że jesteś jej coś winna jesteś w poważnych tarapatkach. Nie wiem, co przehandlował twój wujek za tę ochronę, ale idę o zakład, że to powiązane z tobą.

Ciążyła na nas waga sytuacji i czułam, jak lepią mi się plecy od coraz to większej wilgoci.

- Ale co mogłabym jej zaoferować?

Zacisnął szczękę, wywołując wgłębienia pod kośćmi policzkowymi.

- Nie wiem.

- Nic nie mogę jej dać.

Przysunął się do przodu, tak subtelnie, że ledwo zauważyłam, i widziałam bliznę nad jego wargą. Zmrużył oczy i zapytał:

- Jesteś tego pewna?

Wybuchło we mnie gorąco. Miałam wrażenie, że zostałam przyłapaną na gorącym uczynku, ale nic nie zrobiłam. Wiedziałam o sejfie, ale on nie miał ze mną nic wspólnego. Przecież i tak nic z nim nie zrobię.

- Tak – odparłam. – Jestem pewna.

- Valentino cię sprawdza, wiesz.

Zrobiłam zaniepokojoną minę.

- Dlaczego?

Odwrócił się i oparł o ławkę, wzdychając do nieba.

- Moja matka mu nagadała.

- Och. – *Ależ z niej czarująca osoba.* – Cóż, marnuje tylko czas.

- Donata jeszcze po ciebie wróci. – Powiedział to beztrząsco jakbyśmy rozmawiali o pogodzie, ale przełknęłam ciężko ślinę, wiedząc, że to prawda.

- Nic mi nie będzie – odparłam. W mojej głowie pojawił się obraz mnie i mojej matki, jak wypychamy nasz samochód wszystkimi ozdóbkami i kołdrami. – Mam plan.

- Jaki plan?

- Sekretny.

Usiadł prosto. – Sophie... - urwał, przemyślając swe słowa.

- Tak? – zachęciłam.

Patrzył spod zmarszczonych brwi w ziemię, zaciskając usta. Rozwagał coś.

- O co chodzi, Luca?

Już go miałam szturchnąć, kiedy znów na mnie spojrzał. Niepewnie, jakby ten pomysł wciąż rodził mu się w głowie, rzekł:

- Jeśli potrzebujesz pomocy możesz o nią poprosić. – Rozłożył ręce na moje wstrząśnięte milczenie. – Możesz do nas przyjść, Sophie. Jeśli potrzebujesz.

Niemal spadłam z ławki.

- Co? – zapytałam, wytrzeszczając oczy. – Żartujesz?

- Dlaczego miałbym żartować na taki temat? – Jego twarz była skamieniała. – Wiem, co Donata Marino robi z ludźmi, którzy nie poddadzą się jej woli. Ty tego nie wiesz.

- Miesiąc temu twoja rodzina próbowała mnie zabić.

- Wiem. – Zamilkł na chwilę, stukając palcami w brodę. – Ale teraz sytuacja jest inna... Możemy cię ochronić.

- Niechętnie – wytknęłam, odczytując jego oczywiste zawahanie.

Potrząsnął głową.

- Proces będzie trudny – przyznał zwyczajnie. – Niełatwo proponuję naszą ochronę. Ale i tak ją proponuję.

Mój wstrząs lekko zbladł, a na jego miejsce wstąpiła konsternacja. Nie wiedziałam, co dokładnie miał na myśli poprzez proces, ale widziałam, że jego oferta była prawdziwa i znacząca.

- Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego chcielibyście nas chronić? Jeszcze niedawno mnie nienawidziliście.

- Wtedy cię nie znaleźliśmy – odparł, po czym dodał prawie niechętnie: - Wtedy nam na tobie nie zależało.

Zacisnęłam ręce na kolanach i poczułam ich lepkość. Coś się we mnie kotłowało.

- A więc teraz ci na mnie zależy – powiedziałam, chcąc by zabrzmiało to jak żart, ale wyszło ze mnie miękko, nisko i pełne czegoś gardłowego, przez co było mi wstyd. – Czemu?

Oboje wiedzieliśmy, o co tak naprawdę pytałam. *Co zmieniło twoje zdanie?*

Luca zwrócił ciało w moją stronę zatracony w cichych rozmyślaniach. Byliśmy tak blisko, że gdybym wysunęła się do przodu znalazłabym się pod jego brodą. Dlaczego miałabym to zrobić? Co się dzisiaj ze mną dzieło? Gdy się odezwał, czułam jego oddech na policzkach, to był jedyny powiew powietrza w naszej bańce duchoty.

- Ponieważ nie znam nikogo takiego jak ty. Jesteś jak... rzadki artefakt. Szkoda by było, gdybyś się roztrzaskała.

Okazałam rozbawienie w najbardziej nieatrakcyjny sposób na świecie.

- Czy ty naprawdę porównujesz mnie do zabytku? Mój Boże, ty *kujonie*.

Zaczął się śmiać i pochłonęła mnie ta beztroska melodia sprawiając, że ja również się śmiałam, i to był absurd, ponieważ nasze rodziny były zagrożone oraz mordowane, a my dusiliśmy się na czterdziestostopniowym żarze przed więzieniem o zaostrzonym rygorze, i kiedyś się nienawidziliśmy, a teraz śmialiśmy się tak mocno, że miałam łzy w oczach.

On pierwszy się opanował, ale zajęło mu to trochę czasu i musiałam zmusić się do uciszenia.

- Miałem na myśli – na jego twarzy ukazał się lekki uśmiech, który wydawał się tajemniczy i zabójczy – że jesteś iskierką, Sophie. Nie chcę, żeby ktokolwiek cię ugasił.

- Och. – Cóż, z tego nie mogłam się śmiać. Czy miałam coś odpowiedzieć? Czy nie tak działały komplementy? Milczenie się przedłużało i nagle jego słowa wydawały się ciężkie i ważne, a on siedział tak blisko mnie, i zaczęłam się pocić i panikować i... i powiedziałam: - A ty jesteś taką śnieżynką.

Jezu Chryste.

Zamaskował chwilowe zdziwienie uniesieniem brwi.

- Słucham?

- Nic – odparłam szybko. – Nic nie powiedziałam.

- Nie, nie – powiedział, przysuwając się tak, że jego twarz była za blisko, oczy zbyt palące, uśmiech zbyt irytujący. – Jestem *śnieżynką*, tak?

- Zamknij się. Serio. – Zarzuciłam sobie na policzki kosmyki włosów. – Zamknij się.

- Chyba próbowałaś mi powiedzieć, że jestem wyjątkowy.

- Lodowaty – zaprzeczyłam. – Miałam na myśli, że jesteś lodowaty.

Praktycznie czułam w ustach jego radość. Miotalam się, a on się tym delectował.

- I niepowtarzalny w takim sensie, że niepowtarzalnie *denerwujący* – dodałam. – Boże, denerwujesz mnie. O to mi chodziło.

- Jeżeli ja jestem denerwujący, to nie wymyślono jeszcze słowa, którym można by opisać ciebie.

- Zamknij się. Jestem idealna. – Pokazałam mu język.

- W sumie nienajgorsza. – Usunął się z mojej przestrzeni osobistej i podniósł wzrok do nieba. Rozłożył za sobą ramię, muskając palcami mój bark, ale raczej tego nie zauważył. – Ale jesteś cholernie uparta, Sophie Gracewell.

- Nie jestem uparta, tylko wytrwała.

- Nie. Jesteś uparta. – Uśmiechnął się gorzko. – I dokonujesz okropnych decyzji. Szczególnie w sprawach życia i śmierci. Tak jakbyś zawsze postanawiała zrobić tą jedną rzecz, której zdecydowanie *nie* powinnaś zrobić.

- Wcale nie! – zaprotestowałam.

- Znasz to powiedzenie: „Gdyby każdy skakał z klifu, ty też byś skoczyła”? Cóż, myślę, że ty skoczyłabyś na pewno.

- Więc zasadniczo mówisz mi, że jestem głupia, tak?

- Nie – odpowiedział wyważonym tonem, jakby naprawdę nie chciał mnie obrazić. – Mówię, że rządzą tobą emocje. I boję się, że nadejdzie pora, kiedy najmądrzej będzie oddalić się od niebezpiecznej sytuacji, a ty tego nie zrobisz, ponieważ zatrzymają cię uczucia.

Wywróciłam oczami.

- No przepraszam bardzo, że posiadam uczucia. Nie moja wina, że masz braki w tym departamencie.

Patrzył na mnie z nagle nieczytelną miną.

- Mam uczucia, Sophie, ale nie pozwalałam, żeby mną władały.

- Nieważne – powiedziałam wyniośle. – Wiedz, że jestem doskonale zdolna do podejmowania mądrych decyzji.

Spojrzał na mnie krzywo.

- Więc po co poszłaś do Edenu?

- A po co ty poszedłeś, panie Podwójne Standardy?

- Dla mnie to co innego.

Zaczynał mnie irytować – całe to jego świętoszkowanie. Odwrócił ode mnie wzrok zatracony we własnym świecie. Po raz pierwszy od tygodnia nie myślałam o otaczającym mnie niebezpieczeństwie ani wszystkich rzeczach, których nadal nie wiedziałam. Zamiast tego myślałam o tym, jaki wrzodem na tyłku był Luca. Myślałam o jego wyniosłym nastawieniu. O tym samozadowolonym uśmiechu. O dziwnej muzykalności jego śmiechu. Myślałam o tym, jak włosy opadały mu za uszami w ten głupi swobodny sposób. Zastanawiałam się nad jego oczami i czy ich intensywny błękit kiedykolwiek go zdumiewał, kiedy patrzył na siebie w lustrze. Zastanawiałam się czy jest próżny. Nie wyglądał na takiego, ale od samego początku źle oceniałam jego charakter. Zawsze zdawał się zmieniać, kiedy już myślałam, że go rozgryzłam.

Znowu na mnie patrzył, rozciągając usta tak szeroko, że oślepiła mnie biel jego zębów.

Zamrugalam powoli.

- Co?

- Masz świadomość, że gapisz się na mnie od pięciu minut?

- Wcale nie – powiedziałam. – Wpatrywałam się w przestrzeń. Tak sobie myślałam.

- Gdybym nie wiedział lepiej powiedziałbym, że ztracałaś się w moich oczach.

Poderwałam się do góry.

- O mój Boże, nie. Jesteś strasznie arogancki.

Zobaczyłam nadjeżdżający z oddali autobus i podziękowałam wszechświatu za małe cuda. Popadałam w obłąd. On był tego powodem i musiałam stąd uciec.

Przyjrzał się autobusowi z nieukrywanym wstrętem. Był naprawdę stary i widać było po jego wyglądzie, że śmierdział potem i niespełnionymi marzeniami.

- Chcesz, żebym cię podwiózł do Cedar Hill?

Już się oddalałam, ukrywając zaróżowione policzki. Pomachałam mu przez ramię.

- Nie, dziękuję, Zoolanderze. Zostawię cię z twoją próżnością.

- Roztopisz się w tym gruchocie. Pochodzi z epoki kamienia.

Pomachałam palcami w królewskim pożegnaniu, wsiadając do autobusu.

Zrzedła mi mina. Kierowca był ubrany w podkoszulek. Trzymał w ustach do połowy wypalonego papierosa i stukał w znak mówiący: „*Klimatyzacja chwilowo nieczynna. Przepraszamy za wszystkie niedogodności*”.

Zeszłam z powrotem po schodkach, przełykając swoją dumę, kiedy na moim czole rosił się pot. Obróciłam się i znalazłam Lucę opierającego się o przystanek, uśmiechał się w oscarowej roli rzeczywistego wcielenia *samozadowolenia*.

Potruchtałam do niego.

- Więęęc... proponowałaś podwózkę...

- Wiedziałem, że wrócisz na kolanach. – Obrócił się na pięcie, rzucając we mnie rozbawieniem przez ramię. – Jak smakują własne słowa, Sophie?

Pokazałam język jego potylicy, idąc za nim do jego samochodu.

- Klimatyzacja była zepsuta.

- Zatem twoja duma jest warta zimnego podmuchu w twarz?

Starłam z brwi kropelkę potu.

- Hej, Luca? – Obejrzał się przez ramię, unosząc brew. – Zamknij się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

NIEBIESKIE FIOŁKI

Samochód Luki był przestronny i przytulny, a klimatyzacja to był istny raj. Rozłożyłam się na siedzeniu i westchnęłam radośnie, czując na twarzy zimny wiaterek. Przez krótką chwilę czułam tylko przyjemne wytchnienie rozpuszczające lepkie gorąco, które pełzało mi cały dzień po plecach.

- Jak cudownie – jęknęłam. – Nie mogę uwierzyć, że zamierzałam pojechać tamtym autobusem.

Byliśmy na autostradzie i Luca trzymał jedną rękę na podłokietniku pomiędzy nami, a drugą na kierownicy. Jechaliśmy szybko, ale wcale tego nie czułam. Czułam... bezpieczeństwo.

Luca spojrział na mnie z ukosa.

- Łatwo cię zadowolić, Sophie Gracewell.

Wzruszyłam ramionami.

- Próbuję skoncentrować się teraz na małych rzeczach, a ta jest przyjemna.

Skinął głową, spoglądając w tylne lusterko.

- Dobra filozofia.

- Dzięki – odparłam. – Właśnie wymyśliłam.

Zmarszczył brwi, poprawił lusterko i zwolnił. Mruknął coś, ale nie dosłyszałam.

- Co jest? – Usiadłam prosto.

Za nami rozbrzmiał klakson. Odwróciłam się i ujrzałam wymijające gorączkowe auto jakieś trzy pojazdy za nami. Było czarne, ale nie rozpoznawałam nic innego. Jedna myśl przebiła wszystkie inne, kiedy w mojej głowie zabłysło słowo *Marino*.

Luca znowu przyśpieszył i zostałam odrzucona na siedzenie.

- *Cazzo* – powiedział. – Sophie, pochyl się.

Zacisnął jedną rękę na kierownicy, a drugą sięgnął pod siedzenie, wyciągając rewolwer. Wytrzeszczałam oczy.

- Luca...

- Powiedziałem, żebyś się pochyliła!

Skręcił mocno na bok.

Ten dziwny samochód był teraz dwa samochody za nami, jadąc zygzakiem. Nadjeżdżające pojazdy trąbiły, kiedy wjeżdżał im na pas.

Zsunęłam się na podłogę, opierając głowę na siedzeniu. Luca trzymał w ręce pistolet, patrząc zmrużonymi oczami w tylne lustro. Otworzył okno i usłyszeliśmy dzikie wrzaski.

Moje kolana drżały na podłodze i zaciskałam ręce tak mocno, że zbieleły mi palce.

- Nie podnoś się – powiedział ostrzegawczo. – Cokolwiek się stanie, nie wstawaj.

Nieobliczalny samochód wyprzedził ten bezpośrednio za nami. Słyszałam go, ale nie widziałam. Krzyki robiły się coraz głośniejsze. Luca zjechał na pobocze, zagryzając mocno zęby. Patrzył w lustro boczne, potem obejrzał się przez ramię i opuścił okno, a potem... a potem było po wszystkim.

Samochód za nami strzelił z gaźnika, warknął silnik i przyspieszył, zostawiając za sobą odgłos śmiechów i krzyków pięciu studentów.

Luca opuścił rękę z pistoletem.

- *Dio*. – Schował go z powrotem pod siedzenie i opadł na oparcie, wjechaliśmy z powrotem na środek autostrady. Wczołgałam się na miejsce, przyciskając jedną dłoń do serca, a drugą wbijałam mocno w podłokietnik pomiędzy nami.

- O mój Boże – sapnęłam. – Naprawdę myślałam, że już po nas.

Knykcie Luki były kredowo białe na kierownicy.

- Myślałem, że to byli... - Słowa ugrzęzły mu w gardle i odchrząknął, potrząsając głową tak, że opadły mu włosy na oczy. Odsunął je, zostawiając rękę na twarzy i przesunął nią po ustach. – Myślałem, że to byli Marino – powiedział głosem stłumionym przez palce.

- Ja również – szepnęłam.

Po raz pierwszy ujrzałam tak wielki niepokój na jego twarzy i mój żołądek skręcił się ze strachu przed tym, co nadejdzie, nie tylko z mojego powodu, ale z powodu nas wszystkich. To był test – fałszywy alarm – ale prawdziwe przypomnienie, w jakim teraz obracałam się świecie. W jego świecie. W jego przeznaczeniu.

- W alternatywnym wszechświecie moglibyśmy być teraz martwi – stwierdziłam.

- Nie mów takich rzeczy.

Spojrzałam na dłonie, po raz kolejny czując jak wszystko mnie przytłacza.

Luca zjechał na następnym zjeździe i wjechał na parking Dunkin' Donuts.

- Kawy – powiedział, pocierając sobie czoło. – Potrzebuję litra kawy.

Wcześniej wezbrała się we mnie adrenalina i teraz zaczęła mnie opuszczać, wywołując drżenie, kiedy próbowałam wziąć się w garść. To było dziwne. Prawie umarliśmy. A jednak ostatecznie nie było żadnego zagrożenia. Czułam się głupio za taką przesadną reakcją, ale z drugiej strony czułam szczęście, że przeżyłam.

- Sophie? – Staliśmy w kolejce drive'a i Luca mi się przyglądał.

- Hmm? – Uśmiechnęłam się smutno.

- Co chcesz?

Och, sama nie wiem. Prowadzić życie, w którym nie będę ciągle oczekiwać przedwczesnej śmierci moich towarzyszy.

- Nic – odparłam, patrząc niewidzącym wzrokiem na menu na zewnątrz. – Wszystko dobrze.

- Nie jest dobrze. – Głos Luki stwardniał.

Przycisnęłam do siebie palce, żeby czymś się zająć. Serce wciąż uderzało mi szybko o żebra. Dalej myślałam o wyciągniętym przez Lucę pistolecie, o samochodzie, który nas minął.

- Mam tylko jeden z tych momentów.

Luca przejrzał menu, kiedy powoli obok niego przejeżdżaliśmy, trzymał jedną rękę na kierownicy, a drugą podpierał się na łokciu na otwartym oknie.

- Dobra – orzekł. – Podejmę kierowniczą decyzję i wezmę ci pączka z tęczową posypką, bo wyglądasz na kogoś, komu by to smakowało.

Poczułam gorący błysk oburzenia. Jeżeli próbował pominąć dziwaczność wcześniejszego zdarzenia to nie pomoże mu w tym to protekcyjne podejście.

- Nie jestem dzieckiem – powiedziałam. – Nie musisz mi nic kupować.

Byłam odrobinę zawstydzona, co czułam w policzkach. Luca dopiero co był gotów poświęcić dla nas swoje życie na tej autostradzie, a ja? Klęczałam jak przerażony szczur pod schowkiem. Co było ze mną nie tak, do cholery? Po jakim czasie przestanę mieć wrażenie, że mam nogi z galarety? Widziałam już tak wiele. Powinnam być odważniejsza, silniejsza. Ale byłam tchórzem. Bezużytecznym tchórzem.

Podjechaliśmy pod okienko i napłynął do mnie aromat świeżo upieczonych pączków. Złapałam się za brzuch, żeby powstrzymać burczenie i zostałam upomniana

ostrym ukłuciem, że *umierałam z głodu*. Niech to szlag, chciałam tego pączka. Ale nie zasłużyłam na niego. Nie zasłużyłam na nic. Miałam dosyć kulenia się.

- Powinnaś coś zjeść.

Byłam zbyt wściekła na samą siebie, żeby odpowiedzieć. Wzruszyłam ramionami i wyjrzałam przez okno, kiedy zamawiał.

Parę minut później wróciliśmy na autostradę. Luca poił się kawą, jakby to była woda. Radio grało cicho w tle muzykę country – śpiewano coś o parze botków i półciężarówce – wypełniając ciszę w aucie.

Luca rozwinął brązową torebkę i położył pączka na desce rozdzielczej nad radiem. Tkwił pomiędzy nami jak artefakt w muzeum, cały w tęczowej posypce. Po bokach dalej spływał lukier i cudny zapach wdarł mi się do nozdrzy. Ślinka mi pociekła i poczułam przejmujące pragnienie.

Luca podsunął go leciutko w moją stronę, nie odrywając wzroku od drogi.

Wytrzymałam dwie minuty. I poddałam się.

Wyciągnęłam niepewnie rękę, obserwując go kątem oka. Był skupiony na drodze i nucił cicho pod nosem. Porwałam pączka i odgryzłam kawałek, rozkoszując się lepką słodyczą, która rozlała się po moim języku.

Miałam wrażenie, że musuje mi się mózg. Luca wziął kolejny łyk kawy i zauważyłam ze zmarszczonymi brwiami, że nie wziął nic dla siebie. Jedynie wysoki, gorzki kubek kawy. Jakie to w stylu Luki. Odłożyłam pączka na deskę rozdzielczą i szturchnęłam lekko w jego stronę.

Spojrzał przelotnie w prawo, wykrzywiając krótko kąciki ust. Wyciągnął powoli rękę i wziął go, odgryzając z drugiej strony tak, że pączek i cała ta słodka chwała pozostały całkowicie symetryczne. Patrzyłam, jak przeżuwa, koncentrując się na kształcie jego szczęki. Zamrugał powoli i ciężko, i domyśliłam się, że mu smakuje. Szkoda było mu go zabierać, ale dalej byłam głodna, a ten pączek był dosłownie najszczęśliwszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się od bardzo długiego czasu.

Wzięłam następny gryz, dołączając do pierwszego, żeby wyrównać rowki. Wymknął mi się pomruk rozkoszy i zamknęłam oczy, myśląc przez krótką chwilę jedynie o tym smaku. Boże, pyszny. Zwalczyłam ochotę, żeby wepchnąć resztkę do buzi i odłożyłam na miejsce. Luca wziął go jakąś minutę później. Przeżuwał w milczeniu, ale tym razem skinął głową, jakby zgadzał się z moim wcześniejszym pomrukiem.

Dzieliliśmy się nim w ten sposób – maleńkimi gryzami – dopóki nie został ostatni kawałek. Patrzyłam, o wiele zbyt rozpaczliwie, jak Luca go podniósł. To była jego kolej. Już prawie byliśmy w domu. Reszta drogi minęła szybko na cukrze, uśmieszkach i przelotnych spojrzeniach, kiedy powoli rozdrabnialiśmy jednego marnego pączka i

umiejętnie unikaliśmy gównianej burzy krążącej nad naszymi rodzinami. Nie mówiliśmy o Donacie, Jacku ani o pistolecie, który Luca trzymał pod siedzeniem. Nie rozmawialiśmy o magazynie, o wojnie krwi, o fakcie, iż staliśmy na początku czegoś, co będzie się tylko pogarszać. Oboje o tym myśleliśmy, ale cała przejażdżka opierała się jedynie na pączku.

Odmierzył maleńki kęsik i odłożył ostatni kawałek na deskę rozdzielczą, pozostawiając mi resztkę. Odchrząknął, a kiedy wrzuciłam go do ust i przełknęłam bez przeżuwania, odwrócił się do mnie i zapytał:

- Już lepiej?

- To dobry początek. – Wytarłam palce o spodenki, żeby pozbyć się lepkości. – Czy to był twój pierwszy pączek? – zapytałam.

Luca odrzucił głowę i roześmiał się tak głośno, że niemal podskoczyłam.

Śmiał się i śmiał, widziałam wszystkie jego zęby. Nie zdawałam sobie sprawy, jak szeroko potrafił się uśmiechać ani że w jego kącikach oczu pojawiały się małe zmarszczki, kiedy był rozbawiony. Nie wiedziałam w ogóle, że potrafił się tak śmiać. Dziwnie było widzieć go poza typową powagą.

Już myślałam, że popłacze się ze śmiechu, ale po chwili potrząsnął głową, pozbywając się resztek chichotów.

- Mówisz poważnie? – zapytał, rzucając mi spojrzenie i zjechaliśmy z autostrady. – Czy to było prawdziwe pytanie?

- No co? – zapytałam, otwierając szeroko niewinne oczy. – Dlaczego to cię tak rozśmieszyło? Nie bądź chamski.

Pokręcił głową, wciąż się uśmiechając i zwalczyłam chęć, żeby walnąć go w kolano i zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy. Był niepokojący w takim humorze. Przez to wydawał się zbyt przystępny. Przywykłam do powściągliwego Luki, złośliwego Luki. Ten Luca wytrącał mnie z równowagi.

- Tak, jadłem już kiedyś pączka – powiedział. – Próbowałem także ciasta i pizzy, byłem na huśtawce i grałem na konsoli. Nie dorastałem w metalowej klatce. – Znów się roześmiał, ale tym razem pod nosem. - *Dio, sei divertente*. Co za pytanie.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

- Nie nabijałam się z ciebie. Po prostu... wydajesz się takim... um...

- Kim? – Zerknął na mnie. – Tym, co zawsze psuje zabawę innym?

- Nie wiem – odparłam, próbując ratować, co zamierzałam powiedzieć. Ale rzecz w tym, że poniekąd właśnie *to* miałam powiedzieć. – No dobra, poniekąd. Zawsze traktujesz wszystko tak *poważnie*.

Z jego twarzy zniknęła radość, ale głos pozostawał lekki.

- Muszę traktować wszystko poważnie, Sophie. To moja praca. Ale to nie znaczy, że nie wiem jak się zabawić. Albo jak się je *pączka*.

- No dobra – powiedziałam należycie zrugana. – Uważaj mnie za oświeconą.

Dalej kręcił głową.

- Naprawdę jesteś kimś szczególnym.

Nastrój w końcu się poprawił. Zniknęło wcześniejsze napięcie i rozluźniłam się w panującej atmosferze.

- Dzięki za pączka – powiedziałam, oglądając zielone pola za oknem i cieszyłam się z uczucia zaspokojenia. – Miałeś rację. Uwielbiam posypkę.

- Wiem – powiedział. – Zawsze mam rację.

Wywróciłam oczami.

- Cwaniak.

- Jesteśmy teraz kwita? – zapytał. Znów patrzył na drogę – po obu stronach rozmazywały się wiejskie pola, kiedy nad nami walczyły o miejsce drzewa. – Za to, że uratowałaś mnie w magazynie. Stwierdziłem, że pączek może być dobrym podziękowaniem.

- Oj nie, nie – odparłam, rzucając się na oparcie. – Poprawna etykieta wymaga bukietu kwiatów. Przykro mi to mówić, ale pączek nie wystarcza.

Luca odetchnął przez nos.

- Niemożliwe – powiedział z udawanym żalem. – Na pewno posypka zrobiła z niego godne podziękowanie?

Potrząsnęłam głową na zagłówek.

- Nie ja wymyślam zasady, Luca. A jeśli jesteśmy już szczegółowi, to tak naprawdę dałeś mi tylko *połowę* pączka. – Uśmiechnęłam się, upajając jego grymasem.

- Niech ci będzie. – Samochód zjechał nagle na pobocze i Luca zahamował ostro, zatrzymując nas w kałuży błota na krawędzi drogi. Moje ciało zostało wyrzucone do przodu i zatrzymane przez pas bezpieczeństwa. Zaciągnął ręczny i otworzył drzwi.

- Gdzie idziesz? – Na poły wykrzyknęłam, odpinając pas i obracając głowę w tym samym czasie. Byliśmy na pustkowiu. Nie było za nami żadnych aut... tylko pola, drzewa i błoto wkoło.

Luca wysiadł z samochodu, krocząc w stronę pola obok.

- Zaczekaj tu – zawołał przez ramię. Przeszedł pod ogrodzeniem i wszedł w gęstą trawę. Ocierała mu się o kolana, kiedy schylał się nisko i przeczesywał teren. Ubrany całkowicie na czarno ze szczyrykiem wystającym z tylnej kieszeni Luca przesuwiał palcami po źdźbłach trawy.

Znajdował się kompletnie poza swoim środowiskiem naturalnym. I wcale mu to nie przeszkadzało.

Czekałam w samochodzie z jego kluczykami, jego telefonem i pistoletem, z włączonym radiem i próbowałam rozgryźć czego on, do diabła, szukał na tym przypadkowym polu.

Kilka minut później wrócił do samochodu, policzki miał leciutko zarumienione. Ścisnął w ręce niewielką garść kwiatów, które gdzieś tam były jeszcze brudne na łodygach.

Wyciągnął do mnie ramię przez podłokietnik.

- Proszę – powiedział, nie całkiem na mnie patrząc.

Bukiet. Dla mnie.

Opadła mi szczeka. Wzięłam od niego kwiaty, ocierając się palcami o jego dłoń, kiedy je wypuścił i próbowałam nie upuścić żadnego z niebieskich kwiatków.

- Dzięki – wydusiłam w końcu, obracając nimi i stwierdzając, że były bardzo prawdziwe. – Wziąłeś mi fiołki.

- Naprawdę? – Wprowadzał już samochód z powrotem na drogę. Przyłapałam go na lekkim uśmiechu. Doskonale wiedział, że to były fiołki. Kujon.

Coś napęczniało w mojej piersi. Kwiaty były w połowie zwiędłe, wyrwane z ziemi i przeplatane zabłąkanymi źdźbłami trawy, które pewnie były pokryte maleńkimi robaczkami, lecz to był pierwszy bukiet, jaki kiedykolwiek dostałam. I był piękny.

- Zasłużyłam na nie – powiedziałam, uśmiechając się promiennie do mojej nagrody, którą ułożyłam na kolanach.

Luca przytaknął, rozciągając usta i odsłaniając białe zęby.

- Zdecydowanie.

Początek południa – więzienie, prerażenie na autostradzie, pistolet, terror – rozmył się razem z polem za nami.

Luca podrzucił mnie na koniec mojej ulicy tuż po osiemnastej. Zebrałam moje kwiaty i wyskoczyłam z samochodu, odwracając się, by nimi do niego pomachać.

- Dzięki za podwózkę.

- Nie ma sprawy.

Wskazałam na drogę, w kierunku rzeczywistości, kiedy zaczęła do nas powoli powracać.

- Tak czy siak na pewno musisz... popilnować restauracji.

Potrząsnął głową, jego twarz stała się ponura, kiedy powróciła jego powaga wraz z myślami o rodzinie.

- Nie obserwuję restauracji, Sophie. – Westchnął cicho i zmarszczył brwi. – Moje obowiązki są bliżej domu.

- Och. – Zdałam sobie sprawę, że obecność Luki w Cedar Hill była tylko przysługą dla mnie. Dobrym uczynkiem, żeby oszczędzić mi roztopienia się w autobusie. – Dziękuję, że nadłożyłeś dla mnie taki kawał drogi.

Uniósł brew.

- Nie musisz brzmieć na taką zaskoczoną.

- Hmm. – Udałam, że się nad nim zastanawiam. – Może nie jesteś wcale taki zły.

Przechylił się nad siedzeniem, unosząc palec.

- Jeśli komukolwiek o tym powiesz, zaprzeczę. Muszę podtrzymać reputację, wiesz.

- Chodzi ci o tą dupkowatość?

- Skoro mowa o reputacji, nie rób nic głupiego – dodał, wracając na miejsce i rozluźnił hamulec ręczny. – Zwalcz naturalne odruchy.

Spojrzałam na niego krzywo.

- To prawie skończyło się za dobrze.

Wzruszył ramionami, jak zamknęłam drzwi. Usłyszałam jeszcze przez otwarte okno:

- Wtedy to nie byłoby w naszym stylu, nie sądzisz?

Nie zaczekał na moją odpowiedź, a ja nie patrzyłam za jego samochodem, kiedy odjechał, wracając do *Eveliny* i świata przestępczego. Przeniosłam się myślami do sejfu i skrywanym w nim tajemnic, do jego braci, którzy czaili się gdzieś w pobliżu. Obróciłam się w stronę domu, ściskając w ręce bukiet niebieskich fiołków.

Jeszcze niedawno temu nigdy bym się nie spodziewała, że jedenaście kwiatków i połowa pączka tak bardzo poprawią mi humor. Ale tak było przed Jackiem, przed knajpą, przed Marino, przed Falconami. Tak było przed tym, jak tata kazał mi uciekać z Cedar Hill.

Zwolniłam kroku, gdy zorientowałam się, że aby spełnić życzenie ojca będę musiała poprosić mamę o niemożliwe. Utknęłam między nimi – między wszystkim – i wszystkie ścieżki były szare oraz mgliste, a ja nie wiedziałam, którą wybrać. Niebo również było szare, ciężkie od nadchodzącej burzy i przytłaczało mnie, dusiło powoli swym żarem.

Fiołki miały barwę jaskrawego błękitu i trzymałam je mocno w ręce. Dalej ścisnęłam je jak tratwę ratunkową, kiedy zamknęłam drzwi wejściowe i znalazłam się twarzą w twarz z Donatą Marino. Przyczaiła się na progu naszej kuchni niczym sęp odziany w Gucci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

LOJALNOŚĆ

W olbrzymim meczu ludzkiego ping ponga, którym szybko stawało się moje życie, Elena Falcone trzymała jedną paletkę, Donata Marino drugą, a ja byłam małą białą piłeczką odbijaną w tę i z powrotem.

I miałam tego serdecznie dosyć.

Moja matka znajdowała się za Donatą, zaciskając ręce na krawędzi zlewu kuchennego, jak się o niego opierała. Donata stała sztywno z wyprostowanymi ramionami odcinającymi jej szyję w połowie i zwiwała pięści po bokach, tkwiąc między nami. Była ubrana cała na czarno dla swej córki. Sara Marino zginęła niecały tydzień temu.

Z mojego ciała zostało spuszczone całe powietrze w mieszance szoku i strachu. Kwiaty opadły bezwładnie u mojego boku, ich niebieskie główki pochylały się ku ziemi. Zmusiałam się do patrzenia na Donatę, kiedy wspomnienie jej kościstego uścisku w Edenie spowodowało fantomowe ukłucie na moich nadgarstkach. Odsunęła się na bok, pozwalając mi wejść do kuchni.

- Tutaj jesteś, panno Gracewell. – Przeciągnęła moje imię, jakby wypalało jej usta. Jej ciemne powieki opadały ciężko na przekrwione oczy.

- Kochanie. – Mama odetchnęła głośno. Marszczyła czoło opalonej twarzy. Wyglądała jakby próbowała rozwiązać zagadkę.

Odłożyłam kwiaty na blat obok, odrzucając je z wymuszoną nonszalancją, irracjonalna część mnie martwiła się, że Donata wyczuje skąd one są, od *kogo*. W tej chwili ten bukiet wydawał się równie obciążający, co wielki neonowy znak na moim czole mówiący: *ZWOLENNICZKA FALCONÓW*.

Atmosfera była dziwna – naładowana, jakby kuchnia przechylała się na ostrzu noża, czekając na spadek do czegoś mroczniejszego.

- Mamo? – Zacisnęłam palce na komórce w kieszeni. Już ją odblokowywałam. – Co się dzieje? Zrobiła ci coś?

Pokręciła głową. Miała wilgotne kręgi pod oczami.

- Nie, kochanie... opowiadała mi tylko o...

- O mojej córce – dopowiedziała Donata, spoglądając na mnie oczami podkreślonymi czarną kredką. – Opowiadałam twojej matce o tym, co Falconowie zrobili mojej dwiętnastoletniej dziewczynce.

- Cóż za okropność – szepnęła matka. – Ci chłopcy... to po prostu okropne.

- Opowiadałam twojej matce, że to samo mogłoby się przydarzyć tobie... - Donata zamilkła, czekając w wykalkulowany sposób... a potem: - ...dalej może.

- Och, Sophie – powiedziała mama, wpadając jak śliwka w kompot w manipulację Donaty. Przycisnęła rękę do piersi. – Straciłabym serce.

- Nic nie stracisz – odpowiedziałam spokojnie. – Przykro mi z powodu twojej córki – dodałam do Donaty, panując nad wyrazem twarzy. Nie chciałam, żeby się dowiedziała, iż widziałam jeszcze Sarę po wydarzeniach w Edenie... jak bliska byłam uratowania jej. Jak przeraźliwie zawiodłam. – Ale potrafię o siebie zadbać.

Donata zbyła moje słowa machnięciem zadbanej ręki. Moja matka jeszcze bardziej skurczyła się w sobie.

- Przejdę do sedna sprawy. Przyszłam ci powiedzieć, czego oczekuję od ciebie Marino, Sophie.

- Sejf w restauracji – odpowiedziałam bez mrugnięcia okiem.

- Pieniądze nie są już twoim zmartwieniem – powiedziała niewzruszona moją wiedzą o sejfie. – Twój wujek sądził, że możesz je nam przynieść... ale myślę, że powierzenie ci takiego zadania, biorąc pod uwagę twoje obecne podejście, nie jest dobrym pomysłem.

A więc to były pieniądze. Pewnie mnóstwo pieniędzy, skoro tak bardzo chcieli się dostać do tego sejfu.

- Zamierzamy sami odzyskać zawartość sejfu. – Odsunęła wargi, odkrywając rząd pozółkłych zębów... niczym gotowa do ataku wilczyca. – W ten sposób to będzie bardziej... dogodne.

Zmrużyłam oczy. – Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie będziemy już się cofać od gróźb Falconów. Powiesimy ich na ich własnym sznurze.

Wyjaśnienie mogło być niejasne, ale obrazek przerażająco realny. Próbowałam się go pozbyć, zapanować nad twarzą, żeby nie dowiedziała się jak mocno biło mi serce, jak miałam wrażenie, że podchodzi mi do gardła. Nie powinno mi zależeć. Nie powinnam tego okazywać.

Uśmiechała się sztucznie, formując wgłębienia w policzkach.

- Ich *soldati* obserwują restaurację. Wiemy jak i skąd się do nich dostać. Gdy weźmiemy sejf, weźmiemy także głowy Falconów, którzy będą go pilnować. – Nabrała gwałtownie tchu, jej twarz odzwierciedlała jakąś wyobrażaną przez nią chwałę. – Jesteśmy na nich przygotowani.

- Zasadzka – szepnęłam. Pomyślałam o Edenie, o wywołanym cierpieniu oraz furii, kiedy Falconowie wykonali swój ruch. Wyobraziłam sobie tę scenę: kilkoro Falconów przewyższonych liczebnie i złapanych w pułapkę w knajpie, otoczonych przez Donatę i jej żołnierzy Marino. Arogancja Doma. Ślepa determinacja Nico. Potrząsnęłam głową, wytrzeszczając oczy na jej zatruty plan. Jak mogła znowu rzucać kostką i to tak szybko?

- To będzie masakra.

- A ty nam w niej pomożesz – odparła spokojnie, jakby zostało już postanowione. – Jesteś ich słabością.

- *Ja?* – Przeważenie pozbawiło moje policzki koloru. – Niby jak?

Uśmiechnęła się szerzej, co poprzesuwało ostre kości na jej twarzy, przez co bardziej przypominała szkielet.

- Zobaczysz.

- Nie – odparłam. – Nie zobaczę. – Odepchnęłam się od blatu i stanęłam pośrodku kuchni, dysząc ciężko. – Nie pomogę ci.

Zaplotła ramiona na piersi. Wyglądała na denerwująco przekonaną, kiedy powiedziała:

- Pomożesz.

Potrząsnęłam głową. – Zwariowałaś.

- To będzie twoje zadanie. Gdy po ciebie wrócimy, idziesz z nami. Pomożesz zwabić ich do naszej pułapki.

- Nie chcę żadnego zadania – powiedziałam stanowczo. Wszystko wewnątrz kazało mi uciekać, ukryć się. Wszystko było ciemnością i Donatą, wściekłością i lodem, oczekiwaniami i konsekwencjami. Czułam, jak zacieśnia się na mnie krąg i dodatkowo napierała na mnie bezgłośnie panika mojej mamy.

- Jeśli zrobisz, co powiem, kiedy nadejdzie odpowiednia pora przysięgniesz nam swoją lojalność i zaopiekujemy się tobą. – Przeniosła wzrok na moją matkę. – Będiesz bezpieczna. Niczego ci nie braknie.

Mama zwiesiła głowę. A więc ją zawstydziała. Wiedziała o naszych problemach z pieniędzmi, o moim nieobecnym ojcu i wykorzystywała to jako broń przeciwko nam.

- Jeżeli ty ich nie zabijesz, oni zabiją ciebie. – Wciąż patrzyła na mamę. – To tylko kwestia czasu, kiedy Jack jest w naszym gronie.

- Co on ci oferuje? – zapytałam ponagląco. – Czy ciebie naprawdę można tak łatwo kupić?

Przez twarz Donaty przeszło coś złowieszczonego.

- Jeżeli nie zrobisz tego, co ci powiem to będziesz lojalna im. – Pstryknęła palcami. – I zabijemy cię.

Na obrzeżach mojego wzroku zapulsowały kwiaty. Nigdy nie mogłabym skrzywdzić Falconów. Nawet w koszmarach.

- Nie możesz po prostu mnie do tego nie mieszać?

Donata spojrzała na mamę.

- Z doświadczenia wiem, że jeśli chodzi o sprawy życia i śmierci każdy powinien wiedzieć, jaka jest stawka.

Mama uniosła głowę. Miała czerwone oczy. Spojrzała na Donatę, potrząsnęła głową i westchnęła.

Nic nie powiedziałam. Nie okłamię jej ani nie zgodzę się na jej żądania, a jednak bałam się odmówić. Potrzebowałam, żeby wyszła, abym mogła zebrać się w sobie. Abym mogła wyrwać matkę z tej śpiączki na jawie. Abym mogła znaleźć sposób, żeby ostrzec Lucę. Przypomniałam sobie poradę Sary w Edenie – musiałam udawać. Musiałam udawać, żeby Donata rozluźniła uścisk na tyle, bym mogła odetchnąć. Bym mogła *pomyśleć*.

Donata poruszyła się i w jej ręce pojawił się pistolet. Nim zdążyłabym się ruszyć, przyciskała go do tętnicy szyjnej mamy, podnosząc ją do góry i przechylając nad zlewem. Zastygłam, wydając z siebie cichy okrzyk.

Mama wydusiła jęk.

Donata odbezpieczyła spust, wwiercając we mnie wzrok, kiedy stałam nieruchomo naprzeciwko niej.

- Jak wysoka musi być stawka, Sophie?

- Nie rób tego – prosiłam. – Pomogę ci. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Donata przycisnęła mocniej pistolet i moja matka znowu się zakrztusiła. Wytrzeszczała oczy, które były coraz bardziej przekrwione. Donata nachyliła się nad nią, a kiedy znajdowały się nos w nos powiedziała spokojnie, jakby były starymi przyjaciółkami.

- Pamiętaj o obietnicy, Celine.

- Pomogę ci – powtórzyłam. – Zrobię, co powiesz. Tylko nie rób jej krzywdy.

Donata odsunęła się, wsunęła pistolet do kieszeni sukienki i wygładziła czarne kosmyki włosów na czole. Mama opadła do przodu, przyłożyła dłonie do gardła i łapała powietrze.

- Jesteś okrutną kobietą – wydyszała.

Donata wyprostowała rękawy sukienki.

- Muszę taka być.

- Wyjdź z mojego domu – powiedziała mama. – Osiągnęłaś swój cel.

Poszłam za Donatą do przedpokoju, upewniając się, że naprawdę wychodzi. Jej obcasy stuknęły stanowczo, a ten dźwięk przywołał wspomnienie jej siostry Eleny, kiedy maszerowała korytarzem w *Evelinie*. Cóż za pokrecone przeznaczenie sobie zapewniły.

Donata obróciła się w progu, stając plecami do zachmurzonego nieba i duszącego gorąca. Spojrzałyśmy na siebie.

- Wrócimy po ciebie.

Poczułam ścisk w brzuchu, ale zmierzyłam ją opanowanym wzrokiem.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- Będę gotowa – skłamałam. W moim umyśle wirowały wszystkie możliwe sposoby, na które mogłabym ją pokonać. Nie dam jej wygrać. Nie będę jej pionkiem.

Jej głos zrobił się znużony i zgarbiła ramiona. Westchnęła i jej maska uległa małej zmianie.

- Nie jesteśmy wrogami, Sophie.

Powietrze było zbyt ciepłe; ledwo je czułam, kiedy wciągnęłam oddech i wyrzuciłam kolejne kłamstwo.

- Wiem.

Wtedy ściszyła głos i jej słowa zamieniły się w coś innego... w prośbę.

- Dziewczyno, może myślisz, że kochasz jednego z nich, ale to zagrywka Falconów. Nie popełnij tego samego błędu, co moja siostra. Angelo Falcone mógł być raz świecą gwiazdą, ale był brutalny i okrutny. Wiesz, co podarował mojej siostrze w ich noc poślubną? Śmierć mojego ojca. Elena i ojciec nigdy się ze sobą nie zgadzali, i jej ucieczka

z Angelo Falcone wcale nie pomogła, ale żeby zabić ojca dziewczyny tylko po to, żeby usunąć z jej życia niedogodność? To żaden prezent. Jednak była taka zapatrzona w jego skrzące oczy i bogactwo, że po tym jeszcze bardziej się w nim zakochała. Możesz kręcić nosem, bo twój wujek i ja zajmujemy się handlem narkotyków, ale zabawa w mordowanie dla samego mordowania to chora zabawa. Ścieżka jest mroczna i nie ma z niej odwrotu.

- Następnym razem, jak pomyślisz o tych chłopcach zadaj sobie pytanie, ile zabili ojców, matek, synów i córek. Zadaj sobie pytanie, kto wrzucił ciało mojej córki do jeziora? Kto wydrażył nad jej sercem „*La nostra vendetta*”? – Załamał jej się głos i urwała gwałtownie, zakrywając ręką usta i zacisnęła powieki. – *Mia bella bimba*.

- Ja nie...

- Pomożesz nam ich zniszczyć – przerwała – i wybaczę ci tajemnicę tego, skąd Valentino Falcone wiedział, gdzie wysłać swych *soldati* w noc, kiedy odebrano mi córkę. – Złapała mnie za nadgarstek, przyciągając do siebie i otoczyły mnie jej perfumy.

- Tak – odparłam bez tchu. – Przyrzekam.

- Za Sarę. – Przez krótką chwilę doskonale odczytałam jej rozpacz... postarzała ją, uczyniła ją człowiekiem i poczułam, jak coś się we mnie kotłuje na ten widok. Niszczyła ją ta strata i prowadziła do masakry oraz szaleństwa.

Zaczęła mi drżeć grdyka, przez co słowa brzmiały ciężko i grubo.

- Za Sarę – wydusiłam.

- Musisz dojrzeć sens. – Położyła drugą rękę na moim ramieniu i ścisnęła, jakby dodawała mi siły, ale czułam jedynie wyrzuty sumienia i przerażenie. - *Fidelitate Coniuncti*.

Odwróciła się ode mnie i wmaszerowała w pochmurny wieczór, wsiadając do swojego konwoju z przyciemnionymi szybami. Pojawił się znikąd, ale wiedziałam, że przez cały czas był gdzieś w pobliżu. Marino nie wysłaliby nigdzie samej królowej. Zastanawiałam się czy był z nią teraz Jack, podlizując się jej niczym pies salonowy.

Poczułam dłoń na plecach, kiedy mama stanęła u mojego boku.

Patrzyłam, jak odjeżdżała od nas Donata, moje serce objało się dziko w piersi.

- Co to „*Fidelitate Coniuncti*”?

- Nie wiem, kochanie.

Zalała mnie znajoma fala żalu. Nie powinnam była wybierać się wtedy do Edenu. Będę żałować tej decyzji do końca życia. Być może Jack ostatecznie by do mnie

przyszedł, ale na moich warunkach. To byłoby na moim terenie. Ale teraz nie miałam już wyboru.

- Jaką złożyłaś jej obietnicę? – zapytałam.

- Taką, której nie zamierzam dotrzymywać.

Odwróciłam się do niej.

- Powiedziałam, że przekonam cię do współpracy – ciągnęła matka. – Zagroziła, że cię skrzywdzi, jeśli tego nie zrobię. Obiecałabym jej sam księżyc, gdyby dzięki temu opuściła nasz dom.

- Nie pomogę jej. Nie obchodzi mnie, czego chce. Nikogo nie skrzywdzę.

Wyglądała na zaniepokojoną.

- Oczywiście. – Wciągnęła mnie do naszego ciemnego domu. – Nie będziesz się do tego mieszać. To nie nasz świat.

- Tata mówi, że musimy wyjechać z Cedar Hill.

Skinęła głową, po jej twarzy przeszedł cień.

- Teraz widzę, że ma rację. Sophie – pociągnęła mnie za ramię i wzięła moją dłoń – wiesz, że wszystko, co robię ma na celu zapewnienie ci bezpieczeństwa. Wiesz, że prędzej bym umarła niż pozwoliła, żeby ktokolwiek ci zagroził, prawda?

- Tak – odparłam. – Pewnie, że wiem.

- Dobrze – powiedziała cicho. – Ponieważ czasami trudno stwierdzić, co jest słuszne. Czasami... szczególnie ostatnio, wszystko wydaje się strasznie rozmazane. Ale mamy siebie i tylko to się liczy. Przykro mi, że Donata Marino straciła córkę, ale nie zamierzam pozwolić, żeby narażała na ryzyko moją. Nigdy w życiu.

Uścisnęłam jej dłoń.

- Wszystko będzie w porządku.

Potaknęła, ale wpatrywała się w coś ponad moim ramieniem.

- Uciekniemy stąd. Muszę tylko znaleźć pieniądze. – Jej twarz się zapadła, ale szybko się opanowała i uśmiechnęła się szeroko ze szklistymi oczami. – Coś wymyślę, kochanie.

- Nie martw się – powiedziałam. – Ja już wymyśliłam.

W kuchni nalałam wody do szklanki i wsadziłam do niej kwiaty. Ustawiłam prowizoryczny wazon na parapecie i przełknęłam nerwy. *Wkrótce po ciebie wrócimy.* Wkrótce mój świat ogarnie mrok. Ale jak wkrótce będzie wkrótce? Nie zamierzałam beczynn timer czekać. Jutro moja mama i ja znikniemy.

Wyciągnęłam telefon i wybrałam numer Millie. Odebrała po trzecim sygnale.

- Co robisz jutro rano? – zapytałam.

- Nie wiem – odpowiedziała podejrzliwa jak zawsze. – A co?

- Potrzebuję podwózki do *Eveliny*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

KŁAMSTWO

Kiedy się obudziłam, słońce wzniosło się ponad gęstymi ciemnymi chmurami i nawet powietrze w środku trzeszczało. Wzięłam prysznic, zmywając z siebie strach i pot, a jak wyszłam od siebie ubrana w dżinsowe szorty i podkoszulek już mniej przypominałam śmierć-z-napuszonymi-włosami.

Znalazłam mamę w jej pokoju. Przebrała się w dres i białe tenisówki, i spięła włosy za uszami. Przestała składać koszulkę, kiedy weszłam. Nie mogłabym jej powiedzieć, co zamierzałam. Nie mogłam wytłumaczyć swych intencji, ponieważ nie zrozumiałyby i nie puściłyby mnie z domu. Nie po tym wszystkim, co Donata opowiedziała jej o Falconach. Wzięłyby mnie za wariatkę, że wybieram się do morderców.

- Muszę wyjść na parę godzin – powiedziałam. – Ale wrócę do wieczora.

- Gdzie idziesz na tak długo? Myślałam, że wybierasz się tylko do banku...

- Mam sprawy do załatwienia – odparłam wyniosłym tonem. Machnęłam ręką z nadzieją, że odwrócę jej uwagę od podejrzliwych myśli. – Pójdę do banku i wyciągnę oszczędności. Muszę spotkać się z Millie i powiedzieć jej, co się dzieje. I chcę odebrać też parę rzeczy.

- Och – powiedziała skonsternowana. – Mam iść z tobą?

- Powinnaś pakować się dalej, żebyśmy miały przewagę.

Wskazała głową na wszystkie otaczające ją ubrania.

- Tak – powiedziała, marszcząc brwi. – Jest wiele do zrobienia.

Odsunęłam się od niej, uśmiechając się bez radości, która powinna towarzyszyć temu gestowi.

- Dokładnie.

Millie już na mnie czekała, kiedy otworzyłam drzwi wejściowe.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – burknęła, jak wsiadłam do samochodu. Wczoraj musiałam przekonywać ją przez pół godziny zanim w końcu uległa.

- Ja też mam taką nadzieję – odparłam.

- Wiesz, że zawsze możesz zostać ze mną. Poproszę tatę, żeby pożyczył...

- Mil – przeszkodziłam jej. – To nie jest urlop, tylko krwawe porachunki rodzinne i powtarzam ci po raz tysięczny, że nie będę cię do nich mieszać.

- Co jeśli odmówią ci pomocy, Soph? Masz jakieś bystre pomysły?

Rzuciłam się na oparcie, wyglądając przez przednią szybę na pochmurne niebo.

- Wtedy chyba będę musiała obrobić bank.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

AZYL

Po długiej jeździe z miasta zatrzymałyśmy się przed krętym podjazdem do *Eveliny*. Dziwiłam się, że tak szybko zapamiętałyśmy drogę – jednak z drugiej strony to było miejsce, w którym wydarzyły się moje najgorsze wspomnienia.

- Będę w pobliżu – powiedziała Millie, kiedy wysiadłam. Uzgodniłyśmy, że wejdę sama. Tak było bezpieczniej, a już bez tego wystarczająco wmieszałam przyjaciółkę w to wszystko. – Pisz do mnie, co piętnaście minut. Jeśli nie dostanę wiadomości to przysięgam na Boga, że zadzwonię po policję i zaryzykuję konsekwencjami.

- Dzięki, Mil. Jestem ci dłużna.

Poprawiła na nosie okulary przeciwsłoneczne i westchnęła.

- Będę o tym pamiętać, jeśli będę potrzebować nerki.

Wbiegłam w górę podjazdu, odpychając uczucie niepokoju, kiedy Millie odjechała, żeby się pokręcić albo ukryć w otaczającym nas polu.

Wewnątrz rozbrzmiał dzwonek. Otworzył mi łagodny wielkolud, który próbował uspokoić mnie i Millie, gdy byliśmy tu ostatnim razem... Falcone, który skłamał mi prosto w oczy na temat losu Sary. Paulie. Jednak mogło być gorzej. Mógł otworzyć jego brat Felice.

Zerknął za mnie.

- Panna Gracewell. Cóż za niespodzianka.

Posiadał formalną uprzejmość brata, ale zero oślizgłej, biernej agresji. Przyjrzałam się jego dłoni wspartej o futrynę. Jego paznokcie były pomalowane na różowo i żółto.

- Chyba tak – powiedziałam, starając się nie brzmieć dziecinnie ani bezbrinnie, choć obie emocje mnie teraz przytłaczały. – Zastanawiałam się czy mogłabym porozmawiać z Luçą?

Widziałam wyzierającą konsternację, obracając się tryby w jego głowie, kiedy próbował rozgryźć, o co tu chodzi.

- Chciałabyś wejść do środka, kiedy po niego pójde?

- Tak, proszę.

Przeszedł bezgłośnie przez marmurowy hol, wchodząc w korytarz. Zdałam sobie sprawę jak wielki jest ten dom, a echo moich oddechów zdawało się głośniejsze niż zwykle. Przyjrzałam się herbowi Falconów w podłodze oraz trójpoziomowemu żyrandolowi, który rzucał tęczę na podwójne schody. W dalekim rogu foyer, wysoko na ścianie, wisiało zdjęcie.

Na fotografii Felice był ubrany w garnitur, a obok niego znajdowała się najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Falowane kasztanowe włosy zebrane w wysokiego koka spiętego rubinowymi spinkami. Szerokie niebieskie oczy i kremowa skóra jak z reklamy. Miała na sobie koronkową suknię ślubną i ścisnęła ramię Felicego, uśmiechając się promiennie do aparatu. Musiałam przyznać, że ten uśmiech rzeczywiście wyrażał miłość i w jakiś sposób delikatność jej urody zdawała się go łagodzić. Nie wyglądał na przerażającego ani diabelskiego, tylko na młodego mężczyznę.

Evelina. Nawet na zdjęciu dostrzegłam jej rubinowy pierścionek. Taki sam, co w mauzoleum Falconów. Wielki. *Drogi*. Czerwony – kolor miłości. Kolor przemocy. Co on zrobił, że ją odpędził? U dołu ramki były wyryte litery F i E, a pod nimi na srebrno *Sempre*.

Zawsze, przypominałam sobie.

Co za kłamstwo.

Luca wyszedł z korytarza i zatrzymał się u podnóża schodów, zachowując między nami kilka metrów przestrzeni.

- Najwyraźniej trudno mi się oprzeć. Nie potrafisz trzymać się ode mnie z daleka dłużej niż dobę.

Odwróciłam się od fotografii Felicego i jego panny młodej, po czym wzięłam głęboki, uspokajający oddech.

- Nie wiem nawet jak to powiedzieć... - wyznałam.

Oparł się o poręcz, kładąc brodę na złożonych ramionach.

- Postaraj się wypowiedzieć jedno słowo po drugim.

Jego ton był dokuczliwy, ale przyglądał mi się uważnie. Powstrzymałam się od pokazania mu środkowego palca i podjęłam decyzję oznaczającą, że nie ma już odwrotu. Wypowiedziałam słowa, które uczynią mnie wrogiem Marino i przesuną moje życie na jeszcze dalszą krawędź.

- Donata Marino chce, żebym pomogła jej zabić twoją rodzinę.

Zapanowała cisza. Luca nie zmienił wyrazu twarzy. Wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem.

Postanowiłam, że najlepiej byłoby coś dodać, gdyby miał jakieś wątpliwości.

- Oczywiście jej nie pomogę.

Odepchnął się od poręczy i wyprostował, wyglądając teraz na o wiele wyższego. Zatrzymał się jeden krok przede mną. Zlustrował mnie krótkim spojrzeniem, ale nie na tyle szybkim, żebym nie zauważyła. Czy on szukał broni?

- Co ci zaoferowała? – zapytał spokojnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Głównie ochronę... przed twoją rodziną.

- Przed nami? Ale nie jesteśmy tobą zainteresowani.

Coś w tej wypowiedzi mnie zabolalo. Otrząsnęłam się; miał rację. Oto właśnie chodziło: nie obchodziłam już Falconów.

- Nie wiem, co ona sobie myśli, Luca – przyznałam. – Skrzywdzi mnie i moją mamę, jeśli jej nie pomogę. Nie mamy dokąd pójść. Nie mamy pieniędzy, żeby od nich uciec. – Odchrząknęłam, żeby pozbyć się drżenia w głosie i pomyślałam: *Jaki w tym sens?* Luca znał prawdę. Miałam dość jej ukrywania. – I boję się, Luca. Naprawdę się boję.

- Kiedy? – zapytał opanowanym głosem. – Kiedy zamierza na nas ruszyć?

Wtedy do mnie dotarło. To był Luca w trybie dowódcy. To był Luca przedkładający obowiązki nad emocjami. Zachowywał spokój, ponieważ tak go nauczono. Nie miałam pojęcia, co naprawdę myślał albo czuł. Ja także próbowałam wejść w ten tryb, ale miałam wrażenie, że żelazna pięść zaciska się na moim sercu i nie mogłam nie myśleć o mojej matce pakującej się w domu, czekającej aż wrócę do niej z planem, pieniędzmi, wyjściem z sytuacji.

- Wkrótce – odparłam. – Powiedziała, że najpierw wróci po mnie. Chcą zrobić zasadzkę na twoją rodzinę w knajpie. Chce, żebym jej pomogła. – Zawahałam się zakłopotana tym zasugerowaniem, absurdalnością wypowiedzenia do niego następnych słów. – Uważa, że jestem... słabością Falconów.

Coś przemknęło po twarzy Luki – szybki cień, niezrozumiała emocja. Zacisnął szczękę, ale poza tym jedynie mrugnął.

- Czyżby?

- Najwyraźniej.

- I powiedziała ci to wszystko?

- Tak.

- Bez prowokacji.

- Chce, żebym jej pomogła – powtórzyłam, czując lekki rumieniec w policzkach.

Zmrużył oczy.

- Czy ona wie, że nie masz doświadczenia z bronią?

Uniosłam dłoń, pokazując mu ranę.

- Myślę, że to raczej oczywiste.

Nie uśmiechnął się.

- Jest strasznie wściekła, Luca – powiedziałam, czując jak w moich słowach śpiewa zdrada. Donata urwałaby mi za to głowę. Urwałaby mi ją za to, że w ogóle tutaj przyszedłam, ale jeśli miałam pokładać swoje nadzieje w kimkolwiek w całym tym bałaganie, to na pewno nie w niej. – Jej żaloba doprowadza ją do szaleństwa. Pragnie zniszczyć twoją rodzinę. I to szybko.

Oczy Luki pociemniały. Przyglądał mi się w milczeniu.

- To wszystko, co mam – powiedziałam cicho. – Wszystko.

Zobaczyłam jak jego maska się zmienia – bariera opadła w dół, marszcząc mu rysy twarzy. Przeczesał włosy i przycisnął palce do skroni, zamykając oczy.

- Śmiały ruch ze strony Marino – mruknął, ściągając usta. – W co ona pogrywa?

- Co zamierzasz zrobić? – zapytałam z rosnącym strachem na myśl o odwecie, o tym jak szybko potęguje się wojna krwi. Jeżeli Eden był jakimkolwiek odnośnikiem, to Falconowie raczej nie stronili od wielkich krwawych gestów. Nic nie było dla nich zbyt śmiałe.

Patrzył na mnie i powiedział pozornie spokojnym głosem:

- Nie pozwolę, żeby skrzywdziła moich braci. – Nastąpiła krótka cisza, po czym ukrył przede mną wszystkie myśli i zapytał zamiast tego: - Co zrobisz, Sophie?

Spojrzałam na posadzkę, na majestatycznego szkarłatnego sokoła. Coś skurczyło się w mojej piersi i miałam nagłą ochotę się rozpłakać. Nie byłam Marino, ale nie byłam także Falcone.

- Już to powiedziałam. Nie ma odwrotu – zamilkłam, zbierając się w sobie, a potem przyznałam szeptem coś, co oboje już wiedzieliśmy. – Pewnie mnie za to zabije, kiedy się dowie.

Luca pochylił głowę, ale postanowiłam nie spoglądać mu w oczy na wypadek, gdybym miała rzucić się na niego z płaczem.

- Sophie, czy prosisz mnie o naszą ochronę?

Wiedziałam, że kiedy proponował swoją pomoc przed więzieniem to nie bez lęku. Wiedziałam, że to nie będzie proste – sam tak powiedział – ale potrzebowałam jego pomocy i jeżeli będę musiała odrzucić dumę, żeby go poprosić, żeby poprosić ich wszystkich, to tak zrobię, ponieważ moja matka i ja byliśmy zdesperowane. To była nasza najsilniejsza opcja i to, samo w sobie, było przerażające.

- Ja tylko... potrzebuję kryjówki dla mnie i mamy, dopóki to się nie skończy. – Urwałam, wwiercając się w to, czego naprawdę pragnęłam. – Muszę zniknąć.

- Nie jestem magikiem.

- Nie – przytaknęłam. – Jesteś o wiele potężniejszy. Jesteś zastępcą bossa Falconów.

Nie zaprzeczył. Zaczął przygryzać paznokieć małego palca, rozmyślając. Wbiłam wzrok w bliźnię nad jego wargą. Nagle miałam niemożliwie ciężkie barki, które ciągnęły mnie do dołu. Dlaczego nic nie mówił? Bo oszalałam, dlatego. Ale kości zostały rzucone.

- Nie chciałam cię wystraszyć...

- Nie jestem wystraszony – przerwał mi. Rzeczywiście. Był spokojny niczym tafla jeziora, a ja wzburzona i zrozpaczona. – Myślę, jak to zrobić.

- Co zrobić? – Byłam w połowie drogi pomiędzy nim a drzwiami wejściowymi, w czyścicu, i trudno było stwierdzić, w którą stronę było piekło.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Jak przekonać rodzinę do ochrony bratanicy Jacka Gracewella i żony Michaela Gracewella.

- Och. – *Cóż, kiedy tak to ujmujesz...* Zrzęła mi mina.

Rozbrzmiał śmiech, odbijając się echem od ścian i pełząc mi po karku. Felice wyszedł gdzieś zza mnie.

- Czyż to nie oczywiste, Luco? – zapytał i jego głos wypełnił całe foyer. – Musimy zwołać Radę.

Usłyszałam odgłos jeszcze więcej kroków... tym razem nad nami. Czy oni byli tam przez cały czas, słuchali wszystkiego? Na szczycie schodów pojawili się Nico z Gino.

- Co się dzieje? – zapytał Nico, wyglądając znad balustrady.

Pomachałam do niego.

- Zgadnij kto – zaśpiewałam, czując monstrualne skrepowanie.

Niemal wypadł przez poręcz. Zbiegł prędko po schodach, stając obok Luki, a Gino powędrował za nim.

- Co jest?

Felice przestał się śmiać.

- Dziewczyna potrafi wystąpić – powiedział, nie odrywając ode mnie oczu. – Przysięgam, że nigdy nam się z nią nie znudzi.

Postanowiłam ugryźć się w język. Niegrzeczność do niczego mnie nie doprowadzi.

- Zwołujemy Radę – oznajmił Luca Nicowi.

- Niemożliwe – powiedział niedowierzająco Gino. – Jak to?

Nico spoglądał to na mnie, to na Lucę próbując rozgryźć sytuację.

- Dlaczego?

Felice pokazał na mnie w najbardziej dramatycznym geście, jakbym była jego ulubioną asystentką.

- Twoja *ukochana* Persefona Gracewell właśnie zmieniła lojalność i doniosła na Donatę Marino. Wygląda, że potrzebuje Azylu.

- Azylu? – Gino parsknął pełnym niedowierzenia śmiechem. – Jasna cholera.

- Azylu? – powtórzyłam z wrażeniem, że umykał mi ciężar tego znaczenia. – Coś takiego istnieje?

- Tak – odpowiedział Nico, marszcząc brwi. – Istnieje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

BÓJKA

Azyl był poszerzeniem ochrony i lojalności do kogoś, kto nie był związany krwią z rodziną. To było najbliższe zostania Falcone bez bycia wrodzonym w rodzinę. Luca powiedział, że będzie potrzeba głosowania – werdyktu większości – żeby zaoferować mojej matce i mnie bezpieczeństwo, którego przyszedł u nich szukać. Jeśli zostaniemy zatwierdzone, dadzą nam schronienie i dosyć, żeby przetrwać dopóki Donata Marino nie zostanie uciżona na dobre.

Staliśmy w foyer, Falconowie i ja, kiedy byłam wypytywana o każdy najmniejszy szczegół mojego spotkania z Donatą. Opowiedziałam wszystko, co wiedziałam – a przynajmniej wszystko, co powiedziała – nie wiedząc, ile z tego rzeczywiście było prawdą. Felice nie potrafił zrozumieć, dlaczego w ogóle pokładała we mnie nadzieje.

Ja też nie mogłam tego zrozumieć.

- Brak w tym sensu – dumął. – To nie jest logiczne dla tych drani Marino.

Zapomniałam o ostatnich słowach Donaty - *Fidelitate Coniuncti* – i wspomniałam o nich, przekazując jej wiadomość do mnie. Luca wygiął brew, a Felice mruknął:

- Ciekawe.

- Czy to groźba? – zapytałam. – Co to znaczy? – Nie potrafiłam przeliterować tego na tyle dobrze, żeby wygooglować. Ledwo potrafiłam to wymówić.

- To z łaciny – odparł niespokojnie Luca. – Żadna groźba.

Felice wyciągnął swój telefon, obowiązki *consigliere* były ważniejsze od ochoty dalszego przesłuchiwania mojej osoby.

- Wezwę wszystkich. Spotkanie powinno odbyć się za mniej więcej godzinę. Porozmawiam z Valentino – dodał do Luky. – To będzie dla niego bardzo dziwne...

- Ma paranoję – odpowiedział Luca. – W tym nie ma nic niecodziennego.

- Nie byłbym taki pewien. – Felice zniknął, a jego kroki zadźwięczały w oddalonym korytarzu.

- O co chodziło? – zapytałam.

Luca zbył moje pytanie. – Nie martw się tym.

Nico był jedynym bratem Falcone, który nie miał nachmurzonej miny. Odprężony, wyprostowany – żołnierz gotowy na wszystko.

- Cieszę się, że do nas przyszedłaś, Sophie – powiedział szczerze. Jego głos przybrał ten niski ton jakby skracał dzielącą nas przestrzeń i zostaliśmy tylko we dwoje. – To, co ona robi jest nie w porządku. Ale nie pożyje długo. Upewnimy się, że nie zostaniesz w to wciągnięta, przyrzekam.

Do tego czasu dołączył do nas Dom.

- Nie składaj obietnic, których nie dotrzymasz, Nico. – Podskoczył na piętach. – Rada postanowi.

- Wiem o tym – powiedziałam, zwracając się do Doma i próbując ukryć jad w głosie. – Wiem, że to strzał w ciemno. Nie wiedziałam, że będzie potrzeba takiej ceremonii... ja tylko... - Zwróciłam pełne nadziei oczy na Lucę. – Kiedy powiedziałeś mi wczoraj, że mogę przyjść do twojej rodziny, jeśli będę miała kłopoty, to nie sądziłam, że kiedykolwiek skorzystam z tej propozycji. Ale Donata mnie przeraża i mam dosyć ryzykowania moim bezpieczeństwem. – Po chwili dodałam: - Słucham twojej porady. Zachowuję się mądrze. Zdaję sobie sprawę, że nie wydostanę się z tego sama.

Luca nakrywał dłonią usta i gładził palcami szczękę, rozmyślając.

- Wczoraj? – odezwał się Nico. – Co było wczoraj?

- Wpadliśmy na siebie w Stateville – odpowiedziałam szybko, widząc, że Luca nie zamierza. Myślamy był gdzieindziej. – Podwiózł mnie do domu.

Dlaczego miałam wrażenie, że się usprawiedliwiałam? Dlaczego miałam wrażenie, że musiałam coś ukrywać?

Nico zmarszczył brwi.

- Nie pomyślałeś, żeby mi o tym wspomnieć, Luca?

Dom i Gino wymienili się spojrzeniami.

- *Oho* – rzucił Dom, szczerząc się w uśmiechu. – Wygląda, że Sophie i Luca mieli więzienną randkę bez Nico...

- Zamknij się – syknęłam.

- *Calmati*. – Luca wrócił na ziemię i klepnął Nico po plecach. – Nie szukaj podtekstów, bracie. To nie było nic takiego.

- Tak. To nie było nic takiego – powtórzyłam twardo.

Nico zacisnął szczękę. Patrzył na Lucę, jakby chciał go podpalić i poczułam jak napięcie w pokoju narasta. Tylko Dom uważał to za zabawne. Godzina. Będę musiała

zaczekać godzinę na tę Radę, czymkolwiek ona była. I będę musiała czekać pod tą głupią chmurą testosteronu.

Poszłam do łazienki, żeby obmyć sobie twarz i wysłać wiadomość do Millie. Czułam się lepiej, spokojniejsza i skupiona. Musiałam tylko pozostać przy życiu i trzymać przy sobie moich bliskich dopóki to wszystko się nie skończy – dopóki Donata nie umrze. Starłam się nie zastanawiać nad myślą, że Falconowie mogą się omylić... że ich plan ataku, jakkolwiek się okaże, może nie zadziałać, że Jack wpadnie w szal i po mnie przyjdzie. Starłam się nie myśleć, że Azyl zostanie mi odmówiony, że moja matka i ja będziemy musiały same stawić temu czoła.

Gdy wróciłam do foyer wszyscy się rozpierzchli. Weszłam w korytarz na prawo, idąc tropem pomruków dobiegających ze środka domu. W połowie korytarza pchnęłam drzwi, śledząc krzyki. Pokój był ogromny, wewnątrz znajdowały się same sprzęty do gier – tarcza do rzutek, worki treningowe, stół do piłkarzyków, stół bilardowy i kino domowe. Pod ścianami stały kanapy i pufy, a trzy wielkie okna wyglądały na wzbierającą się burzę.

Pośrodku pokoju Dom i Nico zataczali wokół siebie kręgi. Felice i Luca opierali się o ścianę, obserwując ich z beztróskim zainteresowaniem, a Gino wylegiwał się na pufie z wpeł przymkniętymi powiekami.

- Co się dzieje? – zapytałam Lucę, kiedy Nico powalił Doma na plecy. Nastąpił ciężki huk i zwycięski śmiech Nico rozbrzmiał w pomieszczeniu.

Luca pokazał na małą mieszankę testosteronu.

- Stosunkowo bezpieczne zarządzanie konfliktami w domu zabójców – wyjaśnił. – Ilekroć się pokłócimy, zabieramy to do pokoju sparringu. Gdy ktoś zwycięży, kłótnia zostaje zakończona.

- O co się pokłócili?

Luca nie odpowiedział.

- Dom lubi dużo gadać – podsunął Felice. – A ty jesteś łatwym celem.

- Och – powiedziałam. *Dupek.*

Dom poderwał się do góry. Zamachnął się na Nico, który zasłonił się rękami i Dom wykorzystał tę chwilę nieuwagi, żeby podciąć mu nogi, prawie go przewracając.

- Uważaj na kolana, Nicoli! – zawołał Luca, zdradzając swoje prawdziwe zainteresowanie tą bijatyką. – Nie przejmuj się twarzą, *bel ragazzo!*

- Nie ma pomagania! – krzyknął Dom, znów rzucając się na Nico. Tym razem został odepchnięty do tyłu, jego buty zapiszczały na parkiecie, kiedy starał się nie upaść.

Felice był urzeczony bójką.

- Nico zbyt ciężko stąpa – mruknął do Luki.

- Jest silniejszy od Doma – odparował Luca. – Soph, co myślisz? – zapytał, odwracając się do mnie. Sprawdzałam godzinę w komórce, starając się nie dopuścić niepokoju do głosu. Robiło się późno, wilgotność była dręcząco wysoka i chciałam wrócić do domu zanim się załamie. Chciałam wydostać się z Cedar Hill przed burzą.

Czy on właśnie powiedział do mnie *Soph*?

- Myślę, że Nico wygra – powiedziałam, próbując wyglądać na spokojniejszą niż tak naprawdę byłam. – Ale głównie dlatego, bo chcę, żeby Dom przegrał. – Miałam nadzieję, że Nico powali go na twarz, a wtedy wytknę go palcem i krzyknę ze śmiechem: *Ha! Jesteś do kitu, Domie Falcone!*

- Uważaj na kolana! – zawołał znowu Luca. – To jego taktyka!

- *Stai zitto!* – syknął Nico, doskakując do Doma i usiłował złapać go w pasie. Zaczęli mocować się ze sobą i zobaczyłam, jak Nico podnosi gwałtownie głowę i orientuje się o mojej obecności. Odsunął się i zachwiał na palcach stóp niczym zawodowy bokser.

Luca pochylił do mnie głowę i patrzyłam, jak twarz Nico ulega zmianie, kiedy spojrzał w naszą stronę.

- Być może, jeśli Dom potrząśnie głową wystarczająco mocno, to rozleje dosyć żelu, żeby Nico się poślizgnął – mruknął. – A wtedy stracę sto dolców.

Zaśmiałam się w głośnym, obrzydliwym parsknięciu i musiałam przyłożyć rękę do ust, żeby stłumić odgłos. Nico znowu na nas patrzył.

Luca podniósł dwa palce i wskazał na swoje oczy.

- Koncentracja, bracie!

Za późno. Dom zaatakował Nico z boku. Złapał go za głowę i powalił na ziemię.

- Poddaj się! – krzyknął ze śmiechem Dom. – Mam cię! Wygrałem!

Nico miał przyciśnięte czoło do podłogi. Po kilku bezwocnych sekundach walki w końcu się poddał. Poderwał się na nogi przeklinając i zaczął się otrzepywać.

Luca odepchnął się od ściany i podszedł do niego, unosząc ręce w poirytowaniu.

- Co to było? Kazałem ci się skoncentrować. Zbyt łatwo się rozpraszasz.

- Ty mnie rozpraszałeś! – Zaskoczyła mnie wściekłość Nico. Wiedziałam, że przegrał, ale to była tylko zabawa i przecież nic mu się nie stało.

- Przestań zachowywać się jak dzieciak – powiedział chłodno Luca. – Przez ciebie straciłem sto dolarów.

- To może *ty* się ze mną zmierzysz, co? – Nico stawiał mu czoła. – Jeśli jesteś taki wszechwiedzący, to mnie pokonasz.

Luca zbył jego propozycję machnięciem ręki.

- Nie bądź dziecinny. I tak musimy już iść.

Nico odsunął z oczu przyklapnięte włosy.

- Mamy czas. Skoro tak bardzo przejmujesz się kasą, może spróbujesz ją odzyskać? Pięćset dolców dla zwycięzcy!

Pięćset dolców. Wow. Ja mogłabym się z nim zmierzyć dla takich pieniędzy. Zostałam pobita przez jego wujka za o wiele mniejszą sumę. No i taka kasa na pewno pomogłaby mi w opuszczeniu miasta.

Luca się na to nie łąpał.

- Jesteś rozemocjonowany – powiedział. – Uspokój się.

Rozpoznałam ten wyraz oczu Nico – płonący upór. Oho. Wciąż podskakiwał do Luki; tak jakby coś zostało w nim uruchomione i nie było od tego odwrotu.

- Jesteś zbyt miękki, co? Jak możesz prowadzić tą rodzinę, jeśli nie potrafisz nawet zablokować ciosu?

Dom i Felice wymieniali się ukradkowymi spojrzeniami.

- Co to ma być? – zapytał Luca. – Co w ciebie wstąpiło?

Nico rzucił mi przelotne spojrzenie.

- Wiesz, o co chodzi.

Luca potrząsał głową. – Oszalałeś, bracie.

- A może ty zmiękłeś.

- Oooo – zawołał Dom, podjudzając ich. – Mocna gadka. Luca, pozwolisz, żeby on cię tak lekceważył?

- Czy ty kiedykolwiek się zamykasz? – warknęłam do Doma. – Poważnie. Dorośnij!

Dom zacmokał ustami w obrzydzącej imitacji buziaka w powietrzu.

- To twoja wina, *bella puttana*.

Pokazałam mu środkowy palec. – *Vaffanculo!*

- *Americano* zna włoski! – roześmiał się Felice.

Atmosfera nie wyglądała już na taką swawolną, wcześniejsze zakłady rozplynęły się pod agresją Nico. Szturchnął Lucę w pierś.

- Jesteś za słaby – rzekł. – Siedzisz sobie tutaj z Valentino, jak osławiony ochroniarz. Wypadłeś z formy. Zbyt długo stałeś z boku.

Luca zrobił krok do tyłu.

- Uważaj – ostrzegł. – Nie chcesz pójść tą drogą.

- Rozumiem – powiedział Nico, wchodząc w przestrzeń osobistą brata. – Nie chcesz, żebym cię zawstydził.

Wciąż napierał. Dom teraz skandował, a Felice zaśmiewał się, nie odrywając uwagi od braci.

Luca wybuchł.

- Dosyć! – wrzasnął i jego pałaca wściekłość zaskoczyła nas wszystkich. Był rozgniewany, niebezpieczny. Przywarłam plecami do ściany, chcąc cofnąć się w czasie i nie wchodzić do środka, żeby powstrzymać cokolwiek teraz się działo. – Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, Nicoli, to ci dokopię. *Non mettermi alla prova!*

Nawet Dom zaczynał wyglądać na podenerwowanego. Felice przestał się uśmiechać. Zestąpiła na nas atmosfera wrogości i poczułam, że nadchodzi ciemna chmura czegoś zupełnie innego. To był wytracony z równowagi Luca. To była czysta, wyraźna wściekłość. Przemieniła go w całkiem inną osobę. *Nic nie mów, Nico. Trzymaj głębę na kłódkę.*

Nico był pełen energii. Urządził widowisko. Uśmiechnął się, szczerząc trzydzieści dwa śnieżnobiałe zęby do Luki.

- Jesteś mocny tylko w głębie, Luca. Nie przewróciłbyś nawet Ignacia.

Luca rzucił się na niego i ich ciała zderzyły się z hukiem. Luca przyjął pierwszy cios w bok głowy; powalił go na bok i ścisnęło mnie w żołądku. Wrzasnęłam, żeby przestali, ale byli pochłonięci sobą nawzajem, wymieniając się uderzeniami, jakby byli workami treningowymi.

Luca był szybszy od Nico, jego ruchy zmieniły się w smugi czerni, kiedy obracał się wokół niego. To wydawało się dla niego łatwe, jakby taka szybkość była jego drugą naturą. Jego odwet przyszedł w sześciu błyskawicznych ciosach w brzuch Nico i jednym w brodę. Prawie całkowicie go powaliły, ale zmusił się do stania prosto, chwiejąc na nogach.

Odskoczyli od siebie i miałam wrażenie, że Luca dawał mu czas na odzyskanie siły, okrążając brata szerokim łukiem. Nico wykonał kop z półobrotu, uderzając Lucę mocno w ramię i wytrącając go z równowagi. Luca obszedł prędko Nico i chwycił go za szyję. Dysząc rzucił go na ziemię, czarne włosy opadły mu na oczy. Nico kopnął Lucę w bok i ten odsunął się chwiejnie z przekleństwem w ustach. Jego rana postrzałowa. Cios poniżej pasa! Miałam niespodziewaną ochotę trzepnąć Nico po łbie i poczułam ukłucie zdziwienia na siłę mojego gniewu. Obaj byli tak samo niedojrzali. To była sprawiedliwa walka.

Teraz krzyczałam razem z Domem. Luca chwycił Nico za kolana i polecili do tyłu, uderzając w ścianę. Nico osunął się w kierunku ziemi, a Luca odzyskał niepewną równowagę, zarzucił ramię na jego szyję i przytrzymał mu głowę.

Upadli razem na podłogę. Luca obrócił Nico, dociskając kolano do pleców brata i przekrzywił jego ramię w kierunku sufitu. Nico utknął pomiędzy Lucą, a podłogą cały powykręcany. Dyszał ciężko i jego twarz robiła się czerwona z bólu. Luca połamie mu kość, jeśli nie będzie uważny.

- *Basta* – warknął do ucha Nico. – Okej? Wystarczy.

Nico wybełkotał coś. Luca wygrał, ale nie wyglądał wcale na zadowolonego. Puścił brata i Nico przekręcił się na ziemi, trzymając się za rękę.

Nico wstał nagle i próbował złapać Lucę za szyję. Zrobił to dość nieudolnie i Luca obrócił się gwałtownie z twarzą wykrzywioną furją. Rzucił się na Nico, raz jeszcze powalając go na podłogę i wylądował na nim, kładąc kolana po obu bokach torsu Nico, żeby nie mógł wstać. Wrzeszczeli do siebie po włosku i teraz Dom także zabierał głos. Próbował odciągnąć Lucę, ale nie miał siły, a moje próby również nie pomagały. Felice pozostawał w tej samej pozycji... jako zwykły widz.

Nico splunął na podłogę. Luca wyciągnął swój scyzoryk, otworzył i wbił ostrze w parkiet obok głowy Nico. Odsunął się, oddychając ciężko i zobaczyłam na twarzy Nico wstrząs oraz oniemiałość. Nóż lśnił jakieś pięć centymetrów od jego głowy.

- Dosyć. – Luca obnażył zęby. – Miałeś swoje przedstawienie.

Podniósł się, ale tym razem nie odwracał się plecami do brata. Niemal od razu wyparował czający się w nim wojownik i powrócił do wcześniejszego opanowania, poprawiając sobie koszulkę i obracając szyją, dopóki mu nie strzeliła. Był wykończony – garbił się i przechylał bardziej na jedną stronę. Domyślałam się, że odezwała się jego rana, ale nigdy tego nie przyzna.

Nico wstał. Był szkarłatny na twarzy i dyszał ciężko. Nie patrzył na mnie ani na nikogo innego. Pochylił się bez słowa niczym futbolista szykujący się do ataku i zaszarżował na Lucę. Popchnął go do tyłu i ich wspólny rozpęd rzucił ich w stronę okna. Wtedy krzyczeliśmy już wszyscy, ale Nico był ślepy z gniewu, zwierzę pragnące mordy.

Popychał w biegu Lucę, aż – wydając własny pochrzaniony okrzyk wojenny – puścił go i Luca wypadł przez okno. Szkło rozbiło się na milion kawałeczków, które spadły na niego deszczem, kiedy został przerzucony przez parapet.

Wrzasnęłam, jak pośpieszyliśmy do niego. Nico po prostu stał, wyglądając przez okno na brata, który leżał na posłaniu ostrych odłamków splamionych jego krwią.

- *Sei fuori di testa* – zwrócił się Dom do Nico. – Coś ty sobie myślał, do cholery?

Oczy Luki stwardniały, jak usiadł i obejrzał strużki krwi na swoich nagich ramionach. Twarz też miał rozciętą, na jego policzkach i szyi widniały szkarłatne ścieżki. Przycisnął rękę do rany w boku. Miałam nadzieję, że nie otworzyła się po całej tej bójce.

Felice stanął między nami, przyciskając rękę do ust i patrzył, jak Luca podnosi się chwiejnie. Potrząsnął głową, cmokając głośno z dezaprobatą.

- Moje okno – westchnął. – To było szkło weneckie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

SPOJRZENIE

Luca wszedł z powrotem przez okno. Byłam wstrząśnięta jego nonszalanckim powrotem, przyglądając się wszystkim cienkim stróżkom krwi na jego ciele. Nie spojrział już na Nico, a Nico go nie przeprosił. Był zbyt przejęty kłótnią z Domem.

Luca odrzucił moją troskę i przepchnął się obok nas.

- Hej! – zawołałam za nim.

- Pójdę się umyć.

- Jesteś ranny – powiedziałam do jego oddalających się pleców. – Musisz jechać do szpitala.

Machnął ręką, znikając w korytarzu.

- Nic mi nie jest.

Jak cholera.

Opuściłam pokój i poszłam za nim po marmurowych schodach, próbując odszyfrować czające się we mnie emocje. Zmartwienie – jasne, jego twarz krwawiła i miał również pocięte ramiona. Była też wściekłość na Nico, ponieważ był nadętym bucem, że wycelował w ranę Luki, a potem wyrzucił go przez okno. Ale były też inne uczucia, których nie potrafiłam rozgryźć i wirowały we mnie, napęlniając mnie lękiem. Zastanawiałam się nad zapalem moich kroków, kiedy starałam się nie zgubić Luki, jak wspinał się coraz wyżej, nie zwracając uwagi na mój cień.

Nie odrywałam od niego wzroku, patrząc jak trzymał się za bok, na zmęczenie w powolnych krokach. Zaczął wybierać szkło z ramion, rozrywając skórę i usuwając odłamki bez wzdrygnięcia. Był wieloma rzeczami dla swoich braci – ciąglą, opiekuńczą obecnością, mądrym, skoncentrowanym i lojalnym bratem. Był bardzo ważny dla rodziny, a jednak ranny chował się w sobie.

To nie było w porządku.

Postanowił zostawić Nico bez słownego albo fizycznego odwetu, chociaż wiedziałam, że był zdolny do obu. Ta myśl sprawiła, że chciałam na kogoś krzyknąć. Dlaczego nikt nie szedł zobaczyć czy wszystko było z nim dobrze? Dlaczego myślał, że nie było nic złego w przecierpieniu tego w samotności, kiedy każda normalna osoba pojechałaby na izbę przyjęć, żeby pozbyć się szkła ze skóry?

Wszedł do pokoju na drugim piętrze. Zostałam przy schodach, zastanawiając się, co robić. Nie chciałby, żebym za nim poszła. Ale tu nie chodziło o to, żeby zachował twarz, tylko o upewnienie się, że nie potrzebował szwów, że krwawienie ustało i szybko dojdzie do siebie. Chodziło o okazanie mu troski, na którą zasługiwał i nie pozostawienie go samego w jakiejś niepotrzebnej ciszy cierpienia.

Zapukałam do jego drzwi.

Otworzył je z wahaniem. Ocierał szmatką krew z twarzy. Przycisnął ją do szczęki i otworzył szerzej oczy.

- Sophie?

Nie czekałam, aż się odsunie i pozwoli mi wejść. Wparowałam do środka i nie zwracając uwagi na wielkość jego pokoju, łóżko, kolor ścian, garderobę czy cokolwiek innego, co mogłoby mieć dla mnie znaczenie w innej sytuacji, odwróciłam się do niego i wyrzuciłam z siebie słowa nim zdążyłby mnie wykopać.

- Wiem, powiedziałaś, że nic ci nie jest i na pewno tak jest, ale nie będę czekać na dole, kiedy właśnie widziałam, jak wyleciałeś przez przekłute okno. To nie w porządku, że jesteś tutaj sam i nie obchodzi mnie czy każesz mi wyjść, ale musiałam przekonać się na własne oczy, czy wszystko dobrze i nie czujesz się... nie czujesz się... no co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak?

Jego wzrok był tak przenikliwy, jakby próbował rozplątać nici mojej duszy. Wtedy zorientowałam się, dlaczego błękit jego oczu wydawał się taki oszałamiający, dlaczego wyróżniały się one wśród garstki Falconów i dlaczego wydawały się błękitniejsze od wszystkich innych par oczu, jakie widziałam. Wokół tęczówek była cieniutka czarna obwódka, ciemna granica zamykająca jasny błękit, żeby nie rozlał się na zewnątrz.

- Ty po prostu... patrzysz na mnie – powiedziałam o wiele ciszej niż zamierzałam.

W jego szczęce zadrżał mięsień. Przełknął ślinę.

- Będę na ciebie patrzeć, jeśli zechcę.

Dlaczego było mi tak nagle gorąco? Jakby do moich płuc nie dochodziło wystarczająco powietrza.

- Wyciągnąłeś całe szkło? – zapytałam, zmieniając temat.

Luca opuścił szmatkę, żebym zobaczyła zacięcie tuż pod jego policzkiem. Nie było głębokie, ale nadal krwawiło.

- Nie wiem – powiedział łagodnie. – Nie widzę.

Uniosłam się na palcach i bez namysłu lub zamiaru przysunęłam się bliżej, chwiejąc niepewnie, kiedy próbowałam przyjrzeć się rance. Dopłynęła do mnie jego woda kolońska i wciągnęłam ten zapach do nozdry.

- No i? – zapytał nagle ochryple. – Przeżyję?

- Nie jestem pewna. Muszę się przyjrzeć bliżej. – Ukryłam uśmiech i wyciągnęłam szyję, ale zakołysałam się na palcach, upadając na niego. Przycisnęłam dłoń do jego klatki piersiowej, żeby zachować równowagę i podniósł ręce, nakrywając moje. Czułam pod palcami nierówny rytm jego serca.

Wpatrywałam się w nasze dłonie – moją bladość pod jego gładką oliwkową opalenizną – jego palce przyściskujące moje. Całe moje ciało osłabło. Wiedziałam, że mi się przygląda, czekając aż spojrzę mu w oczy.

Nie potrafiłam się od niego odsunąć. Właściwie miałam wrażenie, że nie jestem wystarczająco blisko niego. Uniosłam powoli wzrok. Luca uśmiechał się delikatnie.

- Może na ciebie patrzę – szepnął. – Może zawsze patrzyłem.

A potem mnie pocałował.

Na początku pocałunek był wolny i łagodny, nasz oddech nierówny, kiedy wsunął palce w moje włosy, przyciągając mnie bliżej. Rozchyliłam usta i musnął językiem mój język, szukając, pragnąc więcej. Pragnienie uczyniło nas odważniejszymi, gwałtowniejszymi i przyłgnęłam do niego, kiedy pocałunek się pogłębił. W tym momencie, czując na wargach ciepło jego ust i jego serce dudniące szybko pod moimi palcami... miałam wrażenie, że wracam do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

PRZERWANIE

Rozdzieliło nas pukanie do drzwi. Odskokczyliśmy od siebie z szeroko otwartymi oczami i chwytaliśmy łapczywie powietrze.

Co my wyrabialiśmy, do diabła?

To było dziwne. Strasznie dziwne.

Ale nie *czułam*, żeby było dziwne.

Nico wpadł do pokoju.

- Cholera, Luca, co ci zajmuje tyle... - Prawie mnie staranował. - Sophie... tutaj jesteś... Co ty tu robisz? - zapytał zdziwiony.

- Ja? - odparłam, słysząc swój piskliwy głos. *Och, jedynie cię zdradzam.* - Sprawdzałam, jaką wyrządziłeś szkodę. - Odchrząknęłam, zastanawiając się czy nadal miałam zarumienione policzki i nabrzmiałe wargi. - Nic mu nie jest, nie dzięki tobie.

- Wszystko w porządku - powiedział Luca. Przeczesał włosy, próbując zapanować nad potarganymi kosmykami. Byłam zszokowana tym, jak brzmiał na *nieopanowanego*, jak wciąż nierówno oddychał. - Wyciągnęła mi szkło.

- Jasne - powiedział Nico, mrużąc oczy. - Przepraszam za tamto.

Nastąpiła bardzo długa, bardzo głęboka cisza, podczas której wyobrażałam sobie, jak Nico wpada pięć sekund wcześniej i pozbawia Luki głowy. Co ja robiłam? Co czułam? Wszystko. Całe moje ciało pulsowało każdą możliwą emocją jednocześnie, co sprawiało, że zapominałam o sobie i niebezpieczeństwie, w którym trwałam razem z moją rodziną.

Głupia. Byłam bardzo głupia.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedział Luca. Przeniósł na mnie nieczytelny wzrok.

Niecałą minutę temu oddychaliśmy ciężko pomiędzy głębokimi, nieśpiesznymi pocałunkami, a teraz miałam wrażenie, że ledwo mnie znał. Czy tego żałował? Czy ja żałowałam? Czy on również panikował?

- Chodźmy - powiedział Nico, stając pomiędzy Lucą, a mną, żeby jego brat opuścił pokój przed nami. - Wszyscy czekają już na dole. - Spojrzał na mnie, mówiąc: - Wszystko się ułoży. Ty i twoja matka nie stawicie same czoła Marino. Nie musisz wyglądać na taką zmartwioną.

„Zmartwiona” było kolosalnym niedopowiedzeniem.

Właśnie całowałam się z *bratem* Nico.

Czeka mnie miejsce w piekle.

Przycisnęłam drżącą rękę do serca. Wirowałam w dole własnej głupoty i starałam się nie odtwarzać w myślach pocałunku, który wzniósł mnie ponad ziemię i sprawił, że zapomniałam własne imię.

Jasna cholera.

Pocałowałam Lucę Falcone.

Luca Falcone pocałował *mnie*.

Co...?

Byliśmy na piętrze. Kiedy zeszliśmy po schodach? Luca nadal szedł przed nami, jego ramiona oddalały się ode mnie, jak kroczył następną kondygnacją schodów.

- Gdzie Valentino? – zapytał przez ramię.

- W swoim gabinecie – odpowiedział Nico, wzruszając ramionami. – Coś mu wyskoczyło.

Luca skinął głową, nie odwracając się, stawiając lekkie i szybkie kroki, kiedy spieszył z dala od nas. Gdy dotarliśmy na sam dół, w foyer roiło się od mafiosów. Zaciskałam mocno rękę na poręczy. Staruszkowie z powykręcanyimi twarzami i wygrawerowanymi laskami krążyli obok swoich młodszych odpowiedników ze srogimi brwiami i zasnurowanymi ustami. Poziom atrakcyjności był zdecydowanie nienaturalny. Wokół pełno było godnych pozazdroszczenia oliwkowych cer i gęstych ciemnych włosów.

Wszystko to dla jednej małej mnie.

Zanim moje życie stało się beznadziejne i niebezpieczne rzadko kiedy odbierałam telefony od mamy i rzadko odsłuchiwałam wiadomości głosowe. Z drugiej strony Falconowie zdawali się całkowicie osiągalni. Przybyli od razu. Teraz ściskali sobie ręce i witali się nawzajem w foyer, kiedy dźwięk ich śmiechu odbijał się echem wkoło. Trudno było słuchać wypowiedzanych słów – kiedy wymieniano się powitaniem i historyjkami – ponieważ większość Falconów, szczególnie ci starsi, rozmawiali po włosku. Nikt mnie nie zauważył, kiedy stałam u podnóża schodów. To była władza i rodzina wsadzona w jedno, a siła ich więzi zdawała się wypełniać posiadłość, przypominając mi jak samotne i bezbronne naprawdę byłyśmy z mamą.

Nico powiedział mi, że Rady były powszechnym zdarzeniem, ale Azyl już nie. W historii dynastii Falconów słyszał tylko o jednym apelu o Azyl – bogaty przemysłowiec alkoholu w Sycylii miał kłopoty z rywalizującą mafią i szukał schronienia dla swojej

młodej rodziny u pradziadka Luki. Ale ja byłam Gracewell i nie miałam do zaoferowania żadnej kasy. Nie byłam nawet Sycylijką. I wisienką na szczycie morderczego tortu był mój trwały status bratanicy człowieka, który najprawdopodobniej zadźgał Calvino Falcone i córki człowieka, który zastrzelił Angelo.

Luca wszedł w tłum, ściskając dłonie i całując policzki, poszerzając ciągle narastającą przestrzeń pomiędzy nami i zostawiając mnie zastanawiającą się czy wyobraziłam sobie nasz moment na gorze. Minęli mnie Gino z Domem. Dom puścił mi oko i pokazałam mu środkowy palec.

Pojawił się Felice i zaczął prowadzić wszystkich korytarzem. Luca przewodził paczką, wymieniając się grzecznościami ze staruszką o siwych włosach przypominających watę cukrową i oferując ramię zgarbionej pani z ciemną pomarszczoną skórą.

Nico trwał u mojego boku, a to tylko wszystko pogarszało. Wysłałam szybką wiadomość do Millie pomijając pocałunek, kiedy wyrzuty sumienia powykręcały mi wnętrzności. Jednak pomiędzy mną i Nico było nadal tyle nieufności, że część mnie buntowała się na myśl, że mam czuć się źle.

Ciągnęłam się za nim, idąc za przemarszem włosów Pantene i drogich garniturów, gdy ktoś zawołał moje imię.

Obróciłam się na pięcie.

Valentino był pośrodku foyer.

Nico został przy mnie, dopóki Valentino nie odpędził go machnięciem ręki, a wtedy odszedł sumiennie, bo był dobrym żołnierzem.

Valentino miał ciemne spojrzenie, zaciskał mocno wargi; nie był w dobrym humorze. Felice najwyraźniej doniósł mu wiadomości o planie Marino, żeby pozbyć się jego rodziny.

Był ubrany w ciemny garnitur i krawat. Na prawej dłoni miał gruby złoty sygnet. Zauważyłam go, kiedy pokiwał do mnie palcem, żebym się zbliżyła. Poszłam, ponieważ był bossem i oboje wiedzieliśmy, że czegoś od niego potrzebowałam.

- Cześć – przywitałam się, zdając sobie sprawę, że nie odezwie się pierwszy. Stałam na tyle daleko, że mogliśmy mierzyć się wzrokiem.

- Cześć? – powtórzył, ściągając usta. – Tylko tyle masz do powiedzenia?

Dobra. Był wściekły.

- Słuchaj, nie sądziłam, że moje przyjście tutaj doprowadzi do tego wszystkiego. – Wskazałam za siebie. – Nie miałam takiego zamiaru. Musiałam czegoś spróbować. Po tym, co Donata...

- Sophie – przerwał mi Valentino. – Czy naprawdę sądziłaś, że się nie dowiem?

Podniosłam rękę do ust. Czy dalej miałam czerwone i nabrzmiałe wargi? Czy jakimś cudem to widział? Czy tutaj były kamery?

- C-co? – wydukałam.

- I masz czelność usiąść w jednym pomieszczeniu z całą rodziną Falcone i oczekiwać, że Nico zagłosuje za twoim Azylem.

- Ja... nie, to nie tak. Nico pragnie mojego bezpieczeństwa, tak jak ja pragnę...

- Wiesz, coś podejrzewałem – powiedział, znów mi ucinając. Miał kwaśny głos. – Ale do tej pory nie wiedziałem, co takiego.

- Posłuchaj, jestem tutaj tylko z jednego powodu. Dałam twojej rodzinie informacje i naprawdę chciałabym, żeby temat pozostał tylko przy tym. – Moja klatka piersiowa była pełna motylków, które obijały się gorączkowo o moje żebra.

Valentino podniósł się z wózka, rozciągając plecy i wykręcając szyję. Strzeliła, a ten dźwięk poniósł się w foyer.

- Nie utrzymam tego w sekrecie. Nawet za tysiąc lat.

No dobra. Może powiedzieć Nicowi. Potrzebowałam tego cholernego Azylu i tylko to się liczyło.

- Dobrze – powiedziałam. – Rozumiem. Wściekasz się. Reszta pewnie też się wkurzy. Ale przyszedłam tutaj dla siebie i mojej matki, i tylko na tym teraz się koncentruję.

- *Sei pazzo*. – Patrzył na mnie, jakby wyrosły mi rogi. Wskazał za mnie, gdzie czekali inni. – Jeśli wejdiesz do tamtego pokoju nie będę odpowiedzialny za to, co ci zrobią.

Okej, nie był zbyt surowy? Nico może się wkurzy, kiedy się dowie, ale wątpiłam, żeby masa Falconów się tym przejęła. Czy naprawdę tak bardzo obchodziły ich związki innych? A może pomyliłam się z tym, jak głęboko sięgały ich kodeksy? Wróciłam myślami do matki, o tym jak Donata pochyliła ją nad zlewem, dociskając pistolet do jej gardła.

- Zaryzykuję.

- Felice może od razu strzelić ci w głowę. – Jego odpowiedź była tak dramatyczna, że pomyślałam, że to żart, ale w jego głosie nie było ani krztyny rozbawienia... był muzyczny i śpiewny, jednak słowa lodowate. Minę miał bezbarwną, kiedy dodał, przyglądając się mojej reakcji: - Nie powstrzymam go.

- Felice? – Niepokój przyspieszył rytm mojego serca. Zaczynałam mieć wrażenie, że tkwiliśmy na całkiem innych płaszczyznach. – Czemu, do cholery, Felice miałby się przejąć?

- Nie bądź taką ignorantką, Sophie. Już wystarczająco obraziłaś moją inteligencję. – Szyderczy wyraz Valentino czynił paskudne rzeczy z jego twarzą. Z twarzą Luki. Rujnował twarz Luki. – Felice przejmie się najbardziej.

Wiedziałam, że nigdy nie zdołam przewidzieć temperatury reakcji Felicego – ani jego czynów, jeśli już o to chodzi, ale coś tu na pewno się nie zgadzało. Wrogość w spojrzeniu Valentino była zbyt silna, słowa zbyt poważne.

- Czekaj... - powiedziałam, przysuwając się bliżej i przyglądając mu się tak, jak on mnie. – O czym ty mówisz?

Nie tracił rytmu, nawet nie mrugnął okiem.

- Wiesz o czym mówię, Sophie.

Czyżby? Zawrzał we mnie niepokój. Przygotowałam się na to, co nadejście zdeterminowana i złąkniona. To był tylko jeden pocałunek. Jeden głupi błąd. Jeżeli miał do powiedzenia coś jeszcze, to mógł to powiedzieć, ale nie będę pogrywać z nim w tę grę, nie kiedy w domu czekała na mnie mama.

- Pozwól, że stanę w swojej obronie.

- Będziesz musiała, kiedy już cię rozgryzę. – Valentino zmrużył oczy, podjeżdżając do mnie, koła jego wózka przesuwają się bezgłośnie po herbie Falconów. – Przychodząc tutaj, przypieczętowałaś swój wyrok śmierci.

- Może – powiedziałam, odwracając się, żeby ruszyć za nim i usiłowałam nie okazywać strachu na jego słowa. – Może i tak był już przypieczętowany.

- Masz krew na twarzy – rzekł, nie odwracając się.

W ciemności długiego korytarza wytarłam gorączkowo policzek, usuwając smugę krwi Luki, która została odcisnięta na mojej twarzy podczas naszego pocałunku.

Na samym końcu korytarza Valentino zastukał raz w drzwi. Zniżył głos i powiedział ledwo słyszalnym szeptem:

- Przez te ostatnie minuty masz swój sekret i życie. Ciesz się nimi, dopóki możesz.

Miałam gęsią skórę na ramionach, jak weszłam za nim do pokoju i znowu zaczęłam się zastanawiać z narastającą paniką czy Valentino mówił w ogóle o pocałunku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

SEKRET

Spotkanie odbywało się w pokoju na samych tyłach domu. Przez całą długość pomieszczenia rozciągał się stół z polakierowanego ciemnego drewna. Obraz olejny z domu Priestly w Cedar Hill – interpretacja anioła zemsty autorstwa Valentino – wisiał pośrodku pokoju, a pod szafką pod spodem ciągnęły się oprawione w ramki zdjęcia wszystkich martwych Falconów. Zdjęcie Calvino zostało umieszczone pomiędzy Angelo i mężczyzną bez włosów – zgadywałam, że był to Rico Falcone, ponieważ był najnowszą ofiarą Falconów.

Valentino zatrzymał się na przodzie stołu i jeden po drugim, jak efekt domina, każdy Falcone – kobiety i mężczyźni, starsi i nastolatki – utworzyli pochód w jego kierunku. Trzymał rękę przed sobą i patrzył leniwym wzrokiem, jak każdy schylał się nisko i całował jego sygnet, witając się włoskim pomrukiem i wracając na swoje miejsce. Przycisnęłam się plecami do ściany.

Rada została przywołana do porządku. Felice usiadł po lewym boku Valentino, Luca po prawym. Ani razu nie spojrzął w moją stronę. Patrzył przed siebie, poruszając mięśniami szczęki. Nico mrugnął do mnie, po czym skupił uwagę na najstarszym bracie. Chciałabym móc podzielać jego pewność siebie.

Valentino odchrząknął.

- Witajcie na spotkaniu, które, jak się okazuje, będzie bardzo pamiętne. – Zerknął przelotnie na mnie. Spojrzałam w te lazuruwe oczy i ujrzałam tam własną bezradność. – Dziś wspomnimy tych, którzy oddali krew za ochronę tej rodziny. – Przyłożył rękę do piersi i pochylił głowę. – Myślimy o Calvino i Rico. *Ora riposano in pace.*

Ciche pomruki poniosły się echem wzdłuż stołu, kiedy reszta Falconów przycisnęła ręce do serc, tak jak Valentino.

- *Ora riposano in pace.*

Valentino uniósł głowę i zniknął ślad po wrażliwym momencie. Patrzył prosto na mnie, oświadczając:

- Jesteśmy tu dzisiaj, żeby omówić poważną sprawę, który dotyczy Donaty Marino i rodziny Marino.

Usłyszałam syk gdzieś z końca stołu. Elena podwinęła wargi, obnażając zęby na wzmiankę o siostrze. Valentino pokazał na mnie.

- Przedstawiam niedoinformowanym Sophie Gracewell, córkę Michaela Gracewella.

Luca spojrział na mnie po raz pierwszy. Z jego twarzy nie dało się nic odczytać.

- Przyszła dzisiaj do nas, szukając Azylu, żeby ochronić siebie i swoją matkę – dodał pogardliwie Valentino.

Głos zabrał mężczyzna z długą białą brodą usadowiony w połowie stołu.

- Taka wielka ceremonia dla małej sprawy, Valentino. Oczywiście, że oferujemy Azyl... to dla nas nic wielkiego.

- Mogłoby się tak wydawać – mruknął Felice.

Na zewnątrz coraz bardziej zniżały się burzowe chmury. Cały pokój był naelektryzowany i miałam gęsią skórkę. Doskonale zdawałam sobie sprawę z pilności sytuacji.

- To niedorzeczne – zawołała Elena. Podniosła ręce, gestykulując nad głowami wokół niej. – To rodzina człowieka, który zabił twojego ojca, Valentino. Zdecydowanie nie zasługują na Azyl.

Mężczyzna z nastroszonymi białymi włosami i twarzą naznaczoną zmarszczkami pacnął dłonią w stół.

- Nie karzemy niewinnych – powiedział starym głosem. – Eleno, pozwalasz, żeby twoje uczucia osobiste zawładnęły nad obowiązkiem ochrony. Taki jest cel Falconów.

- Nie mamy takiego celu od dłuższego czasu, Tommaso – odparła twardo.

Przyglądałam się Valentino. On i Felice pochylali ku sobie głowy. Poruszał prędko ustami i co jakiś czas Felice wytrzeszczał oczy. Przeszył mnie wzrokiem i miałam wrażenie, że mam celownik na czole. Luca siedział w odosobnieniu od ich małej narady i zaciskał usta, kiedy jego bliźniak zwracał ciało w stronę Felicego, kontynuując ich cichą rozmowę.

Dom zabrał głos po drugiej stronie stołu.

- Odeślijmy ją Donacie. Mamy wszystkie potrzebne informacje. To co teraz robi Sophie nie powinno już nas obchodzić.

- Dokładnie – przytaknęła poirytowanym tonem Elena. – Przynajmniej jedno z moich dzieci myśli logicznie.

Nie potrafiłam rozgryźć wyrazu twarzy Felicego, ale to nie było nic wesołego. Wpatrywał się we mnie tak mocno, iż czułam pod skórą płomienie. Uniosłam brodę, nie zamierzając złamać się pod jego staraniami, żeby mnie zastraszyć.

Ktoś walnął pięścią o stół i wróciłam do rozmowy. Przewróciła się szklanka wody Gino i wylała mu na kolana. Luca wstał, podpierając dłonie na stole.

- Zawdzięczam Sophie Gracewell moje życie. Czy to naprawdę *nic*, matko? *Con tutto il rispetto, si sbaglia*.

- To nie usprawiedliwia jej więzów krwi! – zawołał ktoś inny, jego głos dołączył do gromady innych. – Dopiero pochowaliśmy Calvino. Czy możemy tak szybko zapomnieć gdzie i jak poniósł śmierć? Czy możemy tak szybko zapomnieć o jego śmierci z rąk Jacka Gracewella?

- Dziewczyna jest tylko nastolatką. *Una innocente* – powiedział Paulie i moje serce urosło z wdzięczności. – Musimy wierzyć, że jest tutaj by nam pomóc. Przyniosła wiadomości o spisku Donaty.

- Niepewne wiadomości – odezwał się młody mężczyzna z ogoloną głową i ostrym nosem. Bawił się złotym łańcuszkiem na szyi. – Kto wie czy nie zostały wymyślone, żebyśmy przeszli na jej stronę?

- Donata ma Sophie na celowniku – powiedział Luca. – Nie wiemy, do czego zamierza ją wykorzystać. Nie wiemy czy zamierza ją zabić.

Cóż, może i nie potrafił na mnie spojrzeć po tym, co wydarzyło się na górze, ale przynajmniej o mnie walczył. Westchnęłam cicho z ulgą. Słowo zastępcy bossa Falconów będzie miało wielką wagę w tym pomieszczeniu.

- Donata nie będzie miała czasu, żeby kogokolwiek wykorzystać – rzekł Gino. – Bo zabijemy tę sukę Marino i powiesimy jej głowę nad kominkiem.

- *Dio* – wymamrotała staruszka naprzeciwko mnie. – Czy tym właśnie się staliśmy?

- Gino – powiedziała ostrzegawczo Elena. – Licz się ze słowami.

Opuścił gwałtownie głowę, zakładając ramiona w dziecięcym fochu.

- Nie narzekałaś, kiedy Nico wrzucił Sarę do jeziora z całym tym *cazzate* na jej skórze.

Poczułam nagły przypływ mdłości. To był *Nico*. Nico wrzucił Sarę Marino do jeziora. *On* wyrył te słowa na jej ciele. Zakryłam usta i skupiłam się na tym, żeby nie wymiotować. Przyszłam tutaj z własnej woli. Wiedziałam, że możliwe będzie, iż odkryję okropniejsze prawdy. To był *ich* świat. Ale to... nigdy nie spodziewałabym się *tego*.

Spojrzałam na Nico. Wrzeszczał na brata, jego oczy błyszczały furją, dyszał ciężko. Nikt wokoło stołu nie wyglądał na choćby odrobinę zaskoczonego. Boże. Kim był ten chłopak? To było już o wiele większe od niego i mnie. Tu nie chodziło o jego serce – tylko o duszę. Może natarczywy głos w mojej głowie miał rację, może jego nie da się już uratować. Może nikogo z nich nie da się już uratować. Poczułam w sobie niespodziewany, miazdzący smutek. Musiałam wykorzystać całą energię, żeby pozostać na nogach, żeby trzymać buzię na kłódkę.

- Spokój – powiedział Valentino, gestykulując do Nico, który nadal krzyczał na Gino po włosku. – Nico wykonywał bezpośredni rozkaz. Gino, odbiegasz od tematu spotkania.

Oczywiście Valentino rozkazał wyrzucie słów i pochówek w wodzie. A mimo to przewodniczył zebraniem niczym anioł: czysty, piękny... zabójczy. On naprawdę był najgorszym z nich. Władca marionetek: tylko głowa i brak serca.

Głos Luki wzniósł się ponad narastające zamieszanie.

- Mamy przewagę dzięki Sophie. Myślę, że najlepiej byłoby usunąć ją razem z matką z Cedar Hill.

- Ukryjemy je – wtrącił Nico. – I damy jej ojcu ochronę w więzieniu przed Franco Marino.

- Jej ojcu? – wrzasnęła Elena. – Czyś ty zwariował, Nicoli? Co za *nonsens*.

- Chcemy Jacka – powiedział Paulie.

Elena odsunęła krzesło z głośnym piskiem. Teraz i ona stała, nachylając się nad stołem.

- Kim jesteśmy, żeby ufać Gracewellom po tym wszystkim, co uczynili? Kim jesteśmy, żeby ufać słowom, które powiedziała jej moja własna siostra? Donata nigdy w życiu nie powiedziała niczego wprost. Wszystko z nią związane jest sztuczką.

- Sophie to nie Donata – odparł spokojnie Paulie.

- Przemawia za nią. – Elena podwinęła wargę. – Czy tak łatwo zapominasz swoich braci, Paulie?

Paulie uderzył rękami o stół, ale jego głos pozostał pozornie ostrożny.

- Nie wykorzystuj przeciwko mnie moich braci, Eleno. Jestem doskonale świadom tego, co utraciliśmy.

Staruszek z dłońmi oznaczonymi starczymi plamami i wielkim kartoflanym nosem uderzał w swoją szklankę końcem scyzoryka.

- *Silenzio!* – zawołał ciężkim akcentem. - *Calmatevi, tutti voi.*

Valentino podniósł ręce i nastała cisza. Elena i Luca usiedli.

- Ignacio – powiedział Valentino. – Możesz zabrać głos.

Starszy mężczyzna pochylił wdzięcznie głowę, po czym wyprostował się i spojrzał na każdego Falcone po kolei.

- Kiedy mój brat Gianluca jeszcze żył, nie pozwalał, żeby Rady zeszły do takiego chaosu. Musimy podjąć jednoznaczną decyzję. Los bezpieczeństwa tej dziewczyny,

kimkolwiek by była, został powierzony tej rodzinie. Jaki sens w sprzecznym się jak *bambini*? Niech ktoś przemówi w imieniu jej zalet, a wtedy postanowimy jak dorośli. Nie będę znosić tego dziecinnego bałaganu.

- Mądre słowa – orzekł Tommaso. – Sophie Gracewell pragnie sprzymierzyć się z tą rodziną i uzyskać Azyl. Kto za nią przemówi?

Valentino poruszył się w wózku, wyciągnął kopertę i podał Felicemu. Felice zajrzał do środka, nie wyciągając kartki. Spojrzał na Valentino z ponurym wyrazem twarzy.

Wstał Nico. Stał prosto, składając przed sobą ręce i górował nad resztą Falconów niczym pełniący straż żołnierz.

- Przemówię w jej imieniu, ponieważ znam ją najlepiej.

- I zabawiasz się z nią! – krzyknął Dom, wybuchając rechotem. Gino zatrzęsął się od dziecinnej chichoty i poczułam jak czerwienieje mi twarz.

- *Vaffanculo!* – syknął Luca. – Miejże szacunek!

- Niech zapanuje prawda – odparował szyderczo Dom. – Chce zrobić z niej swoją *comare!*

Nie wiem, co znaczyło *comare*, ale sądząc po wściekłej minie Nico miało być to obraźliwe. Miałam obezwładniającą ochotę rzucić się przez stół i zdzielić Doma po skretyniałej gębie.

- *Smettila!* – powiedział Nico. – Albo przyjdę do ciebie i wsadzę ci pięść do gardła.

- Mów! – rozkazał Ignacio. Zasznurował usta i jego twarz była taka poważna, że poczułam dreszcz strachu wzdłuż kręgosłupa.

Valentino wskazał w stronę Nico, robiąc ręką kółko.

- Kontynuuj – powiedział beznamiętnie. Znów na mnie patrzył. Niemal widziałam obracające się trybiki w jego głowie. Wbiłam wzrok w ręce. Jeśli zamierzał to powiedzieć, to powinien to po prostu *zrobić* i przestać mnie tak męczyć.

Luca zaciskał twardo usta, wwiercając przenikliwe spojrzenie w profil Nico.

- Wiemy o ruchach Donaty, ale wciąż nie potrafimy złapać Jacka Gracewella. Być może już wcale nie wróci do Cedar Hill, kiedy Marino spełniają jego rozkazy. Jeśli chodzi o wyśledzenie go, Sophie jest naszym najlepszym narzędziem do tego. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy ją puścili, kiedy ma tyle do zaoferowania.

- I, nie zapomnij, zabawiasz się z nią! – zagwizdał Dom. Tym razem Luca zerwał się z miejsca i skoczył w jego kierunku, chwytając go za kołnierzyk i zacisnął wokół jego gardła.

- Luca – ostrzegł Valentino, ściągając brwi. – Co ty wyprawiasz?

Twarz Doma nabierała fioletowej barwy.

- *Calmati* – wycharczał. – Co ci w ogóle do tego?

- Zachowuj się jak dorosły, *idiotia di merda*. – Luca odepchnął go i wrócił na miejsce, przeklinając ostro.

- Nico, skończyłeś? – zapytał Valentino.

Nico wyglądał na niepewnego. A więc była nas dwójka. Czy mówił serio o wykorzystaniu mnie i mojej lojalności? Czy może mówił tak, bo wiedział, że chcieliby to usłyszeć? Był strasznie mglisty, posiadłość jego rodziny tak głęboko w nim zakorzeniona, że ciężko było oddzielić te dwie części jego osoby.

- Tak – powiedział, pocierając się po karku i usiadł. – Co innego można powiedzieć?

- Możemy już zagłosować? – CJ był najmłodszy w tym pomieszczeniu i wyglądał na ogromnie znudzonego. Przypuszczałam, że morderstwo Sary Marino zapewniło mu to miejsce przy stole.

- Zaczekajcie. – Luca podniósł się i przeszedł wzdłuż stołu, zatrzymując się za Pauliem i skupiając uwagę na swojej matce. – Nico nie powinien bronić sprawy Sophie, przedstawiając ją, jako broń do naszej dyspozycji. Sophie szuka tego, co dobre i sprawiedliwe na tym świecie, tak jak my. Jej lojalność nie jest rozstrzygana przez krew, ale słusność i niesłusność. Nigdy nie zdradziła tej rodziny, a kiedy czasy kwestionowały jej lojalność, stanęła u boku Falconów. Zaryzykowała życiem, żeby uratować moje. Teraz możemy jej się odwdzińczyć. To nie jest kwestia jej wykorzystania, ale naszego sumienia i czy dokonamy prawidłowej rzeczy.

W pokoju zapadła cisza. Valentino miał zamknięte oczy, coraz bardziej marszczył czoło. Nie podobały mu się te słowa; czułam to. Czułam jak nadchodzi na mnie wielka fala. Obok niego Felice patrzył ostrożnie.

- Trafnie to ująłeś, Luca – powiedział Paulie. – Naprawdę jesteś synem swojego ojca.

Elena stuknęła paznokciami o blat stołu i wszyscy zwrócili ku niej głowy.

- Trafnie czy nie, synu – powiedziała – wciąż pozostaje pytanie czy jeszcze nas zdradzi. – Jej westchnienie brzmiało irytująco jak gwizdek ostrzegawczy, który sprawił, że coś we mnie pękło.

Miałam dosyć miażdżenia mojego imienia. Poza tym milczałam tak długo, że to był chyba mój rekord światowy. Wystąpiłam naprzód, odchrząkując i zamierzając oczyścić swoje imię zanim znowu ona je zdepcze.

- Nie jestem kapusiem. Znam powagę *omerty*. Nie rozmawiałam z policją o niczym powiązanym z wami albo moim wujem. Przyszłam tutaj dzisiaj z informacjami, mając nadzieję, że dacie coś w zamian mnie i mojej matce. Nigdy nie próbowałam was zdradzić pomimo waszych czynów – które w przeszłości były dość szemrane.

- Szemrane? – burknął mężczyzna z ogoloną głową.

- Przykład: moje porwanie i usiłowanie zabójstwa.

To go zamknęło.

- Kocham moją mamę najbardziej na świecie. - Stłumiłam drżenie głosu. – Donata Marino grozi, że nas rozdzieli, jeśli nie zrobię, czego pragnie. Jack wkręcił się w rodzinę Marino. Jego wendeta wobec tej rodziny jest silniejsza niż kiedykolwiek. Idą po mnie i idą po was. Przyszłam tutaj po ochronę, ponieważ nie mogę sama się ochronić. Ale to nie czyni mnie słabą, tylko mądrą.

- Więc sugerujesz, żebyśmy zaoferowali ochronę za *nic*? – zapytała gniewnie Elena. – Uszczuplisz naszą baczność i zapasy, ponieważ zaangażowałaś się w coś, co wcale nie było twoją sprawą?

- *My* jesteśmy powodem, dla którego jest w to zaangażowana – przerwał jej Luca.

- Nie. – Słowo zostało wypowiedziane tak cicho, że niemal zatraciło się w narastającej kłótni. Ale spodziewałam się go. Czekałam – najwyraźniej jak wielu innych – aż Felice nareszcie otworzy usta.

Luca odwrócił się do niego.

- Jak to „nie”?

Felice podniósł się, jego niespodziewany wzrost przykuł uwagę wszystkich tu zebranych. Poprawił sobie krawat jedną ręką, a drugą ścisnął kopertę podaną mu przez Valentino.

- Nie jesteśmy powodem, dla którego została wciągnięta w ten świat. – Jego głos był całkowicie beznamiętny, słowa po cichu zdecydowane, kiedy przeniósł oczy na mnie i powiedział: - Sophie była częścią tego świata od samych narodzin.

Jedna po drugiej, wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

Zapanowała głucha cisza, którą przerwał Nico.

- Co?

Za nim poniosło się więcej „Co?”.

- Co? – dodałam dla lepszego efektu.

Valentino opierał się w wózku, splatając palce przed ustami.

- Sophie, dałem ci dziesięć minut. Dałem ci okazję, żebyś sama się przyznała, ale ją zmarnowałaś. Więc teraz możesz to powiedzieć – zaproponowałem z beztróską obojętnością. – Albo możesz pozwolić, żeby zrobił to Felice.

Niespodziewanie byłam bardzo świadoma, że Valentino nie mówił o Pocałunku i cokolwiek znajdowało się w tej kopercie nie było dowodem tego, co wydarzyło się z Lułą.

- Valentino... - zaczęłam, próbując nie zwracać uwagi na trzydzieści par oczu, które wypalały mi skórę. – Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Chyba zaszło jakieś nieporozumienie...

- Och, zdecydowanie, Persefona – rzekł Felice. – Dlaczego teraz go nie wyjaśnimy? Powiedz nam, *bugiarda*, w którym punkcie twojego żalosnego związku z moim bratankiem zamierzałaś mu powiedzieć, że tak naprawdę jesteś *Marino*?

Poczułam to oskarżenie jak policzek. Odskokczyłam do tyłu, mając ochotę zaśmiać się i parsknąć jednocześnie, kiedy zalało mnie niedowierzanie. Otworzyłam szeroko usta, kiedy szukałam jakiejś odpowiedzi. Ciężko było znaleźć właściwe słowa na trafne określenie szaleństwa Felicego. To było najgorsze oczernianie.

- Przestań – wydusiłam tylko. – Po prostu przestań.

Cisza zaskwierczała, kiedy Felice nachylił się do mnie przez stół.

- Tak *myślałem*, że skądś znam te oczy. – Pokazał na mnie palcem i niejasno zauważyłam, że wszyscy inni również się pochylili. – To są oczy Vincenza Marino. Te same oczy, w które patrzyłem, kiedy pociągnąłem za spust i roztrzaskałem mu czaszkę.

Nastąpiło zbiorowe nabranie powietrza.

Prawie się uśmiechnęłam. Jego plan był taki głupi, taki *dziwaczny*, że nigdy nie zadziała. Nigdy mnie tak nie zdyskredytuje. Wywróciłam oczami – *obciążającymi* oczami – żeby wszyscy zobaczyli, jakiego mieli idiotę za *consigliere*.

- Co to ma być, Felice? – zapytała Elena. – Co ty mówisz?

- Sama mówiłaś to wiele razy, Eleno. W tej dziewczynie jest coś *nie tak*. Zobaczyłaś to tamtej nocy w szpitalu.

Elena podniosła się nieznacznie, czepiając się absurdalnej diatryby Felicego.

- Tak... ale coś takiego...

Felice spiorunował mnie wzrokiem.

- Zapytam cię tylko raz. Jesteś czy nie jesteś wnuczką Don Vincenza Marino?

- Wiesz, że nie jestem – wydusiłam przez zaciśnięte zęby. – Nie pleć bzdur. Wiesz, kim jest mój ojciec.

- Teraz wiem – huknął, a nagły wzrost jego głosu troszeczkę mną wstrząsnął. – Chociaż zajęło mi to o wiele dłużej niż mi się podoba nareszcie odnalazłem zaginionych Marino.

Rzuciłam się w jego stronę, pochylając nad stołem, kiedy moje płuca płonęły wszystkimi wyzwiskami, którymi chciałam go obrzucić.

- Jesteś chory – wysyczałam. – Wymyślać kłamstwa po tym, jak przyniosłam ci prawdziwe informacje, które pomogą twojej rodzinie. To podłe, nawet dla ciebie.

Wzniosły się szepty – sceptyczne, pełne wahania, kiedy każdy obracał głową pomiędzy mną i Felice.

- Początkowo to nie miało sensu – ciągnął Felice, zwracając się teraz do swojej rodziny, a mnie pozostawiając na obrzeżach swej uwagi. Wyprostowałam się, biorąc się w garść. Nie zwariuję. Nie zniżę się do jego poziomu. – Z jakiego innego powodu Donata Marino przyjęłaby do siebie Jacka Gracewella? Od dawna wiemy, jaka prywatna jest rodzina Marino. Ich oddanie nie ma sensu. Jej zainteresowanie tą dziewczyną *nie ma sensu*. A jednak ostatnie, co jej powiedziała to: *Fidelitate Coniuncti!* Niewiarygodne!

- Felice – warknął Luca. – Posuwasz się za daleko.

Felice rzucał oczami na boki, szukając rozpaczliwie wsparcia. Obrócił się do Valentino.

- Powiedz im – poprosił. – Spraw, żeby zrozumieli.

Valentino zaplótł ręce na stole, jego sygnet zalśnił pod lampą.

- Nim nasz ojciec został zabity badał przeszłość Michaela Gracewella. Znalazłem dokumenty pokazujące jego rosnące zainteresowanie rodziną Gracewell, ale prawie połowa nie jest skupiona na Jacku i gangu Złotego Trójkąta. Wyglądało na to, że składał układankę i Jack był tylko jej częścią. – Przejechał językiem po zębach, rozmyślając. Wszyscy – w tym ja, pomijając absurdalność tego wszystkiego – czepiali się następnego słowa ich bossa. – Nie ma żadnego zapisu dzieci Gracewell. Michael Gracewell najpierw pojawia się, jako uczeń przedostatniej klasy liceum w Milwaukee w wieku szesnastu lat. Uczeń bez przeszłości przeniesiony z Chicago. Do tego czasu nie wiedziałem, co to znaczyło ani czego szukał mój ojciec w czasie swej śmierci. Większość z nas zapomniała o legendzie zaginionych Marino.

- Nie wszyscy – powiedział śmiertelnie cichym głosem Felice.

Valentino zignorował tę chwilę przerwy.

- Nigdy bym nie pomyślał, żeby powiązać rozeznanie ojca na temat Gracewellów z Marino, dopóki Jack Gracewell nie zwrócił się po ochronę przed nami akurat do Donaty Marino. Dopóki Donata Marino nie otworzyła swoich drzwi zwykłemu *Americano* z podupadającym interesem narkotykowym. Wtedy zacząłem się zastanawiać.

- To niedorzeczne! – zawołałam, patrząc po podobnych wyrazach niedowierzenia. – Doskonale wiem skąd pochodzę. Jack i mój tata musieli przeprowadzić się w młodości do Milwaukee, żeby zamieszkać z babcią. Ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy on miał...

- Szesnaście lat – dopowiedział Felice, podnosząc się. – Wiem. Byłem przy tym. – Ułożył palec wskazujący i kciuk w pistolet, celując w moją głowę. – Ale to nie był żaden wypadek samochodowy, uwierz.

Potrząsnęłam głową. Ten koleś miał jakieś urojenia. Nie ma mowy, że pogrąży mnie w taki sposób. Nie, kiedy potrzebowałam Azylu. Nie, kiedy musiałam myśleć o mojej mamie.

- Wiesz, chłopców Vincenza nie było tam tego dnia – powiedział mi. – Zniknęli zanim dokończyłem robotę. – Pstryknął palcami. – Rozpłynęli się w powietrzu.

- Jack i mój ojciec nie są bliźniakami – zaprotestowałam.

Felice wzruszył ramionami. – Marino też nimi nie byli. Historia o bliźniakach jest lepsza, usiłuje usprawiedliwić zabójstwo mojego własnego ojca w dzień, kiedy urodzili się Luca z Valentino.

- Chwytasz się różnych sposobów – powiedziałam. – Wiesz o tym. Wszyscy to widzą. – Zaczynałam brzmieć na coraz mniej pewną, ale tylko dlatego, że on był taki przekonujący. To nie znaczyło, że miał rację, był po prostu szaleńcem.

- Albo jesteś dobrą kłamczuchą, albo durną idiotką – odparł Felice, podchodząc bliżej. Obserwowałam jego dłonie, czekając na prawdziwy pistolet, ale trzymał je tam gdzie je widziałam i podniósł do góry, pytając: - Czy wiesz, dlaczego twój ojciec zabił mojego brata? Bo ja chyba w końcu zrozumiałem.

- To był wypadek. – Odmrugałam łzy wzbierające mi się w oczach.

Felice tracił opanowanie. Drżał mu głos.

- Nie uważasz tego za *dziwne*?

- Przyszedł wtedy po Jacka – powtórzyłam to, co powiedział mi Felice tych kilka tygodni temu. – Sam tak powiedziałeś.

Felice zwrócił się do reszty.

- Czy ktoś tutaj wierzy, że zabójstwo Angelo przez Michaela Gracewella było „wypadkiem”? – Narysował w powietrzu znak cudzysłowu.

Zapanowała kamienna cisza. Nico odwrócił wzrok. Luca też nie mógł na mnie spojrzeć.

Felice obrócił się znów do mnie.

- Czy nigdy nie zadałaś sobie pytania, do czego jest tak naprawdę zdolny twój ojciec?

Nie zamierzałam mu odpowiadać, zamiast tego posłałam mu najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie było mnie stać.

- Miałem własne przypuszczenia, ale nie wiedziałem. Prawda jest taka, że mój brat nie powiedział mi, dokąd wybierał się tamtej nocy. Wiedziałem, że coś kombinuje, więc musiałem go śledzić jak *scarafaggio*! – Zaczynał się pocić. Przebijało się przez niego kłamstwo. – Twój ojciec zabił Angelo, ponieważ wiedział, kim on jest! Angelo zamierzał zrujnować twoje małe doskonałe życie.

Trzydzieści głów obróciło się w moją stronę. Czułam wkoło ogólne zdumienie – ciemne włoskie oczy powiększające się w zdziwieniu, szeroko otwarte usta. Wzdłuż stołu poniosły się szepty. Nabierali się na to. Zagłosują przeciw mnie.

- Kłamiesz! – krzyknęłam. – Przestań już!

Luca poderwał się z miejsca, żeby stanąć pomiędzy Felice i mną.

- Skończ z tym, Felice – ostrzegł. – To co robisz nie jest w porządku.

- Luca. – Cichy głos Valentino położył kres zamieszaniu. Niezwykłe; ilekroć zabierał głos całe pomieszczenie czepiało się każdego jego słowa. Luca odsunął się od Felicego i stanął przy ramieniu bliźniaka.

- Pokaż im zdjęcie – powiedział Valentino do Felicego.

- Z przyjemnością. – Felice nie odrywał ode mnie oczu.

Wysunął kartkę z trzymanej koperty i przesunął po stole. Zrobiłam niepewny krok do przodu, patrząc na nią ponad głową Gino. Wszyscy wychylaliśmy się, żeby zobaczyć, co to takiego.

- Dane biometryczne Stateville – oświadczył Felice tym, którzy nie widzieli. – Sporządzają tam protokół znaków identyfikacyjnych swoich więźniów. Valentino pociągnął za kilka sznurków. Pół godziny temu dostał tego maila.

Słowa Felicego bzycały gdzieś z tyłu mojej głowy. Byłam zbyt pochłonięta wpatrywaniem się w zdjęcie mojego ojca. Było podobne do zdjęcia policyjnego, ale w tym miał ściągniętą koszulkę i były trzy fotografie; na jednym stał bokiem, koniczynka na jego ramieniu była mała i niewyraźna. Powiedział mi, że zrobił ją sobie z kolegą na

osiemnastych urodzinach – taka ostrzegawcza pijacka opowieść. Na plecach nic nie miał, ale na zdjęciu przodu tuż nad sercem widniał herb z czarnym odciskiem dłoni wewnątrz. A pod nim słowa *Fidelitate Coniuncti*.

Ostatnie słowa Donaty do mnie.

- Jednoczy nas lojalność – przetłumaczył Valentino. Nie był w pobliżu zdjęcia, ale byłam przekonana, że napatrzył się na nie wystarczająco. – Rodzinna dewiza Marino.

- To – Felice wytknął palcem wskazującym tatuaż – jest herb Marino. Od samego powstania *Cosa Nostra* każdy Marino tatuuje sobie ten herb. Wielu z nas tu obecnych widziało go osobiście na ich zwłokach. – Wciągnął oddech podekscytowany. – Mądry chłopiec go zakrywał. Ale *tego* się nie pozbędzie. – Przesunął palec i przycisnął do niewyraźnych, pozbawionych życia oczu mojego ojca. – *To* są oczy Dona Vincenza Marino. – Podniósł głowę i jego palec znalazł się kilka centymetrów od mojej twarzy. – Tak jak i te.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ŻYCIE

Odsunęłam się od stołu. Trudno było mi zachować spokój, przychodziło mi to jeszcze trudniej niż wiara w słowa Felicego. Widziałam ten herb tysiąc razy – w upalne dni, kiedy ojciec pracował w ogrodzie, kiedy wychodził rano spod prysznic. Opowiadał, że on i Jack zrobili sobie taki sam tatuaż, kiedy byli nastolatkami... żeby pamiętać o sobie nieważne gdzie wylądują na świecie. Żeby nigdy nie zapomnieć skąd pochodzą.

Żeby nigdy nie zapomnieć skąd pochodzą.

W pokoju panowała śmiertelna cisza. Wycofałam się chwiejnie, przycisnęłam się do ściany i poczułam jej chłód przez materiał podkoszulka. Zaraz zemdleję. Zaraz zostanę zamordowana.

Felice skorzystał z przenikliwego milczenia.

- Jeżeli przyjrzeć się tej dokumentacji, porównanej z rozeznaniem Angelo, zobaczycie, że spisana w więzieniu data urodzenia Michaela Gracewella idealnie pasuje do naszego drogiego Vince'a Marino Juniora, chłopca, który zniknął mi tyle lat temu. Zaginieni Marino może nie istnieją już w świetle prawnym, ale nadal żyją tuż pod naszymi nosami. I mogę postawić na moje własne ciało, że ich bliskość naszej rodziny nie jest żadnym zbiegiem okoliczności. Wpakowałam kulki w ich rodziców, więc mały Vince Marino wpakował kulkę w Angelo, a Antony dźgnął pięć razy nożem Calvino w Edenie. Przez cały czas ciekawiło nas, co Gracewell zaoferował Donacie. Chodziło tylko o jego prawdziwą tożsamość. Marino zawsze trzymają ze swoimi.

Po tym siedzący Falconowie zaczęli szeptać gorączkowo między sobą. Wszystko się zmieniało. Felice wygrywał. Narastał chaos. Utonę w nim.

- Nie – upierałam się, potrząsając mocno głową. – Nie, to nieprawda. To nie może być prawda.

- Kłamczucha! – Elena wstała gwałtownie od stołu. – Przyłapaliśmy cię. Przyznaj się! Przyznaj, że twoim ojcem jest Vince Marino. Przyznaj, że twoim wujem jest Antony Marino. – Pokazała na mnie palcem. – Przyznaj, że ty, Sophie Marino, jesteś wstrętą krętaczką.

- Nie jestem krętaczką! – krzyknęłam. – Nic o tym nie wiem!

Napierały na mnie ciemne spojrzenia. Czekali aż coś powiem, aż usprawiedliwię szaleństwo wejścia do ich domu i oczekiwania, że przeżyję.

Nigdy nie uwierzą w moją niewinność. Już nie. Jak mogłam nie wiedzieć gdzie mam korzenie? Jak mogłam nie wiedzieć, kim jestem?

Jak mogłam nie wiedzieć?

Jak mogli mi nie powiedzieć?

- To nieprawda – powiedziałam słabo, słysząc we własnych słowach powątpienie. – To nie może być prawda.

Luca odwrócił się do swojego brata.

- Valentino? – przemówił cicho. Jego wyraz twarzy krzychał niespodziewaną bezbronnością. Na jej widok chciałam walnąć głową w ścianę. – Czy to prawda?

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Valentino przytaknął.

- *È la verità.*

Luca obrócił się powoli. Znów miał zamkniętą twarz. Wszedł w tryb dowódcy. Zwrócił się do mnie zwyczajnie, jak gdyby pytał o mój wiek.

- Czy jesteś Marino?

- Ja...

- Słyszałeś Valentino – odezwał się Nico, który w ostatniej minucie zrobił się strasznie rozczochrany. Wbił wzrok w sufit, trzymając ręce we włosach. – Jest pieprzoną Marino.

Wycofałam się w kierunku drzwi.

- A więc się zgadzamy? – zawołał Felice nad wzrastającym wzburzeniem. – Mogę ją zabić?

- Nie! – powiedział Luca, wyciągając do niego ramiona. – Nie trać głowy, Felice.

- Niech wszyscy zamilkną i nie ruszają się! – polecił Valentino i znów zapadła cisza. – Musimy podjąć decyzję.

„*Uciekaj*” powiedział głos w mojej głowie. „*Uciekaj i nie zatrzymuj się. Nie zatrzymuj się, nawet jeśli postrzelą cię w nogi*”.

- Nicoli. – Głos Felicego był równie przenikliwy, co dzwon. – Niech Nicoli zadecyduje o jej losie.

- Felice – ostrzegł Valentino. – To nie jest zabawa.

Felice wyciągnął pistolet i zamachał nim nad głową.

- Pragnę wiedzieć, co jest silniejsze – oświadczył wszystkim zgromadzonym. – Lojalność czy miłość. – Wycelował w moją głowę i odbezpieczył spust. – Pragnę, żeby Nicoli powiedział mi, co mam zrobić z Marino w naszym gronie.

- *Basta* – warknął Luca.

- Felice – powiedział Paulie.

Valentino nie rzekł nic, więc Felice nie opuścił broni.

Nico zrobił krok w moim kierunku, ale nie zagradzał drogi Felicemu. Przechylił głowę z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Może zostać, jeśli się wykaże. Musi zabić Marino. Wykorzystamy jej związek z nimi.

Luca stanął obok Nico, dwóch braci stojących ramię w ramię, obaj patrzyli na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widzieli.

Może nie widzieli.

- Uciekaj – nakazał bezgłośnie Luca. – Już.

Wykorzystałam ich prowizoryczną tarczę – czy zamierzali taką stworzyć, czy nie – otworzyłam drzwi i uciekłam tak szybko, jak mogłam. Nie obróciłam się, żeby zobaczyć czy mnie gonią ani żeby posłuchać krzyków i piszczących krzesel. Biegłam i biegłam, aż paliło mnie w piersi i drżały mi nogi, a potem wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam po Millie.

Kręciło mi się w głowie, kiedy gnałam. To nie mogła być prawda. Los nie mógłby być aż tak okrutny. Moi rodzice nie mogliby być tacy fałszywi, żeby trzymać przede mną coś takiego w tajemnicy. Taki sekret był zbyt wielki. Zbyt niemożliwy.

A jednak wciąż powracał do mnie ten tatuaż. Spod kurzu wyłoniły się dawne zapomniane sprzeczki – wszystkie razy, kiedy rodzice myśleli, że spałam, wszystkie razy, kiedy ojciec oglądał się przez ramię albo stał przy oknach w domu, wpatrując się w ciemność. Szarpiące poczucie, że coś nie pasowało w tym, co uczynił Angelo Falconowi. Czający się w jego oczach niepokój, gdy siedział w więzieniu, wrażenie, że zbliża się coś większego, a on nie może tego powstrzymać. Przesuwały się wokół mnie kawałki układanki... i jakimś cudem niemożliwość tej sytuacji nie była wcale taka wielka.

Właśnie uszłam z życiem, ale wiedziałam, że jak Donata zorientuje się, co narobiłam, to tak czy siak je stracę. Jeżeli lojalność miała nas jednoczyć, to byłam najgorszą Marino w historii, ponieważ w jedno popołudnie całkowicie ją rozwiązałam i położyłam plany odwetu Donaty na Falconach na ich progu. Utknęłam pomiędzy dwiema morderczymi rodzinami mafijnymi i w ciągu jednej doby zrobiłam sobie wrogów z obu.

Millie podjechała, kiedy znajdowałam się niecały kilometr za domem Felicego zmuszając się do biegu główną drogą, ale trzymając się blisko gąszcza drzew na

wypadek, gdyby przejechał obok jakiś SUV i dostałabym kulkę w łeb. Wskoczyłam do jej auta i zgięłam się w pół, zakrywając ręką głowę. Płakałam i krztusiłam się jednocześnie.

- Co się stało? – zapytała Millie. – Co się tam stało, do cholery?

- Proszę cię, jedź – błagałam. – Muszę wrócić do domu.

Wcisnęła pedał gazu i po jakiejś minucie usiadłam prosto, wpatrując się w ciemniejące niebo. Było później niż myślałam. Czekala aż coś powiem.

Można było powiedzieć tylko jedno.

Podsumowałam wszystko w głowie. Tatuaz. Zainteresowanie Marino Jackiem, mną. Dołączki Sary. Poczucie pokrewieństwa z nią. Tamtej nocy w Edenie Donata zawołała Antony'ego. Stał już za nią, próbując wkręcić mnie w ich rodzinę, w ich interesy. Był moim jedynym wujkiem, a ja go w ogóle nie znałam.

Zmieniało się wszystko, co było mi znane.

Istniał tylko jeden sposób, żebym wiedziała na pewno. Tylko jedna osoba wyzna mi prawdę. Była w domu, pakowała nasze życia, żeby nie musiały stawiać im czoła.

- Millie. – Odetchnęłam drżąco. – Myślę, że jestem Marino.

- *Że co?*

- Myślę, że mój tata tak naprawdę nazywa się Vince. Myślę, że on i Jack to zaginieni Marino. – Zaczęłam hiperwentylować, zaciskałam ręce na gardle, próbując wziąć się w garść. – Powiedz coś – poprosiłam. Musiałam się tego pozbyć. Potrzebowałam normalnego życia. Musiałam się uspokoić. – Powiedz cokolwiek.

- Chwila – sapnęła Mil. – Chwila, chwila, chwila, zaczekaj. Czy to znaczy, że ty i Nico jesteście jakoś... spokrewnieni? Czy wy... przez cały ten czas uprawialiście kazirodztwo?

Okej. Cokolwiek tylko nie to.

- *Fuj. Boże. Nie.* – Zatoczyłam się do tyłu, obrzydzenie walczyło z narastającą paniką.

- Dobrze, wybaczone, mój błąd – powiedziała, unosząc uspokajająco dłoń. – Na swoją obronę powiem, że te mafijne drzewa genealogiczne są niewiarygodnie skomplikowane, a ja przejmuję się tylko seksownymi członkami.

- Nie jestem spokrewniona z Donatą – powiedziałam, zdając sobie sprawę z tej małej łaski. – Wżeniła się w rodzinę.

- Ale czy ona nie jest teraz, tak jakby, bossem Marino? – Millie zagwizdała nisko. – Cholera, babka jest ambitna.

- Mil – jęknęłam, wsadzając głowę pomiędzy kolana i zacisnęłam powieki. – Całe moje życie obróciło się dosłownie do góry nogami i naprawdę potrzebuję, żebyś pogadała o czymś innym. Czymkolwiek innym. Proszę, odwróć moją uwagę. Musisz to zatrzymać.

- Okej. – Usłyszałam jak wzięła głęboki wdech i po chwili zastanowienia powiedziała: - Słyszałaś o takim ptaku maskonur, zwanym inaczej fraterculą?

CZEŚĆ IV

„Niebezpieczna jest prawda wyznana przed swym czasem.”

Greckie powiedzenie



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

KLUCZ

Wpadłam do domu, trochę oczekując, że matka będzie mnie wyczekiwać. Siedziała w salonie z kubkiem w jednej ręce i komórką w drugiej.

- Jesteś wreszcie! – Poderwała się z miejsca, rozlewając sobie herbatę na bluzkę. – Dzwoniłam do ciebie. Mówiłaś, że nie będzie cię tylko parę godzin, Sophie. Martwiłam się.

Zabulgotała we mnie wściekłość. Wzięłam głęboki, uspokajający oddech.

- Czy jestem Marino?

Kubek rozbił się u moich stóp. Fragmenty szkła nacięły mi kostkę, przelewając krew. Odwróciłam się od niej i pomaszerowałam na górę.

- Kochanie – wydukała, idąc za mną. – Poczekaj.

- Okłamaliście mnie! – krzyknęłam przez ramię. – Okłamywaliście mnie całe życie!

Wparowałam do jej pokoju i przeciągnęłam krzesło jej toaletki pod szafę.

- Co robisz? – zapytała niespokojnie, stając w progu.

Wspięłam się na krzesło i zaczęłam odrzucać stare ciuchy ojca, przeszukując jego stronę szafy. Szukałam do połowy zapomnianego wspomnienia z dzieciństwa. Raz znalezione pudełko, kiedy próbowałam odszukać prezenty od Świętego Mikołaja dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Natknęłam się na czarne pudło przypalone po bokach, które ojciec zaraz mi wyrwał. Pudło, które zakazał mi otwierać.

Zgadnijcie co? Teraz to cholernie pewne, że je otworzę.

- Zatrzymaj się. – Matka znalazła się obok mnie, pociągnęła mnie za ramię. – Czy możemy o tym pomówić?

Obróciłam się do niej gwałtownie, zrzucając na podłogę następną stertę koszul.

- O czym chcesz mówić? O tym, że tata jest jednym z zaginionych Marino? O tym, że w rzeczywistości nazywa się Vince? O tym, że od samego początku byliśmy częścią mafii i nikt nie pomyślał, że dobrze byłoby mi o tym powiedzieć? O tym chcesz pogadać? – wrzasnęłam. – Bo nie potrafię sobie wyobrazić, jak mi to wszystko wytłumaczysz!

Jej oczy zrobiły się wielkie na poblądłej twarzy.

- C-co?

- Ja wiem! – powiedziałam. – Wiem, kim jestem.

Zatoczyła się do tyłu, opadając ciężko na łóżko. Przegrzebywałam szafę taty, półka za półką, szukając tego pudełka.

- Nigdy nie miałaś się dowiedzieć – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. – Twój ojciec zostawił to życie dawno temu... Nie sądził, że go dogoni.

Wzięłam w pięść parę dzinsów, odwracając się do niej.

- Ale dogoniło, prawda?

Nie mogła na mnie spojrzeć.

- Jack nie oddalił się od tego świata tak bardzo, jak ojciec. Wzbudzał podejrzania. A potem... a potem Angelo Falcone zaczął ich sprawdzać i...

- On go zamordował. – Oparłam głowę na najwyższej półce, kiedy krzesło drżało pode mną. – Tata zabił go z premedytacją i ty o tym wiedziałaś!

- Sophie...

- Nie kłam! Przestań mnie okłamywać!

- Powiedział mi zanim go zabrali – przyznała. – Powiedział, że musiał to zrobić, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, Sophie. Nie mógł ryzykować, że prawda wyjdzie na jaw. Chciał, żebyś prowadziła szczęśliwe życie. Nie chciał, żebyś miała tak samo jak on. On stracił rodziców przez tamten świat.

- Wiedziałaś, że go zamordował – zawołałam. – I to ci nie przeszkadzało!

- Przeszkadza! – Poderwała się z łóżka. Opuściłam wzrok na jej twarz zalaną łzami i ujrzałam w jej oczach desperację. – Jak myślisz, dlaczego go nie odwiedzam? Dlaczego nie odpisuję na jego listy? Dlaczego nie *potrafię* już na niego patrzeć, Sophie? To mnie przeraża. Nie mogę przestać o tym myśleć. Nienawidzę tamtego świata. Nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje.

Gdzie było to przekłete pudło? Ściągnęłam ich album ślubny z górnej półki i rzuciłam na ziemię.

- Więc dlaczego za niego *wyszłaś*?

- Nie znałam jego przeszłości, kiedy brałam z nim ślub! On i Jack zostali przygarnięci przez babcię. Prawnie zmienili swoje tożsamości. Był Gracewellem, kiedy go poznałam.

- Dobrze – powiedziałam, wmuszając w siebie spokój. – Kiedy dowiedziałaś się, że był spadkobiercą morderczej rodziny przestępczej?

- Po kilku latach.

Zwalczyłam ochotę złapania jej za barki i potrząśnięcia nią.

- Więc czemu z nim zostałam, do diabła?

- Bo byłam w ciąży!

Krzesło znów zadrżało. Wyciągnęłam rękę i chwyciłam półkę, żeby odzyskać równowagę.

- Byłam zakochaną kobietą w ciąży – powiedziała. – Nie chciałam go karać za jego korzenie. Budował sobie uczciwe imię. Od lat nie widział się ze swoją rodziną. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć. Sophie – dodała tężejącym głosem – zakochałam się w człowieku, który pragnął innego losu niż tego, z którym się urodził. W człowieku życzliwym, zabawnym, lojalnym i opiekuńczym. A kiedy prawda wyszła na jaw dalej byłam w nim zakochana, ponieważ moja wiedza o tym, kim był nie zmieniła osoby, którą się stał. Kochałam go, Sophie, pomimo jego rodziny. Czy tak strasznie trudno w to uwierzyć?

Znieruchomiałam, słowa ugrzęzły mi w gardle. Zakochała się w mafiosie.

Czy tak strasznie trudno w to uwierzyć?

Nie. Łatwo było zrozumieć. Zbyt łatwo.

Wróciłam do poszukiwań.

- Miałaś powiedzieć mi to wszystko po wczorajszym wyjściu Donaty – powiedziałam. – Była przekonana, że to zrobisz.

- Wiem – przyznała.

- I tego nie zrobiłaś.

Przeczesała sobie tłuste włosy, których kosmyki zakręciły się na jej czole.

- Nie wiedziałam, co robić, Sophie. Twój ojciec kazał mi obiecać, że nigdy ci tego nie wyjawię. Że dochoвам tajemnicy do samej śmierci. Ale potem... Jack narobił sobie kłopotów i poszedł do... poszedł do Donaty, ze wszystkich ludzi, wyjawiając tajemnicę. I nagle upatrzyła sobie ciebie. Wiedziała, kim jesteś. Powiedziała, że pozwoli, abym to ja powiedziała ci prawdę. Zgodziłam się.

- Naprawdę myślałaś, że uda ci się to przede mną ukryć? – zapytałam.

- Musiałam spróbować – powiedziała łamiącym głosem. – Musiałam spróbować.

- Czego się bałaś? – zapytałam, czując minimalnie mniejszy gniew. Nietrudno było zrozumieć pozycję mojej matki. Nic dziwnego, że sobie nie radziła. Przeżuwała tak wielki sekret, że niszczył ją od środka. – Powiedzenie mi prawdy nie doprowadziłoby do końca świata.

Potrząsnęła głową.

- Nie da się czegoś pochować, jeśli wciąż to odkopujesz. Musieliśmy iść dalej, żyć dalej tym samym życiem. Bałam się, że pójdziesz do nich. Że wciągną cię do swojego świata i zobaczysz rodzinę z pieniędzmi, ochroną i wsparciem, rodzinę, której nigdy tak naprawdę nie miałaś. Jack odciął nam pieniądze, zaczęły rosnać rachunki i kiedy przyszła Donata sądziłam, że ci wszystko powie, a ty mnie opuścisz za to, że cię oszukałam.

Sięgnęłam w dół i ścisnęłam jej rękę.

- Nigdy bym cię nie opuściła!

- Chciałam zrobić to, co słuszne, *najlepsze*... - Pokręciła głową ze smutnym wyrazem twarzy. – Ale nie wiedziałam, co jest słuszne, Sophie.

- Co masz na myśli mówiąc, że Jack odciął nam pieniądze?

- Jack zarządza dochodami z restauracji – odparła. – Przestał wysyłać nam naszą część, a ty nie byłaś w stanie wrócić do pracy. Byłam zbyt przemęczona, żeby dokończyć projekty... i...

- Wróciłabym, mamo. Trzeba było powiedzieć mi szybciej.

- Twoje zdrowie jest dla mnie ważniejsze.

Stanąłam na palcach i wróciłam do poszukiwań, czując mieszankę triumfu oraz strachu, kiedy musnęłam palcami coś twardego i zakurzonego na końcu szafy. Wyciągnęłam pudełko i ostrożnie opuściłam w dół. Zeszłam z krzesła i położyłam je na łóżku.

- Kochanie... - zaczęła – sądzę, że powinniśmy to zrobić powoli...

Otworzyłam pudełko i wysypałam zawartość na pościel.

- Nie mamy czasu na „powoli”.

Przeszłość mojego ojca wyfrunęła na wierzch.

- Boże – szepnęłam, jak wyciągnęłam poźółkły akt urodzenia ze szpitala Northwestern Memorial i przeczytałam wyblakłe pismo.

Vincenzo Alessio Marino

D.U: 12 sierpień 1971

Ojciec: Vincenzo Carmine Marino

Matka: Linda Mary Harris

Przesunęłam kciukiem po dacie urodzenia ojca.

Mój ojciec, Vincenzo Marino Junior.

Przełknęłam ciężko ślinę.

W oczy rzucił mi się wycinek z gazety. Wzięłam go do ręki; artykuł był datowany na czternastego listopada 1987. Przeczytałam go próbując odseparować się od tej makabryczności, od tego jak naprawdę była mi bliska.

DWA ZGONY W PORACHUNKACH MAFIJNYCH.

KRWAWA WOJNA TOCZY SIĘ DALEJ.

Wczoraj popołudniu znaleziono ciała Vincenza Marino, mafijnego bossa rodziny przestępczej Marino oraz jego żony Lindy Harris w ich domu w Hyde Parku. Zostali postrzeleni w stylu egzekucyjnym. Ich synów, Vincenza Juniora i Antony'ego, nie było na miejscu w czasie strzelaniny.

Vincenzo Marino urodził się w Sycylii, ale przeniósł się w dzieciństwie z rodziną do Chicago. Linda Harris była mieszkanką Wisconsin pochodzenia irlandzkiego, studiowała sztukę w Nowym Jorku zanim poznała i poślubiła osławionego bossa mafii.

Jako głowa organizacji przezwanej Czarną Ręką, o Vincenzie Marino mówiono powszechnie „Żelazna Ręka” dzięki jego branży wyrobów stalowych, którą prowadził z braćmi. Podejrzuje się, że do morderstwa przyczyniła się gangsterska rywalizacja, źródło bliskie FBI wskazuje rywalizującą rodzinę przestępczą Falcone na wykonawcę podwójnego zabójstwa.

Śmierć małżeństwa Marino jest najnowsze w serii związanych z mafią zabójstw i zniknięć w ciągu ostatniego roku. Domniemane porachunki krwi zabrały życie jedenastu Falcone i szesnastu Marino od ich wybuchu. Śledztwo w toku.

Pod artykułem znajdowała się zamazana fotografia Vincenza Marino i jego żony Lindy Harris. Moi dziadkowie. Byli ubrani galowo i uśmiechali się do czegoś poza aparatem. Ona była piękna, a on wyglądał identycznie jak mój ojciec. W całym życiu widziałam tylko jedno ich zdjęcie – świąteczną fotkę, kiedy ojciec był jeszcze dzieckiem. Powiedział, że reszta zdjęć przywołuje mu zbyt wiele bolesnych wspomnień. Ale teraz były rozłożone pode mną, dziesiątki polaroidów bossa Marino i jego żony, Jacka i mojego ojca, uśmiechali się i śmiali, trzymając na głowach durne czapeczki, zdmuchując świece i robiąc wszystkie normalne rzeczy, które robią normalne szczęśliwe rodziny. To nie byli przegrani rodzice, jak wmawiano mi od małego.

- Gdzie byli tata z Jackiem? – zapytałam, przeglądając fotografie. – W artykule jest napisane, że nie było ich w domu podczas zabójstwa.

Byłam aż zanadto świadoma pochylającej się za mną matki, jej ciężki oddech wypełniał ciszę. Panikowała i starała się tego nie okazywać; ja starałam się na nią nie wrzasnąć. To był delikatny taniec.

- Ukryła ich rodzina Lindy. Przed tym wszystkim byli już w Milwaukee. Twój dziadek podejrzewał, że jest na celowniku i nie chciał ryzykować. Linda nie chciała zostawić męża.

- I przez to zginęła.

- Tak.

Zginęła przez miłość.

Przez głupotę.

- Zwracasz się do taty „Vince” czy „Michael”?

- Dla mnie zawsze był tylko Michaelem.

Zaśmiałam się niewesoło.

- Sophie...

- Po co tata wrócił do Chicago? – przerwałam jej. – Chciał zginąć czy coś?

Westchnęła. – Uczyłam się tutaj na uniwersytecie, jak się poznaliśmy. Chciałam zostać i założyć rodzinę, a kiedy dowiedziałam się już o jego przeszłości stwierdził, że jest już bezpiecznie. Falconowie nigdy nie odkryją jego tożsamości.

- Ale po co ryzykować?

- Nie wiem, kochanie. – Usiadła na łóżku, poruszając zdjęciami. Wysunęłam spod nich klucz. Był ciężki i mosiężny z grubym kółkiem na końcu, gdzie metal rozgałęział się w kilka zawijasów. – Chciał być Michaelem Gracewellem. Wierzył, że od tego uciekniemy.

- No i nie uciekliśmy – powiedziałam rozgoryczona, obracając kluczem w ręce. Wyglądał na ważny, wymyślny. Otwierał sejf w knajpie – mogłabym postawić o to własne życie. Coś się we mnie zakotłowało. Cholera, co on robił w szafie mojego ojca?

- To, że Donata ci powiedziała nie znaczy, że dowiedzą się też inne rodziny.

Podniosłam wzrok.

- Donata nic mi nie powiedziała.

Ściągnęła rysy twarzy. – Co?

Wstałam, nie wypuszczając klucza.

- Dowiedziałam się od Falconów.

Nie wiem, dlaczego upajałam się zdziwieniem na jej twarzy, dlaczego czułam się dobrze wiedząc, że ona również nie znała wszystkich tajemnic. To było małostkowe, ale tak się czułam. Głupio. Niezwiązana z własną tożsamością.

Wstała nagle. – Nie.

- Tak – powiedziałam.

- Ale jak? – Pokręciła głową.

Zmiażdżyłam klucz w pięści i zrzuciłam z łóżka resztę zdjęć. Przeszył mnie gniew, jak zobaczyłam już to wszystko, jak miałam pewność.

- Bo poszłam do nich – powiedziałam, w moich oczach zebrały się gorące łzy. – Bo myślałam, że byli naszą jedyną nadzieją! Bo myślałam, że potrzebujemy ochrony przed Marino! Poszłam do nich z myślą, że nam pomogą, a wyszłam goniona wrzaskiem „Marino” Felicego Falcone. – Zakrztusiłam się niespodziewanym szlochem.

- Nie – na wpół wykrzyknęła mama. – Nie mogą wiedzieć.

- Wszyscy wiedzą! – zawołałam. – Wszyscy wiedzą i utknęliśmy tu jak szczury czekające na wybicie albo wykorzystanie w tej idiotycznej wojnie krwi! Powinnaś była mi powiedzieć!

- Chciałam cię chronić! – Ona również krzyczała. Ogarnęła nas panika. Widziałyśmy w sobie odbicie własnego przeznaczenia – nieuniknionego i beznadziejnego. Spaliłyśmy wszystkie mosty. Wszystkie tajemnice podcięły nam skrzydła. – Wrywałam sobie włosy, myśląc o tym. Jak mogłam ryzykować powiedzeniem ci prawdy? Po tym magazynie... po tym jak byli nas tak blisko, a ty byłaś taka odważna i dobra. Falconowie już na ciebie nie patrzyli... oni byli ci *dłużni*. Myślałam, że będziemy mogły spokojnie odejść. Myślałam, że nasz sekret wciąż jest bezpieczny. Jak miałam powiedzieć mojej córeczce, że rodzina, z której pochodzi jest chora i pokręcona, po tym wszystkim, co przeszłyśmy? Jak miałam ci złamać serce w taki sposób? – Płakała mocniej ode mnie.

- Nigdy nie miałam wyboru – powiedziałam, a brutalny szloch zatrzęsął moimi ramionami. – Przez cały czas żyłam kłamstwem. Nigdy nie było dla mnie wyjścia i wszyscy o tym wiedzieliście!

- Chcieliśmy *dać* ci wyjście – zaprzeczyła. – Chciałam tego bardziej niż myślisz, kochanie.

Coś się we mnie przesunęło, kiedy wypłynęły na wierzch zapomniane słowa Nico, które oploty się wokół mnie. Niespodziewanie świat całkowicie pociemniał.

- Jestem związana krwią, mammo. – Mój głos stał się śmiertelnie cichy. – Nie *istnieje* żadne wyjście.

- Och, Sophie. – Przejechała dłońmi po twarzy. – Czy wiesz, że jesteś dla mnie najważniejszą osobą na całym tym świecie? Kocham cię.

- Wiem – powiedziałam pokonana. – Wiem o tym. Też cię kocham.

Osunęłam się na podłogę, a ona ze mną. Klucz opadł na dywan pomiędzy nami.

- Próbowałam cię chronić – powiedziała, ściskając moją rękę.

- A ja próbowałam chronić ciebie – odparłam. – I teraz mamy przerąbane.

Otarła policzki wierzchem dłoni.

- Nie. – Wstała, ciągnąc mnie za sobą. – Wyjeżdżamy. Musimy. Wyjedziemy dziś w nocy.

- Znajdą nas, mammo. Z tego życia nie ma wyjścia. Nie rozumiesz? Jack trzyma w restauracji wszystkie pieniądze. Ma wszystkie zasoby na świecie. – Podniosłam klucz i machnęłam między nami. – Ma swój przeklęty sejf w *naszej restauracji*. Donata nas obserwuje. Tak samo jak ty, nie mam pojęcia, co zamierzają Falconowie, ale wiem, że nie mamy wystarczająco, żeby im uciec. Nie uda nam się ukryć. Miałam wybrać i wybrałam źle.

W uszach zadzwoniły mi słowa Nico. *Jest pieprzoną Marino*.

Wyraz twarzy Luki.

Mama zabrała mi klucz.

- No to chodźmy po te zasoby – powiedziała narastającym głosem. – Jeśli zamierzają traktować nas, jak Marino to tak się zachowujmy.

Zmierzyłam wzrokiem klucz. – Nie ma mowy.

- To jedyny sposób – odparła.

- Nie możemy zabrać ich kasy! – syknęłam. – Oszalałaś?

- Tak! Oszalałam z troski i to jedyna droga wyjścia. Weźmy pieniądze i uzyskamy konieczną przewagę.

Potrząsnęłam głową.

- Tata nigdy by nie...

- Twojego ojca tutaj nie ma!

Skupiłyśmy się wokół tego klucza, wymieniając wszystkie możliwości, jak źle może potoczyć się ten wieczór. Świat przestępczy toczył się wokół nas. Musiałyśmy uciekać. Jedz albo zostaniesz zjedzony.

- To zbyt niebezpieczne – szepnęłam. – Falconowie pilnują restauracji. Zabiją nas.

- Nie zabiją. Nie będą nas podejrzewać. Szukają Jacka, pamiętasz?

- Nie widziałas ich. – Pomyślałam o trwodze w oczach Nico. O chwili, kiedy spojrzał na mnie, jakbym go zdradziła. – Nie wiesz, do czego są zdolni.

- Znam stawkę, Sophie. - Wsadziła klucz do swojej kieszeni. – Mamy mało czasu. Donata myśli, że jesteś po jej stronie, pamiętasz? Mówiła, że przyjdzie tu najpierw, żeby cię wprowadzić. A jeszcze jej nie było. „Wkrótce” to nie dzisiaj.

- No to ja pójdę. Ty będziesz stać na czatach, a ja wejść do środka.

Pokręciła głową. – Nie jesteś złodziejką, Sophie.

- Ty też nie!

- To moje zadanie. Mam cię ochraniać. Mam zapewnić ci bezpieczeństwo.

Przypomniałam sobie nagle Sarę Marino, która próbowała rozdrapać sobie ręce w Edenie.

„Mamy w sobie taką krew”.

- Nie. Jestem Marino, pamiętasz?

Zacisnęła mocno powieki.

- Nie pójdziesz tam, Sophie.

- Dobrze – fuknęłam. – Więc ty też nie pójdziesz.

- Kochanie...

- To zbyt niebezpieczne. Wsiądźmy do auta i wyjedźmy. Zostawmy pieniądze tam gdzie są. Znajdziemy inny sposób.

Nastąpiła ciężka cisza. Przygryzała wargę w zamyśleniu. A potem w końcu opuściła ramiona i powiedziała:

- Spakuj torbę. Porozmawiamy o tym w samochodzie.

Zostawiłam odłamki przeszłości mojego ojca, rozbity sekret, który przede mną ukrywał i poszłam do mojego pokoju, żeby spakować całe życie do walizki.

Wyciągałam spod łóżka parę krótkich spodenek, kiedy trzasnęły drzwi wejściowe. Moje serce również trzasnęło.

Moja matka wycofywała właśnie z podjazdu, kiedy zbiegłam na dół. Odjechała ode mnie, zostawiając mnie wrzeszczącą na tył auta, jak spadły pierwsze krople deszczu zwiastujące burzę.

Zamierzała obrobić sejf.

Oni ją zabijają.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

SEJF

Nie przejmowałam się deszczem na policzkach ani wiatrem targającym moimi włosami, kiedy pędziłam przez ciemność. Nie myślałam o błyskawicach rozjaśniających niebo ani nie słyszałam dudniących grzmotów. Mijałam domy jak we mgle, drzewa przemijały w plamach zieleni pod światłem latarni.

Zignorowałam przytłaczającą potrzebę zatrzymania się, zgięcia w pól i zwymiotowania. Nogi drżały mi jak galareta, jak pchałam się w kierunku restauracji, w kierunku mojej matki. Biegłam szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, każdy krok pulsował w moich żebrach, wybudzając stare urazy.

Wpadłam na parking. Samochód mamy stał zaparkowany w najdalszym rogu tam gdzie nie padało światło latarni. To nie była doskonała kryjówka, ale przynajmniej go schowała. Nie było nigdzie widać Falconów, ale nie byłam na tyle głupia, żeby nie myśleć, że gdzieś ich tutaj nie było, jeśli nie znajdowali się już wewnątrz „U Gracewellów”. Jeśli nauczyłam się czegoś w ciągu ostatnich kilku tygodni to żeby spodziewać się niespodziewanego.

I nikomu nie ufać.

Pobiegłam do restauracji świadoma, że ktoś może mnie obserwować. Otworzyłam drzwi wejściowe pod dachem, jęcząc na fakt, że nie były zamknięte. Zatrzasnęłam je za sobą na zasuwę i podążyłam za dźwiękiem gorączkowego szelestu w kuchni. Mama wyrzucała z szafek garnki i patelnie.

- Kazałam ci nie przyjeżdżać!

Podniosła gwałtownie głowę. Miała dzikie spojrzenie, wciąż drapała w drewniane panele.

- Gdzie ten przeklęty sejf?

Co w nią wstąpiło, do diaska?

- Nie – powiedziałam. – Nie ma mowy. Nie zabierzemy ich pieniędzy. Musimy stąd uciekać.

- Sophie, *pomyśl* przez chwilę – nalegała mama. – Zapędzili nas w ślepią uliczkę. Sama powiedziałaś, że jesteś związana krwią. Obie wiemy, co to znaczy. Tak czy siak będą cię ścigać. W ten sposób będziemy miały chociaż spore szanse.

Rozejrzałam się po kuchni. Panowała tutaj mroczna cisza, odgłosy naszych oddechów mieszały się z kapiącym kranem. Słyszałam własne bicie serca.

- Nie możemy, mamó. Zabiją nas. Zabiją ciebie. – Ta myśl wezbrała się za moimi oczami i zawibrowała mi w gardle. – Nie mogę stracić również ciebie.

- Nie złapią nas. – Pokazała na salę restauracyjną. – Nie ma ich tutaj, kochanie.
Rozejrzyj się.

- Falconowie...

- Nie zależy im na pieniądzach.

Zawahałam się. Wiedziałam, że to prawda. Mieli więcej kasy niż im było potrzebne. Im chodziło tylko o Jacka.

- Gdzie jest sejf? – zapytała błagająco mama. Dyszała i poczułam jak atmosfera robi się coraz bardziej spanikowana. – Wiem, że się boisz, wiem, że to nie jest w porządku, ale tylko tak nam się uda. Jack od lat zabiera nam pieniądze. Zabieramy tylko to, co nam się należy. Zabieramy tylko tyle, żeby zniknąć. Jesteś moim dzieckiem. Jesteś całym moim światem. Nie pozwolę, żeby odebrali cię mnie.

Spojrzałam w jej załzawione niebieskie oczy, na ten drżący uśmiech i poddałam się. Nie zajedziemy daleko bez pieniędzy i obie miałyśmy tego świadomość. Już tu byliśmy i szkoda została wyrządzona.

- Musimy się pospieszyć. – Wyciągnęłam rękę. – Daj mi klucz.

Szafki rozciągały się wzdłuż tylnej ściany nad stanowiskiem przygotowawczym kończąc się tuż przed kuchennym wyjściem. Zmieściłaby się do nich cała osoba. Millie i ja często zastanawialiśmy się nad spróbowaniem, ale większość z nich była najczęściej pozamykana i Ursula zawsze się wściekała, kiedy na coś wchodziłyśmy. Prawie zwolniła Millie, jak przytapała nas na zabawie „Ziemia parzy” w kuchni.

Podciągnęłam się na kuchenkę, balansując na krawędzi blatu, kiedy otworzyłam najbardziej oddaloną szafkę i oderwałam panel, za którym znalazłam sejf. Był wielki i szeroki z grubą mosiężną dziurką na klucz.

- Rany boskie. – Mama stała pode mną. – Ogromny.

- Możesz stać na czatach, proszę?

Przekręciłam klucz trzy razy i po kuchni poniósł się donośny stukot.

Oczywiście, że ojciec wiedział o sejfie. Byłam oficjalnie niezdziwiona.

Otworzyłam ciężkie drzwiczki i przeklełam głośno. Wewnątrz czekał na mnie mniejszy metalowy sejf z grubą kolistą tarczą. Prawie walnęłam w niego głową.

- To chyba jakieś cholerne jaja!

- Co się stało? – Głos mamy zabrzmiał daleko ode mnie.

- Drugi sejf! – Trafna oda do nieustającej paranoi Jacka, nie wspominając o jego stałym statusie wielkiej irytacji w moim życiu. – Do tego potrzeba szyfru! – zawołałam. Ten durny klucz na nic się nie przyda bez szyfru. Brakowało mi dziesięciu sekund do złapania mamy i zabrania się stąd w cholerę.

Wysunęłam głowę z szafki. Mama kręciła się między kuchnią, a restauracją, wpatrując się zmrużonymi oczami w zalane deszczem okna. Jeżeli na zewnątrz czaili się Falconowie to najwyraźniej nie brali nas za zagrożenie. Nie wiedziałam czy czuć wdzięczność, czy średnią urazę.

- Spróbuj datę swoich urodzin – zawołała.

Drżącymi dłońmi wstukałam moje urodziny. Spróbowałam urodzin Jacka. Spróbowałam urodzin ojca. Spróbowałam urodzin mamy.

- Nie! – Walnęłam głową w zimny metal. – Nie, nie, nie!

Niech to szlag weźmie. Szalała we mnie panika. Trzęsły mi się palce i miałam sucho w gardle. Szyfr musiał być czymś ważnym. Jeśli zarówno Jack, jak i ojciec posiadali klucz, to musiało być to coś ich wiążącego. *Zdecydowanie. Zdecydowanie.* Jak tatuaż, który na pewno posiadali oboje.

Odsunęłam się i zapaliła się w mojej głowie mała lampka.

Data zamordowania ich rodziców.

Grzebałam w pamięci. Artykuł z gazety był datowany na czternastego listopada.

Wbiłam 111387. Nastąpiła seria głośnych trzaśnień.

- Tak – powiedziałam triumfalnie. Nacisnęłam klamkę i sejf stanął otworem. Wycofałam się troszkę, jak drzwi odskoczyły w moim kierunku. – Mam! – krzyknęłam. Mój głos poniósł się echem w metalowej skrytce, kiedy wsadziłam głowę do głębin sekretów mojego ojca i Jacka.

Wewnątrz pieniądze były poukładane w małych wieżach. Zgadywałam, że było tu co najmniej pięćset tysięcy dolarów, ale było tak wiele stosów, że mogło być dwa razy, a może nawet trzy razy więcej. Więcej kasy niż kiedykolwiek jeszcze zobaczę. Scena jak z filmu.

- Jasny gwint – mruknęłam. Zatrzymałam rękę nad stosem banknotów. Ile było w takiej jednej wieżyczce? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy? Wyrzuciłam ją na blat. Weźmiemy tylko jedną. Wmawiałam sobie, że i tak się nie skapną. Poza tym i tak byliśmy już martwe. W ten sposób nie umrzemy przynajmniej biedne.

Dobra, to może dwa stosy. Wyrzuciłam jeszcze jeden, zduszając w sobie panikę.

Odsunęłam na bok resztę pieniędzy i raz jeszcze wsunęłam głowę, próbując zignorować zapach stęchlizny. Brudny szmal śmierdział. W sejfie znajdowały się też inne przedmioty. Wpatrywałam się w nie wybałuszonymi oczami, wyciągając kartki papieru. Były tam scyzoryki. Scyzoryki Falconów z nieznanymi mi imionami. Ernesto. Alberto. Piero.

Co do cholery?

Uniosłam do światła kawałek papieru. Lista imiona zapisana ręką mojego ojca. Rozpoznałam większość. *Felice, Evelina, Ernesto, Alberto, Piero, Angelo, Paulie, Calvino, Elena, Gianluca, Valentino, Giorgino, Dominico, Nicoli*. Obok niektórych imion znajdowały się różne znaki, najciemniejszy obok Eveliny.

Na samym końcu sejfu za scyzorykami leżał pierścionek. Rubinowy pierścionek – krwisty i wciąż lśniący nawet w półmroku. Wyciągnęłam go z cienia sejfu i podsunęłam pod światło, żeby odczytać wyryte w nim słowo pomiędzy zawijasami E i F.

Sempre

Pierścionek Eveliny.

Przełknęłam zólc podchodzącą do gardła i bez namysłu wsadziłam pierścionek do kieszeni. Ugięły się pode mną nogi i zatoczyłam się do tyłu, spadłam z krzesła i uderzyłam kością biodrową o kuchenkę. Kiedy się podniosłam patrzyłam prosto na mojego wujka.

Stał w przejściu pomiędzy kuchnią, a restauracją. Moja matka leżała zwinięta u jego stóp.

- Lepiej, żebyś nie robiła tego, co myślę – powiedział spokojnie.

- Mamo! – Przebiegłam przez kuchnię i kucnęłam przy jej nieprzytomnej sylwetce. – Coś ty jej zrobił, do cholery?

Dźwięki deszczu i wiatru były tak głośne, że nie słyszałam, jak wszedł. Jeśli miała miejsca szamotanina to szybko ją zakończył, a ja byłam zbyt pochłonięta trzymaniem głowy w sejfie, żeby coś zauważyć.

Jack – *Antony* – spojrzął na mnie z góry pociemniałymi oczami.

- Chciała wrzasnąć. Nie chciałam, żeby ściągnęła na nas uwagę.

- Pozbawiłeś ją przytomności! – Spiorunowałam go wzrokiem. – Co jest z tobą nie tak? – Wciągnęłam jej bezwładne ciało do kuchni z dala od zabłoconych butów Jacka i podparłam ją o wyspę kuchenną. – Mamo? – Szturchnęłam ją lekko. – Mamo, ocknij się.

- Widzę, że znalazłaś klucz swojego ojca – mruknął Jack. – Chyba wiesz już wszystko.

- W chwili, kiedy sądziłam, że nie mogłabym być bardziej obrzydzona – syknęłam. –
Wiem o tobie wszystko, *Antony*.

- Dobrze. Najwyższa pora. – Przepchnął się obok mnie niezrażony moim użyciem jego prawdziwego imienia i wyciągnął spod blatu torbę. Podniósł stosy banknotów, które wyrzuciłam na blat i uniósł w górze. – Widzę, że postanowiłaś mnie okraść.

Wlałam w odpowiedź każdą kroplę jadu, jaki w sobie miałam.

- Jestem Marino, prawda? Czemu nie wziąć tego, co moje?

Parsknął śmiechem.

- Prawdziwa Marino oczyściłaby cały sejf.

- To chyba nie jestem dobra w byciu zdeprawowaną przestępczynią.

- Aleś ty dramatyczna. – Jego ruchy były pośpieszne, kiedy wpychał kasę grubymi garściami do torby.

- Nie zapomnij o szczyrykach – burknęłam. – Cóż za czarujące pamiątki. Jestem pewna, że wszyscy ci Falconowie przewracają się w swych nieoznakowanych grobach.

- To działka twojego ojca – prychnął, wspinając się na blat, żeby sięgnąć głębiej. – Zemsta zawsze była bardziej w jego stylu. Ja chciałem tylko pieniędzy.

O mój Boże.

- Brał w tym udział od samego początku? – Mój głos brzmiał jakby z daleka... pusty, drżący. Przełknęłam resztę reakcji. Nie tutaj. Nie teraz. Ten rodzaj zdrady sięgał zbyt głęboko. Później się z tym zmierzę.

Jack zatrzymał się na chwilę i spojrzał przez ramię. Wzruszył ciężko ramionami i w jego oczach błysnęło coś dziwnego.

- Odebrali nam wszystko, Sophie. Myślałem, że zdołasz to zrozumieć.

Panowałam nad głosem najlepiej jak mogłam.

- *Rozumiem*, że niedługo zostaniesz zabity i wiesz co? Sądzę, że sobie zasłużyłeś.

Poklepałam mamę po policzku. Na czubku jej głowy zaczynała rozlewać się pręga; Jack musiał mocno ją uderzyć. Nie mogłam jej stąd wyciągnąć, prawda? Może ja również powinnam walnąć o coś głową i udać się razem z nią do krainy snów, w której moje nazwisko i rodzina wciąż miały sens.

Usiłowałam nie myśleć o tym pierścionku w kieszeni. Usiłowałam nie myśleć o moim ojcu z siwiejącymi włosami i melancholijnymi oczami, który gnął w więzieniu. Jak

się okazuje, zasłużył, żeby tam być. I *naprawdę* usiłowałam nie rozpłakać się przed wujkiem.

Wrzucił do torby jeszcze jeden stos pieniędzy i przesunął ręką po wnętrzu sejfu, sprawdzając czy zabrał wszystko.

- A twój tata?

- Nie mieszaj go do tego. – Nie miałam dość energii, żeby otwierać to pudło złamanych obietnic. Chciałam złapać go za kołnierz i nawrzeszczyć na niego. Ale nie dopadnę go. Siedział za kratami. Bezpieczny.

Jack wydusił kolejną salwę śmiechu. Zatrzasnął ciężkie mosiężne drzwiczki i zamknął na klucz.

- Wiadomość z ostatniej chwili, Persefono, wszyscy mamy tutaj przesrane. Twój ojciec i ja jesteśmy krwisto-czerwoni z winy. Nie możesz wybierać sobie, kogo bardziej znienawidzisz.

Mama wciąż się nie ruszała, a mnie zaczynała ogarniać rozpacz. Pod jej ociężałymi powiekami widziałam białka. Odgarnęłam jej włosy i poszukałam pulsu na szyi. Był słaby, ale miarowy.

- Musisz się ocknąć – szepnęłam, jak łzy wezbrały mi się w oczach. – Naprawdę musisz się teraz ocknąć.

Jack zakrył sejf panelem i zamknął szafkę. Gdy podniosłam wzrok, stał tuż nade mną. Przerzucił torbę przez ramię i jego oczy lśniły jakimś nowym zwariowanym zamiarem.

- Idź już – powiedziałam, wykorzystując resztki sił. Nie zamierzałam myśleć o scyzorykach. Nie zamierzałam myśleć o tym, co znaczyła tamta lista. Ani skąd pochodził ten rubin. Nie zamierzałam myśleć o tym, ile kłamstw usłyszałam od własnego ojca.

Jack miał czelność się zaśmiać.

- Oboje wiemy, że nie wyjdę bez ciebie, Soph.

- Nie pomogę ci zabić Falconów. Donata nie...

Jack parsknął niedowierzającym śmiechem.

- Chyba nie wierzysz, że Donata oczekuje, że kogoś *zabijesz*, co?

Zbladłam. – Mówiła, że chce, żebym jej pomogła.

- Nie wiesz nawet jak posłużyć się pistoletem, nie mówiąc już o zabiciu człowieka. Na litość boską, masz siedemnaście lat.

- To jak niby miałam...

- Nie zwracaj sobie tym głowy – uciął mi nadal rozbawiony Jack. – Już to zrobiłaś, Soph. Już jej pomogłaś.

- Ja... - Zabrakło mi słów. – Wiedziała, że do nich pójde – uświadomiłam sobie. – Chciała, żebym do nich poszła.

Podpuściła mnie.

Ale dlaczego? Nie rozumiałam... nie pojmowałam zasięgu jej planu. Nie miał dla mnie sensu. Ale wiedziałam, że popełniłam błąd.

- Donata to bardzo inteligentna kobieta – powiedział z podziwem Jack. – Nie można jej lekceważyć.

Mama jęczała cicho i zaczynałam zdawać sobie sprawę, że niemożliwe będzie, żebyśmy wyszły stąd we dwie bez Jacka.

Jakby czytając mi w myślach rzekł:

- Nie uciekniesz, więc nawet nie próbuj.

- Czemu? – zapytałam, słysząc dziecinność we własnym głosie. – Czemu jestem taka ważna?

- Bo jesteś rodziną – odparł Jack. – A rodzina trzyma się razem.

- Nie chcemy trzymać się z tobą, *Antony*, radzimy sobie same.

- No cóż – powiedział, nadal ignorując fakt, że używałam jego prawdziwego imienia i spojrzał za mną przez okno na szalejącą burzę. – Donata zbiera Marino. Chce cię mieć ze sobą, żeby mieć na ciebie oko. Wiesz, co to znaczy?

- Co?

- Życie jest ciężkie.

Piorunowaliśmy się wzrokiem, kiedy leżąca obok mama powoli odzyskiwała przytomność... wpatrzona w siebie nieufne oczy Dona Vincenza Marino.

Deszcz dudnił bez przerwy o dach. Zagrzmiało jeszcze bliżej niż wcześniej, potrząsając oknami w ramach. Czułam własne tętno aż w koniuszkach palców. W brzuchu narastał strach, kiedy dotarło do mnie coś nowego: nie pozostał nikt, kto nam pomoże. Musiałam zadzwonić na policję. Musiałam postawić wszystko na jedną kartę.

- Trzeba było mi powiedzieć – rzekłam. – Zasłużyłam, żeby wiedzieć.

- Poprzysiągłem, że powiem ci, jeśli jedno z nas wyjdzie z ukrycia.

- No i wyszedłeś. – Wysunęłam subtelnie komórkę z kieszeni.

- Próbowałam ci powiedzieć w Edenie, ale nie chciałaś słuchać – powiedział poirytowany. – Jakże to ma w ogóle znaczenie? Już wiesz. Uciekaliśmy zbyt długo. Pora stanąć do walki.

- Nie chcę walczyć. – Odblokowałam komórkę.

Jack skupiał uwagę na parkingu i moim miejscu obok matki. Spojrzał zwięzionymi oczami na coś na zewnątrz.

Zaczęłam wybierać numer, chowając telefon przy boku, ale Jack obrócił się nagle i mi go wyrwał. Zdzielił mnie po twarzy.

- Co ty robisz, do jasnej cholery? – wypluł. – Dzwonisz na policję... czyś ty zwariowała? Czy *chcesz* zostać zabita?

Rzuciłam się na niego, ale złapał moje pięści, którymi się na niego zamierzyłam.

- Po prostu idź! – krzyknęłam. – Na co czekasz?

- Uspokój się! – rzucił gniewnie. Miotalam się przy nim, ale trzymał mocno, ciągnąc mnie w stronę linii kolejki za kasą. Wyciągnął z kieszeni swój telefon. Do kogokolwiek dzwonił ten odebrał po pierwszym sygnale. Mówił cicho i szybko, rozglądając się po restauracji i ignorując moją bełkoczącą matkę. – Ruszają się – powiedział. – Trzech. – Znów cisza, a potem: - Obserwuj front, ale zgaduję, że wejdą od tyłu.

Zerknęłam przez ramię. Przez okno w oddali ujrzałam w blasku błyskawicy trzy ciemne sylwetki na samym końcu parkingu. Nadchodzili Falconowie. Utknęliśmy w pułapce.

Jack zaciągnął mnie z powrotem do kuchni. Dziwna część mnie cieszyła się, że mama była na to wszystko nieprzytomna. Jeśli nadciąga nasza zguba to przynajmniej nie będzie musiała przeżywać horroru. Przynajmniej nie zobaczyła tych scyzoryków, pierścionka, prawdy. Przynajmniej nie była świadoma, jak naprawdę miała zdeprawowanego męża... jak zostaliśmy oszukane. Jej serce nadal było całe.

Po drugiej stronie kuchni tylne drzwi były szczelnie zamknięte. Ciężkie i metalowe... nieprzenikalne.

- Co teraz zrobisz? – zapytałam, próbując bez skutku zaciągnąć go z powrotem do sali restauracyjnej – do telefonu.

- Zabijemy ich – powiedział. – I nareszcie nauczymy cię definicji lojalności.

Oczy miał jak dwa niezgłębione baseny zanieczyszczone jego spiskowaniem. Próbowałam wykręcić się z jego uchwytu, ale ścisnął mnie jeszcze mocniej. Przeszedł na

drugą stronę kuchni do obszaru wydawania posiłków, żeby znów wyrzeć przez okna. Po szybach lały się strugi deszczu, ale na zewnątrz wszystko było nieruchome.

Tak się przynajmniej zdawało.

Musiałam się stąd wydostać. Wtedy mogłabym przynajmniej kogoś powiadomić. Mogłabym nas stąd zabrać. Walczyłam z nim dalej.

- Możesz wyjść – powiedział. – Ale będziesz musiała spróbować szczęścia z zabójcami na dworze.

Z kuchni dobiegł ogłuszający huk – coś uderzało o metalowe drzwi. Jack miał rację... Falconowie przyszli od tyłu, gdzie ich starania dotarcia do niego będą skryte w ciemnej alejce.

Wykorzystałam to chwilowe rozproszenie i rzuciłam się pędem do obszaru obsługi. Wściekłe kroki pościgu Jacka popchnęły mnie jeszcze szybciej do przodu. Przebiegłam przez salę, przesuwając za sobą stoły z nadzieją, że go spowolnię. Przeskakiwał nad nimi z dzikim zapamiętaniem.

Dopałam do drzwi wejściowych i udało mi się odblokować zasuwę drżącymi dłońmi. Jack złapał mnie za bluzkę. Przepychaliśmy się i pociągnął mnie do tyłu, łapiąc mnie za barki.

- Zabiją cię!

Nadepnęłam mu na stopę.

- Puszczaj!

Na zewnątrz rozbrzmiały dwa głośnie trzaski. Bliżej od grzmotu, straszniejsze od błyskawicy. Zatoczyłam się do tyłu, uderzając głową o klatkę piersiową Jacka. Znów chwycił moje ramię i pociągnął ze sobą, przewracając stół.

Następny trzask rozbrzmiał na tyłach kuchni, drzwi dzwoniły przeciw ich próbom, żeby je zburzyć.

Byli wszędzie.

Przed nami stanęły otworem drzwi wejściowe i wparowała do środka Donata Marino, przynosząc ze sobą podmuch wiatru i deszczu.

- Tutaj jesteś – powiedziała, trzymając w górze pistolet. – Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jesteś dokładnie tam, gdzie cię chciałam.

- Okłamałaś mnie! – krzyknęłam. – Wykorzystałaś!

- Jak gołębia pocztowego. – Podeszła krok bliżej, blokując mi drogę ucieczki. Widziałam jak po jej twarzy spływają kropelki deszczu. – Jak gdybym miała oczekiwać, że zdradzisz chłopca, który daje ci kwiaty i patrzy na ciebie, jakbyś była coś warta.

Spojrzałam na nią otępiąta.

- Wszędzie mam oczy, Sophie. – Potrząsnęła głową. – I nie jestem idiotką.

- *Dlaczego?* Dlaczego mnie tam wysłałaś?

- Głupiotka, czy nie rozumiesz struktury władzy? – Opuściła pistolet i wsadziła do kieszeni. Jej uśmiech był protekcyjną smugą szkarłatnych ust. – Nasz dzisiejszy atak jest tak dobry, jak najwyższy rangą człowiek, którego zabijemy. – Uśmiechnęła się szerzej, widząc na mojej twarzy zrozumienie.

Wiedziała, że nigdy nie dostanie Valentino. Ale Valentino był jedną połówką całości.

Zatem...

- Celem jest Luca – szepnęłam.

Przytaknęła. – Chciałam, żeby zastępca bossa wiedział, że nadchodzimy, aby wyszedł z tamtej posiadłości i stanął u boku braci, gdzie go dopadnę.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, zobaczyłam Gino Falcone'a opierającego się o futrynę, trzymał pistolet luźno po boku, a na jego bluzce rosły plamy czerwieni.

W tym ułamku sekundy wiedziałam, że popełniłam najpoważniejszy błąd ze wszystkich i dziś wieczorem wszyscy za niego słono zapłacimy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

GAZ

Donata złapała mnie za kołnierz i pociągnęła za sobą jak psa.

- Reszta jest na tyłach? – zapytała Jacka. Usłyszeliśmy następny huk z kuchni i uśmiechnęła się, otrzymując odpowiedź. Wskazała za sobą machnięciem nadgarstka. – Giorgino Falcone był zbyt zajęty swoim telefonem, żeby mnie zauważyć. *Imbecille*. Libero i Marco zajmą się teraz frontem. Pozostali są w drodze. Falconowie mają wsparcie, więc będziemy musieli się pospieszyć.

Boże. Tam w ciemności poruszało się ich tak wielu, wykorzystywali burzę i ochronę, którą im zapewniała.

Próbowałam wyrwać się Donacie i wyciągnąć szyję, żeby przeszukać próg. Wepchnęła mnie do kuchni, gdzie Jack podnosił wypchaną torbę na wyspę kuchenną. Mama miała zamknięte oczy, ale wciąż cicho pojękiwała, bardzo powoli dochodząc do siebie. Donata nie zwróciła na nią uwagi.

- Sophie, zrobię dla ciebie to, czego nie mogłam zrobić dla swej siostry tyle lat temu. Wyzbędę się tych demonów z twojej głowy. Dziś będzie początek życia, które było ci przeznaczone. Dziś staniesz się Marino.

Coś znowu uderzyło w drzwi i tym razem w środku pojawiło się wgłębienie.

Jack nachylił się nad kuchenką i zapalił gaz, jeden palnik po drugim. Patrzyłam, jak marszczy się powietrze nad nimi.

- Co robisz, do diabła? – Realizacja dopadła do mnie, jakbym nagle została rzucona na łóżko gwoździ. Nim zdążyłabym na nich krzyknąć, Donata przycisnęła rękę do moich ust, pozbawiając mnie powietrza.

- Sprawy rodzinne – powiedziała i poczułam szept jej uśmiechu we włoskach na szyi. – Pozwól, że coś ci wytłumaczę, Sophie. – Oddychała tak ciężko, że ledwo słyszałam własne myśli. – Kiedy byłam małą dziewczynką, moja siostra ukradła mi ulubioną lalkę, jak byłam w szkole i ścięła jej wszystkie włosy. Gdy wróciłam do domu wściekałam się dwa dni i dwie noce. W trzeci dzień powiedziałam jej, że w ramach zemsty pójdę do naszej ogrodowej szopki, otworzę tam klatkę i odrąbię łeb jej ulubionego króliczka.

Walczyłam mocniej, ale ścisnęła mnie w żelaznym imadle, mówiąc coraz szybciej.

- Elena była przerażona. Chciała wiedzieć, kiedy to zrobię. Gwoli sprawiedliwości powiedziałam, że zrobię to w ciągu dwóch tygodni, czternastego dnia i zaczekam aż zaśnie, żeby mi nie przeszkodziła.

Gaz wypełniał kuchnię z zastraszającą prędkością. Już czułam siarkę klejącą się do wnętrza moich nozdrzy. Nastąpił kolejny huk... i tym razem głos Nico rozbrzmiał nad grzmotem i deszczem.

- Marino, wy tchórze! Otwierać!

Nico. Zamknęłam oczy. *Szlag by to.*

Donata nie przestawała mówić.

- Zamiast przyjść czternastego dnia spędziła każdą z tych nocy w śpiworze przed szopką, czekając na mnie. Jak już wiedziała, że to zrobię nie mogła się powstrzymać. Nie potrafiła znieść niepewności, myśli, że tak naprawdę nie ma pojęcia, kiedy ani jak zaatakuję. Jej instynkt obronny doprowadził ją do tej zimnej, wilgotnej szopy i zatrzymał ją tam strach. Pozbawił ją snu, zdrowego rozsądku... a jednak, kiedy nadszedł ten dzień odrąbałam łeb tak jak zapowiedziałam.

Jack krążył po kuchni. Zdjął tablicę korkową i wcisnął obok kuchenki, a teraz zrzucił na podłogę wszystkie łatwo palne rzeczy, rozrzucając na blatach obrusy i serwetki, jakby bawił się wstęgami.

- Widzisz, Sophie – powiedziała Donata. – Elena zawsze była wykalkulowana, ostrożna... *przewidywalna.* – Czułam uśmiech w jej ostatnim wyrazie. – Gianluca Falcone jest w każdym calu synem swojej matki. Zawsze będzie ustawiał się tam, gdzie największe zagrożenie. I tak właśnie wiem, że stoi teraz za tymi drzwiami.

Jak na zawołanie drzwi znów zadzwoniły i tym razem grzmotnęły zawiasy.

Donata zaśmiała się głośno.

- Zastępca jest największą ochroną Valentino. Wychodzi z cienia brata tylko wtedy, gdy wie, że zbliża się prawdziwe niebezpieczeństwo. Przyproceedziła go tutaj dziś ostrożność i zabije go jego przewidywalność.

Zacisnęłam powieki. Luca nie opuściłby Valentino w trakcie wojny krwi.

Niemżliwe.

Staliśmy przodem naprzeciw wyginających się metalowych drzwi. Za nami było puste przejście, bezpieczne od pielęgnowanego przez Jacka zniszczenia. Gdy wyklarował się przede mną pełen horror ich planu, przez kuchnię poniósł się psychiczny śmiech Jacka, rosnąc razem z gazem.

- Wchodźcie, chłopcy!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

WYBUCH

Odrzuciłam głowę do tyłu, uderzając nią w obojczyk Donaty.

- Przestań – syknęła, przypierając mnie do swojego ciała. – Bo rozwalę ci głowę na kuchence i zostawię tutaj, byś spłonęła ze swoimi chłopakami. Jeśli nie jesteś z nami, to przeciwko nam.

Po drugiej stronie kuchni mama podniosła się chwiejnie, przyciskając ręce do głowy i brzucha. Czułam jedynie trwogę, patrząc na jej otumaniony wyraz twarzy i usta skręcające się w cierpieniu.

- Sophie? – wybełkotała. Ledwo zareagowała na fakt, że byłam przetrzymywana przez Donatę Marino. Zamrugnęła kilkakrotnie, wzdrygając się. – Co się dzieje?

Wytrzeszczyła oczy, kiedy dotarł do niej ostry zapach. Powąchała powietrze, podwijając wargę.

- Och – sapnęła, obracając się do Jacka. – Co wyprawiasz? – Ominęła niepewnym krokiem mojego wujka, ruszając prosto w stronę kuchenki.

Rozbrzmiało kolejne uderzenie w metal i zadrzała cała podłoga. Zamek w drzwiach został wyłamany.

Mama sięgnęła do jednego z palników. Jack rzucił się na nią. Złapał ją za łokieć i szarpnął nią do tyłu, uderzając jej głową o wyspę kuchenną. Osunęła się na podłogę, zostawiając stróżkę krwi na drewnie.

Wrzasnęłam tak mocno w rękę Donaty, że prawie się udusiłam. Zadrzały pode mną kolana i musiała mnie podtrzymywać.

Jack wyciągnął rurę gazową zza kuchenki i wyrwał ze ściany. Pękła z sykiem i okalające ją powietrze zaczęło się marszczyć. Kasłając gwałtownie, Jack chwycił mnie i odciągnął do tyłu, uciekając na drugi koniec kuchni z dala od oparów.

Donata wzięła torbę i wycofała się do obszaru obsługi, kiedy wujek przyciskał mnie do siebie. Moja matka leżała bezwładnie pomiędzy kuchenką i wyspą.

- Puszczaj! – wrzasnęłam. – Daj mi jej pomóc!

Trzymał mnie w progu kuchni, staliśmy plecami do sali, patrząc na metalowe drzwi, które stanęły otworem. Przez gęsty gaz ujrzałam tam Lucę i Nico, i zostałam brutalnie pozbawiona resztek nadziei.

Za nimi ciągnęła się ciemna wąska uliczka, gdzie leżał przewrócony kontener. Wszędzie leżały porozrzucane śmieci. Do kuchni wleciał wiatr niosący ze sobą deszcz i miało się wrażenie, że szalejąca burza wdarła się do środka.

Bracia Falcone unieśli pistolety.

W okamgnieniu Jack przesunął mnie przed siebie, aż czułam na głowie jego brodę, jego głośne wydechy poruszały moimi włosami.

- No dalej – powiedział. – Zastrzelcie nas, czemu by nie?

Luca opuścił pistolet.

Nico się wahał.

Ta chwila wydawała się ciągnąć bez końca. W tym właśnie momencie, kiedy nawet grzmoty nagle ucichły, całe moje życie opierało się na łasce palca na spuście Nico Falcone. Spojrzałam w lufę jego pistoletu, studiując te dwa czarne kręgi, jeden ułożony na drugim i poczułam jak bliska jestem śmierci.

- Nicoli – powiedział ostrzegawczo Luca.

Nicowi trzęsło się ramię. – Trafię go.

- Nicoli.

W moich oczach zbierały się łzy.

- Gaz – wychrypiałam. – Gaz się ulatnia.

Nico otworzył szeroko oczy w zrozumieniu. Nareszcie doleciał do niego ten zapach, zagęszczenie powietrza i wzdrygnął się. Opuścił pistolet.

Za nimi zatrzęsnęły się drzwi, chwiejąc się na wyłamanych zawiasach.

- Jesteś szumowiną, że je tak wykorzystujesz – powiedział Luca do Jacka. Przysuwał się subtelnie do przodu, żeby nie było to takie oczywiste. – Będziesz musiał wyjść stąd prędzej czy później, a kiedy to zrobisz dopadniemy cię.

- Nie zaryzykowałbyś jej życia.

Uniósł brwi, sunąc bezgłośnie w naszym kierunku.

- A ty byś to zrobił?

Jack ścisnął mnie mocniej, przyciskając ramię do mojego gardła i zaczęłam się dusić. W moim mózgu mrugały światła, zaczęłam widzieć przed sobą czarne plamki.

Niewyraźnie zobaczyłam na wyspie rękę matki, jak próbowała się podnieść. Jej włosy były całe zakrwawione, ale poruszała powoli ustami, testując sylaby.

- Chcesz się dowiedzieć, do czego jestem zdolny, gnojku? – zapytał Jack.

Luca wykrzywił usta. – Wypatroszę cię, Marino.

Jack poruszył się z niepokojącą szybkością, wypychając mnie przez drzwi. Wpadłam do głównej sali, kiedy zamknął za nami drzwi kuchenne.

- Mamo! – krzyknęłam, gdy z ciemności wyłoniła się Donata i przerzuciła zapaloną zapalniczkę przez okno do wydawania posiłków.

Eksplozja nastąpiła w błysku jaskrawych pomarańczy. Przedarła się przez kuchnię, wybuchając w donośnym huku, który roztrzaskał wszystkie okna. Ściany zadrżały i zostałam odrzucona do tyłu przez ladę kasową na podłogę sali restauracyjnej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

PIEKŁO

Kuchnia stanęła w płomieniach. Przez małe okienko wylatywał ciemny, szary dym. Drewno trzaskało, pękając na wielkie odłamki spadające na podłogę.

Za mną Jack i Donata dotarli z torbą do drzwi wejściowych. Wujek miał przypalone włosy, twarz czarną po wybuchu. Zginał się w pół, ściskając futrynę.

- Chodź! – wydyszał do mnie. – Musimy stąd uciekać!

- Moja mama tam jest!

Zatoczyłam się w kierunku kuchni, krzycząc.

Wyjąć.

Wywrzaskując jej imię.

- Jej już nie ma, dziewczyno – zawołała Donata.

- Chodź już! – Jack zawołał jeszcze głośniej.

Zignorowałam ich i tym razem wujek po mnie nie wrócił. Wbiegli w mrok nocy ze swoją zdobyczą.

Przez okienko do wydawania posiłków widziałam gęstą ścianę płomieni dzielącą kuchnię. Lizały prawą stronę kuchenki i rozprzestrzeniały wzdłuż drewnianych blatów, pochłaniając obrusy i tablicę korkową. Podeszłam bliżej, łzawiły mi oczy od parzącego gorąca.

Nico i Luca opierali się o siebie po przeciwnym krańcu kuchni. Zostali odrzuceni przez wybuch. Głowa Luki kołysała się na boku i miał zaszklone oczy. Nico pochylał się koło niego. On również się nie poruszał.

Nie było z nimi mojej matki. Była blisko drzwi, kiedy nastąpiła eksplozja i wyteżyłam oczy, żeby zobaczyć czy wyszła na zewnątrz, ale alejka była niemożliwie daleko i miałam zamazany wzrok od gęstości ognia. Zawołałam ją, lecz płomienie pochłonęły wszystkie moje słowa.

Wyciągnęłam szmatkę spod blatu i przycisnęłam do twarzy, następnie szarpnęłam drzwi kuchni i uderzył we mnie ogień, odpychając do tyłu. Zakryłam twarz, ślizgając się po podłodze i walnęłam się głową o szafkę. W drzwiach pojawiła się gęsta czarna chmura dymu, która przesunęła się nad moją głową w głąb restauracji.

Podniosłam się na czworakach i przeszłam przez próg, pochylając nisko głowę pod dymem i dociskając szmatkę do ust. Powietrze było okropnie suche i miałam wrażenie, że kurczą mi się płuca, czernieją i sinieją. Mojej matki tutaj nie było – nie widziałam jej przez dym i płomień. Zorientowałam się, że niedługo zacznie mnie szukać. Musiałam się stąd wydostać zanim tu wróci. Zignorowałam pieczenie w piersi i ustawiłam kurs na chłopców, trzymając się lewej strony przy ścianie i pełzałam po gorących kafelkach.

Ogień zaryczał jak nieposkromiona bestia, wzniesając się jeszcze bliżej, jak przesuwałam ciało wzdłuż podłogi, rozcinając sobie ręce na szkło, kiedy wszędzie wkoło pękały słoiki. Tylne drzwi zostały wyrwane z zawiasów w trakcie wybuchu. Znajdująca się za nimi alejka zamrugnęła do mnie poprzez bursztynowe grzbiety.

Gdy dotarłam do chłopaków, Luca był w półprzytomny i usiłował podnieść wciąż opadającą głowę. Nico nadal był zgięty w pół. Chwyciłam Lucę za ramiona, potrząsając nim.

- Luca! – Spoliczkowałam go. – Obudź się!

Zaczął się poruszać, w jego oczach rozpalila się słaba isierka rozpoznania.

Znów nim potrząsnęłam.

- Wstawaj! Musimy się stąd wydostać.

Płomień były coraz bliżej naszego kręgu, czułam na plecach ich parzący żar. Na podłogę spadały garnki i patelnie, tocząc się ku moim kostkom i w powietrzu czuć było okropny, zgniły smród.

Luca kaszlał gwałtownie. Pociągnęłam go za ramiona i wysunął się do przodu, lądując na kolanach.

Odwróciliśmy się do Nico, obstawiając go z obu stron. Luca podniósł wygięty tułów brata, żeby siedział prosto. Miał zamknięte oczy i czoło czarne od sadzy. Luca potrząsnął nim gorączkowo, kiedy zaczęło go ogarniać przerażenie. Co jeśli się nie ocknie? Co jeśli wybuch był dla niego śmiertelny?

Ścisnęłam rękę Nico, żeby spróbować go rozbudzić. Luca coś krzyczał, ale nie słyszałam, co takiego. Złapałam nadgarstek Nico i szukałam pulsu. Dudniło słabo pod moimi palcami.

Usłyszałam za sobą potężny huk i rzuciłam się do przodu, jak lampa pękła na pół i spadła na ziemię. Odłamki wbiły mi się w tył ramion.

Nadal nie słyszałam Luki, ale czytałam mu z ust.

- Musimy go przenieść!

Przeczołgałam się nad ciałem Nico i złapałam jego lewe ramię, kiedy Luca wziął prawe. Podźwignęliśmy się razem na kolana i ciągnęliśmy go między sobą. Zaciskałam zęby, krztusząc się, kiedy dym wydusił tlen z moich płuc. Parliśmy do tyłu, gdzie płomienie zwęglały praski nad kuchenką. Nico był niewiarygodnie ciężki. Jego ręce i nogi sunęły po popiele i brudzie, kiedy posuwaliśmy się pomalutku w kierunku drzwi. Tak bolały mnie oczy, że ledwo trzymałam je otwarte, ale czułam gdzieś w pobliżu chłód. Już prawie tam byliśmy. Jeśli tylko dotrzemy do progu moja matka pomoże nam wyciągnąć go na zewnątrz.

Szafka eksplodowała w pomarańczowo-czerwonych płomieniach i odskoczyłam na bok. Luca przekręcił się i upadł na mnie. Nicowi zaczęły dygotać nogi. Podniósł głowę i zaraz opadła mu do tyłu, wbił wzrok w sufit. Zamrugał szybko, próbując dojść do siebie. Otwierał usta i zakrztusił się, wypluwając na koszulkę czarny śluz.

Czułam na karku chłodny powiew. *Jeszcze pięć kroków. Nie zważaj na żar. Nie myśl o bólu.* A potem wyszliśmy, wpadliśmy do przemoczonych śmieci i kałuż. Nico leżał na boku, przyciskając rękę do ziemi i próbował utrzymać równowagę, zwracając wszystko. Luca podpierał się o kontener.

Uniosłam głowę, wpatrując się zmrużonymi oczami w ciemność. Widziałam tylko czerwień. Ogień pozbawił mnie wszystkich zmysłów. Zamrugalam ciężko. Były tutaj tylko śmieci, ja, Nico i Luca. I... nie było nikogo innego.

- Mamo? – Weszłam w głąb alejki, wypatrując w mroku, wciąż widziałam przed oczami płomienie. – Mamo?

Miałam sucho w gardle, nie miałam już sił, żeby poruszać językiem. Nie usłyszy mnie przez te grzmoty i pożar, i... to nie miało znaczenia. Ponieważ nie było jej tu... nie była na zewnątrz. Nie było jej tutaj!

Obróciłam się. W progu drzwi stały płomienie, ale widziałam przed sobą drogę w dym. Byłam wystarczająco mała, żeby się zmieścić. Pobiegłam, rzucając się w złocistą dziurę i wylądowałam płasko na podłodze.

Z tyłu słyszałam, jak Luca wykrzykuje moje imię.

Skierowałam wzrok na wyspę kuchenną pośrodku. Zachłanne płomienie pożerały jej drewnianą podstawę. Obok znajdowało się wąskie przejście, lecz przestrzeń nietknięta przez ogień szybko się kurczyła. Zaczęłam czołgać się w stronę wyspy, okrążając strefę ognia. Czułam, że już mam poparzone policzki i zaczęły opadać mi powieki. Miałam ociężałą głowę, która poruszała się sama na mojej szyi. Ale mogłabym przysiąc, że słyszałam głos, cichy dzwoneczek pośród piekła. Czy ona wołała moje imię?

Zmusiłam się do zagłębienia w żar. Czy to był jej but, właśnie tam w płomieniach? Czy ona miała tenisówki? Otworzyłam szerzej oczy, szukając fatamorgany. Znów

zostałam odrzucona do tyłu, miałam wrażenie, że jestem oblewana ukropem. Płomienie sięgały moich łokci, dźgały mnie niczym noże.

Dotarłam na drugą stronę wyspy kuchennej. Ktoś zdecydowanie wołał moje imię. Czy to ona? Czy byłam blisko? Widziałam jedynie podłogę, kafelki pokryte sadzą. Błaty zapadły się w sobie, strzelając odłamkami drewna na środek kuchni. Noże i widelce szczypały mnie, kiedy po nich pełzałam. Po moich ramionach spływały strużki krwi i skwierczały w żarze.

Tam. Znowu ta stopa. Utknęłam za płomieniami i ten błysk białego buta był nieruchomy.

- Mamo – zawołałam, ale wylatywał ze mnie jedynie dym. Kuchnia napierała na mnie, przygważdżała do podłogi.

Ktoś krzyczał na mnie gdzieś ponad moim ramieniem. To nie była ona. Ten głos był twardszy, niższy, znajdował się dalej. Koncentrowałam się na tym bucie, starając się nie zamykać oczu. To było niemożliwe. Wszystko miało barwę bursztynu. Piekącego, rozżarzonego do białości, palącego, wrzeszczącego bursztynu. Dusiałam się, ale gdybym tylko dotarła do tego buta, to mogłabym złapać jej nogę. Mogłabym ją ocucić. Wróciłaby do mnie. Wyczołgamy się stąd razem.

Ponad rykiem pożaru rozbrzmiał krzyk. Było tyle wrzasków i teraz rozbrzmiewały bliżej. Czy to ja je wydawałam? Ona? Nie potrafiłam stwierdzić.

Gdzie ten but?

Tam!

Rzuciłam się do przodu, ale płomienie wzrosły, chłostały mnie i padłam z powrotem na ziemię. Moje płuca wypełniły się dymem i dyszałam ciężko, szukając świeżego powietrza. Nie było tu żadnego. Podniosłam głowę, ale była zbyt ciężka. Znów opadła do dołu.

Jej stopa zniknęła za wstęgami czerwieni i pomarańczy. Czy to w ogóle była stopa?

Coś trzasnęło i zostałam przyciśnięta do ziemi, uderzyłam policzkiem o kafelki. Straciłam poczucie kierunku. Bolało mnie wdychanie pozostałego mi tlenu. Wszędzie wkoło były płomienie. Gdzie było wyjście? Zwinęłam się w ciasny kłębek. Czułam, jak płomienie liżą moją nagą skórę.

- Mamo!

Nic się ze mnie nie wydobyło.

- Niech ktoś nam pomoże!

Lepkie ręce chwyciły mnie za kostki, szarpiąc w tył. Czy ona była za mną? Nie mogłam sobie przypomnieć, z której strony była. Wokół mnie narastały głosy. Krzyki, kłótnia. Te ręce nie były jej – te były szorstkie, ich uścisk mocny na mojej płonącej skórze.

Wbiłam paznokcie w podłogę, próbując wysunąć się do przodu. Ręce ciągnęły mnie do tyłu. Przeniosły się na moją talię, a potem na ramiona. Odleciałam do tyłu, moje ciało zostało oderwane od kafelek.

- Nie – sapnęłam. – Nie. Nie.

Do moich płuc napłynęła strużka ciepłego powietrza, ale wszystko wciąż się świeciło. Poczułam pod policzkiem chłodną ziemię. Opuściłam powieki. Odpocznę sobie tu chwilkę. Pozwolę, żeby sen zabrał mnie z tego koszmaru. Śniłam na jawie, a ten sen palił mnie żywcem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

SYRENY

Wiatr szargał moim zmaltretowanym ciałem. Zakrztusiłam się i coś spłynęło mi po brodzie. Powietrze było zbyt zimne, żeby je łyknąć. Miałam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Byłam obolała na całym ciele i nie mogłam się ruszyć.

Pomyśl. Skoncentruj się. Próbowałam włączyć mózg.

Ziemia była szorstka pod moimi nogami. Nie czułam już ciężaru na piersi. Drapałam o coś potylicą. Leżałam na plecach. Tak.

Wciąż widziałam płomienie pod powiekami, ale ryk rozbrzmiewał gdzieś w oddali. Żar był blisko, ale nie tak jak przedtem. Wiatr zarzucał mi włosami na twarz. Przylepiał je do ust. Czułam na policzkach ukłucie kropelek wody. Padało. Byłam na dworze. Tak. W mroku poniósł się chór nowych dźwięków.

Syreny. Chciałam sobie wyobrazić, czym była syrena. Karetki. Wozy strażackie. Radiowozy. Byliśmy bezpieczni.

- Sophie! – Ten znajomy głos słodki jak miód. *Nico. Tak, właśnie. Nico tu jest.*

Nastąpiło więcej odgłosów – trzaskanie, wrzaski. Dyskusje – poważne, wściekłe dyskusje. Kobięcy głos.

- Sophie? Sophie, słyszysz mnie?

Moja matka?

Nie. Nie ona.

Gdzieś obok padało więcej słów, ważnych słów. Wytężyłam słuch. Zatrucie dymem. Wyciek gazu. Eksplozja. Jeszcze jedna. Została jeszcze jedna. *W środku została jeszcze jedna osoba.*

Przestałam skupiać uwagę. Odlatywałam od rzeczywistości do czegoś całkiem innego. Przestało mnie boleć ciało. Wszystko było nieważkie. Nie słyszałam już głosów, ledwo czułam ciepło.

Spadałam, spadałam do ciemności.

A następnie zamigotało światło. Przyciągał mnie głos mojej matki. Otaczały ją płomienie, ale nic już nie parzyło.

- Sophie? Słyszysz mnie?

Zatoczyłam się do przodu, upadając u jej stóp. Kucnęła przede mną, jej wielkie niebieskie oczy były zalane łzami. Poruszała ustami, ale nie słyszałam jej głosu.

- Sophie, możesz otworzyć dla mnie oczy?

Przyciągnęła mnie do siebie. Otuliłam ramionami jej szyję, spodziewając się jej miękkich włosów i łagodnego zapachu lawendowych perfum. Jej ręce przypominały trzciny, oślizgłe i zimne. Odpadły ode mnie, więdąc na ziemi. Zmarszczyłam brwi, odsuwając się. Jej włosy były strączkowe i wilgotne, pachniała mokrą ziemią. Posmakowałam w ustach popiół. Zamrugałam i jej twarz zniknęła. Odwróciłam się i ogarnęła mnie ciemność.

- Sophie?

Moje ciało rozłupało się w środku. Przeszyło mnie gorąco, parzyło mnie. Na zewnątrz rozłożyłam ręce i nogi w kałuży, drżąc z zimna.

Gdzie ona była?

Gdzie byłam ja?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

TRAGEDIA

EKSPLOZJA GAZU NISZCZY RODZINNĄ RESTAURACJĘ;

ŻONA WŁAŚCICIELA GINIE W POŻARZE

Zginęła jedna osoba, a trzy zostały ranne w eksplozji i następującym pożarze, które zrównały z ziemią miejscową rodzinną restaurację „U Gracewellów” w Cedar Hill niedzielnego wieczoru.

Celine Gracewell, żona właściciela Michaela Gracewella przebywała w restauracji w czasie eksplozji i stwierdzono, że zginęła na miejscu. Jej córka razem z dwójką znajomych również znajdowała się w środku. Podano informacje, że córka Gracewellów próbowała wejść w ogień, żeby uratować matkę, ale nie była w stanie.

Wstępne dochodzenie sugeruje, że winny jest wyciek gazu, który rozniecił pożar, który rozszedł się błyskawicznie na resztę budynku. Policja dopiero ustali oficjalny powód wybuchu i trwa śledztwo. Zamierzają również porozmawiać z Jackiem Gracewellem, kierownikiem restauracji, który nie jest osiągalny od czasu incydentu.

Mieszcząca się na rogu Foster i Oak na przedmieściach Cedar Hill „U Gracewellów” była ulubioną rodzinną miejscówką od ponad piętnastu lat.

Informuje się, że Celine Gracewell, lat 43, miejscowa krawcowa i współwłaścicielka restauracji stała blisko wycieku w czasie wybuchu i straciła życie na skutek uderzenia. Od eksplozji sąsiedzi i przyjaciele składają hołd na miejscu wypadku. Dziś rano, kiedy robotnicy i specjaliści od elektryki przedzierali się przez gruz, wielu zebrało się na ulicy, aby złożyć wyrazy szacunku.

Ursula Nguyen, która od dziesięciu lat pełniła funkcję zastępczyni kierownika, była ogromnie zrozpaczona, kiedy złożyła wieniec wśród innych. Tak wypowiadała się o Celine Gracewell.

„Była wspaniałym człowiekiem. Zawsze uśmiechnięta, zawsze radosna. To strata dla całego miasta. Bardzo współczuję jej córce.”

Rita Bailey, stara mieszkanka Cedar Hill, była wyraźnie oszołomiona, kiedy odwiedziła miejsce zniszczenia, komentując:

„Jestem wstrząśnięta. Jak ktokolwiek mógł to przewidzieć? Cóż za tragiczne zdarzenie”.

Nie ma informacji o szczegółach nabożeństwa żałobnego Celine Gracewell. Nie wiadomo czy restauracja zostanie odbudowana.

CZEŚĆ V

„Przybywam, aby na drugi brzeg rzeki
Przewieźć was, duchy, w kraj ognia i mrozu.³”

„Piekło” Dante Alighieri



³ Tłum. Julian Korsak

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

CIEMNOŚĆ

Powiedzieli, że jestem w szoku.

Nie czułam szoku. Istniała jedynie pustka, jak gdyby ktoś mnie przechylił i potrząsał mną, dopóki wszystko nie wyleciało. Miałam czerwone ramiona, skórę na nadgarstkach pokrywały wściekłe pęcherze aż po łokcie. Nie czułam tego. Przyglądałam się białej gazie opatulającej moją skórę, przywierającej do szkarłatnej rany. Pielęgniarka podcięła mi końcówki przypalonych włosów. Nasmarowali mi uszy balsamem. Nie zauważyłam, że były poparzone. Podali mi tabletki i wzięłam je.

Gdy do mnie mówili, zniżali głosy i obserwowałam spierzchnięte wargi wypowiadające przesadnie sylaby. „*Czy możemy po kogoś zadzwonić?*” Zmarszczenie brwi. „*Rozumiesz, co do ciebie mówię, Sophie?*” Dotyk łagodnej ręki. „*Masz z kim zostać?*”.

Do domu eskortowała mnie policjantka. Nie pamiętam, która była godzina, kiedy zamknęłam za sobą drzwi. Stawiałam nogę za nogą po stopniach schodów, mój umysł był kompletnie zamglony. Usiadłam w kabinie prysznicowej, czując jak zimne krople zmywały dym przyklejony do mojej skóry pokrytej czerwonymi plamami. Szampon zamydlił zjełczały smród zgnilizny i wyszłam (naga i jak zombie) do pustego domu, nie rozumiejąc, dlaczego był pusty.

Gdy nastał poranek, rozpacz sięgnęła do mojej głowy i wyrwała mnie z martwego snu. Zrozumienie uderzyło we mnie niczym promień słońca wyzierający zza zasłon i przebudziłam się nagle, wykrztuszając czarny śluz na poduszkę.

Z mojej piersi wyrwały się wrzaski, kiedy ból odżył, wszystkie wspomnienia zderzyły się ze sobą jednocześnie, aż ona była wszędzie, jej twarz wryta po wewnętrznych stronach moich powiek.

Opadłam na podłogę, oplotłam mocno rękami kolana, dopóki nie byłam tak mała, jak tylko mogłam się zrobić. Wezbrały się we mnie łzy, zalały całą klatkę piersiową, ale nie potrafiłam ich rozlać. Nie potrafiłam zaszlochać ani zapłakać i wszystkie te łzy krwawiły we mnie, zamieniając się w soplek lodu.

Spałam sama. Brakowało mi miękkich kroków pantofli mamy w korytarzu, widoku jej twarzy w moim progu, jak życzyła mi dobrej nocy. Ciemność była darem, ale towarzysząca jej cisza miażdżyła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

ROZMOWA TELEFONICZNA

Sufit był rozmazany i niewyraźny. Wyczołgałam się z łóżka i stanęłam przed szafą. Żal powrócił z ostrą nagłością, dźgając mnie ostro w boki. Osunęłam się na podłogę, przywierając do dywanu i czekałam na łzy, które nie nadchodziły. Zamiast tego napuchły w mojej piersi, wypychały ją niczym tysiąc maleńkich rączek.

Słyszałam w dole głosy. Było późno i zaczęło zachodzić słońce. Dopiero po dłuższej chwili przypomniałam sobie, co to za dzień – sobota. Kiedyś uwielbiałam soboty. W kuchni brzękały garnki. Pani Bailey znowu przyrządzała kolację. Nie była zbyt dobrą kucharką, ale przychodziła tutaj codziennie od tamtego wydarzenia. Wspierała mnie w pewien sposób i czułam się okropnie, że tak ostro ją osądzałam w przeszłości. Millie również była na dole. Trwała przy mnie każdego dnia, a choć nie potrafiłam jej wiele powiedzieć – komukolwiek – znajoma nuta jej akcentu niosąca się w domu przynosiła mi pocieszenie w najczarniejszych chwilach.

Przejrzałam mój telefon. Znaleźli go na parkingu po tamtym wieczorze. Powiedzieli, że został ode mnie odrzucony w czasie wybuchu – jakoś cudownym sposobem był nietknięty – ale wiedziałam lepiej. On mi go tam zostawił. *Nie myśl o nim.*

Miałam cztery nieodebrane połączenia od nieznanego numeru. Wróciłam na główny ekran. Patrzyłam na siebie i moją mamę, jak szczerzyłyśmy się w identycznych głupiutkich uśmiechach i przytulałyśmy do siebie, a nasze włosy tworzyły jedną złotą aureolę.

Poczułam gwałtowny ścisk w klatce piersiowej. Schowałam komórkę i wróciłam do łóżka. Nie było sensu wstawać, skoro dzień i tak już się kończył. Przewróciłam się na bok i wbiłam nieruchome spojrzenie w ścianę. Do mojego umysłu zaczęły zakradać się płomienie, piekący żar pulsował w moich zabandażowanych ramionach. Mrugałam i mrugałam, aż głowa zaczęła mnie boleć od wysiłku i płomienie zniknęły.

Na dole dzwonił telefon domowy. Chwycił mnie atak kaszlu i charczałam w poduszkę, próbując go zdusić. Odsunęłam się od niej zamroczona. Nacisk się nasilił, aż miałam wrażenie, że moje płuca są gniecione do małych papierowych kulek. Skurczyłam się, przyciągając kolana do piersi i przycisnęłam do nich głowę.

- Śpisz? – W moich drzwiach stanęła Millie. Podniosłam głowę i skoncentrowałam na niej. Włosy miała spięte na czubku głowy, twarz ściągniętą zmęczeniem.

- Nie.

Weszła powolutku do środka, ściskając w ręce telefon.

- To znowu twój tata...

- Nie.

Przysiadła na moim stoliku nocnym.

- Soph, musisz z nim porozmawiać.

Potrząsnęłam głową. Miałam niestabilny głos.

- Nie potrafię, Mil.

Zmarszczyła twarz, jej troska zamieniła się w ból.

- Potrzebujecie siebie teraz, Soph. Nie możesz przechodzić przez to sama. Nie powinnaś.

Wyobraziłam sobie, jakby to było mieć tu ze sobą mojego ojca, tulić go bez zmartwienia, że rozdzieli nas strażnicy. Cóż za cudowna rzecz; przeciwstawić się fali rozpacz i zakotwiczyć się ze sobą. Ale to było przed wszystkim. Teraz, kiedy go sobie wyobrażałam widziałam Vince'a Marino. Widziałam kłamcę.

- Nie jestem sama – wymamrotałam. – Mam ciebie.

Wzięła mnie za rękę. – Soph, nie wiem, co robić. Nie wiem, jak polepszyć sytuację. Proszę. – Ścisnęła mi rękę. – Musisz go wpuścić. – To brzmiało rozsądnie, ale Millie nie wiedziała tego, co ja. Nie widziała w restauracji tego, co ja. Scyzoryków. Rubinowego pierścionka. Ojciec karmił mnie kłamstwami przez całe życie. Tak uważnie nosił swą maskę, że nigdy nie pomyślałam, żeby pod nią zajrzeć.

Wsunęła mi do ręki telefon bezprzewodowy.

- Porozmawiaj z nim – zachęciła. – Nie ma dużo czasu na te telefony, a próbował dodzwonić się do ciebie od tygodnia, Soph. Porozmawiaj ze swoim tatą, proszę.

Wyszła i spojrzałam na telefon w dłoni, słuchając słabego głosu człowieka, którego tak naprawdę wcale nie znałam.

- Soph? Tu tata. Jesteś tam?

Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam pierścionek Evelyny. Wsadziłam go sobie do kieszeni w chwili szaleństwa w knajpie. To jedyna rzecz, która wróciła ze mną do domu. Wszystko inne było gruzem i popiołem.

- Soph? Wiem, że tam jesteś. Możesz podnieść telefon, proszę?

Przyglądałam się pierścionkowi, który lśnił na mojej dłoni. Rubin był koloru krwi. *Sempre*. Ale nic nie trwa wiecznie.

- No już, Soph.

Przycisnęłam telefon do ucha.

- Witaj, Vince.

Usłyszałam jego ostry wdech. – Soph...

- Hej, powiem ci coś zabawnego – przerwałam mu. – Jestem *Marino*.

- Wiem, że się wściekasz...

- Czy *wiedziłeś* – ciągnęłam głośniej – że w restauracji był ukryty sejf?

Oddech taty przyśpieszył i niemal czułam namacalność jego paniki.

- Posłuchaj, złożyłam podanie o przepustkę. Spróbuję wyjść, żebyśmy mogli...

- Czy *wiedziłeś* – mówiłam coraz to przenikliwszym tonem – że zanim twoja rodzina Marino spaliła nasze środki do życia, znalazłam stos trofeów po Falconach? Scyzoryk za pewnie każdy nieoznakowany grób. – Zagłuszyłam jego odpowiedzi, nabierając jeszcze głośniejszego tonu. – Wiedziłeś, że był tam rubinowy pierścionek? Wiedziłeś, że ten pierścionek należy do zaginionej żony Felicego Falcone? Wiedziłeś, że jest lista celów na Falconów zapisana twoim pismem? Wiedziłeś, że Angelo Falcone naprawdę został zamordowany? I czy wiedziłeś, że przez całe moje życie byłeś jednym *wielkim pieprzonym kłamcą*?

Jego odpowiedź zaginęła w eterze. Rzuciłam telefonem o ścianę i rozwalił się na kawałeczki, które opadły na ziemię.

Walnęłam pierścionkiem w stolik nocny. Myślałam, że dzięki temu poczuję się lepiej, ale nic z tego.

Ale teraz przynajmniej wiedział.

Teraz nie było między nami więcej kłamstw.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

NIEPOŻĄDANE

Pół godziny później do mojego pokoju zakradła się Millie. Spojrzała przelotnie na rozbity telefon, mrużąc oczy w zrozumieniu, jak nad nim przeszła.

- A więc... to nie poszło po myśli – domyśliła się.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

Westchnęła i przekrzywiła głowę, przyglądając się mojej żalostnej, zwiniętej sylwetce. W końcu orzekła:

- Myślę, że powinnaś spróbować wyjść z łóżka.

Nie pierwszy raz to zasugerowała. Nawet nie dziesiąty.

Spojrzałam na białe plamki na moich paznokciach.

- Jaki jest sens?

Usiadła na końcu mojego łóżka.

- Życie, Sophie. Życie jest sensem.

- Żyję – wymamrotałam.

- Nie. Ty egzystujesz.

Podniosłam wzrok, ale nie potrafiłam zdobyć się nawet na lekki uśmiech.

- Jaka to różnica?

- Wiesz jaka – odparła cicho. Wydawała się w tej chwili taka drobna i wyczerpana. Naciągnęła na dłonie rękawy bluzy i miała ściągniętą twarz. Napęczniały we mnie wyrzuty sumienia.

- Nie musisz spędzać ze mną całego swojego czasu, Mil. – Wskazałam wokół siebie – na mój zabałaganiony pokój, zabałaganione życie. – Wiem, że to przygnębiające. Wiem, że nie zachowuję się teraz jak porządna przyjaciółka. Nie zachowywałam od dłuższego czasu.

- Soph – powiedziała karcąco. – Wiesz, że nigdzie się nie wybieram. Jaką byłabym wtedy przyjaciółką?

- Taką jak ja? – Wzruszyłam ramionami. – Nie powinnaś tkwić ze mną w ciemności.

- Myślę, że bycie dobrą przyjaciółką polega właśnie na tkwieniu w ciemności. Będę twoim światłem, dopóki nie odnajdziesz z powrotem siebie. Co ty na to?

Wydusiłam z siebie uśmiech i przez krótką chwilę miałam wrażenie, że moje serce rośnie.

- Jesteś w tym bardzo dobra – odparłam.

- Cóż. – Posłała mi uśmiech. – Lubię osiągać najwyższe wyniki we wszystkich ważnych sprawach.

Oparłam się o poduszkę i pozwoliłam, żeby ogarnęła nas cisza. Millie poruszyła się, obserwując mnie w gasnącym świetle słońca i wiedziałam, że to nadchodzi zanim jeszcze cokolwiek powiedziała... nieuniknione.

- A więc – zaczęła, rysując kółka na mojej kołdrze. – W przyszłym tygodniu zaczyna się szkoła.

Równie dobrze mogła mi zrzucić na twarz świeżą stertę śmieci. Skrzywiłam się.

- Wolałabym wydłubać sobie oczy i je zjeść.

- To nasz ostatni rok. Będzie fajnie. – W jej odpowiedzi było mało, jeśli w ogóle, przekonania.

Wyobraziłam sobie głuchy odgłos moich kroków na korytarzach, gromkie trzaski szafek pomiędzy salami, bezmyślną paplaninę w powietrzu, śmiertelnie nudną egzystencję wewnątrz tych ścian. Jeżeli wcześniej byłam źródłem zainteresowania, to teraz będę główną atrakcją.

- Nie jestem gotowa.

Millie chwyciła moją nogę przez kołdrę.

- Musisz się *przygotować*, Soph. Musisz zagryźć zęby i to zrobić, wiesz? To ostatni rok. A potem wszystko się zmieni. Dasz radę. Obie damy.

Nie odpowiedziałam jej. Ta rozmowa mnie wymęczyła i nie miałam jeszcze ochoty brnąć w temat szkoły. Po krótkiej chwili Millie zaakceptowała porażkę i przeturlała się w nogach łóżka. Wkopałam się głębiej w kołdrę, czując nieznaczne speszenie moją drażliwością. Wstała i podeszła do drzwi. Czułam jej zawahanie, podrapała lekko w futrynę.

- O co chodzi? – zapytałam.

Rozważyła swoje słowa, wypowiadając się powoli, jakby wciąż niepewna czy w ogóle coś powiedzieć.

- Wiem, że powiedziałaś, iż nie chcesz jeszcze rozmawiać o tamtej nocy. I próbowałam to uszanować. Ale nie wiem, jak mam dłużej trzymać to przed tobą w tajemnicy...

Usiadłam. – Co trzymać przede mną w tajemnicy?

- Na dole są bracia Falcone. Właściwie to już od dłuższego czasu, ale wiedziałam, że nie chcesz żadnego przypomnienia o... o tym, co się stało... - urwała, wbijając wzrok w swoje buty. – Nie zamierzałam ci mówić, ale myślę, że powinnaś wiedzieć. Oni nie odejdą. Nie chcą zostawiać cię bez ochrony... na wypadek...

Na wypadek, jeśli on po mnie wróci.

Millie wzięła mnie za wariatkę, że nie powiedziałam policji o Jacku i Donacie. Brałam to pod uwagę w najmroczniejszych chwilach, ale pragnęłam dwóch rzeczy, których nie zapewni mi doniesienie na policję: losu dla nich gorszego od więzienia i własnego przetrwania.

Millie wyglądała na niespokojną.

- Nico mówi, że nie wyjdzie dopóki się z tobą nie zobaczy. Pani Bailey od tygodnia bije go szmatkami.

Od tygodnia.

Spojrzałam spod zmarszczonych brwi na kołdrę, skupiając wzrok na wzorkach. Ból w klatce piersiowej znowu zmniejszył się do otępiałego dudnienia. Niewiele myślałam o Nico od pożaru, ale potrzebowałam powiedzieć mu parę słów i może właśnie nadeszła na to pora.

- Powiesz mu, żeby wszedł na górę?

Millie wypadła na korytarz i zeszła po schodach.

- Nico? – zawołała i po raz pierwszy zarejestrowałam niską barwę nowego głosu, zdając sobie sprawę, że zapewne był tam przez cały czas.

Gdy Nico pojawił się w drzwiach był bleśszy niż kiedykolwiek. Miał rozczochrane włosy, a szczękę pokrywał ciemny tygodniowy zarost, który nadawał mu starszy wygląd. Miał całe zabandażowane ramię, a drugi bandaż oplatał rękę.

Nie wszedł do środka, chociaż patrząc po jego cichym dreptaniu w miejscu wiedziałam, że tego chciał. Jak musiałam dla niego wyglądać? Jak dzikie zwierzę szykujące się do ataku czy jak coś zranione i zamknięte w klatce?

Bawił się krzyżykiem na szyi, przesuwając nim wzdłuż łańcuszka, co wydawało słaby zgrzyt w panującej ciszy.

- Jak się czujesz? – wychrypiął. Dym musiał się do niego bardzo dobrać.

Rozłożyłam szeroko ramiona: wyglądałam, jakbym została przeciągnięta przez obornik, a potem odziana na wysypisku przez ślełą osobę.

- Przykro mi – powiedział miękko. – Przykro mi, że zginęła.

Nie myśl o niej. Zdusiłam wszystkie myśli i zamiast tego spojrzałam na Nico. Niemożliwe było nie myśleć o ostatnim razie, kiedy go widziałam. Pamiętałam uderzenie kontenera w metalowe drzwi kuchni, błysk w oczach Nico, jak stanął oko w oko z moim wujkiem. *Nie myśl o Jacku.*

Wyciągnęłam bezwładne ciało Nico z pożaru, który zniszczył mi życie... *Nie myśl o pożarze.* Poszłam mu pomóc zamiast upewnić się, że moja mama była bezpieczna. Powinnam była sprawdzić, ale tego nie zrobiłam. Powinnam była pomóc najpierw jej, ale tego nie zrobiłam. *Nie myśl o niej.* Odciągnął mnie od jej białych tenisówek, kiedy byłam na tyle blisko, żeby ich dotknąć.

- Sophie? – Nico wychylał się zza progu, wbijając palce w futrynę.

- Co?

Zamrugał zaskoczony moją obcesowością.

- Martwię się o ciebie.

Gdy stał tak naprzeciw mnie zdałam sobie sprawę, że nie chciałam go widzieć. Wszystkie nasze wspólne wspomnienia były złe – nie przypomięłam sobie żadnych dobrych, nie potrafiłam udawać, że jego pocałunki odpędzą mrok. Wszystko było teraz nazbyt wyraźne.

- Nie musisz być już Marino – powiedział cicho. – Nie, jeśli tego nie chcesz.

- Nigdy nie byłam Marino – odparowałam. – Wiesz o tym.

Odwrócił zażenowany wzrok. Sądził, że okłamywałam go od samego początku... widziałam to w jego twarzy.

- I cholernie pewne, że nie jestem Marino teraz – dodałam, słysząc jad w moim głosie.

- Wróc ze mną – rzekł. – Razem pomścimy twoją matkę. Zabijemy ich za wszystko, co nam odebrali. Dostaniesz swoją zemstę, obiecuję ci to.

Cóż za sposób pocieszenia kogoś w głębinach rozpacz – obietnica śmierci i destrukcji – jednak zostałam tym naładowana. To był Nico... pewnych rzeczy nigdy mi nie da, nigdy nie poczuje empatii, ale to, to był jego świat i ze wszystkich złożonych przez niego obietnic wiedziałam, że dotrzyma właśnie tej. A to wносиło całkiem inne komplikacje, bo choć bardzo chciał to zrobić dla mnie, to w głębi duszy ta zemsta tak naprawdę będzie jego.

- Gino – przypomniałam sobie. – Postrzelili Gino.

Twarz Nico pociemniała.

- Jest w szpitalu, trzyma się.

- Aha. – Skinęłam głową, czując w sobie odrobinę ulgi. Drobną łaską. – Dobrze.

- Za to także zapłacę – powiedział twardo.

Spojrzałam na niego – na każdy centymetr jego ciała, tak naprawdę, w całości – po raz pierwszy. Nie patrzyłam na kości policzkowe, płonące oczy i delikatny zarys ust. Widziałam, jak jego ciało odżywało, zaciskające się palce na gardłach, jego dłoń dzierżącą nóż, czynny napędzane morderczymi zamiarami.

Jego koszulka była lekko pognieciona w pasie. Nawet teraz, w czasie żałoby, nosił ze sobą naładowany pistolet. Był zabójcą... zabijał wcześniej i będzie zabijał dalej, i wcale nie będzie tracił przez to snu. Nico był uosobieniem surowej, łomoczącej pasji i nie potrafił odmierzyć jej dla pewnych części swojego życia, a odmówić innym. Zależało mu na mnie, jasne, ale zależało mu także na innych rzeczach. Na mroczniejszych, brutalnych rzeczach, które tak naprawdę czyniły go tym, kim był w głębi duszy. On wrzucił Sarę Marino do jeziora. On wydrążył słowa ostrzeżenia w jej skórze. I oto stał tutaj, lśniąc w półmroku – anioł z piekła rodem.

Tak, *powiem* mu coś; powiem jedyną rzecz, która wciąż przebłyskiwała mi w myślach. Powiem to, co trzeba było powiedzieć.

- Zawahałeś się – rzekłam głośno i wyraźnie.

- Co?

- Nie opuściłeś broni.

- O czym mówisz?

Wydobyłam ostrożnie wspomnienie z Tamtej Nocy.

- W restauracji, kiedy ty i Luca weszliście przez tylne drzwi oboje podnieśliście broń. Spojrzałam w lufę twojego pistoletu, kiedy wycelowałeś nim bardzo pewnie w moją głowę.

Przez rysy Nico przeszło zrozumienie, rozluźniając je.

- Ale nie strzeliłbym do ciebie.

- Moja głowa była po drodze.

- Mam bardzo dobrego celu.

- Zła odpowiedź.

- Jaka jest dobra odpowiedź?
- Fakt, że jej nie znasz mówi sam za siebie.
- Dobrze strzelam – zaprotestował.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Chciałabym zostać teraz sama.
- Co?
- Zobaczylesz mnie. Najwyraźniej dalej żyję. Nie komunikuję się z żadnymi „pieprzonymi Marino” jak ich nazywasz. Odżywiam się i regularnie piję wodę. Możesz już iść do domu.

- Ale chcę ci pomóc, Sophie. To nie jest dobry...
- Nico – westchnęłam. – Nie możesz dla mnie nic zrobić.
- Kocham cię – powiedział błagająco.

Jego słowa trafiły mnie prosto w klatkę piersiową. Nigdy wcześniej mi tego nie powiedział, a teraz wyłożył to przede mną w najgorszym możliwym momencie w moim życiu. Nie mieliśmy już przed sobą żadnych sekretów – mieliśmy zimną, twardą prawdę, a te dwa słowa wydawały się nagle niesamowicie wielkie. Chciałam je usłyszeć odkąd pamiętałam. Pragnęłam, żeby ktoś spojrział na mnie tak, jak on patrzył teraz. Ale kiedy już się tego doczekałam... to było puste. Niewłaściwe. I w głębi duszy wiedziałam, że nie byłam w nim zakochana. Nigdy nie byłam. Zadurzyłam się w idei miłości i w okresie, kiedy posiadałam tak niewiele w życiu przeskoczył moje mury obronne i stał się tą ideą. Nie wiedziałam, kim ani czym był tak naprawdę pod skorupą.

- Nie znasz mnie – powiedziałam cicho. – Nie tak naprawdę. Cały wspólny czas spędziliśmy próbując nadać temu wszystkiemu sens przeciwko wszystkim szalonym przeciwnościom. Chodziło o przeszkody, nie o nas.

- Wiem, co czuję – odparł stanowczo.

Malutka załamana część mnie chciała się roześmiać.

- Nie potrafiłeś nawet na mnie *spojrzeć*, jak usłyszałeś, że jestem Marino.
- Byłem zaskoczony – zaprotestował.
- Kiedy kogoś kochasz, nie okłamujesz go. Nie celujesz pistoletem w jego głowę. I nie odwracasz się od niego plecami, kiedy jest najbardziej osłabiony. – Przełknęłam ciężko ślinę. – To nie miłość.

Potrząsnął głową.

- Myślę, że kochasz wyobrażenie o mnie – szepnęłam. Wypowiedzenie tych słów na głos bolało, ale poczułam również cień ulgi, jak gdyby pokręcona bajeczka, którą próbowałam wcielić w życie nareszcie dobiegła końca i wcale mi to nie przeszkadzało. Przestałam usiłować go zmienić, usiłować zmienić siebie, żeby do niego pasować. – Ale nie jesteśmy dla siebie odpowiedni, prawda? Okłamujemy się, *ranimy* się nawzajem.

Nico przycisnął knykcie do futryny.

- Mówiłem ci. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Istnieje wiele sposobów na zranienie drugiej osoby.

- Tak. – Wykrzywił twarz z konsternacji do czegoś, czego nie umiałam rozgryźć. – Istnieje.

Przetarłam sobie twarz dłońmi, czując nagle ogromne zmęczenie.

- Możemy jeszcze o tym porozmawiać – powiedział cicho. – Kiedy poczujesz się lepiej.

Nie chciałam dłużej na niego patrzeć. Jak mogłam, wiedząc, że poszłam po niego zamiast po moją matkę? Jak miałam na niego liczyć, kiedy miałam wypalony w głowie obraz, jak celował pistoletem w moją głowę? Zawsze będzie stawiał swoje obowiązki przed wszystkim innym. Najpierw był żołnierzem, potem człowiekiem.

Gdy nie odpowiedziałam, wziął wdech i powiedział:

- Dowiedzieliśmy się, że twój wuj i Donata spotykają się w Nowym Jorku z dostawcami. Nie wiem, jakie mają plany, ale kiedy będziesz czuć się na siłach powinniśmy porozmawiać o twoim bezpieczeństwie.

- On tutaj nie wróci – powiedziałam. – Nie po tym, co zrobił. Dzieje się wokół niego zbyt dużo zamieszania.

- Nie byłbym taki pewien.

Opadłam na poduszkę, walczyły we mnie strach z wściekłością.

- Muszę zostać teraz sama, Nico.

- Wrócę, jak będziesz czuć się lepiej. – Jeszcze przez chwilę stał w drzwiach. – I Sophie? Dziękuję za uratowanie mi życia.

„Zamiast jej” pomyślałam ze skręcającym zgorzknieniem. Co miałam na to odpowiedzieć? *Nie ma za co?* To nieważne. Zniknął w korytarzu. W moim żołądku zacisnęło się coś kwaśnego. Taniec wokół tematu tamtej nocy otworzył bramy i do mojej głowy niczym węże wślizgiwały się obrazy, musiałam się przed nimi zamknąć i zasłonić uszy, żeby się przed nimi obronić. *Jeszcze nie. Nie teraz.*

Czekałam, dopóki nie usłyszałam jak ciche kroki Nico docierają do podnóża schodów, po czym schowałam głowę w kolanach i kołysałam się w przód i w tył, próbując uspokoić myśli. *Myśl o czymś innym. Myśl o czymkolwiek innym.* To było bardzo trudne; każda część mnie była ograniczona do mojej matki, do restauracji, do mojego wujka. Wbiłam paznokcie w dłonie i skoncentrowałam się na małych półksiężycach bólu. Minuty mijały powoli i kotłująca się we mnie chmura była coraz cięższa. Słońce zaszło. Robiło się ciemno, a to przyniosło cichutkie dotknięcie ulgi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ZAŁAMANIE

- Sophie?

Podniosłam gwałtownie głowę.

Luca stał w moim pokoju. Był tak blisko mnie, że jego kolana ocierały się o moje łóżko. Jak mogłam wcześniej go nie wyczuć?

Usiadłam okryta kołdrą. Jego włosy były odsunięte z twarzy, więc błękitne oczy świeciły nienaturalnie w półmroku. Wykrzywił usta, ale tak poza tym wyglądał dobrze. Najwyraźniej zatrucie dymem nie zaszkodziło mu zaudto.

Nie miałam siły na oburzenie.

- Chcę być sama, Luca.

Zerknął na drzwi, przygryzając dolną wargę.

- Dlaczego zrobiłaś z siebie Eskimoskę?

- Słucham?

Pokazał na kołdrę zarzuconą na moją głowę i ramiona.

- To nie może być dobre dla twoich oparzeń. Na pewno jesteś niewiarygodnie przegrzana.

- Nic mi nie jest.

Przyspilił mnie wzrokiem. – Naprawdę?

- Nie przypominam sobie, że bym cię tutaj zapraszała.

Zniżył się do podłogi i usiadł na moim dywanie, podpierając się z tyłu na rękach.

- Daj spokój, Sophie. Powinnaś już doskonale wiedzieć, że mam nawyk pojawiania się tam, gdzie nie jestem proszony.

Jego spojrzenie było oceniające. Miałam okropne przeczucie, że pochylał się nad zawartością mojej duszy. Wtedy uświadomiłam sobie, dość niestosownie, że to był pierwszy raz, jak wypowiedział do mnie więcej niż kilka słów odkąd wsunął palce w moje włosy i przycisnął wargi do moich ust. *Stop.*

Wtuliłam się głębiej w moje eskimoskie nakrycie.

- Co ty tu w ogóle robisz?

- Czekam – odpowiedział.

Zrzuciłam kołdrę za siebie. – Na co czekasz?

- Na to.

- *To?*

- Na rozmowę, Sophie. Musisz z kimś porozmawiać.

Przez jedną ceną, złotą chwilę czułam w sobie jedynie czyste niedowierzenie.

- *Teraz* chcesz ze mną gadać? – zapytałam.

Ściągnął rysy twarzy.

- Co masz przez to na myśli?

- Nic się nie zmieniło – powiedziałam. – Dalej jestem Marino.

- A ja jestem Falcone. – Pokazał na siebie. – Kto się tym przejmuje?

- Ty, Luca. Tamtego dnia w twoim domu. – Nie byłam tak naprawdę o to wściekła – biorąc pod uwagę sytuację, to miało sens – ale zasługiwało na wzmiankę, szczególnie, że nie zamierzałam wymieniać *innego* powodu, dlaczego zachowywał się tak dziwnie na Radzie. – *Ty się przejąłeś* – powtórzyłam, próbując otrząsnąć się z ukłucia, które niosło ze sobą to wspomnienie.

Nachylił się bliżej. – Masz cholerną rację, że się przejąłem – warknął. – Przejąłem się, że Marino stojąca przed całą moją rodziną z czerwonym krzyżykiem na czole była jedyną Marino w całej historii świata, na której kiedykolwiek będzie mi zależeć.

- Och – wydukałam. Pod tęnym łomotem żalu zatrzepotało we mnie coś innego. – Nie przejąłeś się... nazwiskiem.

- Nie nazwiskiem, tylko dziewczyną. – Podtrzymał nieruchomo mój wzrok.

Spojrzałam na moje ręce złożone na kołdrze.

- Naprawdę nie jesteś taki, jak oni – mruknęłam.

- Nie – odparł. – Nie jestem.

Pomyślałam o własnej rodzinie. O sejfie, scyzorykach, pierścionku. Evelinie. Boże. Rzeczy, o których wiedziałam. Rzeczy, o których *chciałabym* nie wiedzieć.

Pokręciłam głową.

- Gdybyś wiedział jak mocno jestem wplątana w te sprawy Marino... - urwałam, nabierając gwałtownie tchu. To było za dużo myśli naraz.

Posłał mi konspiracyjny uśmiech.

- Gdybyś wiedziała jak mocno jestem wplątany w te sprawy Falconów...

- Wiesz, o co mi chodzi – skrzywiłam się.

- Nie będę cię osądzał – powiedział. – Jesteś tą samą osobą, co wcześniej. Więc proszę cię – oparł się znów na rękach i tym razem jego uśmiech był łagodny – nie przejmuj się resztą kwestii, Marino.

- Dobrze, Falcone. – Spojrzałam na niego spod byka i odwzajemnił się tym samym. – Ale naprawdę chciałabym zostać teraz sama, więc jeśli sądzisz, że będę tu siedzieć i wyznam ci wszystkie moje żale, to jesteś w błędzie.

- W porządku. – Wzruszył ramionami i spojrzał na maleńką szparę w moich zasłonach. – Wiedziałaś, że dzisiaj będzie krwawy księżyc? Powinnaś rozsunąć zasłony, żeby go zobaczyć.

- Czy ty mówisz poważnie?

Uniósł brwi, powodując, że jego oczy wydawały się niemożliwie większe i błękitniejsze niż normalnie.

- Widziałaś kiedyś? – zapytał. – Księżyc wygląda jakby został zanurzony w czerwonej farbie i lśni tak jasno, że ledwo widać gwiazdy. To jedno z tych zjawisk przypominających ci jak... no co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Okej, Mufaso. Rozumiem.

Luca otworzył szeroko usta i nagle miałam absurdalną ochotę, żeby się roześmiać.

- Przepraszam, że próbuję cię oświecić na temat cudów tego wszechświata.

- Nie trać dla mnie oddechu, Przyrodniczy Kujonie. Oszczędź go na dokumenty o kosmosie, które najwyraźniej chcesz zrobić.

Potrząsnął głową. – Widzisz, co się dzieje, kiedy próbuję być szczery? Depczesz moje marzenia.

- Nie depczę ich, tylko się z nich naśmiewam. To różnica.

- Naprawdę?

- Bardzo subtelna.

- Dasz mi więc skończyć?

Zostałam wciągnięta z powrotem do mojego ciała, poczułam jak rozbawienie powoli spływa z moich obolałych policzków. Czy ja się uśmiechałam? Zmarszczyłam brwi, karcąc samą siebie. Potarłam się po piersi, próbując załagodzić nagle wzrastający ból wewnątrz, który domagał się, żebym go czuła.

Luca znowu gadał. Czy to była jego zagrywka? Czy naprawdę uważał, że byłam zainteresowana astrologią w takim okresie?

- Co ty tutaj dalej robisz? – przerwałam mu. – Na poważnie.

Urwał gwałtownie zdanie. Patrzyłam, jak zastanawia się nad następnymi słowami i byłam zdziwiona, że zaczęłam rozpoznawać subtelne zmiany w języku jego ciała.

- Przeszliśmy przez coś wielkiego, Sophie. Ty przeszłaś przez coś wielkiego.

- No i?

- *No i?* – powtórzył z naciskiem. – Martwię się o ciebie.

- Nie martw. – Pustka w mojej piersi robiła się coraz większa. Położyłam się i wbiłam wzrok w sufit.

- Uratowałaś mi życie, Sophie. *Znowu* – dodał po chwili, jakby sam nie potrafił w to uwierzyć. Nie byłam pewna, co bardziej nim wstrząsało; fakt, że ciągle był niesamowicie bliski śmierci czy fakt, że to *ja* ciągle go ratowałam.

- 2-1 dla mnie – odparłam bez rozbawienia. – Jesteś mi winien wielki gest.

- Myślałem, że był nim bukiet.

- Jeden raz to bukiet. Drugi raz to wielki gest.

- Powiedz, co to ma być.

- Idź sobie. Czy to wystarczająco wielki gest?

- Zbyt wielki.

Odetchnęłam głośno do sufitu.

- O co chodzi z tą staruszką w twojej kuchni? Siedzi tutaj od tygodnia. Zapytałem czy jest twoją babcią, to nazwała mnie bezwartościowym poganinem i kazała nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Millie musiała ją zmusić, żeby wpuściła nas do środka, a kiedy Nicoli próbował zrobić sobie kanapkę, rzuciła w nim widelcem. Nie radziłbym tego, jako osoba, która rzuciła wiele widelców w mojego brata. Ma bardzo podły temperament... - Luca mówił dalej, wypełniając przestrzeń warstwami słów, czekając aż coś odpowiem.

Rozplątałam kołdrę i zarzuciłam ją na siebie z jękiem. Mógł siedzieć sobie tutaj ile zechce i wypalić dziurę w moim dywanie, ale jeśli sądził, że przekona mnie do otworzenia się przed nim, to się grubo mylił.

Zmienił taktykę.

- Co powiedziałaś wcześniej Nicoliemu? Nigdy nie widziałem go takiego skruszonego. Chodzi o tą jego brodę? Dziwacznie w niej wygląda, co nie? Jeszcze kilka dni i zamieni się w Rasputina. Tak w ogóle to odniesienie historyczne. Zapewniam, że bardzo zabawne...

Wykonywałam projekt historyczny o Rasputinie. Uśmiechnęłam się wbrew sobie, po czym przygryzłam wewnątrz policzków i skupiłam na bólu, zmuszając się do przypomnienia twarzy matki.

Luca nareszcie umilkł pokonany moim bezruchem. Wciąż czułam jego obecność. W powietrzu czuć było słaby zapach jego wody kolońskiej. Byłam doskonale świadoma każdego jego wydechu, każdego cichego poruszenia.

Nie ruszył się z miejsca, nawet nie wyciągnął telefonu. Wpatrywał się tylko w ciemność i po co? Po dziesięciu minutach znów usiadłam i wykopałam spod kołdry, uwalniając się od jej gorąca. Zwróciłam się twarzą do niego.

- Nie potrafisz pojąć aluzji?

- Potrafię – odparł. – Ale to nie znaczy, że muszę jej słuchać.

- Cóż, twoja obecność tutaj jest niestosowna. To moja sypialnia.

Uniósł brwi. – Ty byłaś w *mojej* sypialni.

No i proszę. A więc pamiętał. Nie wydawało się, że mu zależało, ale przynajmniej o tym nie zapomniał.

- Przepraszam – powiedział szybko, pochylając głowę i przesunął ręką po szczęce. – Nie powinienem był tego mówić.

Siedzieliśmy w ciszy. Po krótkiej chwili odwrócił się ode mnie i położył na dywanie, zakładając ręce za głowę. Przyglądałam się jego profilowi, linii czoła i prostemu nosowi. Potem również się odwróciłam. Cóż za pora, żeby być powierzchowną i rozproszoną.

Po raz kolejny pomyślałam o mojej mamie. Przypomniałam sobie, jak miałam sześć lat i przegapiłam wóz z lodami, kiedy przejechał obok mojego domu. Goniłam za nim i jak tylko zniknął za zakrętem na końcu mojej ulicy, potknęłam się. Rozpląkałam się, kiedy po moich nogach spływały stróżki krwi. Matka rozmawiała wtedy z jedną ze swoich klientek przez telefon i patrzyła na mnie przez okno. Wybiegła na dwór i wzięła mnie w ramiona. Czułam lawendę i olejek do opalania. *Nie płacz, kochanie.* Pojechaliśmy do sklepu na rogu i wypełniłyśmy koszyk lodami na patykach o wszystkich możliwych

kolorach. W domu załadowałyśmy zamrażarkę do pełna. Uśmiechnęła się na widok moich zsiniałych ust. *Teraz zawsze będziesz mieć zapas, więc nie będziesz musiała gonić za wozem, jeśli go przegapisz.*

I znowu ten ból, ostry i skręcający mnie od środka. Sapnęłam głośno, wracając do rzeczywistości.

- Myślisz o niej? – zapytał Luca.

Nie odpowiedziałam.

Usłyszałam, jak się porusza i kątem oka obserwowałam zarys jego sylwetki. Podnosił się do pozycji siedzącej.

- Mówią, że uwewnętrzniony żal dłużej się leczy.

Otworzyłam usta, ale zaraz znowu je zamknęłam. Nie miałam nic do powiedzenia.

Jego twarz zamieniła się w coś łagodnego i ponurego.

- Kiedy zmarł mój tata, nie płakałem przez trzy tygodnie. Nie, żebym nie był smutny. Byłem smutniejszy niż można sobie wyobrazić. Miałem wrażenie, że coś kopie we mnie, próbuje wydostać się na zewnątrz. Nawet rana postrzałowa błędnie w porównaniu. – Uśmiechnął się leciutko, cierpko. – Ale z jakiegoś powodu nie potrafiłem o tym rozmawiać, nie potrafiłem płakać. Jakby wszystko utknęło wewnątrz mnie i im dłużej to trwało, tym bardziej miałem wrażenie, że jestem rozrywany od środka. Wciąż się zastanawiałem, co jest ze mną nie tak, dlaczego nie potrafię rozpaczać tak jak moi bracia. Dlaczego nie potrafiłem tego poczuć i... dać temu upust.

- Dlaczego nie mogłeś?

- Nie wiem – powiedział. – Chyba byłem zbyt przerażony, żeby płakać. Nigdy nie wiedziałem, że żal jest podobny do strachu. Bałem się życia, w którym nie było mojego ojca. Był częścią mojej tożsamości, a kiedy odszedł miałem wrażenie, że zabrał ze sobą jej kawałek.

- Najlepszy kawałek – szepnęłam, czując głucho dudnienie współczucia.

- Tak – mruknął. – Najlepszy.

- Myślisz, że to prawda?

- Może. – Potrząsnął głową. Nadal na siebie nie patrzyliśmy, ale teraz widziałam większość jego twarzy. Marszczył czoło. Był zatracony w innym czasie i miejscu. – Ale wtedy nie brałem pod uwagę, że pozostawił za sobą również swoją część, we mnie.

- Jego najlepszy kawałek?

Dostrzegłam błysk jego uśmiechu.

- Lubię tak myśleć.

Przez szparę w zasłonach przedzierały się smugi księżyca, rzucając światło na dywan. Widziałam ręce Luki, które były blade pod ich blaskiem.

Zorientowałam się, że przysuwam się bliżej, pragnąc go widzieć i chcąc, żeby on spojrzał na mnie.

- Czy robi się łatwiej?

- Nie wiem – przyznał. – Tak mówią, ale sędzę, że ból robi się znośny nie dlatego, że jest cichszy albo mniejszy, ale dlatego, że się do niego przyzwyczajasz. Życie toczy się dalej, a ty razem z nim.

Zmarszczyłam brwi, pocierając ból pod klatką piersiową.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedykolwiek do niego przywyknę – wyznałam.

Obrócił się, żeby przyjrzeć mi się w ciemności. Blask księżyca omiotł jego twarz, rozjaśniając głęboki kobalt jego oczu.

- Zdziwiłabyś się, do czego jesteś zdolna.

- Nie sędzę.

- A ja tak.

Zaczęło mnie ścisnąć w gardle.

- Jak mam to zrobić?

Luca podniósł się na kolanach i nachylaliśmy się do siebie na poziomie wzrokowym. Nie dotknął mnie, ale coś wewnątrz mnie dawało mi wrażenie, że może chciał. Ja chciałam, żeby mnie dotknął. Jego ręce znajdowały się blisko moich.

- Zaakceptuj ból, Sophie. Nie bój się go. Pozwól, żeby po tobie spłynął. Wykorzystaj go, jako napędzające cię paliwo.

- Nie chcę myśleć o tamtej nocy.

- Musisz, prędzej czy później.

- Powinnam była ją uratować.

- Nie mogłaś.

- Nie postarałam się wystarczająco.

- Sophie. – Luca wciąż się przybliżał. Byłam otoczona jego zapachem, świeżym i znajomym. Zaczęły mi drżeć palce. Wokół zaczęły walić się mury, rzeczy, które

trzymałam pod powierzchnią znów zaczynały wypływać. – Gdy wyciągnąłem cię z tego pożaru byłaś niemal martwa. Nawet gdybyś do niej dotarła byłoby za późno dla was obu.

Patrzyłam na niego oniemiała i coś błysnęło na obrzeżach mojej pamięci. Przypomniałam sobie dotyk rąk na kostkach, ramionach, talii, odciągających mnie od niej rąk.

- Ty mnie wyciągnąłeś?

Opadł na pięty. – A myślałaś, że kto?

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi do niej dotrzeć?

- Nie byłabyś w stanie tego zrobić.

- Dlaczego mnie od niej zabrałeś? – Mój głos się zmienił.

Jego głos również. Gniew, strach, nacisk naprężyły jego słowa.

- Bo paliłaś się żywcem. Zrobiłaś to, czego ci zabroniłem. Skoczyłaś z klifu.

- Usiłowałam ją uratować!

- Zabijałaś siebie!

Mury zostały powalone i mój umysł eksplodował od wspomnień tamtej nocy.

- Wołała mnie.

Luca zaczął poruszać się wolniej i spokojniej.

- Nie wołała.

- Słyszałam ją.

- Pożar czyni dziwne rzeczy ze zmysłami.

- Mylisz się. – Wciąż myślałam o tamtych białych tenisówkach.

Luca położył ręce po bokach moich nóg, zwijając kołdrę w palcach.

- Sophie – powiedział miękko – twoja matka straciła życie podczas wybuchu. Była zbyt blisko kuchenki, kiedy to się stało.

Podniosłam się, odsuwając od niego. Odłączałam się, mój pokój wirował, jak uderzyły we mnie wspomnienia.

- Mogłam ją uratować, ale zabrałeś mnie od niej!

Kręcił głową.

Ogień skwierczał w moim umyśle. Piekły mnie ramiona. Czułam w ustach przypalone włosy. Przed pożarem nastąpiła eksplozja, przed eksplozją w powietrzu unosił się gaz, a przed gazem był Jack. Przed tym... przed tym było wszystko inne. Szalejąca wojna. Chwytałam się jakichkolwiek nici rozumienia.

- Zwabili cię do siebie. Wiedzieli, że przyjdiesz ochronić swoich braci.

- Tak.

Jak mógł zachowywać takie opanowanie? Czy nie myślał o tych wszystkich rzeczach, co ja? Czy nie czuł żaru tych wspomnień, jakby były prawdziwymi płomieniami?

- Powinieneś być mądrzejszy.

- Wiem.

- Moja matka nie żyje. – Pierwszy raz powiedziałam to na głos. Miałam wrażenie, że obdzieram się ze skóry. Piekły mnie oczy.

- Wiem – powiedział delikatnie.

- Chcieli cię zniszczyć. Chcieli dać mi nauczkę. I przez to zabili ją. Nie miało jej tam być. – Wszystko ze sobą kolidowało i poczułam rozżarzoną do białości furję. Wyrzuciłam z siebie pośpieszne słowa. – Gdybyście ty i Nico nie weszli, toby tego nie zrobili. Mówiłam wam, że Donata nadchodzi. Powiedziałam wam, że coś planuje, ale nie mogliście tego zostawić... nie mogliście się poddać! Musieliście zaryzykować wszystko dla jakiejś głupiej gry honoru, która ostatecznie nie ma żadnego znaczenia! Gdybyście nie tkwili pod restauracją, *obserwując*, czekając na nich, próbując *ich skrzywdzić* zamiast próbować chronić samych siebie, to wszystko nie miałoby miejsca. Gdybyście wy, Falcone, nie zamordowali Sary Marino – gdybyście nie *upierali się*, żeby zabijać *wszystko i wszystkich* – to moja mama wciąż by żyła. Nie powinniście za nimi iść. Nie powinniście byli wpadać do tej knajpy. Dlaczego nie mogliście zostawić tego wszystkiego w spokoju?

Luca podniósł się z podłogi.

Ja również wstałam. – Nie masz prawa wychodzić zanim to usłyszysz! – krzyknęłam.

Stał po prostu zwrócony do mnie twarzą i patrzył na mnie pewnym wzrokiem.

- Wiem – powiedział. – Wyrzuc z siebie wszystko, co musisz.

- Nie traktuj mnie jak dziecko! – Miałam mokrą twarz i zorientowałam się zaskoczona, że płakałam. Łzy spływały po mojej szyi, mocząc mi kołnierzyk koszulki. – Odkąd tylko twoja rodzina pojawiła się w moim życiu wszystko się pochrzaniło!

- Przykro mi.

- A teraz nie mam już nic. – Szlochałam tak mocno, że słowa grzęzły mi w gardle. Kaszlnęłam i zamieniło się to w świst i zgięłam się w pół, krztusząc na łożku.

Luca przysunął do mnie ręce, ale odepchnęłam je.

- Zniszczyliście mi życie.

- Nigdy nie mieliśmy takiego zamiaru, Sophie.

Cofnęłam się, uderzając kolanami o stolik nocny. Przesunęłam rękami po twarzy, ścierając wilgoć.

- Unicestwiliście mnie.

Przysunął się do mnie.

- Wiem, jak to jest, Sophie.

- Nie. – Szturchnęłam jego pierś. – Nie wiesz. Ciągłe igrasz z ludzkim życiem. Pewnie odebrałeś tyle samo, ile opłakiwałeś. Przywykłeś do prawdopodobieństwa śmierci, żyjesz w jej pobliżu. Mieszkałyśmy z mamą w *tym* domu, w *tym* spokojnym miejscu, gdzie zamartwiałyśmy się kotletami na kolacje, zarabianiem na czynsz, naprawą samochodu i przypilnowaniem, żeby zmywarka znowu się nie popsuła! Nie zasługiwała na taką śmierć.

- Nie próbuję...

- Masz braci, kuzynów, wujków i matkę, którzy cię kochają! – wtrąciłam. – Mimo tych wszystkich złych czynów masz całą rodzinę, do której możesz się zwrócić, a ja nie mam nikogo.

- Sophie...

- Myślałam, że ochronicie nas przed nimi – wydusiłam.

- *Ochronimy*, Sophie. Wróc ze mną do domu – powiedział ponaglająco – tam już cię nie dopadnie.

- Czy ty nie widzisz? – zapytałam, słysząc jak mój głos narasta do maniakalnego poziomu. – On już mnie dopadł. – Popchnęłam Lucę i zatoczył się do tyłu, łapiąc się za bok. Jego rana. W jego oczach błysnął ból.

- Wyrzuć to z siebie – powiedział, zaciskając zęby. – Wyrzuć wszystko.

- Wyrzucić to z siebie? – powtórzyłam. – Wyrzucić „uczucia”, o to ci chodzi, tak? Co powiesz na to... - Popchnęłam go. Zachwiał się, obejmując się mocniej ramieniem. – Ja. – Trąciłam go raz jeszcze i odwrócił się nagle, wycofując pod szafę. – Nienawidzę. – I znowu. – Ciebie.

Zazgrzytał zębami. – W porządku.

- Nie w porządku! – krzyknęłam na niego. – NIC Z TEGO NIE JEST W PORZĄDKU! – Zwinęłam jego koszulkę w pięściach. – Dlaczego cię uratowałam? Żeby doszło do tego!

Odepchnęłam go i uderzył głową o szafę. Wytrzeszczał oczy, dwie wielkie przestrzenie wstrząsającego błękitu ocienione zmarszczonymi brwiami. Poczułam ukłucie czegoś nieprzyjemnego... żalu, wyrzutów sumienia? Nie mówiłam poważnie – nie tak naprawdę – ale nie przemawiała przede mną logiczna strona.

- Przepraszam – powiedział bez tchu.

Wpatrywałam się w moje ręce ściskające jego bluzkę. Odsunęłam się od niego, obserwując moje palce. Drżały zwinęte w pięści. Spojrzałam na Lucę. Jego ciało pochylało się ku rannej stronie. Miał wpół przymknięte powieki. Na ile sposobów go zraniłam? Jak daleko się posunę? *Pozwalał* mi na to... chociaż mógł z łatwością mnie zatrzymać, to tego nie uczynił. Zaatakowałam go każdą kropelką czającego się we mnie jadu i nie poczułam ulgi, której się spodziewałam. Czułam się jak uszkodzona wersja siebie. Moja matka zginęła, a podczas jej nieobecności stałam się zgorzkniała i okrutna.

Zawładnęło mną znajome uczucie paniki. Nie wiedziałam, co zrobić, jak go stąd wypędzić, jak mu powiedzieć, że tu naprawdę nie chodziło o niego. Chodziło o nią. Po raz drugi wylewały się ze mnie łzy, spływając mocniejszą i szybszą strugą po moich policzkach. Wyrwał mi się zduszony płacz i zorientowałam się, że hiperwentyluję. „Załamuję się” pomyślałam przerażona. „Tracę siebie”.

Luca naparł na mnie i pomyślałam, że nareszcie się zemści, zrobi mi to samo, co ja jemu. Ale nie zrobił tego. Podszedł do mnie, przyciągnął do swojej piersi i owinął wokół mnie ciasno ramiona. Opadłam na niego, nogi miałam jak z waty. Byłam taka przerażona, że pozwoliłam, by mnie tulił, czując pod policzkiem jego twarde ciało, gorączkowe dudnienie naszych serc dociskających się do siebie.

Mówił coś nisko i ponagłajaco w moje włosy, ale nie słyszałam go. Coś we mnie pękało; przekłuł balon w mojej klatce piersiowej i ciśnienie zaczęło spadać. Mój płacz był stłumiony przez jego ciało, łzy tworzyły mokre plamy na jego koszulce. Wdychałam jego zapach, przyciskałam palce do jego obojczyków, jak trzymał ręce na moich plecach, a szloch potrząsał całym moim ciałem.

A to nie wystarczyło. Potrzebowałam znaleźć się bliżej niego; potrzebowałam zapomnienia. Podniosłam głowę i przeniósł dłonie na moją twarz, ścierając delikatnie łzy spod moich oczu.

- Wszystko będzie dobrze – mruknął, dotykając ciepłymi opuszkami mojej skóry. Przytknął czoło do mojego. – Nie pozwolę, żeby znowu cię skrzywdził.

Oddech stanął mi w gardle. Złapałam za kołnierzyk jego bluzki i uniosłam podbródek. Jego wargi musnęły moje.

- Sophie – szepnęła. – Nie możemy...

- Proszę – powiedziałam, zarzucając ręce na jego szyję. – Potrzebuję tego. – Cokolwiek zamierzał powiedzieć zagubiło się pomiędzy nami, ponieważ nagle przywierałam do niego ustami, a on wplatał palce w moje włosy, całując mnie tak mocno, że zabrakło mi powietrza. Tak. Właśnie tego potrzebowałam. Przyległam do niego ciałem i przeczesałam mu włosy, przyciągając go bliżej, wdychając jego zapach. Mruknął cicho, wsuwając język do moich ust, pogłębiając pocałunek i złapał mnie w pasie, obracając. Odnalazł moje dłonie i spleliśmy palce, które uniósł nad moją głowę i przycisnął do szafy. Oparł się o mnie, przypieczętowując każdy cal przestrzeni pomiędzy nami swoim ciałem i odpędził wszystkie złe wspomnienia.

Złapał gwałtownie powietrze przy moich ustach i uśmiechnęłam się, kiedy cały ból i ciemność spłonęły w naszym pocałunku. Dzięki niemu kręciło mi się w głowie. Dzięki niemu zapomniałam.

Skończyło się o wiele za szybko. Nagle odsunął się ode mnie i złapał się za pierś, dysząc.

- Przepraszam – powiedział, patrząc szeroko otwartymi oczami. – *Cazzo*. Nie powinienem był.

- Ja to zrobiłam – odparłam, oddychając nierówno i oderwałam się od szafy. – To byłam ja.

- Nie mogę. – Zrobił krok do tyłu. – To niewłaściwe.

Ja również się odsunęłam. Co ja sobie myślałam? Co ja *wyprawiałam*? Wyglądałam jak bałagan, *byłam* bałaganem. Nie spałam dobrze od wielu dni.

- Nie chcesz – powiedziałam, czując gwałtownie powracający ból, a rozpacz i złość zmieszały się w koktajlu wstydu i żalu. – Nic się nie stało.

- Oczywiście, że chcę – odparł rosnącym tonem. – Chcę bardziej niż zdajesz sobie sprawę. *Zawsze* chcę, w tym tkwi problem.

Zmusiłam się, żeby podnieść na niego wzrok.

Miał zboląły wyraz twarzy.

- Nie wykorzystam twojej rozpaczki, Sophie. Nie jestem takim facetem.

Kiwnęłam głową, czując jak zanika odrętwiający efekt jego pocałunku. Do mojej głowy znów wpadły wspomnienia i zebrały się we mnie chmury, ciężkie i nieugięte. Byłam zbyt wyczerpana, żeby z nimi walczyć.

Luca wciąż mówił. Moje ciało dygotało.

Widziałam twarz mojej matki, rozłożone nogi, oszołomiony wyraz twarzy. I nienawidziłam tego. Nienawidziłam jego, jego rodziny i wszystkiego, co mi zrobili, a on

znowu mnie przytulał i zorientowałam się, że wylewałam z siebie jeszcze więcej łez, chociaż nie powinnam mieć już żadnych, jego ramiona były zbyt silne, żebym się wyrwała i miałam wrażenie, że się duszę, a przez to chciałam go skrzywdzić, nawrzeszczyć na niego i kazać mnie zostawić. Wiedziałam, że nie chodziło o Lucę i o tym także chciałam mu powiedzieć, ale ostatecznie nie potrafiłam powiedzieć nic. Odepchnęłam się od niego, zatoczyłam do tyłu i opadłam na łóżko.

- Sophie. – Jego głos był szorstki. Wyczuwałam, że kręcił się koło łóżka, ale nie chciałam na niego patrzeć.

- Idź sobie – poprosiłam. – Po prostu idź. Błagam. Muszę być sama. Potrzebuję trochę czasu.

- Dobrze – poddał się w końcu. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować...

- Poradzę sobie – powiedziałam szybko.

Luca wyciągnął z tylnej kieszeni swój scyzoryk i położył obok mnie na łóżku.

- Na wszelki wypadek – mruknął.

Przejechałam palcem wzdłuż grawerunku, wzdłuż tak dobrze mi znanych liter.
Gianluca.

- Scyzoryk Falcone'a dla dziewczyny Marino – szepnęłam. – Czy tego chciałby twój dziadek?

Wyciągnął z kieszeni coś jeszcze.

- Nie jestem moim dziadkiem. – Uniósł rękę pomiędzy nami i wbiłam wzrok w leżący na niej rubinowy pierścionek Eveliny. – Tak jak ty nie jesteś swoim ojcem.

Zerknęłam na pusty stolik nocny. Musiał podnieść go, kiedy się dąsałam. Boże. On wiedział. *Wiedział.*

- Życie potraktowało cię już wystarczająco surowo – powiedział cicho, zamykając palce na pierścionku. – Nie musisz płacić również za jego błędy, Sophie. – Ruszył do drzwi, zatrzymując się za progiem. – Jak będziesz gotowa, przyjdź do nas. Damy ci Azyl. Poręczę za ciebie przed rodziną i moim bratem. – Podparł głowę o futrynę i dodał ze smutnym uśmiechem. – Nie zapominaj, dziewczyno Marino, że wciąż jestem ci winien wielki gest.

Uśmiechnęłam się przez łzy. Dlaczego tak cholernie trudno mi było na niego patrzeć? Zamknęłam oczy.

- Idź już, proszę.

I poszedł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

KRWAWY KSIĘŻYC

Gdy wszyscy wyszli pozwoliłam, żeby zalały mnie wspomnienia. Tym razem ich nie odrzuciłam. Nadeszły łzy a wraz z nimi wyzwolenie. Wzięłam prysznic i ubrałam się. Czułam się stłamszona przeszywającą ciszą, stałym uczuciem samotności, więc wzięłam bluzę i wyszłam do ogrodu. Usiadłam na trawie i wypchnęłam z siebie wszystkie myśli. Krwawy księżyc zwisał nisko nade mną, czerwone zmarszczki tworzyły w nim rowki. Szare łaty plamiły jego powierzchnię, zakrzywiając się w szkarłatne rzeki. Położyłam się, zakładając ręce pod głowę. Kwiaty mamy wносиły w powietrze zapach słodkości, odpędzając gryzące wspomnienia popiołu.

Rozpłynęły się myśli o pożarze, Jacku, czynszu, opiekunach prawnych i przyszłości balansującej na ostrzu noża. Wspomnienia płomieni i dymu wsączyły się w ciepłe nocne powietrze i ogarnęła mnie obecność matki, tym razem delikatnie, jak koc rozłożony na ziemi. Spojrzałam w górę, poza mój dom i smutek tkwiący w jego murach. Byłam strasznie zmęczona, każdy miesiąc wyczerpany ciągłym kurczeniem. Musiałam zacząć planować, wiedziałam o tym, ale myśli zlewały się z otaczającym mnie mrokiem. Istniał jedynie księżyc i łagodny szepc ciepłego wiatorku. Zasnęłam w cichym komforcie wielkiego szerokiego świata i pod czujnym spojrzeniem pięknej kuli.

Gdy się obudziłam, słońce widniało wysoko na niebie. Do spodu ramion przyczepiły mi się źdźbła trawy, a włosy wyschły w karbowanych falach za głowę. Bzyczał mi telefon. Na ekranie błysnął „Nieznany numer”, kiedy przesunęłam po nim palcem.

- Halo? – zapytałam półprzytomnym głosem.

- Sophie?

Prawie zmiażdżyłam komórkę w pięści.

- Jack?

- Muszę z tobą pogadać.

- Żarty sobie robisz? – Usiadłam prosto jak deska, skupiając się na otoczeniu, jak głowa groziła eksplozowaniem. – Szuka cię policja – powiedziałam głosem, który robił się gruby i łzawy. – Mama nie żyje, wiedziałeś o tym, ty samolubny sukinsynie?

Ton Jacka był rzeczowy.

- To był wypadek – odparł stanowczo. – Wiesz, że tego nie chciałem. Sytuacja wymknęła nam się spod kontroli.

Złapałam się za brzuch, walcząc z mdłościami.

- Pozwoliłeś na to. Jesteś mordercą.

Jego odpowiedzi towarzyszyło długie westchnienie.

- Rozumiem, że jesteś w żałobie, ale na to przyjdzie czas później. Musisz się gdzieś ze mną spotkać.

On chyba urwał się z księżycą, jeśli był na tyle głupi, by sądzić, że jeszcze kiedykolwiek zechcę mieć z nim cokolwiek wspólnego.

- *Czy ty oszalałeś?* Czy naprawdę straciłeś rozum?

- Donata chce, żebym cię teraz sprowadził. Rozgrywają się ważne sprawy. Nie zapominaj, Sophie, że jesteśmy Marino. A Marino trzymają się razem.

Rzeczywiście stracił rozum.

- Jak mogłeś czekać tak długo z telefonem do mnie? Jak mogłeś tak uciec? Jak mogłeś jej to zrobić? – Po co w ogóle pytałam? Nic, co powie nie cofnie tego, co zrobił.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić przez cały tydzień. – Jack bełkotał i zdałam sobie sprawę, że był zapewne naćpany albo pijany, albo jedno i drugie. – W Cedar Hill trwało za dużo zamieszania, ale wszystko już cichnie. Posłuchaj – powiedział. – Jestem twoim opiekunem. Rozmawiałem z Donatą; przekonałam ją. Byłaś przerażona tamtej nocy, nie wiedziałaś, co robisz, wciąż jesteś tylko dzieckiem. Mamy dla ciebie robotę. Zaopiekujemy się tobą... będziesz mieć pieniądze i ochronę. I potrzebujemy cię. Młodej dziewczyny, której nikt nie będzie podejrzewał, takiej jak Sara. Zostaniesz naszą sekretną bro...

- Nie waż się do mnie zbliżyć – ucięłam mu. – Jesteś trucizną, Jack – wykrztusiłam. Jak rozpaczliwie chciałam złapać go za gardło i patrzeć, jak cierpi. Pomyślałam o obietnicy Nico i coś we mnie zaiskrzyło. Chciałam sprawić, żeby Jack zapłacił.

- Pogadamy o tym – powiedział. – Nie musisz być dłużej sama.

- Jestem sama przez *ciebie!* – wysyczałam. Wbijiałam paznokcie tak mocno w ręce, że zostawiałam rowki. Cała dygotałam, pełna tak wielkiej nienawiści, iż myślałam, że zaraz się porzygam.

Podniósł głos. – Przykro mi z powodu twojej mamy. Byłem przekonany, że pożar wybiję Falconów, ale błędnie wszystko obliczyłem. Popełniłem błąd, Sophie. Nadal jest czas, żeby go naprawić. Zaufaj mi, staram się ciebie chronić. Chcę się upewnić, że będziesz bezpieczna. Nie da się uniknąć przyszłości. Jeśli nie jesteś z nami, to przeciwko nam, a Donata nie zaakceptuje niczego innego niż twojej pełnej zgody. Nie po tym, jak zawahałaś się w restauracji. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

Rozłączyłam się i rzuciłam komórką o ziemię. Rozlały się we mnie strach i wściekłość. On nie przestanie. Był naćpany, skorumpowany, głodny zysku i byłam na jego celowniku. Nico miał rację. Albo dołączę do niego, albo Marino obedzą mnie żywcem.

Jak daleko był Nowy Jork? Ile zostało mi czasu? Przypomniałam sobie zimne spojrzenie Donaty Marino. Co mi zrobi, jeśli odmówię jej pomocy?

Zamknęłam za sobą tylne drzwi i wbiegłam szybko na górę. Nie będę dłużej łatwym celem. Nie podzielę losu mojej matki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

UCIECZKA

Byłam w łazience na górze, wciskając krem nawilżający do już pełnej torby, kiedy usłyszałam na dworze trzaśnięcie drzwi samochodowych. Wpadłam do pokoju matki, ignorując stęchłe poczucie depresji czepiające się zasłon o zapachu lawendy. Przysunęłam się powoli do okna, wyzierając nad drzwiami wejściowymi, gdzie był widoczny czubek głowy mojego wujka. Już był poza Nowym Jorkiem, kiedy do mnie zadzwonił. Ani przez chwilę nie miałam przewagi.

Spóźniłam się.

Cholera. Wróciłam do mojego pokoju i wsadziłam do kieszeni scyzoryk Luki. Zadzwonił dzwonek drzwi, za którym niemal natychmiast nastąpiła seria głośnych grzmotów. W mojej kieszeni bzyczała komórka.

Gdy byłam w połowie drogi na dół usłyszałam klucz przekręcany w zamku drzwi wejściowych. Prawie odgryzłam sobie język, kiedy otworzyły się przede mną i przełknęłam przekleństwo. Jack wparował ciężko do środka, a ja zamarłam z jedną ręką na poręczy, drugą nad sercem.

Spojrzeliśmy na siebie. Każda kość w moim ciele pałała chęcią rzucenia się na niego, złapania go za gardło i obserwowania, jak światło ucieka z jego oczu. Nienawidziłam go i wydawało mi się, że żar furii zaraz wypali moją skórę na wylot. Weźmie mnie siłą czy zdołam uciec? Musiałam pomyśleć, skupić się. Nie mogłam tego schrzanić.

Podeszłam do niego powoli, stawiając jedną stopę przed drugą, wpychając w siebie kłębki wściekłości. Musiałam się opanować, stłumić wrogość na tyle długo, żeby od niego uciec. I zrobię to, nawet jeśli będę musiała przy tym zniszczyć część siebie. Nie pozwolę, żeby moje uczucia sprzedały mnie Donacie Marino. Nie pozwolę, żeby powstrzymały mnie przed pomszczeniem mojej matki.

Sylwetka Jacka zdawała się wypełniać cały wąski przedpokój. Nie było ani jednego centymetra przestrzeni, którego nie dotykał jego cień.

- Sophie. – Jedno słowo: nie całkiem rozgniewane, ale surowe.

- Jack. – *Antony*, upomniałam się. Ale nieważne, jaka jest prawda, on zawsze będzie dla mnie Jackiem. Kłamcą. Tchórzem. Imię „Antony” było zbyt gorzkie w moich ustach. Zacisnęłam palce w pięści tak mocno, że powyginałam paznokcie.

- Nie otworzyłaś mi. – Zamknął za sobą drzwi.

Poczułam, że mój głos wibruje od strachu, więc zmusiłam się do podwyższenia go.

- Byłam na górze. Nie potrafisz poczekać, no nie wiem, dwóch minut?

Proszę bardzo. Nastoletnie oburzenie. Jack westchnął i opuścił ramiona. Myślał, że pójdzie mu łatwo; myślał, że zmienię zdanie. *Idiota*. Podszedł bliżej i musiałam wykorzystać całą siłę, żeby go nie zaatakować.

- Jesteś gotowa, żeby pójść ze mną?

Oboje wiedzieliśmy, że to nie była prośba; jedynie proponował mi iluzję wolnej woli, jak za starych czasów.

- Czy mam jakiś wybór? – zapytałam gburowato, ale nie wrogo. To była delikatna granica.

- Nie. Albo pójdziesz ze mną, albo ona cię zabije. – Westchnienie, przebłysk człowieka, którego kiedyś znałam. – A straciliśmy już wystarczająco.

My. Rozważałam rzucenie się na niego i wydłubanie mu oczu. Może udałoby mi się wyszarpać jedno zanim by mnie odepchnął.

- Musisz pójść teraz – powiedział.

Skup się. Tupnęłam nogą.

- To *takie* niesprawiedliwe.

- Pospiesz się i spakuj torbę. Zaczekam tutaj.

Wysunęłam brodę do przodu.

- Nie możemy tu zostać? – Myśl, że mógłby przebywać w pobliżu miejsca, w którym żyła i śmiała się moja matka sprawiała, że miałam ochotę krzyknąć, ale spodziewałam się sprzeciwu na przeprowadzkę, a jeśli nie stawiałbym przy swoim, to nabrałby podejrzeń i poszedłby za mną na górę.

- Idziemy do ładniejszej miejscówki – powiedział niecierpliwie. – Gdzieś bliżej interesów.

- Gdzie? – marudziłam.

- Spakujesz się w końcu? Później ci powiem. W aucie czekają Libero i Marco.

Nie uda mi się uciec. *Podwójne cholera*. Przynajmniej nie przyprowadził do domu mojej matki tego morderczego szkieletu. Nie wiedziałam ile wytrzyma moje niezdecydowane pohamowanie, a myśl o zaatakowaniu Donaty Marino nożem kuchennym była zbyt kusząca.

- Dobra. – Weszłam z powrotem na górę, odmrugując łzy wściekłości, które spłynęły po mojej twarzy, jak już się od niego odwróciłam.

Kręciłam się po moim pokoju, wypatrując przez okno, jak ogarnęła mnie bezradność. Wbiłam wzrok w drewniany treliarz wspinający z tyłu ogrodu... ostatni projekt mamy. Powoli i ostrożnie rozwinęły się w mojej głowie zaczątki planu. Będę musiała wyjść tyłem. To była moja jedyna szansa – ostatnia.

Otworzyłam okno w pokoju i wyrzuciłam już spakowaną torbę, wykrzywiając ramię, żeby wylądowała w krzaku na prawo od kuchni, z dala od okien. Następnie wypchałam stary worek marynarski rękawicami i bluzami, żeby wyglądał na pełen. Chodziłam wkoło przez kilka minut, tupiąc głośno o podłogę nad Jackiem, żeby pomyślał, że mam atak złości.

Zeszłam na dół po dziesięciu minutach. Nie ruszył się z przedpokoju. Przestał przeglądać coś w komórce i spojrzał na worek, który rzuciłam u jego stóp, nie podchodząc do niego bliżej niż to konieczne. Cofnęłam się, zaplatając ramiona na piersi.

- Już.

- Świetnie – powiedział, chowając telefon do kieszeni. – Współpracujesz. Wiedziałem, że zmienisz zdanie. To wszystko było tylko okropnym wypadkiem, Soph. Zginęła nieodpowiednia osoba, ale nie przejmuj się, znowu zaatakujemy tych drani i tym razem nie wyjdą z tego żywo.

Zaśmiałam się szyderczo w duchu. Najwyraźniej nie wiedział, że to ja ich uratowałam. Rany, co za kretyn.

Zmusiłam się do wzruszenia ramion.

- Nieważne. Nie zarobię sama na czynsz i oboje wiemy, że nie mam gdzie pójść.

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu i przyłapałam się na zastanawianiu, jakby to było wyciąć mu ten wyraz i patrzeć, jak kolor wylewa się z jego ust. Również się uśmiechnęłam na obraz rozgrywający się w mojej głowie. Pewnego dnia się tego dowiem.

Jack otworzył drzwi i zarzucił sobie mój worek przez ramię.

- Gotowa? – zapytał pogodniejszym tonem.

Grałam na zwłokę. – Muszę siku.

- Co? – Uniósł brwi. – Dlaczego nie poszłaś, jak byłaś na górze?

- Byłam zbyt zajęta śpieszeniem się przez ciebie!

- Niech ci będzie. Ale szybko.

Zamknęłam się w łazience pod schodami i spojrzałam oceniająco na okno. Było dla mnie zbyt małe; przeceniłam swoją miniaturowość. Jasna cholera. Odkręciłam kran i przeklełam na tyle głośno, żeby mnie usłyszał. Potem krzyknęłam przez drzwi:

- Możesz, proszę, przynieść mi rolkę papieru z szafki w korytarzu na górze?

Serce tłukło mi się w piersi.

Proszę proszę proszę.

Nastąpiło głośne, znaczące westchnienie, a następnie ciężkie stąpanie jego stóp na stopniach. Otworzyłam drzwi łazienki, zamknęłam cicho za sobą i wbiegłam do kuchni, rzucając się do tylnych drzwi. W najlepszym wypadku miałam kilka sekund.

Wyciągnęłam torbę z krzaka, w którym wylądowała i skoczyłam w kierunku końca ogrodu. Przerzuciłam torbę przez murek i zaczęłam się wspinać, podpierając stopy na treliazu i zaciskając mocno ręce na betonie. Byłam w połowie drogi przez murek, szukając po omacku podparcia po jednej stronie i ściskając palcami ścianę po drugiej, kiedy rozbrzmiał za mną głos Jacka.

Biegł ku mnie, a ja przerzucałam ciężkie ciało przez murek, wisząc na jego szczycie. Wtem znalazł się pode mną, rzucił się po moją stopę i oplótł palcami moją kostkę. Zrobiłam wykop z dzikim okrzykiem, przywierając mocno do murku. Trzymał mocno, kiedy się rzucałam. Wolną ręką wyciągnęłam scyzoryk Luki z tylnej kieszeni i otworzyłam. Jack szarpał mnie za kostkę. Zsunęłam się do niego z wyciągniętym scyzorykiem i zamachnęłam się nim na jego twarz.

Odskoczył do tyłu z wrzaskiem, kiedy z jego oka trysnęła krew i zalała mu palce, jak dociskał je do twarzy. Rzucił się po mnie na oślep, ale wróciłam na szczyt murka i przetoczyłam się na drugą stronę, oddalając od niego.

Wylądowałam na ziemi z hukiem. Upadek był wysoki i pozbawił mnie powietrza. Schowałam ostrze, pochyliłam się i przetoczyłam, podniosłam torbę i weszłam w niewielką linię drzew, które zapewniały mi schronienie, jak przyciskałam się do ściany, która ciągnęła się w następną, dłuższą ulicę domów. Za mną wisiały w powietrzu wrzaski bólu Jacka i wykorzystałam przyływ adrenaliny, który mi dawały.

Pobiegłam sprintem wzdłuż nieskończenie długiego rzędu kwadratowych budynków mieszkalnych, wskoczyłam do pobliskiego ogrodu i weszłam za przysadzisty, drewniany dom z rozpadającym się gankiem. Na jego tyłach zgubiłam się w ogromnych zaroślach i przerzucałam torbę przez jeden murek za drugim, goniąc uciekające ode mnie słońce, aż byłam zbyt zmęczona, żeby zrobić cokolwiek innego niż wcisnąć się za szopkę ogrodową gdzieś pośrodku masy budynków. Skuliłam się w sobie i czekałam aż ciemność ukryje mnie przed Jackiem i jego zabójcami Marino.

Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Millie.

- Soph? – Odchrząknęła, wybudzając się. – Czy wszystko w porządku?

- Ta – odparłam cicho świadoma faktu, że wtargnęłam na czyjś teren prywatny. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że na jakiś czas opuszczam miasto.

- Co? Dlaczego? Co się stało?

- Uspokój się – powiedziałam szybko, ucinając jej atak paniki. – Po prostu żyję, Mil. Żyję, tak jak mi nakazałaś.

- Soph, przerażasz mnie – powiedziała spanikowana. – Co ty gadasz? Nie chodziło mi o „opuszczenie miasta”, tylko żebyś wstała i poszła ze mną na obiad, lub coś w tym stylu. Na pewno nie chodziło mi o coś takiego.

- Wiem. – Uśmiechnęłam się do telefonu. – Nie wybieram się na żadną wielką przygodę w poszukiwaniu własnej duszy.

- Och – odparła z ulgą. – Myślałam, że zamierzasz mnie porzucić dla piramid, Wielkiego Kanionu albo czegoś w ten deseń.

- Jack wrócił do Cedar Hill.

Nabrała gwałtownie tchu.

- Cholera.

- Dokładnie – przytaknęłam. – Wybieram się tam, gdzie nie będzie mnie mógł dopaść... dopóki sama tego nie zechcę.

- Co to właściwie znaczy?

Złagodziłam odpowiedź. Pewne rzeczy zrozumie, a pewnych zdecydowanie nie zrozumie, a prawda moich zamiarów znajdowała się w tej drugiej kategorii.

- Znaczy, że nie będę się wychylać dopóki nie ucichnie niebezpieczeństwo.

- No to nie wychylaj się, Soph. Wiesz, że zawsze jesteś u mnie mile widziana...

Musiałam się uśmiechnąć, ponieważ obie wiedziałyśmy, że nic by z tego nie wyszło, ona jednak i tak to zaproponowała, ponieważ była życzliwą osobą. Nieustraszoną. Lojalną.

- Naprawdę jesteś wspaniałą przyjaciółką, Mil.

- Tak jak i ty – odparowała.

- Sądę, że w tej chwili zdecydowanie wygrywasz w słupkach przyjaźni.

Jej śmiech poniósł się do mnie dźwięcznie.

- Ty też miałaś swoje momenty, Gracewell.

Gracewell. Najeżyłam się. To słowo. To kłamstwo.

Nic nie znaczyło.

- Poradzimy sobie z tym razem – powiedziała, wypełniając ciszę i wyciągając mnie z nieuchronnej spirali wściekłości oraz rozczarowania, do której aż zanadto się przyzwyczajałam.

Zignorowałam jej niewyczerpany optymizm, choć częściowo chciałam móc w niego uwierzyć.

- Myślę, że bycie dobrą przyjaciółką polega na tym, żeby nie stawiać przyjaciółki ani jej rodziny w niebezpieczeństwie, kiedy to niekonieczne.

- Nic mi nie będzie. – Nie brzmiała na przekonaną, ale nie potrzebowałam, by tak było, ponieważ *ja* byłam przekonana o dwóch rzeczach: Jack był niewiarygodnie rozgniewany, a także niewiarygodnie niebezpieczny. To go czyniło nieprzewidywalnym. A gdyby Millie zapewniła mi schronienie, ona również znalazłaby się na jego linii ognia i nigdy na to nie pozwolę.

- Nie podejmę tego ryzyka – powiedziałam stanowczo. – Wiesz o tym.

- Dokąd pójdziesz? Co zrobisz? Gdzie teraz jesteś? Czy Jack...

- Mil – przerwałam jej. – Mam plan, nie martw się. Obiecuję, że powiem ci o wszystkim, jak tylko będę mogła, okej?

- Okej – poddała się po krótkim milczeniu, jej głos zrobił się sceptyczny. – Ale cokolwiek się stanie, nie zostawiaj mnie w tyle.

Sama myśl sprawiała, że ścisnęło mnie w piersi.

- Nigdy.

- Bo *nie mogę* przeżyć ostatniego roku liceum bez ciebie. To złamie mojego ducha, Soph. Wyssie ze mnie całą duszę.

- Wiem – powiedziałam, uspokajając ją przez bulgoczący śmiech. Jej dramatyczność to jedyna dramatyczność, jaką przywitam chętnie w moim życiu. – Nie martw się – powiedziałam dokuczliwie. – Wejdę w ciemność razem z tobą.

- Dobrze – odparła tym samym tonem. – Bo jesteś moim światłem.

- Aleś ty cikliwa.

- Uwielbiasz to.

- Wiem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

POCZĄTEK

Czekałam przed progiem *Eveliny*, odliczając bicia serca do czasu otwarcia drzwi. Potrzeba było dziewiętnastu.

- Sophie. – Luca wystąpił z mroku.

- Miałam nadzieję, że to będziesz ty.

Uśmiechnął się lekko.

- Cóż mogę powiedzieć? Jestem ulubieńcem większości.

Powstrzymałam ripostę, którą zaoferowałabym mu w normalnych okolicznościach – *Czy twoje całe ego naprawdę mieści się w tym domu?* Ale byłam mu winna przeprosiny.

- Posłuchaj, nie mówiłam poważnie tych wszystkich słów, wtedy w moim pokoju. Byłam po prostu straszliwie smutna, spanikowana i wściekła na wszystko. I cóż, ty tam byłeś i nie mogłam zatrzymać tego wybuchu...

- Sophie. – Luca podniósł rękę, marszcząc brwi. – Proszę cię, nie przepraszaaj za to jak postanowiłaś wtedy okazać swoją rozpacz.

- Ale byłam wredna.

- Cóż, zwykle jesteś wredna, więc przywykłem.

Posłałam mu miazdzące spojrzenie, a on przyjął je uśmiechem. Zapomniałam, jaki rozbijający potrafi być ten uśmiech. To była jego największa broń.

- Jack po mnie wrócił – powiedziałam.

Jego wyraz twarzy pociemniał. Zlustrował mnie baczny spojrzeniem.

- Zrobił ci krzywdę?

- Nie, ale myślę, że wydłubałam mu oko twoim scyzorykiem.

Jego brwi zniknęły pod masą potarganych czarnych włosów.

- Doprawdy?

Tkwił pomiędzy nami powód mojej wizyty. Wiedział, czym on był, ale wiedziałam, że musiałam wypowiedzieć go na głos. Musiałam to urzeczywistnić, żeby ruszyć do przodu. A on musiał to usłyszeć.

- Jestem teraz zdana na siebie – rzekłam cicho. Ta realizacja była jak ukłucie żądłem i wypowiedzenie jej na głos zdawało się odebrać mi całą energię. – Po raz pierwszy jestem prawdziwie zdana tylko na siebie.

Luca podszedł troszeczkę bliżej, jak gdyby próbował zamknąć nas w bańce, w której nie dosięgnęłoby mnie żadne zło. Moglibyśmy znajdować się całkiem gdzieindziej na świecie, ponieważ widziałam tylko jego.

- Chcesz tutaj zostać? – zapytał. – Z nami?

Oto ta chwila... pierwszy krok. Odwracałam się od słońca i stawiałam czoła swojemu przeznaczeniu. Musiałam wypowiedzieć słowa. Musiałam je urzeczywistnić.

- Jeżeli pozwolisz mi zostać pomogę wam ich zabić – rzekłam bez mrugnięcia okiem.

Spojrzał na mnie ogłupiony.

- Czy to żart?

- Nigdy w życiu nie byłam poważniejsza.

- Marino – powiedział zmieniającym się tonem – to mroczne.

Podtrzymałam jego wzrok, lodowato błękitny i płonący. Po raz pierwszy w życiu miałam cel wykończony stalą i zapałem. Wiedziałam, co muszę zrobić. Dokonałam wyboru. Ta ścieżka *była* mroczna, ale nie było już odwrotu.

To był mój świat. Zawsze nim był. Nadeszła pora, żeby przestać z nim walczyć i zacząć w nim żyć.

Stałam na progu świata przestępczego z krwią wujka na palcach, patrząc na zastępcę bossa Falconów i przypieczętowałam moje przeznaczenie.

- Nie chcę być Marino, Luca.

Wycofał się do foyer i weszłam za nim do środka.

- Dobrze – powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku. – To bądź kimś innym.

Staliśmy naprzeciw siebie na herbie Falconów, jak w mojej klatce piersiowej rozlało się nowe, dziwne ciepło.

- Jakies sugestie? – zapytałam.

- Coś mi przychodzi do głowy.